

BOHDAN ARCT

**CENA ŻYCIA**

BOHDAN ARCT

**CENA ŻYCIA**

*Memu synowi, Ryszardowi, który  
w czasie pisania tej książki usiłował  
zmusić mnie do pracowania  
dwadzieścia pięć godzin na dobę.*

## **OD AUTORA**

Wydarzenia opisane na stronach tej książki nie są bynajmniej fantazją literacką. Opierałem się na faktach, zmieniłem jedynie, ze zrozumiałych względów, nazwiska głównych bohaterów.

Mam nadzieję, że „Cena życia” znajdzie uznanie w oczach Czytelników i rzuci odrobinę światła na trudno zrozumiałe dzieje zmagania wojennych na Dalekim Wschodzie.

Bohdan Arct

## ROZDZIAŁ I

Życie w milionowym mieście powróciło już do normalnego stanu, a ogrom Singapur pozornie zapomniał o swej niedawnej tragedii.

Po zalanych tropikalnym słońcem ulicach śródmieścia płynęły sznury samochodów. Po chodnikach śpieszyli dostatnio i elegancko ubrani Europejczycy, świecący nienaganną bielą garniturów. Witryny sklepów przyciągały oko różnorodnością wystawionych towarów. Rozliczne kina, teatry, kabarety, restauracje i bary tej dzielnicy wypełnione były tłumami publiczności, pośród której nie brakowało mundurów wszystkich rodzajów broni. Wspaniała, szeroka tama w poprzek cieśniny Johore, pieczołowicie odbudowana po zniszczeniu w 1942 roku, lśniła asfaltową gładzią nawierzchni.

Gdziekolwiek tylko na białych ścianach pretensjonalnych pałacyków i willi europejskiej części miasta widniały szczyby po artyleryjskich i karabinowych pociskach. Czasem w rzędzie budynków pojawiała się wyrwa w miejscu, gdzie ongiś wybuch lotniczej bomby poczynił spustoszenia. A przecież zaledwie przed czterema laty miasto i wyspę Singapur spowijały dymy pożarów, dokoła rozlegał się ogłuszający łomot dział, ulicami przetaczały się stalowe cielska czołgów, w górze mknęły wrogie samoloty, niosące śmierć i zagładę.

Uboższe i przeludnione dzielnice tubylcze bardziej dotknięte zostały minioną wojną, więcej ucierpiały podczas pamiętnego oblężenia. Znikły z powierzchni ziemi setki drewnianych domostw. Inne, połatane i wyreperowane byle jak, wystawiały na widok publiczny swą przerażającą biedę, a rozliczne sklepiki i kramy szewców, krawców, fryzjerów, handlarzy starzyzną czy owocami, gniezdzące się jeden obok drugiego, stwarzały obraz odrażającego, egzotycznego ubóstwa. Chińczycy i Malajczycy, stanowiący przeważającą większość mieszkańców miasta, cierpieli niedostatek tak jak przed wojną czy też nieco później, w czasie japońskiej okupacji. Co gorzej, ich straty były niepowetowane, jako że niemal w każdej rodzinie ktoś zginął bądź w czasie nalotów, bombardowań artyleryjskich, bądź też, częściej, skutkiem okrucieństwa najeźdźców z Krainy Wschodzącego Słońca.

Ale i w śródmieściu nie wszyscy zapomnieli o wojnie. W pobliżu obszernego placu Rafflesa, opodal zielonego skweru, gdzie mieścił się swego czasu wielki dom towarowy Gurthie'go, kompletnie wypalony w pierwszym nieprzyjacielskim nalocie, przed wysokim murowanym budynkiem z powiewającą na dachu flagą Union Jack [1], stał wyciągnięty i nieruchomy szereg żołnierzy Military Police [2]. Ich odświętne mundury, białe tropikalne kaski, białe pasy i kabury pistoletów świadczyły, iż w budynku mieści się jakaś ważna instytucja. Wrażenie to potęgował i potwierdzał widok zaaferowanych oficerów kręcących się przed gmachem oraz rzędy wojskowych aut na prostokątnym parkingu. Wysoki budynek oddany został do użytku War Crimes Court [3], a w jednej z rozlicznych sal odtwarzano właśnie wydarzenia sprzed kilku lat, ustalano fakty, wyciągano na jaw czyny, których sprawca został ujęty i oddany do dyspozycji trybunału.

Atmosfera była napięta, podniecenie dochodziło zenitu, mimo zaś otwartych okien, stale obracających się pod sufitem łopat gigantycznych wentylatorów i stosunkowo późnej pory dnia

twarze świeciły potem, koszule lepiły się do skóry. Publiczność, szczerze wypełniająca rzędy krzeseł, z niezwykłym skupieniem wsłuchiwała się w zeznania świadków, w cyniczne oświadczenia oskarżonego i suchy głos prokuratora.

Za długim stołem, na podwyższeniu, siedziało siedmiu sędziów wojskowych z przewodniczącym, siwowłosym pułkownikiem Hughes Mitchellem w środku, i z zainteresowaniem, graniczącym z obrzydzeniem, wpatrywało się bądź w postać niskiego, skośnookiego oficera, bądź w leżący na suknie stołu zakrzywiony miecz, je-den z dowodów rzeczowych. Miecz ten, a raczej szabla, typowa japońska broń oficera piechoty, jeszcze niedawno należał do kapitana Teruci Amado [4].

Przed sędziowskim stołem, wyprostowany jak na paradzie, stał oskarżyciel, major Marcus Shell, chudy, wysoki mężczyzna, o podłużnej, końskiej twarzy i ciemnych włosach gładko zaczesanych do tyłu. Co chwila nachylał się, spoglądał na trzymane w dłoni maszynowe zapiski, cytował z nich coś, znów się wyprostowywał, a jego gestykulacja ograniczała się do kilkakrotnego wskazania wyciągniętym ramieniem połyskującej gładzi klingi miecza.

Na ławie, umieszczonej tuż przed pierwszym rzędem krzeseł publiczności, siedział w otoczeniu uzbrojonych żandarmów kapitan Teruci, w wybrudzonej i wymiętej koszuli koloru khaki, spodniach tej samej barwy i owijaczach na goleniach. Na jego płaskiej, okrągłej twarzy nie drgał żaden mięsień, nie uwidaczniało się żadne uczucie. Niski i barczysty Japończyk wzrok utkwiony miał w zespół sędziowski, patrzył na wrogich oficerów odważnie, zuchwale, niemal wyzywająco.

Słowa oskarżyciela wojskowego płynęły jedno po drugim, układały się w zdania, odtwarzały fakty, ujawniały niepojętą, niemal patologiczną mentalność oskarżonego, a także system rządów imperium „boskiego” tenno [5] Hirohito, potomka bogów, założyciela epoki, przezwanego paradoksalnie Siowa [6].

Ale gdy wyznaczony z urzędu tłumacz wiernie powtarzał kapitanowi pełny tekst oskarżenia, ten nie poruszał się, nie usiłował protestować czy przeczyć, chociaż i bez tłumacza rozumiał słowa Marcusa Shella. Czasem tylko kiwał potakująco głową, czasem zaś beznamiętnie dodawał jakiś szczegół, uzupełniał zeznanie czy oświadczenie.

- Wysoki Sąd wysłuchał już świadków - kontynuował major Shell. - Niektóre zeznania zostały tylko odczytane, gdyż nie wszyscy zdołali dotrzeć na czas do tej sali. Mam na myśli między innymi majora Shannona, którego zeznania stanowią ważki przyczynek do aktu oskarżenia...

W pierwszym rzędzie krzeseł dla publiczności jakiś wysoki i opalony na ciemny brąz oficer w lotniczym mundurze, ze skrzydełkami pilota na lewej piersi i rzędem barwnych baretek odznaczeń, poruszył się nagle, podniósł z miejsca, ale po chwili potrząsnął głową, mruknął coś niedosłyszalnie i opadł z powrotem na krzesło.

- Wszystko zostało wielokrotnie sprawdzone i potwierdzone, nie ma żadnych wątpliwości, co do wiarygodności zeznań świadków i ustalonych faktów - mówił dalej oskarżyciel, odruchowo przyglądając włosy. - Sam Teruci przyznał się do popełnionych przestępstw, chociaż starał się wybielić swe intencje - chudy major Shell na chwilę obrócił się twarzą do krępego Japończyka i zmierzył go wyblakłymi, niebieskawymi oczami. - Oskarżony zasłania się tradycjami samurajów [7]. przytacza wskazania kodeksu Busido [8]. Wysoki Sądzie! Pozwolę sobie zwrócić waszą uwagę na kilka wydarzeń, przedstawię je w skrócie.

Prokurator zawiesił na moment głos, odchrząknął, przelotnie spojrzął na notatki, wydobyl z kieszeni chustkę do nosa i otarł pot z czoła. Na sali panowała głęboka cisza. Zespół sędziowski tkwił nieruchomo za stołem, nikt nie wykonał najlżejszego ruchu.

- Na parę lat przed rozpoczęciem wojny i przed napadem na amerykańską bazę w Pearl Harbor, armie cesarza Hirohito, uderzyły na Chiny, zdobywając prowincję po prowincji. W zaborczej kampanii w Chinach brał udział Teruci Amado, podówczas w stopniu porucznika. W październiku 1938 roku dowodzona przez niego kompania piechoty przeprowadzała w okolicach miasta Suczu ćwiczebne ataki na bagnety. Dziwnego rodzaju były te ćwiczenia - w głosie oskarżyciela zabrzmiała nuta ironii i pogardy. - Wykonywano je w ten sposób, iż wiązano schwytanych jeńców chińskich i używano ich zamiast worków treningowych. Kluto bagnetami, dopóki nie padli martwi. Teruci jednak bagnetu nie używał, był przecież oficerem. Teruci tą oto bronią - major Shell wskazał miecz na stole sędziowskim - ściał głowy co najmniej dwudziestu jeńcom chińskim...

Wzrok Japończyka przeniósł się powoli i leniwie z głowy pułkownika Mitchella na stal miecza. Wywody chudego prokuratora o końskiej szczęce poczynały go nużyć. Teruci nie miał żadnych złudzeń co do czekającego go losu, ale przedłużająca się procedura sądowa złościła go i denerwowała. Nieodgadnionym zrzędzeniem bogów Biali mieli go w swych rękach, mogli z nim zrobić, co chcieli. To była tragiczna, ponura i przygnębiająca prawda, z którą należało się pogodzić. Ale jaki cel miała idiotyczna sądowa farsa? Po co marnować czas, siły i energię? A przede wszystkim, jakim prawem gadatliwy prokurator zarzucał mu popełnienie zbrodni? Teruci walczył z wrogiem, zabijał, bo wrogów Nipponu [9] trzeba było zabijać, bo obowiązek należało wypełniać.

„Bakajaro!” - zaklął w duchu Japończyk

Po sali sądowej rozniosły się dalsze słowa prokuratora:

- Dnia dwudziestego drugiego stycznia 1942 roku resztki broniącej się Czterdziestej Piątej Brygady Australijskiej musiały się poddać u wybrzeży rzeki Simpang

Kiri na Półwyspie Malajskim. Część brygady zdołała się jakoś przedrzeć, poddali się ranni, niezdolni do trzymania się na nogach. Wtedy kapitan Teruci, już wówczas członek Kemei Tai... - Marcus Shell zatrzymał się i zastanowił. - Wysoki Sąd z pewnością wie, co znaczy to określenie. Kemei Tai to „policja myśli”, japoński odpowiednik hitlerowskiego gestapo.

Siwowłose pułkownik Mitchell pokiwał kilkakrotnie głową. Inni członkowie zespołu sędziowskiego poruszyli się, wymienili między sobą kilka ożywionych zdań. Na Dalekim Wschodzie policja Kemei Tai dobrze dała się wszystkim we znaki.

- Nad brzegiem Simpang Kiri kapitan Teruci wraz z podległymi sobie żołnierzami, nie zważając na flagę Czerwonego Krzyża i oczywisty fakt poddania się bezbronnym przeciwników, rozpoczęli masakrę. Ranni Australijczycy zginęli wszyscy, z wyjątkiem jednego człowieka, który zdołał uciec niepostrzeżenie. Teruci Amado własnoręcznie ściał głowy czterem jeńcom tą oto bronią - palec oskarżyciela raz jeszcze skierował się ku mieczowi.

Oczy Teruci Amado błysnęły, ale ich błysk momentalnie zginął pod przymkniętymi powiekami. Bogowie jednak okazali łaskę, w jednej chwili podsunęli honorowe wyjście z sytuacji pozornie beznadziejnej, wyjście godne potomka walecznych jusi [10], członka wybranej rasy Jamato [11]. Tam, w odległości zaledwie kilku ken [12], leży przecież jego miecz. Ten miecz użyty zostanie raz jeszcze, za chwilę.

- W nocy z trzynastego na czternasty lutego 1942 roku kapitan Teruci brał udział w masakrze w szpitalu Aleksandry w Singapurze. Na jego rozkaz żołnierze wymordowali bagnetami wychodzących im na spotkanie lekarzy i sanitariuszy, zgwałcili i wymordowali pielęgniarki opiekujące się rannymi

- kobiety, które nie chciały się ewakuować, by nieść pomoc innym. Podwładni kapitana Teruci wymordowali później wszystkich rannych, a kapitan - ten wyraz Shell wymówił przez zęby - Teruci własnoręcznie zabił dwie pielęgniarki i trzech rannych żołnierzy, używając do tego swej szabli...

Wargi Teruci wykrzywiły się, Japończyk, dobrze znający język wrogów, nie zamierzał upokarzać się używaniem angielskiej mowy. Nachylił się do tłumacza i coś mu szepnął na ucho. Na twarzy tłumacza odmalowało się zdumienie. Wstał i oznajmił głośno:

- Taii [13] Teruci Amado pragnie sprostować oświadczenie oskarżyciela. W szpitalu Aleksandry zabił nie pięciu, ale ośmiu wrogów swego kraju.

W sali sądowej War Crimes Court rozszedł się szmer grozy. Wysoki oficer w lotniczym mundurze, siedzący w pierwszym rzędzie krzeseł, zerwał się z miejsca. Energiczny stukot młotka przewodniczącego trybunału momentalnie przywrócił spokój.

- Po zakończeniu działań wojennych na Półwyspie Malajskim i poddaniu się twierdzy singapurskiej, Teruci i jego koledzy z Kemei Tai, którzy w krótkim czasie również staną przed obliczem Wysokiego Sądu, znęcali się w czasie badań nad jeńcami wojennymi we wszystkich obozach, szczególnie zaś w obozie Pasir Pandziang. Te fakty znane są głównie z zeznania majora Shannona, ponieważ poza nim nikt z Pasir Pandziang nie uniknął śmierci. Teruci własnoręcznie, jak zawsze mieczem, poranił okaleczył wielu jeńców, kilku z nich zabił... - Shell zatrzymał się, namyślił, zajrzał do notatek i potrząsnął głową. - O działalności oskarżonego na Jawie mówiłem już poprzednio...

Wysoki i opalony oficer w lotniczym mundurze po raz trzeci podniósł się z krzesła i płonąącym wzrokiem wpatrzył w postać Japończyka, odwróconego doń plecami. Dłonie mu drżały, palce zakrzywiały się raz po raz, jakby za chwilę chwycić miały taii Teruci za grdykę i zacisnąć się na niej śmiertelnie.

- Domagam się dla kapitana Teruci Amado, oficera imperialnych wojsk japońskich, kary śmierci. Kary śmierci przez powieszenie, nie zaś rozstrzelanie - kończył prokurator donośnym głosem, a jego końska twarz, z kropelkami potu na czole, wydłużyła się jeszcze bardziej, przybrała kształt niemal karykaturalny. - W tym przypadku najsurowsza kara jest zbyt łagodna!

Teruci nieco się poruszył, poprawił na ławie, niepostrzeżenie sprężył do skoku. Jego skośne oczy nie spoglądały teraz na szablę - doskonale znał jej położenie na stole. Wzrok miał utkwiony w przewodniczącym trybunału. Ten powinien paść pierwszy, jego głowa pierwsza potoczy się po podłodze. Kodeks Busido poucza, że najpierw należy zgładzić najważniejszego przeciwnika. Potem pójdą inni sędziowie, a jeżeli bogowie będą nadal łaskawi i użyczą siły ramieniu, zginie i prokurator, nadęty, pyszałkowaty głupiec. On sam, taii Teruci Amado, również rozstanie się z życiem, ale w sposób godny tego, by zasiąść w gronie dostojnych przodków i bohaterów narodowych. Nikt nie zdoła powstrzymać go od popełnienia honorowego harakiri.

- Teruci Amado to zakała nie tylko narodu japońskiego, ale i całego świata...

Wzrok żandarmów nie zdołał uchwycić błyskawicznego, tygrysięgo skoku Japończyka. W ułamku sekundy Teruci znalazł się przy stole sędziowskim, Z niebywałą szybkością chwycił za rękojeść szabli. W powietrzu zamigotała stal, ale ostrze, jej nie spadło na niczyją głowę. Potężne palce zacisnęły się na dłoni kapitana, wykręciły ją, wyłuskały broń.

- Przeliczyłeś się, Teruci - zabrzmiały gniewno, rwane słowa. - Nie uda ci się tym razem.

Japończyk znieruchomiał, potem powoli odwrócił się do tyłu. Stał przed wysokim oficerem w lotniczym mundurze. Na przystojnej, opalonej twarzy lotnika widniały blizny po ranach zadanych



jakimś ostrym narzędziem, jedno ucho było niemal całkowicie odcięte.

Teruci poznał go w jednej chwili. Zgarbił się, pochylił, głowa opadła mu na piersi. W decydującej sekundzie przegrał. Bogowie nie okazali się łaskawi, chociaż... starannie wybrał chwilę, szarpnął się z całej siły. Ręce żandarmów trzymały go, niczym kleszcze.

- Znasz mnie, Teruci? Jestem Peter Shannon. Ostatnim razem widzieliśmy się niedaleko stąd, przed paru laty. W obozie Pasir Pandziang. Dobrze zapamiętałem twoją twarz i nazwisko, kapitanie Teruci. długo czekałem na ponowne spotkanie!

Miecz samurajów uniósł się w górę. Pułkownik Mitchell otworzył z wrażenia usta, major Shell postąpił krok do przodu. W kącie sali jakaś kobieta wrzasnęła histerycznie.

Teruci schylił się jeszcze bardziej i przymknął z rezygnacją oczy. Czekał, aż ostrze spadnie na jego policzki, przekraje czoło i uszy, jak ongiś przekrajało czoło, policzki i uszy stojącego przed nim człowieka. Ale Peter Shannon roześmiał się pogardliwie i spokojnie położył szablę na stole sędziowskim.

- Nie jestem katem, jak ty, Teruci. Jestem oficerem.

Wysoki lotnik sztywno skłonił się pułkownikowi Mitchellowi, obrócił na pięcie i szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, opuścił salę War Crimes Court.

## ROZDZIAŁ II

Następnego dnia rano major pilot Peter Shannon zameldował się w biurze lorda Louis Mountbattena, dowodzącego podówczas całością wojsk brytyjskich na Dalekim Wschodzie. Kapitan Shirley, adiutant dowódcy, dobrze znający lotnika, zapytał o przyczynę przybycia, gdy zaś nieco zaambarasowany Peter oznajmił, iż to sprawa czysto osobista, porozumiał się telefonicznie z szefem. Po krótkiej chwili Shirley wskazał przybyszowi drzwi do przyległego gabinetu.

- Co pana sprowadza do mnie, Shannon? - spytał Mountbatten podając podwładnemu rękę i zapraszając uprzejmym gestem do zajęcia miejsca naprzeciw, po drugiej stronie dużego biurka zavalonego papierami.

- Sprawa kapitana Teruci, sir.

- Teruci? Aha, znam tę sprawę.. Zdążył pan do sądu?

- Tak jest... to znaczy zeznania złożyłem poprzednio, do sądu przyjechałem w ostatniej chwili.

- Teruci został wczoraj skazany na karę śmierci przez powieszenie, prawda?

- Tak jest.

- Wyrok wykonano dziś o świcie, Shannon.

- Tak jest.

Mountbatten uniósł brwi w górę. Na jego przystojnej, męskiej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- O co więc panu chodzi, majorze Shannon? - pytał z odcieniem zniecierpliwienia w głosie.

Peter Shannon lekko się zarumienił pod opalenizną, blizny na policzku uwidoczniły się wyraźniej.

- Chciałem prosić... - zająknął się, ale brnął z determinacją dalej. - Chciałem prosić o szablę tego Japończyka, sir.

Lord Mountbatten bębnił palcami po politurze biurka. Odruchowo, automatycznie zaczął porządkować papiery.

- Po co panu japońska szabla, Shannon? - badał.

Lotnik odruchowo dotknął palcami szram na twarzy, nie powiedział ani słowa. Mountbatten szybko zrozumiał.

- Aha, tak. Słyszałem o pańskich przeżyciach, Shannon. Niezwykła historia, wprost nieprawdopodobna, ale prawdziwa. W porządku, majorze, szabla jest pańska. Stanie się jakby pamiątką rodzinną, co? - dowódca zaśmiał się krótko, sucho.

- Taak - przeciągnął znacząco Peter. - Ten miecz zawiśnie na honorowym miejscu, sir.

W pół godziny później major Peter Shannon powtórnie trzymał w dłoni stalową broń samurajów. Ścisnął ją oburącz, jakby obawiając się zgubić lub upuścić na kamienną posadzkę hallu dowództwa. Krótko pożegnał się z kapitanem Shirleyem, wolnym krokiem zeszedł po schodach, opuścił budynek. Niedbale odsalutował wartownikom, przystanął na ulicy zalanej potokami słonecznego gorąca. Mijający go przechodnie ze zdumieniem spoglądali na wysokiego lotnika, mierzyli wzrokiem obnażoną klingę. Niektórzy rzucali żartobliwe uwagi, inni starali się zagadnąć oficera, ale Peter

milczał, nie zwracał uwagi na zaczepki.

Migotliwa głód stali fascynowała go, hipnotyzowała. Ostra jak brzytwa szabla taii Teruci Amado posiadała przedziwne właściwości, wydawała się zaczarowana. Wyciągała z zakamarków mózgu obrazy, o których Peter usilnie starał się zapomnieć, zmuszała do odtwarzania ich, kazała raz jeszcze przeżyć dni, gdy wydawało się, że wszystko było stracone, gdy nie pozostawała odrobina nadziei...

Kiedy pięknego, słonecznego, wrześnieowego przedpołudnia 1940 roku podporucznik lotnictwa Peter Thomas Shannon poślubiał dziewiętnastoletnią Elizabeth Pearl, tocząca się w Europie wojna była dla niego sprawą niemal zupełnie obojętną i w żadnym stopniu nie wpływała ani na tok jego pracy zawodowej, ani na sprawy osobiste. Tutaj, w potężnej i niezdobytej twierdzy Singapur, nie przejmowano się groźbami fanatycznego dyktatora Niemiec. Losy podbitej przed rokiem Polski i upokorzonej przed kilku miesiącami Francji nie obchodziły nikogo. Nawet możliwość inwazji wysp brytyjskich nie wydawała się zbyt istotna. Nic więc dziwnego, że urzędnik stanu cywilnego, druźbowie i druhny oraz zebrani goście mieli twarze niemal równie zadowolone i szczęśliwe, jak młoda para składająca małżeńskie przyrzeczenia.

Peter, wysoki i postawny dwudziestosześcioletni mężczyzna, był pilotem stacjonującego na singapurskim lotnisku Seletar myśliwskiego dywizjonu, wyposażonego w samoloty Brewster „Buffalo”. Te amerykańskie maszyny, piękne na oko, jednosilnikowe średniopłaty, posiadały wiele wad i usterek, nie miały dostatecznej szybkości, przede wszystkim jednak było ich za mało jak na potrzeby niezwykle ważnego strategicznego punktu. Ale ani Peter, ani jego dywizjonowi koledzy bynajmniej nie trapiłi się tym niepokojącym faktem. Wojna przecież toczyła się tak daleko, że... właściwie nie istniała.

Od wielu lat, od wczesnego dzieciństwa, Shannon przebywał na Półwyspie Malajskim, a jego znajomość z Betty Pearl datowała się od roku 1936. Mimo że urodził się w Anglii, w samym centrum metropolii, Peter był właściwie bardziej Eurazyjczykiem niż Europejczykiem, jako bowiem czteroletni brzdąc został zabrany przez rodziców na Daleki Wschód, gdzie jego ojciec od lat dzierżawił na Półwyspie Malajskim niewielką plantację kauczuku i spodziewał się dorobić majątku, by zapewnić sobie i rodzinie dostatnie życie. Nic dziwnego że Peter, który w dodatku odziedziczył po babce dozę krwi malajskiej, z łatwością wyuczył się języków malajskiego i chińskiego, poznał wiele miejscowych narzeczy oraz opanował w znacznym stopniu japoński. Cerę miał ciemną, kąciki oczu leciutko podgięte ku górze. Doskonale znosił klimat, zabójczy dla wielu Europejczyków, w podzwrotnikowej dżungli czuł się niemal jak w domu, wcześniej poznał jej tajniki. W towarzystwie krajowców poruszał się z zupełną swobodą, ale traktował ich z góry, jako coś podrzędniejszego i mniej wartościowego.

Rodzinie Shannonów nie powiodło się w tropikach. Matka, Helen Mary Shannon, cicha, drobna i chorowita kobieta, zmarła skutkiem fatalnego klimatu, gdy Peter liczył sobie zaledwie dziesięć lat. Kiedy zaś chłopak ukończył szkołę średnią w Sydney w Australii i powrócił na Malaje, dowiedział się z żalem o niedawnej śmierci ojca, wyniszczonego pracą na plantacji, która nigdy nie przynosiła wystarczających dochodów.

Peter nie zamierzał uprawiać kauczuku, chociaż sił i energii mu nie brakowało, a kondycji fizycznej mógł mu pozazdrościć każdy rówieśnik. Jego zainteresowania obróciły się w zgoła innym kierunku. Pociągnęły go podniebne przygody, urok latania, barwne i emocjonujące życie ludzi powietrza. Zaciągnął się do lotnictwa RAFu [14], początkowo do personelu technicznego, później

zaś po przejściu odpowiedniego przeszkolenia, został pilotem, otrzymał przydział do jednostki myśliwskiej i wyzywał się w karkołomnych akrobacjach, ćwiczebnych walkach i treningowych strzelaniach.

Z Betty Pearl poznał się przypadkiem, na jednej z zabaw w kasynie podoficerskim w Seletar, gdy jeszcze nosił na ramionach naszywki sierżanckie. Piętnastoletnia dziewczyna o egzotycznej, bajkowej urodzie, zapadła mu głęboko w serce, ale początkowo nie było mowy o poważniejszym romansie. Betty była wtedy niemal dzieckiem. Co więcej, jej pochodzenie stało pod znakiem zapytania. Ojciec dziewczyny, Eustace Pearl, wartościowy i wysoce inteligentny człowiek, rzucony na Malaje kaprysem losu i ciężkimi warunkami materialnymi w Anglii, piastował, co prawda, dosyć odpowiedzialne stanowisko zawiadowcy stacji kolejowej w Kucing, płynęła w nim czysta krew brytyjska, ale matka była „zwykłą” Malajką. Stawiało to przed Betty nieprzebytą zaporę socjalną, wykluczało z towarzystwa rdzennych Europejczyków, zazdrośnie przestrzegających rasowych przywilejów. Swego czasu w podobnej sytuacji znalazła się i matka Petera, ale Henry Ronald Shannon nie zważał na bezsensowne przesady i uprzedzenia swych ziomków, był zresztą stosunkowo niezależny. Peter zaś, który w dzieciństwie godzinami bawił się z kolorowymi rówieśnikami, czuł się od nich lepszy, inny, był po prostu Białym, członkiem zwycięskiej, panującej nad światem rasy. W dodatku służył w Royal Air Force, a chociaż pozornie nie zwracano tam uwagi na kolor skóry i czystość krwi, jego kariera mogłaby zostać zwichnięta w przypadku małżeństwa z Eurazyjką.

Tak więc, widując się coraz częściej z piękną dziewczyną, spędzając z nią każdą wolną od służby chwilę, Peter nie czynił właściwie żadnych postępów na sercowej drodze. Starał się powstrzymać ogarniające go uczucie, zdusić je, czasem świadomie odcinał się od Betty, usiłował wzbudzić w sobie zainteresowanie innymi kobietami. Nie udało mu się to jednak, w miesiąc zaś po wybuchu wojny młody lotnik doszedł do ostatecznego wniosku, że jego dalsze życie bez Betty Pearl nie miałoby najmniejszego sensu, a uroda i wewnętrzne wartości ukochanej stanowiły cel znacznie atrakcyjniejszy i cenniejszy niż wojskowa kariera i dywizjon myśliwski. Nie sposób było nadal walczyć z uczuciem i Shannon poddał się, ale w głębi duszy żywił głuchy, utajony żal do Eustacego Pearla za małżeństwo z Malajką.

Z pomocą w powzięciu właściwej decyzji przyszło przychylne stanowisko i dobre rady dowódcy dywizjonu, Squadron Leadera [15] McLochlona, małego, żyłastego i wysuszonego na wiór Szkota, doskonałego pilota, a zarazem trzeźwo i zdrowo myślącego człowieka.

- Pluń na wszystkich snobów, półgłówków i błękitnokrwistych niedojadków, Peter. Pluń trzykrotnie, a potem jeszcze raz - mówił pewnego wieczoru major, pociągając whisky z lodem, jako że najtrzeźwiej i najlogiczniej myślało mu się po kilku głębszych szklaneczkach trunku. - Czy myślisz, że w ich żyłach naprawdę płynie błękitna krew? Bzdury! Zakrzyczą cię durnie, to prawda, zakrakają, też prawda. Niektórzy z tych kretynów nie będą cię poznawać na ulicy - i to prawda. Wyrzucą cię na łeb ze wszystkich ekskluzywnych klubów w Singapurze. Co z tego? I tak nie masz forsy ani czasu, żeby łązić do tych zadymionych spelunek. Ale wierz mi, Peter, wszyscy ci kastowi krzykacze, ci bezpłciowi gówniarze nie są warci jednego uśmiechu twojej Betty, mój drogi - McLochlona uśmiechnął się z rozczuleniem i szybko uzupełnił whisky w szklance.

- Chce ci tylko dać pewną radę, Peter.

- Słucham, panie majorze

- Poczekaj trochę ze ślubem. Shannon zerwał się z krzesła.

- Ale ja nie chcę czekać! - zaperzył się. Mały Szkot przymrużył jedno oko.

- Chciałaby dusza do raju, co? Nie chcesz czekać, nie możesz, co? Rozumiem, rozumiem, mój chłopcze, ja też byłem kiedyś w twoim wieku i wierz mi - zniżył głos - dziewczyny w całym Glasgow latały za mną jak opętane. No a ja, hm, również za nimi goniłem, jeszcze jak!

Shannon uśmiechnął się dyskretnie. Nie potrafił wyobrazić sobie, by McLochlona był kiedykolwiek młody, a wręcz niemożliwe było przedstawić go sobie w roli lowelasa, nawet przed dwudziestu laty.

- Posłuchaj mnie, Peter. Mówię teraz poważnie. Jesteś dobrym żołnierzem i doskonałym myśliwcem, chociaż biję cię w każdej walce powietrznej. Nie przecz, to prawda - major ruchem ręki powstrzymał protesty podwładnego. - Za miesiąc jedziesz na kurs oficerski, za dwa lub trzy zostaniesz promowany. To sprawa zdecydowana. Wtedy zaś twoja pozycja umocni się, bo zdegradować nikt cię nie zdoła, nawet sam król jegomość. Chyba że - w gardle Szkota zabulgotała whisky - chyba że, na przykład, zamordujesz mnie w przystępie zazdrości, bo powiem ci otwarcie, że ostrzę sobie na Betty zęby. Żartuję, żartuje - położył uspokajająco dłoń na ramieniu podwładnego, w oczach zatańczyły mu ogniki humoru. - No i, dear [16] Peter, gdy na twych gorylich ramionach ukażą się niebieskawe paski Pilot Officer [17], ja własnoręcznie i oburącz podpiszę ci zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego z nadobną panną Elisabeth Pearl, która chwilowo również musi obejść się bez słodkich obowiązków żony. Ba, wydam ci rozkaz na piśmie! Bloody hell [18] co sobie ta dziewczyna w tobie upatrzyła, pętaku?

Tak więc dopiero we wrześniu 1940 roku Elisabeth Pearl i podporucznik Peter Shannon stanęli na kobiercu ślubnym przed rozpromienionym jak księżyc w pełni obliczem urzędnika Registry Office [19]. Drużbą pana młodego został na własne żądanie major Douglas McLochlona, pragnący w ten sposób wykazać swój stosunek do mieszanych małżeństw i zachwyty nad urodą młodej Eurazyjki. Co więcej, uparty Szkot wydał stosowne i nader ostre rozkazy, w których rezultacie szpaler honorowy przed budynkiem urzędu utworzyli nie tylko wszyscy członkowie dywizjonu myśliwskiego, ale i cały personel lotniska Seletar.

- A jeżeli któremuś matołowi nie spodoba się pani Shannon, wstrzymam wyjazd na urlop na przeciąg roku - ostrzegął groźnie McLochlona. Nie, na dwa lata!

Wkrótce potem Shannonowie wynajęli niewielki domek. na przedmieściach miasta, w bezpośredniej bliskości lotniska Seletar. Umeblowanie mieli nad wyraz skromne - gaża podporucznika nie zezwalała na luksusowe zakupy, ojciec Betty z trudem wiązał koniec z końcem. W niczym nie wpływało to na szczęście i harmonię młodego małżeństwa. Betty i Peter świata poza sobą nie widzieli, a lotnik szybko zapominał, że jego żona była „tylko” Eurazyjką.

Ale, jak przewidywał znający ludzi Szkot, nie zapomnieli o tym inni. Zarząd oficerskiego klubu niedwuznacznie dał Shannonowi do zrozumienia, że jego członkostwo było w obecnych warunkach raczej niepożądane. Peter, chociaż zaklął soczyście, nie wziął zbytnio do serca tego afrontu, przestał się nawet boczyć na Eustace Pearlę za „mezalians”. Natomiast major McLochlona, wymyślając jak pijany szewc, własnoręcznie skreślił się z listy klubu, a przy okazji podbił sekretarzowi lewe oko oraz potłukł temu dostojnikowi ulubiony wazon z kwiatami na biurku.

Peter z reguły wracał do domu bezpośrednio po zakończeniu służby na lotnisku, niezbyt udzielał się kolegom, a towarzystwo żony rekompensowało wszelkie poprzednie kontakty z elitą singapurską. Stało mu się zupełnie obojętne, jaka krew płynęła w żyłach jego żony, nie miało znaczenia, czy Betty była Eurazyjką, Angielką, Chinką, Malajką czy Francuzką. Była kobietą, którą kochał tak bardzo, iż nie mógł wyobrazić sobie bez niej życia.

Nie wszyscy koledzy i znajomi wyrzekli się kontaktów ze Shannonami. Nader częstym gościem w ich domku był McLochlona, którego Betty kompletnie oczarowała i który nigdy nie miał dość wyrazów uznania i uwielbienia, chociaż nawet w jej obecności nie potrafił powstrzymać się od dziwacznych i często niecenzuralnych wyrażań. Niemal codziennie wieczorem wpadał do nich rudy jak wiewiórka porucznik Woodhill, współzawodnik Petera w powietrznym strzelaniu i cichy adorator jego żony. Nie zerwał z mieszanym małżeństwem zastępca dowódcy dywizjonu, Flight Lieutenant [20] Fitzpatrick, przyjaźnił się z nimi Flying Officer [21] Stanley White, mistrz lotniczej akrobacji. Bywali w domku Shannonów porucznicy Mac Donald i Redhill. Nawet szczyjący się arystokratycznym pochodzeniem porucznik Parker przyznać musiał kiedyś, z niechęcią, że Elisabeth Shannon prezentuje się jak księżniczka z bajki i posiada maniery damy z najlepszego towarzystwa.

A wojna toczyła się dalej, niezależnie od socjalnej pozycji małżeństwa Shannon i ekscentrycznych wyskoków majora McLochlona. Wojna, niczym strącona z górskiego zbocza lawina, toczyła się żywiołowo, szerzyła jak plaga, obejmowała coraz nowe terytoria...

Dla garnizonu singapurskiego, a również dla reszty wojsk brytyjskich rozproszonych na Dalekim Wschodzie, sygnałem rozpoczęcia „właściwej” wojny był japoński atak na bazę morską w Pearl Harbor i rozgromienie potężnej amerykańskiej floty Pacyfiku, nieroztropnie zgrupowanej w tym porcie. Była to „właściwa” wojna, i co gorsze, rozpoczynająca się od klęski zadanej przez samoloty napastnika. Ale... toczyła się niemal tak daleko jak walki w Europie. W to zaś, by dotrzeć mogła do Malajów i Singapuru, nikt nie wierzył. Można pokonać lekkomyślnych i nie przygotowanych Jankesów, można zwyciężać na wodach wschodniochińskich. Ale kusić się o zaatakowanie Singapuru? Tego żaden szalenciec nie uczyni! Przecież przez sześć lat blisko dziesięć tysięcy ludzi bez przerwy pracowało przy fortyfikacjach. Przecież w umocnienia południowo-wschodnich wybrzeży wyspy wlano setki tysięcy ton betonu! Przecież forty usiano łańcuchem dział, pośród których nie brakło olbrzymów kalibru piętnastu cali!

Nic dziwnego, że dowódca garnizonu singapurskiego, generał Brooke-Popham, oświadczył w oficjalnej przemowie:

„...premier japoński Tojo skrobie się w czoło, rozmyślając nad tym, jak wygrać wojnę...”

Rzeczą natomiast bardziej dziwną był fakt, iż dowódca dywizjonu myśliwskiego w Seletar, major McLochlona, wzmógł tempo bojowych treningów i począł gwałtownie, choć bezskutecznie, domagać się zwiększenia stanu samolotów oraz dostarczenia większych ilości części zapasowych. Rzeczą zaś zgoła niezrozumiałą dla członków jednostki stało się twierdzenie żyłastego Szkota, wypowiedziane na jednej z odpraw personelu latającego:

- Jeżeli dobiorą się nam do skóry, zagniotą nas jak karaluchy. Na tym lotnisku stacjonować winien nie jeden, ale pięć dywizjonów pościgowych!

Słowa te, które zresztą nie rozniosły się poza obręb lotniska, nie wywołały żadnego oddźwięku, a major McLochlona nie otrzymał ani dodatkowych samolotów, ani zapasowych części płatowcowych i silnikowych.

Tak więc jeszcze w listopadzie i grudniu 1941, gdy lotnictwo japońskie odbywało intensywne przygotowania na okupowanym Tajwanie, a wojska imperium Nipponu wkraczały do francuskich Indochin ze skwapliwym zezwoleniem rządu Vichy i jego przedstawiciela w Indochinach, admirała Decoux, europejski Singapur po prostu się bawił.

## ROZDZIAŁ III

Flying Officer Peter Shannon odpiął pasy kabiny, uwolnił się od uprząży spadochronu i zdjął z głowy kominiarkę lotniczą, Otarł pot z czoła, odetchnął głęboko. Czuł się trochę zmęczony, ale jednocześnie bardzo z siebie zadowolony. Przez blisko dwie godziny uganiał się w swej maszynie pod singapurskim niebem, wykonał kilka kolejnych wiązań akrobacji, a potem, przywołany radiowym rozkazem McLochlona, rozpoczął treningowe walki powietrzne z dowódcą. Do tej pory, mimo wszelkich wysiłków, nigdy nie zdołał zająć za ogon maszyny Szkota, prawdziwego mistrza powietrznego kunsztu. Dzisiaj jednak udało się. Albo McLoehlon nie był w zwykłej formie, albo też - Shannon stanowczo wolał tę alternatywę - podwładny począł dorównywać przełożonemu. Na sześć przeprowadzonych pojedynków Peter wygrał trzy i McLochlona, wydając rozkaz lądowania, rzucił pod adresem porucznika krótką i jak zwykle niecenzuralną pochwałę. A pochwała z ust takiego dowódcy znaczyła bardzo wiele.

Peter wydzwignął się, wyszedł z kabiny na skrzydło i zeskoczył na ziemię. Mechanicy już kręcili się dokoła maszyny, uzupełniali paliwo i olej, zaglądali do silnika. Z sąsiedniego „Buffalo” wygramolił się McLochlona, przeciągnął, pogrzebał w kieszeniach, wydobyl fajkę i zapalił, nie zważając na obowiązujące przepisy. Peter podbiegł do dowódcy, a ten, wypuszczając z fajki ogromne kłęby dymu, odciągnął go na bok.

- Starzeję się, Peter, robi się ze mnie kawał śmierdzącego, sflaczałego ścierwa - powiedział, ale oczy błyszczały mu wesoło. - A z ciebie zrobi się kiedyś człowiek. Trzy razy zlałeś mi tyłek, to zaś ma swoją wymowę, chłopcze. Jutro puszcę cię w górę na rozprawę ze Stanleyem White. To twarda sztuka. Jeżeli i jego pobijesz, hm, postawię ci podwójną whisky. - Major zamyślił się i przesunął fajkę z jednego kąta ust w drugi. - O czym to mówiłem? Aha, whisky. Co dzisiaj robimy wieczorem. Peter?

- Nie pomyślałem o tym jeszcze, sir - bąknął niepewnie Shannon.

Jego żona wyjechała poprzedniego wieczoru do rodziców do Kucing. Nie widziała się z nimi dawno, chciała ich odwiedzić i przy okazji namówić do przeprowadzenia się do Singapuru. Zachęcił ją do tego McLochlona, który twierdził, że mimo wszystko Półwysep Malajski jest zagrożony inwazją i w twierdzy będzie bezpieczniej. Była to pierwsza rozłąka od dnia ślubu i Peter nagle poczuł dziwną pustkę dokoła siebie, a przytulny domek wydał mu się obcy i jakby niezamieszkały.

- Nudno bez naszej Betty, co? - mruknął Szkot, bez trudu odgadując stan podwładnego.

- Nudno, panie majorze.

- Wiesz co, przejdziemy się do Hotelu Morskiego - zaproponował McLochlona. - W twojej chałupie prawdziwa trupiarnia bez Betty, w mojej kawalerce zawsze jest trupiarnia. No, rusz się, rozejrzemy się, posłuchamy wieści z szerokiego świata, oblejemy twoje dzisiejsze zwycięstwo. Nie myśl tylko, że zawsze będziesz grzmocił w pośladek starego McLochlona. Jeszcze nieraz spiorę ci kuper.

- W to nie wątpię, sir.

- Oby tylko Japończycy kupra ci nie sprali i nie naszpikowali go prawdziwymi pociskami.
- Skąd, panie majorze? Skąd tutaj Japończycy?
- Skąd? Z Japonii, durniu! Poczekaj, jeszcze się na nich napatrzysz!
- Pan żartuje, majorze.
- Ja. nigdy nie żartuję. Mniejsza z tym. Jedziemy.

Wsiedli do przedpotopowego Forda, własności Szkota, który prowadził ten rozlatujący się wehikuł z niesamowitą wprawą i równie niesamowitym nieposzanowaniem przepisów drogowych, chociaż czasem, gdy szosa wiodła pod górę, trzeba było uciekać się do siły fizycznej i popychać grata, czasem zaś zatrzymywać się i zbierać porozsypywane części karoserii i podwozia. W pół godziny później major zaparkował auto w pobliżu ekskluzywnej restauracji, z której wnętrza dobiegały dźwięki orkiestry i zmieszany gwar głosów.

Bardzo dawno tutaj nie byłem - zauważył Peter.

- Niewiele straciłeś. No, włączmy do tej śmierdzącej jaskini - burknął McLochlon, krótkim skinieniem dłoni kwitując ukłon wygalowanego portiera.

Znaleźli się w zatłoczonym wnętrzu wielkiej sali, w której roiło się od jasnych, tropikalnych mundurów i wydekoltowanych sukien singapurskich piękności. Szkot dojrzał wolny stolik w kącie, tuż obok rozbawionej i podpitej gromady oficerów, precyzyjnie się wąskim przejściem, następując na pantofelek jakiejś rudowłosej damy, i pociągnął za sobą Shannona, trochę oszołomionego i onieśmiałego niezwykłym dla niego otoczeniem.

- Co pijesz, Peter? - spytał major i dorzucił z zabawnym grymasem: - Ja stawiam, mój chłopcze. Pamiętaj, że nie wszyscy Szkoci są skąpi.

Peter zadowolił się vermouthem z lodem, ale Mc-Lochlen oczywiście nie poprzestał na takim napoju, odpowiednim, jego zdaniem, dla kobiet w ciąży i smakującym jak mocz wielbłąda chorego na nerki. Dla niego jedynym prawdziwym trunkiem była podwójna whisky.

- A teraz zamieśmy się w słuch, nastawmy uszy jak para rasowych osłów - mruknął major, gdy kelner postawił na stoliku napełnione szklaneczki. - Tutaj można się nasłuchać, aż wątroba spuchnie. Tutaj wygrywa się wojnę, mój drogi! Ej, gdyby oni tak dzielnie walczyli z Japończykami jak z butelkami, za tydzień znaleźlibyśmy się w Tokio i złożyli wizytę u szanownego pana Hirohito.

Dyskretnie wskazał sąsiedni stół, przy którym oficerowie różnych rodzajów broni zawzięcie opróżniali kieliszki i szklanki, częstując się wzajemnie wiadomościami „z pierwszej ręki”. Shannon z McLochlone m przędko poznali treść owych wiadomości.

- Porucznik Jordan stwierdził na podstawie informacji wywiadu, że Japończycy nie potrafią celnie strzelać, ponieważ są zezowaci - perorował jakiś sztabowy oficer,

- Słusznie! You've hit the nail on the head, colonel [22]. A poziom przeszkolenia „żółtków” równy jest zeru, stąd też nazwa ich myśliwców: „Zero” - dorzucił chudy kapitan w lotniczym mundurze.

McLochlon ze stukiem odstawił szklaneczkę z whisky.

- To Flight Lieutenant Jackson z rozpoznawczej eskadry na „Catalina” - poinformował podwładnego szeptem. - Dałbym ja mu „zero”, gdybym go miał w dywizjonie!

Rozmowa przy sąsiednim stoliku stawała się coraz bardziej ożywiona, a Peter nie chciał wierzyć własnym uszom.

- Młody człowieku, chociaż jest pan lotnikiem, a nie marynarzem, posiada pan zdumiewającą spostrzegawczość... Tak, spostrzegawczość. Skośne oczy „żółtków” są przyczyną bezspornego i



stwierdzonego faktu, że Japończycy nie potrafią nawigować okrętami wojennymi! - ta opinia wyszła z ust otyłego, siwiejącego komandora, mocno już podgazowanego.

- To Cobham, stary pijaczyna i kobieciarz – padł komentarz Szkota. - O ile się orientuję, ostatni raz pływał na żaglowcach za czasów królowej Wiktorii.

Peter z uwagą i niesmakiem przysłuchiwał się rozmowie sąsiadów.

- Gentlemen... jest rzeczą oczywistą, gentlemen... chciałem powiedzieć, gentlemen... że ci zwyrodnialcy potrafią tylko kopiować produkty zagraniczne, gentlemen... a później sprzedawać je za pensy, gentlemen, czy też za seny[23], gentlemen, bo tak się ich pensy nazywają, gentlemen... Podobne małpowanie nie wystarcza... co chciałem powiedzieć? Nie wystarcza, by wygrać z nami wojnę, gentlemen...

McLochlona sięgnął po szklaneczkę, zauważył, iż była pusta i przywołał kelnera.

- Ten dziadyga - wskazał palcem na jękającego się pułkownika - to Henry Harrison. Ma w głowie tyle szarej substancji mózgowej, ile ja wody w szklance whisky. Uważa się za wyrocznie w zagadnieniach ekonomicznych Dalekiego Wschodu z tej racji, że przed mobilizacją przez lata handlował z kupcami z Tokio i Jokohamy, dzięki czemu dorobił się niezłej fortuny. Bloody hell! Do stu tuzinów pustych butelek lemoniady! - Jakim cudem on został pułkownikiem? Kelner! - Szkot zagrzmiał na całe gardło. - Od pół godziny dopraszam się podwójnej whisky. Bez wody sodowej, kelner! Od wody żaby się w brzuchu lęgną i człowiek dostaje rozmiękczenia mózgu!

- Już się robi, panie majorze.

- Czy nie dosyć, sir? - ośmielił się zapytać Peter. McLochlona poklepał go po ramieniu.

- Spokojnie, mój chłopcze. Wiesz dobrze, że jeszcze nikt nie widział starego Douglasa McLochlona pijanego. Jeszcze nigdy nie splątał mi się język. Piję, bo mi whisky smakuje. Piję, bo mi się tak podoba. Piję, bo mam dosyć całego zafajdanego świata, a przede wszystkim dosyć takich wymoczków, hermafrodyt, pederastów i syfilityków jak tamci - podrzutem głowy wskazał sąsiedni stół.

Domorośli stratedzy rozprawiali coraz hałaśliwiej.

- Mamy raporty z ich działalności w Chinach! Śmiechu warte!

- Japońska armia to kupa kukieł, małp i półludzi.

- Mniejsza z kukłami i japońskimi małpami - rozwodził się jakiś major piechoty, którego McLochlona rozpoznał jako majora Heltona. - Kto mówił o małpach? - roześmiał się głupkowato i z ogromnym zainteresowaniem wpatrzył się w dwie młode i przystojne kobiety, siedzące opodal w wyzywających pozach i najwidoczniej czekające na zaczepkę? - Gentlemen, czy małpa potrafi kochać kobietę? - nie czekał na odpowiedź zdziwionych współtowarzyszy libacji i plótł dalej: - Nie, gentlemen, nie potrafi, bo nie ma pieniędzy! Ale my, gentlemen, my pieniądze mamy - Helton posłał zdobywcze spojrzenie ku dwóm pięknościom Hotelu Morskiego. - Po co rozprawiać o śmierdzących Japończykach? Nas interesują dziewczęta - obrócił się do oficera marynarki ze świeżo przybyłego do Singapuru pancernika „Prince of Wales”. - Prawda, poruczniku? Chwała Bogu, nie jesteśmy małpami.

Petera ogarnęło takie obrzydzenie, iż chciał jak najprędzej opuścić zatłoczony, duszny i zadymiony lokal. Ale major McLochlona jeszcze nie wysączył trunku z ostatniej szklaneczki. Uparty Szkot nie dałby się odciągnąć od whisky za żadne skarby świata.

Przy okazji poznam cię, Peter, z rozsądnym człowiekiem. Nie takim, jak ci zjełczali i niedorozwinięci pieczeniarze. Alan McNeill ma dobrze w głowie. Podejrzewam, że jest on... - major

nie dokończył zdania, a jego whisky pozostała na stole nie dopita. Głos dolatujący od sąsiedniego stolika wytrącił go nagle z równowagi.

- Dziewczęta dziewczętami, małpy małpami. Licho wie co lepsze - Henry Harrison wykręcił się z krzesłem, potoczył mętym wzrokiem po sali i utkwiał oczy w postaci Shannona. - Patrzcie, gentlemen - wyciągnął chwiejną rękę. - Oto właśnie osobnik, który pokalał... co chciałem powiedzieć? Aha, gentlemen, pokalał naszą rasę... Ten - palec pułkownika Harrisona zataczał w powietrzu niewyraźne zygzaki, niemniej ciągle celował w lotnika. - Ten osobnik, gentlemen... ożenił się z małpą, gentlemen...

Peter zerwał się przewracając krzesło, sprężył do skoku, ale mały Szkot uprzedził go o ułamek sekundy. Zadziwiające, jaką siłę miały suche i żyłaste ramiona McLochlona. Lewy prosty, prawy, prosty, lewy sierpowy... Więcej nie było trzeba. Bohaterski pułkownik Harrison, rozbijając szklanki i butelki, ciągnąc za sobą poplamiony trunkami obrus, legł płasko na wyściełanej perskim dywanem posadzce restauracji, ku konsternacji współbiesiadników i zdumieniu kelnerów.

McLochlone odetchnął głęboko, z ulgą. Ręka mu nie zdrząła, gdy sięgnął po niedokończoną whisky i wychylił ją jednym łykiem.

- Nie mam zamiaru marnować dobrego trunku przez tego zdechlaka - oświadczył flegmatycznie, rzucił kelnerowi banknot i szarpnął za ramię osłupiałego Shannona. - Czas na nas, wracamy do chałupy. Tutaj śmierdzi zgniłymi rybami, mój drogi, strasznie śmierdzi. A jutro tak ci stłukę w powietrzu tyłek, że ci nerki gardłem wyjdą. Peter.

W kilka dni później, po południu siódmego grudnia, powróciła z Kucing Betty. Nie wskórała nic. Eustace Pearl nie chciał słyszeć o ewakuacji, postanowił pozostać na swej placówce i, jak ogromna większość Europejczyków, nie wierzył w możliwość przedarcia się nieprzyjaciół przez Półwysep Malajski. Poza tym uważał, iż koleje, jako rzecz użyteczności publicznej, winny funkcjonować niezależnie od działań wojennych. Jego żona zaś za nic w świecie nie zgadzała się rozstać z mężem i zamieszkać z córką i zięciem w Singapurze.

W małym domku Shannonów zebrało się tego wieczoru kilku lotników. Przybył oczywiście McLochlone, który stał się praktycznie członkiem rodziny Petera. W jego „Fordzie” przyjechał również porucznik Stanley White, dotychczas niepokonany w ćwiczebnych walkach powietrznych. Zjawił się także porucznik Woodhill, milczący i rozmarzony, wpatrujący się rozmodlonym wzrokiem w Betty Shannon.

Peter sporządził dla kolegów cocktail, wrzucił do szklaneczek kostki lodu. Betty, zmęczona podróżą, siedziała z podwiniętymi nogami na jedwabnej barwnej poduszce i w milczeniu paliła playera, wyjętego z metalowej puszki. Nie wtrącała się do rozmowy mężczyzn, jej wielkie, odrobinę skośne oczy wpatrywały się poprzez okienną szybę w ciemność nocy. Podparła policzek dłonią, nieco przechyliła głowę, ciężkie sploty ciemnych włosów opadły na ramiona i białą bluzkę. Tkwiła nieruchomo w tej ulubionej przez męża pozycji i wyglądała tak uroczym, mimo zaawansowanej ciąży, że Peter, nie zważając na obecność gości, podszedł do niej i czule pocałował w czoło.

Major McLochlone poruszył się, założył jedną patykowatą nogę na drugą i demonstracyjnie odchrząknął.

- Przestańcie się migdalić, jak para gołąbków na dzwonnicy kościelnej w czasie porannego nabożeństwa! Mógłby ktoś pomyśleć, że to twoja zasługa, Peter - Szkot omiótł spojrzeniem kształty Betty. - Ja też mam w tym domu coś do powiedzenia, a jeżeli będzie syn - McLochlone aż zachłysnął

się z wrażenia - jakim Douglas McLochlon z Glasgow, stawiam na chrzciny tuzin skrzynek whisky „White Horse”! To nie żarty, moi drodzy, „White Horse” kosztuje ciężką forszę! - wydobył nieodzowną fajkę i począł napychać ją tytoniem z wytartego, zniszczonego skórzanego woreczka. - Poza tym, poruczniku Shannon, przestań truc kolegów coctailami. To świństwo rujnuje nerki i wywołuje biegunkę. Lepiej daj porządnej, uczciwej szkockiej whisky!

Gospodarz posłusznie spełnił życzenie dowódcy. Stanley White, siadając obok Szkota, poruszył interesujący go problem:

- Majorze, pan jest starszy ode mnie i trochę mądrzejszy. Proszę mi wytłumaczyć pewno sprawy. Ja tego wszystkiego nie rozumiem. Co się właściwie dzieje? To wszystko coraz mniej mi się podoba, majorze. Czy naprawdę jesteśmy tak silni, że możemy sobie pozwolić na ciągłe zabawy w klubach, gonienie za dziewczynami i zapominać o groźbie najazdu? Czy twierdza Singapur jest rzeczywiście niezdobyta?

McLochlon najpierw starannie wysączył trunek, mlasnął językiem delektując się specyficznym aromatem, odstawił pustą szklaneczkę i zaciągnął się fajką. Porucznik White był, obok Shannona, jego ulubionym podwładnym. Major cenił go jako oficera i pilota, nosił się z myślą mianowania go wkrótce dowódcą eskadry.

- Poruszasz trudne zagadnienie, Stanley - Szkot zawsze zwracał się do wszystkich członków dywizjonu po imieniu. - Sam się nad tym nieraz zastanawiałem i doszedł do wniosku...

- Jakiego, majorze? - przerwał niecierpliwie Peter, wtrącając się do rozmowy.  
- Że należy jak najprędzej uzupełnić szklaneczki, Peter - dokończył niespodziewanie McLochlon.  
- A poza tym? - napierał Shannon sięgając po butelkę.  
- Poza tym? Sam słyszałeś. Wtedy, w Hotelu Morskim. Et, nasi genialni stratedzy twierdzą, że Singapur jest nie do zdobycia... od strony morza. Z tym zupełnie się zgadzam. Ale czy któryś z tych zakichanych wyskrobków pomyślał o ewentualności ataku od strony lądu, od Malajów?

Czy to możliwe, majorze? - porucznik Woodhill spuścił wzrok z Betty i poprawił się w krześle. McLochlon otoczył się tytoniowym dymem.

Japończycy nie są ani głupi, ani skretyniali. Są okrutni i fanatyczni, to prawda, ale tym gorzej dla nas - Wychylił duszkiem trunek i ponuro wpatrzył się w okno.

Peter przysunął się bliżej przełożonego.

- Przecież jeszcze czas pomyśleć o obronie od strony półwyspu - ciągnął. - Wojska mamy dosyć...

Szkot ocknął się z zadumy.

- Wojska mielibyśmy dosyć - poprawił znacząco. - Ale samo wojsko nie wystarczy. Czy myślisz, że tubylcza ludność nam pomoże? Że nas tak bardzo kochają? Co my, Brytyjczycy, zrobiliśmy dla tych ludzi przez sto dwadzieścia lat panowania na Malajach? Co zrobiliśmy dla nich tutaj, w samym Singapurze? Chińczycy nas poprą, bo to właściwie ich miasto, no i przekonali się dawniej w Chinach, do czego zdolni są Japończycy. Ale czy nasi wodogłowi dowódcy pozwolą kiedykolwiek na uzbrojenie Chińczyków? Nie, mój drogi, nie pozwolą. Boją się, że broń została by w przyszłości użyta przeciwko nam. Nie rozumieją jednak, że w najbliższym czasie i bez Chińczyków możemy zostać wykopani z Singapuru. Alan McNeill dobrze mi to wyklarował, a złościł się przy tym i wściekał, mimo że normalnie łagodny z niego jegomość, tylko do rany przyłożył, zamiast whisky. Ten gość ma prawdziwie szkocką głowę, chociaż z niego Szkot jak ze mnie Hindus. Dajmy temu spokój, Peter. Whisky się kończy, Betty zasypia, a jutro o świcie zabieram cię w górę i tak ci złoję siedzenie,

że portki wypadną z kabiny. Czas do domu, chłopcy.

Był już późny wieczór, toteż za przykładem McLochlona porucznicy White i Woodhill pożegnali gospodarzy i opuścili dom. Po chwili z zewnątrz doleciało grzechotliwe terkotanie „Fordy” i donośne przekleństwa Szkota. Warkot oddalił się, nastąpiła cisza, Peter podszedł do żony, objął ją ramieniem.

- Nie przejmuj się, kochanie - szepnął, wdychając z lubością zapach jej włosów. - Stary McLochlone jest kochanym człowiekiem i najlepszym dowódcą na świecie, ale widzi wszystko w czarnych barwach. To urodzony pesymista. Chociaż... - lotnik zawahał się, spochmurniał i zamilkł.

- O czym myślisz, Peter?

Na opalonym czole Shannona pojawiły się poprzeczne bruzdy. Nie zwykł nic kryć przed żoną, toteż i teraz nie namyślał się długo.

- Nasze dowództwo nie pomyślało nawet o ustaleniu sektorów ognia artyleryjskiego i stref działań myśliwców - bąknął, jakby się wstydził za pułkowników i generałów odpowiedzialnych za obronę przeciwlotniczą. - Miasto jest iluminowane jak świąteczna choinka, a w razie ataku z powietrza...

Betty zdziwiła się, ale nie przestraszyła. Podniosła na męża oczy, miękkiem ruchem dłoni poprawiła włosy.

- Przecież samoloty nie mogą nas atakować - powiedziała. - Przecież mają za daleko.

- Miejmy nadzieję, że za daleko - zakończył Shannon.

O godzinie zaś czwartej nad ranem w całym Singapurze rozjęczały się alarmowe syreny i niemal jednocześnie trysnęły w górę nieprzeliczone paciorki pocisków świetlnych. Na czarnym niebie skrzyżowały się smugi reflektorów, szukających wrogich samolotów. Akcja ta była jednak nieskładna, niezorganizowana, improwizowana. Przecież... Singapur leżał poza zasięgiem maszyn japońskich!

Nalot był poważny i spowodował znaczne straty. Japończycy jednak, mimo że ryzykowali wiele i doszli do maksymalnego zasięgu swych bombowców, nie stracili ani jednej maszyny. Petter Shannon miał rację. Zabrakło odpowiednich instrukcji, a żaden z brytyjskich myśliwców nie wystartował z lotniska Seletar.

Natomiast następnego dnia generał Brooke-Popham i admirał Layton uważali za wskazane ogłosić przez radio rozkaz dzienny, mówiący między innymi:

„...jesteśmy gotowi. Zostaliśmy wielokrotnie ostrzeżeni. Nasze przygotowania są ukończone, a pogotowie bojowe sprawdzone. Ufamy we własne siły. Nasza obrona jest potężna, a nasza broń skuteczna...”

Komentarz majora McLochlona brzmiał:

Nasze przygotowania są do chrzantu, a pogotowie bojowe nawala na każdym kroku. Mam tyle zaufania do dowódców, ile do pustej butelki po wódce. Nasza obrona jest skierowana w próżnię, a broń... co tu więcej pyskować. Peter, Stanley, jazda do maszyn. Jeżeli się nie zderzycie i nie pozabijacie, kiedyś wyrosną z was niezli myśliwcy.

Wkrótce zaś po pierwszym nalocie na Singapur zadany został brytyjskiej marynarce wojennej potężny i niepowetowany cios. Dwa ogromne pancerniki, „Prince of Wales” oraz „Repulse”, zostały zatopione przez samoloty wroga, bowiem nie zatroszczono się o zapewnienie im powietrznej osłony. Droga dla desantu na Półwyspie Malajskim stała się otworem. Natarcie na Singapur pójść miało przez ląd.



## ROZDZIAŁ IV

Od granicy syjamskiej, rozciągającej się w poprzek półwyspu Malajskiego w połowie jego długości, poprzez pozornie niemożliwe do przebycia bezdroża, bagniste pola ryżowe, gęste lasy kauczukowe i dżungle parła niestrudzenie Dwudziesta Piąta Armia generała Jamasita Tomojoko, przezwana przez podwładnych „Tygrysem Malajów”. Armia ta, licząca sto dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, doskonale przeszkolonych i specjalnie dobranych do prowadzenia podobnej kampanii, wyposażonych w nowoczesne uzbrojenie, niweczyła opór dywizji indyjskich, australijskich i brytyjskich.

Japończycy działali w myśl starych i wypróbowanych zasad kodeksu samurajskiego, mówiącego, iż wroga należy niszczyć zarówno męstwem, jak i chytrą. Nie atakowali więc frontowo pozycji umocnionych, okrążali je w nocy, wychodzili na tyły przeciwnika. Bez specjalnego trudu poruszali się w terenie, który Brytyjczycy już dawno uznali za nieprzebyte. Poza tym oddziały generała Jamasita bezustannie dokonywały desantów na wybrzeżach półwyspu, pojawiały się w miejscach, gdzie się ich najmniej spodziewano. Ludność zaś tubylcza, niewielcy wzrostem, ciemnoskórzy i czarnowłosi Malajczycy, przypatrywała się walkom z najzupełniejszą obojętnością i bądź uciekała głęboko w dżunglę, bądź była niemym i nie zainteresowanym świadkiem pogromu Białych.

A przecież jeszcze przed miesiącem dalekowschodni korespondent londyńskiego dziennika „Times”, opierając się na opinii najwyższych dowódców angielskich, pisał z głębokim przekonaniem:

„Gęsta dżungla północnych państw Federacji Malajskiej sprawia, iż jest wprost nieprawdopodobne, by nieprzyjaciół kiedykolwiek usiłował osiągnąć Singapur, maszerując z północy poprzez czterysta mil liczący półwysep”.

Czterysta mil - to ponad sześćset kilometrów. Mimo to już w początkach lutego 1942 roku resztki wojsk broniących Półwyspu Malajskiego, wycieńczone, zdziesiątkowane, wygłodzone, w nieładzie graniczącym z paniką, docierały do zbawczej tamy, łączącej kraj Johore z Singapurem. Żołnierze przynosili ze sobą wieści o następującym na pięty nieprzyjaciół, o jego chytrą, zadziwiającej przewadze sprzętu, doskonałej znajomości zasad walki w dżungli, o pogardzie śmierci i okrucieństwie. Niektórzy zaś, wydostawszy się niemal cudem z rąk wroga, szeptali ze zgrozą o jego metodach obchodzenia się z jeńcami wojennymi, o mordowaniu rannych, ścinaniu głów bezbronnym, o torturach zadawanych lekarzom i pielęgniarkom. I już w tym czasie kilku przybyłych do Singapuru Australijczyków wymieniło nazwiska kapitana Teruci Amado.

Rzecz jasna, iż wieści te, częściowo prawdziwe, częściowo wysane z palca, nie wpływały dodatnio na morale oddziałów, które jeszcze nie zetknęły się z nieprzyjacielem. W wojsku rozchodziły się najdziwaczniejsze pogłoski, najprzeróżniejsze plotki. A miasto, europejski Singapur, niczym legendarna Atlantyda, bawiło się dalej.

W tym okresie dywizjon myśliwski z lotniska Seletar miał ręce pełne roboty. W trzy tygodnie po pierwszym nalocie poczęły docierać do twierdzy zarówno japońskie samoloty morskie startujące z

lotniskowców, jak i wrogie maszyny lądowe, ruszające do ataku z lotnisk podbijanego półwyspu. Major McLochlon zaś, mimo heroicznych wysiłków, nadal nie otrzymywał dodatkowych samolotów i zapasowych części.

Chudy Szkot zmienił się teraz nie do poznania. Trzy tygodnie wykorzystał na doszlifowanie formy pilotów, zwracając szczególną uwagę na przeprowadzanie pozorowanych ataków na samoloty nieprzyjaciela, zwykle na współpracujące z nim latające łodzie „Catalina” z jednostki rozpoznawczej. Stał się niezwykle surowy i wymagający, nie przepuszczał najlżejszego przewinienia, ostro karmił podwładnych, którzy niewłaściwie wykonywali jakieś zadanie. W kącie poszły ekscentryczne i ordynarne zwroty, wyrażał się krótko i zwięźle, rozmawiał tylko o lataniu i spodziewanych walkach z wrogiem. O aromacie whisky zapomniał, wypijał natomiast dziennie po kilkanaście kubków czarnej kawy. Nie ruszał się krokiem z lotniska, przez pełne dwadzieścia cztery godziny tkwił w baraku dispersalu [24], mając pod ręką aparaty telefoniczne, połączone z dowództwem i z pobliską stacją radarową. Z własnej inicjatywy, nie czekając na decyzję przełożonych, postawił jednostkę w stan alarmowy. Ponieważ dysponował czterdziestoma pilotami i dwudziestoma samolotami, w stanie gotowości bojowej znajdowało się od świtu do zmroku dwanaście maszyn, których piloci, ubrani w kamizelki ratunkowe „Mae West”, nie opuszczali baraku i gotowi byli w każdej chwili ruszyć w powietrze. Do służby alarmowej niemal codziennie wpisywał swe nazwisko, rzadko pozwalając się zastępować Fitzpatrickowi, dowódcy eskadry „A”, lub też kapitanowi Montague, dowodzącemu eskadrą „B” jednostki. Był krańcowo opanowany i lodowaty w zachowaniu, czasem tylko mruczał do siebie i kłął pod nosem, gdy obsługa stacji radarowej powtarzała niezmiennie, iż w pobliżu nie wykrywa się żadnych obcych samolotów.

- Obawiam się, majorze, że nasze przygotowania zdadzą się psu na budę - zaczął go któregoś dnia, pod koniec trzeciego tygodnia, Peter Shannon, który, jak i inni piloci, rzadko widywał obecnie żonę, chociaż jego domek stał blisko Seletar.

Szkot spojrział spode łba na podwładnego.

- Nie obchodzą mnie twoje obawy, Shannon - odparł chłodno. - Schowaj je dla siebie. Jesteś w służbie, dowodzisz prawą czwórką, tak?

- Tak jest, sir.

Wzrok majora nieco złagodniał

- W razie czego trzymaj się w przepisowej odległości ode mnie. Nie zapominaj o ubezpieczeniu od słońca. A jeżeli przyjdzie do ataku, pamiętaj śmiało jazda z góry! Od celności naszych strzałów zależy, być może, los Singapuru.

- Mało nas, sir.

McLochlon zacisnął wargi.

- Wiem o tym lepiej od ciebie, Shannon.

W tej samej chwili w baraku zaterkotał dzwonek telefonu. Dowódca doskoczył, podniósł słuchawkę. Przez chwilę stał nieruchomo, ze zmarszczonym czołem, z błyszczącymi oczami. Wreszcie cisnął słuchawkę na widelki, odwrócił się i krzyknął, aż szyby zadzwięczały w baraku: - Do maszyn! Start! Grupa około trzydziestu „żółtków” nadchodzi z północy, na wysokości czterech tysięcy metrów!

Dwunastka pilotów rzuciła się do drzwi, wypadła na zewnątrz, rozbiegła się do samolotów, przy których czekali już mechanicy. Po chwili zagdakał silnik maszyny McLochlona, po nim odezwały się motory innych płatowców. Dywizjon wykołował na skraj betonowego pasa wzlotów. Ryknęły silniki

na pełnych obrotach, echo ich głosów rozniosło się po całym lotnisku i odbiło się o ścianę pobliskiego lasku kauczukowego. Trójka po trójce sprawnie wychodziły w powietrze, by w szerokim okrążeniu dołączyć do zwartej formacji. Od momentu ogłoszenia telefonicznego alarmu upłynęły zaledwie dwie minuty. Major McLochlona potrafił postawić swą jednostkę na wysokim poziomie wyszkoleniowym.

Dowódca ostro ciągnął dywizjon w górę. Czasu miał niewiele, musiał wyjść na odpowiednią do ataku wysokość, a jednocześnie tak wymanewrować, by spotkać nadciągającego nieprzyjaciela daleko od wyspy singapurskiej, jeszcze nad dżunglami Johore. Dopuszczenie bombowców nad cel równało się przegranej. McLochlona, nie zmieniając kąta wznoszenia, pokiwał skrzydłami. Na ten umówiony znak formacja przetasowała się i rozciągnęła w szeroką ławę trzech czwórek - właściwy szyk bojowy, pnący się z rykiem silników na północ.

Peter wyprowadził swą czwórkę w prawo, umieścił się nieco powyżej samolotów środkowej czwórki, prowadzonej przez McLochlona, na którego maszynie widniała w promieniach słonecznych rozpoznawcza litera „W”.

„W jak whisky” - przebiegło przez głowę Shannona

Był podniecony i trochę zdenerwowany, odczuwał przebiegające po plecach dreszcze, charakterystyczne ściskanie w dołku, zasychanie warg. Leciał przecież na pierwszą w życiu wyprawę bojową, za minutę lub dwie miał się zewrzeć w śmiertelnej walce z samolotami nieprzyjaciela, mógł zostać trafiony, mógł zginąć. Nie bał się jednak, a nawet nie czuł nienawiści dla niewidocznego wroga. Z Japończykami spotykał się wielokrotnie przed wojną, z kilkoma przyjaźnił się w gimnazjum w Sydney. Znał tych ludzi jako spokojnych, niezwykle ugrzecznionych i wiecznie uśmiechniętych kupców, marynarzy i studentów, z którymi czasem wiódł dyskusje na temat teatru, religii lub technicznego postępu dwudziestego stulecia. Z młodymi obywatelami Nipponu współzawodniczył w sportach i w nauce, opowiadał im o rodzinnej Anglii i niemal rodzinnych Malajach, wysłuchiwał opisów czterech macierzystych wysp Japonii. Wybierał się na zaproszenie Jamasino Tekko do pokrytego śniegiem i posiadającego znakomite tereny narciarskie Hokkaido, za namową Kuwahara Josino zamierzał zwiedzić wspaniałą szczyt Fudzi w centralnym Honsiu. Naruci Jasuo proponował mu gościnę w tropikalnym Sikoku. Kirujamo Dekko ofiarował Shannonowi cenny drzeworyt Harunobo, niedoścignionego mistrza osiemnastego wieku, wiszący obecnie na honorowym miejscu w domu pod Seletar.

Teraz zaś Tekko, Jasuo i Dekko, byli uczniowie australijskiego Royal College of Sydney [25], przemienili się w dorosłych mężczyzn. Kto wie, czy któryś z nich nie siedział w kabinie samolotu, zbliżającego się z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę do twierdzy Singapuru?

Peter Shannon dobrze znał swe obowiązki i powinności. Nawet przez mgnienie oka nie zawahałby się przed walką, z czystym sumieniem posłałby serię pocisków w maszynę Kuwahara Josino czy Kirujamo Dekko. Wojna była rzeczą okropną, ale skoro brał w niej udział, musiał walczyć i zabijać. Wojna zaś powietrzna, rozumował Peter, była właściwie rodzajem specyficznego sportu, rodzajem polowania. Nie zabijało się ludzi, ale zestrzeliwało samoloty, a co za tym idzie, nie widziało się ani rozlewu krwi, ani widoku zmasakrowanego ciała, nie słyszało się jęków i rżenia konających.

Dywizjon „Buffalo”, nadal ciągnący w górę, przekroczył już trzy tysiące metrów. Peter włączył świetlny celownik, odbezpieczył spust broni pokładowej, przekręcił kran tlenu, dopływającego teraz do maski na twarzy przez gumowy wąż. W słuchawkach radiowych rozległo się chrobotanie, a potem



zabrzmiął głos ze stacji radarowej:

- Uwaga „Rainbow”, są przed wami, w odległości piętnastu mil, na wysokości piętnastu tysięcy stóp. - „Rainbow”, czyli „Tęcza”, było szyfrową nazwą dywizjonu „Buffalo”.

Peter gorączkowo rozejrzał się po ogromnej, oślepiającej oczy kopule nieba, przelotnie rzucił wzrokiem w dół, ku ziemi, Z wysokości czterech tysięcy metrów, którą już osiągnął dywizjon, pozostawiona w tyle wyspa Singapur wydawała się małą plamką, rzuconą na powierzchnię wodną pomiędzy cieśniną Malakka i morzem Południowo-Chińskim. Jednym brzegiem plamka przylegała do południowego krańca Półwyspu Malajskiego. Gdzieś na tej plamce widniało mikroskopijne teraz lotnisko Seletar, a w pobliżu niego niedostrzegalny pyłek - domek z wiszącym na ścianie drzeworytem Harunobo i kobiecą postacią spoczywającą na jedwabnej poduszce.

Major McLochlona wyrównał lot maszyny na pięciu tysiącach metrów, położył swą „W jak whisky” w łagodny zakręt. Za jego przykładem poszło jedenaście innych samolotów. Czwórki sprawnie przetasowały się w powietrzu i znalazły na właściwych miejscach. Szkot znów wykręcił, robił szerokie okrążenie?

„O co mu chodzi? Czy już coś widzi? - tłukło się po głowie Shannona. - Co to za manewr? Dlaczego nie idziemy dalej na północ?”

W tej samej chwili dojrzał z prawej strony w dole, nieco z tyłu, kilkadziesiąt czarnych kropeczek. Serce podskoczyło mu do gardła, w żołądku znów poczuł nieміłe ssanie.

- Uwaga, samoloty „Rainbow” - rozległ się w słuchawkach radiowych głos McLochlona. - Zaraz ich dojdziemy. Nie atakować bez mego rozkazu. Najpierw dobierzemy się do bombowców!

Peter wreszcie zrozumiał intencje doświadczonego dowódcy. Szkot nie tracił głowy. Zdołał uzyskać przewagę wysokości, trzymał swą formację ciągle w słońcu, był niedostrzegalny dla wroga, mógł dowolnie wybrać odpowiedni moment ataku, mógł tak przeprowadzić walkę, by nie dopuścić samolotów bombowych do celu, uniemożliwić zrzućenie bomb na wybrane przez przeciwnika obiekty. McLochlona rozgrywał spotkanie jak partię szachów.

Czarne kropeczki zmieniły się w wyraźne sylwetki samolotów, ciągle rosnące w oczach. Dołem szły ciężkie, dwusilnikowe bombowce Nakadzima „Donriu”, uformowane w czterech zwartych piątkach. Nad nimi sunęły zwinne i smukłe myśliwce „Zero”, dwa ugrupowania po dwanaście samolotów.

„Dużo ich, strasznie dużo...” - błysnęło w myśli Shannona, ale nie zastanawiał się dłużej nad liczebną przewagą nieprzyjaciela.

Major McLochlona pokiwał gwałtownie skrzydłami i wrzasnął w mikrofon:

- Atakujemy bombowce! Czwórka Fitzpatricka zostać w górze, związać myśliwce! Jazda, chłopcy, dobrze celować!!!

„W - jak whisky” położył się na skrzydło, przewalił na plecy i w prostopadłym nurkowaniu, nabierając potwornej prędkości, runął na pierwszą piątkę dwusilnikowych olbrzymów. Za maszyną dowódcy poszły samoloty porucznika Woodhilla i sierżantów Sheridana oraz Donaldsona. Peter odczekał sekundę i zwałił się na drugą piątkę bombowców wroga. Kątem oka dostrzegł, iż dwunastka „Zero” rozpoczęła nurkowanie, a Stanley White szedł jej na spotkanie. W następnej chwili przestał się interesować rozgrywającym się w górze pojedynkiem, skoncentrował się na ataku.

„Donriu” przybliżyły się w niezwykłym tempie. Peter przygryzł wargi, chwycił na celownik prowadzący bombowiec, ale nie przyciskał spustu. Nie darmo McLochlona przez miesiące wbijał w głowy podwładnych, iż ogień rozpoczynać należy dopiero wtedy, gdy - jak się wyrażał — dojrzeć

można białka oczu wrogiego pilota.

Peter nie widział idących za nim „Buffalo” swej czwórki, widział natomiast, iż w jego kierunku popłynęły z płatowców przeciwnika liczne paciorki świetlnych i smugowych pocisków. Paciorki zacieśniały się, przybliżały do kabiny i Peter bezwiednie się skulił, jakby w ten sposób mógł uniknąć ognia. Dostrzegł również, iż tak dowódcy dywizjonu przyniósł spodziewany wynik. Jeden z bombowców, z płonącym lewym silnikiem, szedł stromą spiralą ku ziemi, reszta rozbiwszy formację, zawróciła w pośpiechu i pojedynczo umykała na północ. Cztery zaś „Buffalo”, wiedzione przez „W - jak whisky”, wyrwały w górę i szykowały się do następnego natarcia.

Maszyna Shannona była już tylko o dwieście metrów od wrogiego samolotu. Ogień obrony stał się tak silny, iż Peterowi wydawało się wprost niemożliwe uniknięcie trafienia. Nie odczuwał jednak strachu, tylko narastające podniecenie i rozgorączkowanie, a jednocześnie zdawał sobie doskonale sprawę, iż działał rozważnie, bezbłędnie i zdecydowanie.

Sto pięćdziesiąt metrów, sto... Peter odrobinę zmienił położenie maszyny, w celowniku ukazał się prawy silnik „Donriu”, dokładnie w samym środku jarzącego się kręgu.

„Teraz”.

Przycisnął spust. Przez kadłub płatowca przebiegło drzenie. Z wylotów luf czterech karabinów maszynowych trysnęły pociski. Sekunda... dwie... z silnika przeciwnika buchnął kłęb dymu, rozszerzył się, pokazały się w nim języki płomieni. Z odległości pięćdziesięciu metrów Peter oddał krótką serię do lewego silnika, zapalił go i gwałtownie wyciągnął maszynę w górę, w ostatniej chwili unikając zderzenia.

Więc to już? Tak łatwo?

W dole pod nim jeszcze drugi bombowiec, trafiony śmiertelnie przez któregoś z kolegów, zwałił się w korkociąg. Peter odczekał, aż maszyny jego czwórki zebrały się do szyku, pokiwał skrzydłami i widząc opodal jedną z pozostałych piątek „Donriu”, wykręcił w jej stronę.

Ten atak był jednak znacznie trudniejszy. Stanley White po mistrzowsku wiązał wprawdzie grupę myśliwców osłony, jego „Buffalo” dwoiły się i troiły, nacierały, skręcały w karkołomnych unikach, pozorowały ucieczkę i znów nawracały do walki, ale druga dwunastka „Zero” miała wolne ręce i swobodę działania. Przybliżając się do bombowców Peter rzucił z przyzwyczajenia okiem w lusterko zwrotne i błyskawicznie szarpnął drążkiem sterowym. W lusterku zobaczył wydłużoną sylwetkę japońskiego myśliwca, rzygającego ogniem broni maszynowej.

- W górę! - krzyknął przeraźliwie w mikrofon, gdy maszyna szła już stromą świecą.

Nie tak łatwo było jednak strząsnąć z ognia lekkie i zwrotne „Zero”. Peter wyteżył siły, przywoływał na pomoc wszystkie swe umiejętności, całą lotniczą wiedzę, rzucał maszyną w zwitkach akrobacji, jakiej nigdy nie stosował w ćwiczebnych walkach z McLochlone i White'm, używał wszelkich znanych mu forteli. A japońska maszyna ciągle goniła za nim od czasu do czasu częstowała krótkimi seriami, szczęśliwie niecelnymi.

Shannona poczęło ogarniać zmęczenie i wyczerpanie nerwowe. Mimo chłodu, spowodowanego znaczną wysokością, pot lał się z niego, spływał z czoła i policzków, oślepiał. Ręka mdlała na drążku sterowym. W ustach poczuł słonawy smak krwi z zagryzanych warg. Gardło było zaschnięte. Ani na chwilę jednak nie przechodził w prostolinijny lot, zmuszał przeciwnika do odkładania wielkiej poprawki celu, zmniejszając w ten sposób do minimum możliwość trafienia. Mimo to kilkakrotnie po skrzydłach jego maszyny zabębniły pociski, a jedna z serii Japończyka wdarła się do kabiny, porozbijała przyrządy pokładowe i uszkodziła aparat radiowy.

Półpełta, półbeczka, szaleńczy zawrót, zwrot, pozorowana świeca i zwinięcie się w ciasnym korkociągu, niespodziewane wyprowadzenie i ściągnięcie drążka, aż odpływająca z głowy krew zasnuła czarną przesłonę przed oczami. Niemal odruchowe przejście w nurkowanie na plecach, jakaś przedziwna, nieregularna spirala i znów w górę, znów wejście w łamańce akrobacji.

Nie wiedział, jak długo to wszystko trwało, zatracił się w czasie. Zgubił z oczu wszystkie pozostałe maszyny, własne i obce. Przestał obchodzić go los japońskich bombowców i brytyjskich myśliwców. Zapomniał o domku pod Seletar i czarnych włosach Betty. Pozostało tylko jedno pragnienie, miał przed sobą tylko jeden cel - wyrwać się, uciec ocalić życie!

Nowa seria pocisków „Zero” zadudniła po kadłubie. Japończyk znajdował się nie dalej niż o sto metrów, ciągle z tyłu, stale za ogonem. Peter ściągnął drążek aż do oporu, wyszedł prostopadle w górę i nagle przymknął dźwignię gazu. Wznosił się przez chwilę rozpędem, potem wytracił prędkość i zwałił się w korkociągu. Zdażył zauważyć, że jego prześladowca powtórzył ten manewr, ale odrobinę za późno. Japończyk nie był już z tyłu, lecz z boku, na tej samej wysokości.

„Teraz lub nigdy”!

Brutalne przełożenie sterów, pełne obroty silnika.

Błyskawiczne wyprowadzenie z korkociągu i ucieczka wprost w słońce, skrycie się w jego rażących oko promieniach. Gwałtowny, ciasny zwrot, aż krew poczęła odpływać z głowy, a płatowiec trząsnął się i niepokojąco dygotał.

„Tak, teraz... teraz...”

Nareszcie miał przed sobą maszynę przeciwnika. Japoński pilot, zgubiwszy ofiarę, leciał niepewnie, niewątpliwie rozglądał się na wszystkie strony, poszukiwał wymykającej się zwierzyny. Opanowując się najwyższym wysiłkiem woli Shannon odłożył poprawkę celu, a gdy dziób „Zero” począł nachodzić na celownik, przycisnął spust kaemów. Nie zwalniał palca tak długo, póki nie dostrzegł smug swych pocisków na kabinie wroga. Doszedł go i z odległości kilkudziesięciu metrów posłał drugą, ostateczną serię.

„Zero” wyskoczył w górę, zatoczył się po niebie. Jego pilot przestał panować nad maszyną. Smukły dolnopłat z czerwonymi symbolami Wschodzącego Słońca na kadłubie i skrzydłach leciał przez parę sekund chwiejnie, potem za ogonem uformowała mu się długa struga dymu i Japończyk przeszedł z wolna w nurkowanie, z którego nie wydostał się aż do końca. „Zero” uderzył w gładką powierzchnię morza, okrył się fontanną białawej piany i znikł pod wodą.

- Ale był z niego mistrz - powiedział na głos Peter i wydał głębokie westchnienie ulgi.

Rozejrzał się bacznie dokoła. Powietrze było puste, bez śladu jakichkolwiek samolotów. Na jasnym, rozpalonym, podzwrotnikowym niebie świeciła ognista kula słoneczna. Pod maszyną rozciągało się morze, na którego krańcach widniała kreska jakiegoś lądu.

„Gdzież mnie zaniósł?” - zaniepokoił się w myśli Peter.

Spojrzał na wysokościomierz - jedyny ocalały przyrząd na tablicy. Miał zaledwie czterysta metrów. Paliwomierze nie działały, zegar pokładowy również, ale sprawdziwszy czas na ręcznym zegarku Peter doszedł do wniosku, że pozostało mu jeszcze około pół godziny lotu. Podciągnął drążek, dodał gazu. Chciał wyjść w górę, by zorientować się w położeniu.

- Ale z niego mistrz - powtórzył półgłosem i zdziwił się, że nie odczuwał nienawiści i nawet nie cieszył się z zabicia przeciwnika. Cieszył się tylko z wygranej, ze zwycięstwa w zajadłym pojedynku, z zestrzelenia samolotu.

Z wysokości trzech tysięcy metrów dostrzegł charakterystyczny zarys wybrzeży południowego

Johore i nieco dalej wyspę Singapur. Wykręcił w tamtym kierunku i po piętnastu minutach przelatywał nad Seletar, stopniowo obniżając się i szykując do lądowania. Gdy wreszcie znalazł się na ziemi i podkołował pod barak dispersalu, zauważył stojącego przed budynkiem McLochlona. Wyłączył silnik, przekazał maszynę mechanikom i zmęczonym krokiem powlókł się ku dowódcy.

Surowa twarz Szkota rozjaśniła się na widok podwładnego. McLochlton odchrząknął, ukrywając wzruszenie, wyjął fajkę z ust.

- Nareszcie, bałem się o ciebie, Peter.

Shannon złożył raport, zameldował o dwóch zwycięstwach. Dowódca pokiwał głową, wsadził fajkę na powrót do ust.

- Dobrze - mruknął gryząc cybuch. - Bardzo dobrze. Mamy razem osiem zestrzeleń...

- Kto jeszcze? - przerwał mu szybko Peter.

- Stanley White ma dubleta. Fitzpatrick i Montague po jednym. Ty dwa...

- To sześć - ponownie przerwał Shannon. McLochlton wypuścił z ust kłęb dymu.

- Mnie się również udało - burknął gniewnym tonem, ale w oczach zatańczyły mu iskierki. - Dwa bombowce.

Peter rozejrzał się po samolotach.

- Wszyscy wrócili?

McLochlton zeszywniał. Przeciągnął dłonią po czole, przez chwilę nieporadnie obracał fajkę w palcach.

- Rozbiliśmy wyprawę bombową - powiedział cicho. - Ani jeden samolot nie doleciał tutaj. Ale... - głos mu lekko zadrżał. - Ale nie wrócili podporucznik Porterhouse, chorąży Turner, sierżanci Bottleneck i Daniel. I nie wrócą już nigdy, Peter.

## ROZDZIAŁ V

Naloty japońskie powtarzały się teraz niemal z regularnością zegarka. a dywizjon majora McLochlona wykruszał się w nierównych bojach. W dwa dni po pierwszej walce, trzydziestego grudnia, jednostkę trzykrotnie poderwano w powietrze na alarm. Major McLochlton zdołał nie dopuścić do celu dwóch kolejnych wypraw bombowych i poważnie nadszarpnąć trzecią. Zniszczono w walkach dwanaście samolotów wroga. McLochlton podniósł swój wynik do pięciu zwycięstw, Stanley White i Peter Shannon do czterech, a Fitzpatrick do trzech. Ale zginęli porucznicy Jack MacDonald i John Woodhill, starszy sierżant Henryk Slick, sierżanci John Miller, Louis Hawthorne i Jim Glibert. Chorąży Wallis Pickwick, ciężko ranny, zdołał dociągnąć do bazy, rozbił jednak maszynę i w stanie beznadziejnym został przewieziony do szpitala Aleksandry, gdzie zmarł po kilku godzinach.

Następnego dnia, gdy Peter skrycie marzył o powrocie do domu i spędzeniu wraz z Betty wigilii Nowego Roku, dziewiątka „Buffalo” - bo tyle zaledwie samolotów pozostało w jednostce - czterokrotnie usiłowała odeprzeć ataki wroga. Przewaga ilościowa Japończyków rosła jednak z każdą godziną. Wszystkie samoloty bombowe osiągnęły cel, chociaż w pojedynkach z myśliwcami osłony zwycięstwa odnieśli Shannon, White, Fitzpatrick i Montague, Nie wrócili jednak podporucznik Robert Doyle oraz starsi sierżanci Bert Sutton i Edwin Lee, a ranny sierżant Truscoe lądował na postrzelanej jak sito maszynie, której, mimo wysiłków mechaników, nie zdołano doprowadzić do stanu użyteczności.

Zmniejszyło to ilość samolotów do pięciu, a pilotów do dwudziestu pięciu. Straty były przerażające, dywizjon kurczył się w takim tempie, że jego dni policzyć można było na palcach.

Sytuacja poprawiła się nieco, gdy w sam Nowy Rok piloci transportowi przyprawdzili do Seletar siedem nowych „Buffalo”. Samolot można zastąpić innym, można zbudować nowy, wymienić zniszczone części. Ale człowiek ma życie tylko jedno, dywizjon zaś majora McLochlona stracił w przeciągu kilku dni prawie połowę personelu latającego!

Czwartego stycznia rozbił się o powierzchnię morza na płonącym od pocisków wroga samolocie kapitan Donald Montague, dowódca eskadry „B”. Rozkazem McLochlona eskadrę przejął Peter Shannon, któremu również przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt notowania na tablicy w baraku strat i zwycięstw jednostki. Do listy strat doszli siódmego stycznia dwaj sierżanci, Nowozelandczyk David Tiller i ogromny Kanadyjczyk z Montrealu, Winston Churchman, z racji swego imienia i nazwiska porównywany kiedyś żartobliwie do premiera Wielkiej Brytanii. Na czele listy zwycięstw, która dla całości dywizjonu osiągnęła pokazną sumę trzydziestu czterech strąconych samolotów japońskich, stał McLochlton z siedmioma zestrzeleniami, a tuż za nim White i Shannon, mający po sześć maszyn przeciwnika na sumieniu.

Peter przestał teraz traktować powietrzną wojnę i myśliwskie walki jako rodzaj specyficznego sportu. Zbyt blisko ocierał się o śmierć, zbyt często tracił kolegów i przyjaciół, by w dalszym ciągu pozostawać chłodnym i obojętnym uczestnikiem lotniczej obrony. Na myśl o tym, że w powodzi

bomb spadających codziennie na miasto, port i fortyfikacje znaleźć się może jedna, która trafi w domek pod Seletar, ogarniała go głucha zawziętość. Dopraszał się każdego lotu, pchał się na każdą wyprawę, rzucał się jak szaleniec na bombowe i myśliwskie formacje przeciwnika, nie zważał na żadne niebezpieczeństwa. Wojna przemieniła się dla niego w czysto osobistą rozprawę. Porucznik Peter Shannon nie bronił twierdzy singapurskiej, nie walczył w imię mglistego i niewyraźnego pojęcia Imperium Brytyjskiego. Walczył i zabijał w obronie swej żony, która za dwa miesiące miała mu powić dziecko.

Dnia dwunastego stycznia zginęli podporucznicy Len Hotchkiss i Bertholt Sullivan. Trzynastego stycznia McLochlona, Shannon i White zestrzelili po trzy samoloty, a podporucznicy Kirby i Waterhouse po jednym. Czternastego stycznia przyszło uzupełnienie samolotów w postaci sześciu „Buffalo”. Piętnastego stycznia wrócił ze szpitala sierżant Neville Truscoe i zginął w cztery godziny później. Siedemnastego stycznia Peter stanął na, czele listy zwycięstw, mając na koncie dwanaście zestrzałów - o dwa więcej od McLochlona i o trzy od White'a. Tego samego dnia nie wrócili z lotu sierżanci Joseph Burton, przybyły do jednostki zaledwie przed dwoma miesiącami, oraz Bartholome Donaldson, pogodny i wesoły blondynek, który przed kilku tygodniami ożenił się z filigranową, smukłą Chinką i marzył o tym, by otrzymać urlop i wyjechać z żoną do rodzinnej Australii.

- Zostało nas siedemnastu - stwierdził lakonicznie Peter dwudziestego stycznia, gdy wpisywał po powrocie z lotu kolejną stratę: podporucznika Tilly. - Oraz dziesięć maszyn - dodał po namyśle.

Stanley White nerwowo zaciągnął się papierosem. Niegdyś opanowany w każdym calu, spokojny i chłodny w każdej sytuacji, niewzruszający się niczym, zmienił się w człowieka wyczerpanego psychicznie i zrujnowanego fizycznie. Nieustannie dygotały mu dłonie, drgały kąciki ust, z lada powodu wybuchał gniewem, wypalał po kilkadziesiąt papierosów dziennie, nie rozstawał się z filiżanką mocnej czarnej kawy, stale zaparzonej na naftowym piecyku baraku. Ale porucznik White osiągnął już liczbę dziesięciu zestrzałów i ustępował tylko Shannonowi o dwa zwycięstwa, a McLochlona o jedno.

- Przeklęty, piekielny kołowrót! - warknął wściekle. - Dostyc mam tego wszystkiego! Niech piekło pochłonie tych, którzy dopuścili do wybuchu wojny!

Do wnętrza baraku wszedł major McLochlona, który przed dwoma godzinami wyjechał służbowym autem do dowództwa. Na jego widok poderwało się z miejsca dziesięciu pilotów, znajdujących się w pogotowiu bojowym.

- Siadajcie - Szkot machnął ręką i przywołując uśmiech na chudą twarz o podkrążonych z niedospania oczach, zbliżył się do Shannona i White'a. - Gratuluję, Peter i Stanley. Otrzymaliście obaj podwójny Distinguished Flying Cross [26]. No, należałoby wypić po jednym, ale takie czasy... - silił się na dowcip, powiedzenie jednak wypadło blado, nienaturalnie.

- Thank you, sir - podziękował Peter obojętnie.

Jeszcze przed miesiącem cieszyłby się wysokim odznaczeniem, byłby dumny z dwunastu zestrzałów. Teraz ważne było tylko jedno: niedopuszczenie wrogich bombowców nad domek, w którym przebywała Betty.

- Mam nowinę - rzucił major i ciężko opadł na bambusowe krzesło.

- Wojna się skończyła? - spytał ironicznie kapitan Fitzpatrick, który czasem pozwalał sobie na swobodę w stosunku do przełożonego, a ostatnio stał się, jak większość pilotów, zgryźliwy i wiecznie zdenerwowany.

McLochlona położył na kolanach fajkę o pogryzionym cybuchu i zniszczony woreczek z tytoniem.

- Kawa - powiedział krótko i pociągnął nosem.
- Czy to jest nowina? - ironizował dalej Fitzpatrick.

- Nie. To jest potrzeba.

White podał dowódcy kubek gorącego napoju. Szkot pociągnął łyk i westchnął. Odstawił kawę, napełnił fajkę, zapalił.

- Dobre czasy mieliśmy kiedyś, co, chłopcy? - mruknął. - Człowiek wypił wieczorem kilka głębszych, wyspał się, a rano z czystym sumieniem zabierał się do latania... Dobre czasy...

- Co za nowina? - spytał z nikłym zainteresowaniem Shannon.

McLochlon podniósł na niego oczy.

- Jutro otrzymujemy cztery nowe maszyny - odparł.

Fitzpatrick bluznął ordynarnym przekleństwem.

- Nowe maszyny... nowe maszyny - powtarzał z wściekłością. - A kiedy dadzą nowych ludzi?! Czy chcą nas wszystkich wygubić? Czy nie rozumieją, co się z nami dzieje? Zamieniliśmy się w dywizjon straceńców, skazańców.. Odebrano nam prawo do życia! - zachłusnął się gniewem i uderzył z całej siły pięścią w stół, aż wylała się kawa z kubka McLochlona, - Każdy człowiek chce żyć, majorze! Szkot spoglądał na niego bez gniewu.

- Rozumiem cię, Gerald - powiedział spokojnie. - Każdy chce żyć, ja również. Ale każdy z nas musi spełnić obowiązek i spełni go do końca! - zastanowił się i dorzucił rozkazująco: - Kapitanie Fitzpatrick, proszę zwołać odprawę pilotów. Ludzie powinni być w kasynie. Proszę tam zatelefonować.

- Tak jest, sir - dowódca eskadry „A” zmienił się w jednej chwili. Zerwał się z krzesła, sprężyście wyprostował. - Na którą godzinę wyznaczyć odprawę, panie majorze?

- Natychmiast!

W dziesięć minut później przed dowódcą dywizjonu stanęło szesnastu pilotów. Reszta personelu latającego jednostki myśliwców „Buffalo”, jednostki straceńców. McLochlon w milczeniu zlustrował ich przeciągłym spojrzeniem. Znał tych młodych mężczyzn doskonale. Znał wady i zalety każdego, mógł nieomylnie określić ich charaktery, umiejętności lotnicze, wymienić imiona. Znał ich zwyczaje, upodobania i przyzwyczajenia, stan rodzinny, stosunek do służby, obowiązkowość. Był nie tylko ich dowódcą, ale i kolegą, przyjacielem. Wyćwiczył ich i wytrenował. Zmienił w pełnowartościowych myśliwców, w zgrany zespół. Wyuczył tajników kunsztu, który sam zdobywał przez długie dwadzieścia lat nieprzerwanej służby lotniczej, Miał niedawno czterdziestu. Cztery dziesiątki beztróskich, bezgranicznie odważnych, gotowych na wszystko, pełnych życia i wigoru zapaleńców. Pozostało szesnastu. Ilu zostanie jutro, pojutrze, za tydzień?...

- Rzecz przedstawia się następująco - rozpoczął. - Jutro stan maszyn powiększy się do trzynastu. Nie należy się spodziewać dalszych uzupełnień. Powiedziano mi to wyraźnie w dowództwie. Natomiast jest nas aż siedemnastu - to zdanie wymówił z ledwie dosłyszalną nutą żalu. - O czterech pilotów za dużo, bo samoloty kruszą się szybciej od nas i nie potrzeba zapasowych ludzi. Dlatego też jestem uprawniony do zwolnienia czterech z was ze służby w dywizjonie. Możecie zostać przeniesieni do kompanii piechoty, dowodzonej przez kapitana Vincenta. Tam macie szansę przeżycia, tutaj raczej... nie - zająknął się i odruchowo chwycił za fajkę. - Kto chce, niech pali.

W baraku rozsunęły się smugi tytoniowego dymu. Ludzie palili w milczeniu, czekali na dalsze

słowa dowódcy.

- Znacie mnie dobrze, wiecie, że nie zwykłem łąć - kontynuował McLochlona. - Każdy przeżył ostatnio aż za wiele i dlatego nikt nie ma prawa wyrzucać nikomu decyzji opuszczenia jednostki. Wypowiedzcie się śmiało i szczerze, rąbcie prosto od serca. Powtarzam, że odejście z dywizjonu jest całkowicie honorowe i absolutnie nie zaważy na waszej dalszej służbie, ani na waszej opinii. Zresztą opinie już wszystkim wystawiłem, nie potrzebuję chyba mówić, jakie - uśmiechnął się z wysiłkiem. - No, zaczynamy od najstarszych stopniem. Fitzpatrick!

- Słucham, panie majorze?

- Jesteś zmęczony, Gerald, wyczerpany nerwowo, masz większe obowiązki od innych, jako dowódca eskadry narażasz się bardziej niż pozostali piloci. Uważam, że powinieneś się przenieść.

Kapitan Fitzpatrick rzucił wściekle spojrzenie na dowódcę, potrząsnął głową.

- Zostaję, panie majorze. Niech mnie szlag trafi, jeżeli ruszę stąd nogą!

- W porządku, Gerald, wolny wybór. Shannon! Zestrześliście najwięcej samolotów, masz żonę, która wymaga teraz specjalnej opieki, która cię potrzebuje. Będąc u Vincenta możesz pozostać przy życiu. Tutaj... nie. Słucham, Peter?

- Zostaję w dywizjonie. Proszę na ten temat więcej ze mną nie mówić, panie majorze - odrzucił bez wahania Peter.

- Porucznik White?

- Zostaję.

- Porucznik Parker?

- Zostaje.

- Porucznik Redhill. Ty również masz rodzinę, o której nie wolno ci zapominać, Michel. Zostawiłeś w Rodezji żonę i dwuletnią córeczkę. Pamiętaj o nich.

- Znam swoje obowiązki, sir. Zostaję.

- Podporucznik Kirby? Słuchaj, Ian, niech chociaż jeden Szkot powróci stąd do Glasgow!

- Zostaję, panie majorze - brzmiała odpowiedź wypowiedziana twardym, gardłowym tonem.

Nazwiska padały jedno po drugim, odpowiedzi były niezmiennie jednakowe. Dopiero dwaj starsi sierżanci, Ben Grant i Charles Dreck, ulegli namowom McLochlona. Obaj byli żonaci, obaj mieli po dwoje dzieci. Na opuszczenie jednostki zgodził się również po namyśle podporucznik Waterhouse, cierpiący na ostrą biegunkę i z tej racji niezdolny do latania. McLochlona, dając każdemu wolny wybór, zrobił jeden wyjątek, sam wyznaczył sierżanta Trenta, niewątpliwie najslabszego pilota, wymagającego dłuższego treningu - rzeczy niemożliwej w istniejących warunkach.

- Jutro zameldujecie się u kapitana Vincenta - McLochlona kończył odprawę. - Adiutant dywizjonu, kapitan Holmes, poinformuje was dokładnie, gdzie go macie szukać. Taak, to wszystko. Dziękuję wam - zwrócił się do Waterhouse'a, Granta, Drecka i Trenta, stojących z opuszczonymi głowami. - Wykonaliście swój obowiązek tutaj, wykonujcie go dalej. Może... może spotkamy się jeszcze po wojnie...

Telefon rozdzwiewał się tak donośnie, że Shannon podskoczył z wrażenia. Major McLochlona podniósł słuchawkę. W minutę później opuścił ją na widelki.

- Start. Nowy nalot - oznajmił zwięźle. Kapitan Fitzpatrick zerwał się z miejsca, rzucił ku drzwiom. Dowódca chwycił go za ramię i zatrzymał.

- Lepiej zostań na ziemi, Gerald - powiedział prosząco. - Ja polecę...

- Nie. Ja jestem w służbie - Fitzpatrick wyszarpnął się i wybiegł z baraku.



W ślad za nim ruszyło ośmiu innych pilotów. Odezwały się zapuszczone silniki, ich terkotanie przerodziło się w ogłuszający huk. Maszyny wyszły w powietrze i nabierając wysokości znikły z oczu spoglądających z dołu ludzi.

W dwie godziny później nad lotniskiem pojawiło się osiem samolotów, gęsiego schodzących do lądowania. Zabrakło między nimi „Buffalo” kapitana Geralda Fitzpatricka, który poniósł śmierć, gdy wyskoczywszy z płonącego płatowca usiłował ratować się za pomocą spadochronu. Japońscy myśliwcy nie wahali się strzelać do bezbronnego lotnika.

## ROZDZIAŁ VI

W tydzień później major McLochlon od samego świtu tkwi przy aparacie telefonicznym. Na lotnisku Seletar nastąpiły zmiany i przesunięcia w związku z pogarszającą się sytuacją na ziemi. Ewakuowano resztki jednostek rozpoznawczych i bombowych, odesłano je na Jawę. Natomiast na pomoc ginącemu i nie mogącemu podołać pracy dywizjonowi „Buffalo” przysłano z Indii drugą jednostkę myśliwską na samolotach Hawker „Hurricane”. Gdyby maszyny te przybyły do Singapuru przed dwoma miesiącami, a chociażby przed miesiącem, może zdołałyby wpłynąć na przebieg walk powietrznych. Teraz było za późno, a myśliwcy z „Hurricane'ów”, chociaż mieli dobre chęci i ducha walki nie mieli doświadczenia i w pierwszym starciu z Japończykami utracili sześć samolotów, niszcząc tylko dwa bombowce nieprzyjaciela.

Małego Szkota nie obchodził jednak w tej chwili los „Hurricane'ów”. Zbyt był przejęty wiadomością, jaką właśnie otrzymał z dowództwa. McLochlon miał już tylko dziesięciu pilotów, włącznie z nim samym, i dziesięć „Buffalo”, bowiem przed trzema dniami zginął starszy sierżant Summerhill, a przed dwoma podporucznik Ian Kirby, który nie doczekał się powrotu do Glasgow. Dywizjon nadal pracował z niesłabnącą energią i skutecznie przeciwstawiał się wrogowi w powietrzu. Na tablicy w baraku, na liście zwycięstw, przy nazwisku Shannona figurowało szesnaście małych czerwonych kółek, symbolizujących strącenie szesnastu samolotów. Konto McLochlona wynosiło czternaście zestrzałów, Stanleya White'a trzynaście. Ogółem jednostka zniszczyła do tej pory siedemdziesiąt pięć bombowców i myśliwców japońskich ze stratą własną dwudziestu sześciu pilotów. Mimo więc niezwykle trudnych warunków, przeciwności i przewagi nieprzyjaciela, dywizjon w stu procentach wypełniał nałożenie nań zadanie.

Dzisiaj jednak ktoś w dowództwie zdecydował, iż mało jeszcze było poświęceń, mało krwawej pracy, mało... strat. McLochlon, trzymając przy uchu słuchawkę telefoniczną, wściekał się i pienił, nie zważając na wysoki stopień wojskowy rozmówcy używał najgorszych, najdosadniejszych wyrażeń, których poniechał przed miesiącem. Czasem milkł i notował coś na kartce papieru, czasem walił pięścią w stół, spierał się i protestował.

- Taka robota to rzeźnia dla nas - wrzeszczał, gryząc cybuch fajki. - To szaleństwo, wymysł człowieka niepoczytalnego! Co? Nie mam dla pana poszanowania, pułkowniku? Prawda! Nie mam! Wydaje pan idiotyczny rozkaz, bezsensowny, za który zapłacimy drogo! Co? Sąd polowy? Wypchaj się pan polowym sądem, wsadź go pan sobie w tyłek! My tutaj robimy prawdziwą robotę, nie dekujemy się, do stu tysięcy pustych butelek po mleku! Że co? Rozkaz generała? A czy generał zna się na pracy myśliwców? Mówię panu, że się nie zna! Nie dałby takiego durnego rozkazu. Co? - Szkot słuchał przez długą chwilę, tym razem nie przerywał rozmówcy, nie miotał obelg. Westchnął ciężko, odłożył fajkę na stół. Gdy się odezwał, mówił zupełnie innym tonem, spokojnym i zrezygnowanym: - Tak rozumiem. Trzeba tym ludziom pomóc. Tak, za godzinę wyślę sześć maszyn, pułkowniku.

Odłożył słuchawkę, zapatrzył się w okno baraku, za którym w falującym od gorąca powietrzu widniały na tle kauczukowego lasu przysadziste sylwetki samolotów. Automatycznie napełnił fajkę

tytoniem, zapalił, używając do tego kolejno ośmiu zapalek. Długo stał przed oknem, rozważał coś, decydował, zmagał się z sobą, walczył. Gdy odwrócił się do oczekujących pilotów, na jego twarzy malowała się powaga i skupienie, ale na ustach pojawił się dawno nie widziany uśmiech. Powzięta decyzja musiała wydać mu się słuszna i jedynie możliwa, przywróciła mu więc spokój i opanowanie. Dowódca konającej jednostki odzyskał równowagę wewnętrzną, szykował się do postawienia jedyne­go możliwego w tej sytuacji kroku.

- Powiem krótko. W południowo-wschodnim Johore trwają zaciekle walki. Wróg następuje, broniący się pułk australijski wezwał przez radio pomocy, domaga się natychmiastowego wsparcia lotniczego. Ludzie giną, wsparcia udzielić możemy tylko my... Chodzi o zaatakowanie z powietrza kolumny czołgów, specjalnie dokuczających Australijczykom.

McLochlon powoli podszedł do dużej ściennej mapy i pokazał na niej omawiany teren, po czym kontynuował odprawę. Zadanie było nad wyraz trudne, ale należało je wykonać. Atakowanie na nieopancerzonych myśliwcach czołgów, kryjących się w gąszczach i dysponujących ogromną siłą ognia, wystawiało lotników na wielkie niebezpieczeństwo. Szanse powodzenia wyprawy i powrócenia z niej były mizerne. Niemniej odmówić nie było wolno. McLochlon posiadał dziesięć maszyn i dziesięciu pilotów, żądano od niego wysłania sześciu „Buffalo”. I dlatego Szkot zdecydował się na raczej niecodzienne wyjście z sytuacji.

- Nie chcę wyznaczać ludzi - powiedział z naciskiem. - Niech los zdecyduje, kto poleci.

Podjął ze stołu notes, jedną z kartek podarł na osiem kawałków, na pięciu z nich nakreślił ołówkowe znaczki. Zwinął skrawki papieru w kulki, zamieszał, wsypał do pustego kubka od kawy.

- Ciągnijcie - powiedział podchodząc kolejno do pilotów, ale świadomie pomijając Shannona. - Kartka ze znaczkiem to lot, kartka pusta to pozostanie na ziemi.

Brali kolejno papierowe kulki, rozwijali i z kamiennymi twarzami wyczytywali wyrok. Kartki ze znaczkami wyciągnęli: porucznik Thomas Parker, podporucznik John Prestone, podporucznik David Munro, starszy sierżant Jeremy Sunderland i sierżant Geoffrey Lenormand. żywy jak skra brunecik francuskiego pochodzenia.

Peter Shannon uniósł brwi w górę.

- Zapomniał pan o mnie, majorze - powiedział z wyrzutem. - Ja nie ciągnąłem.

McLochlon ujął go pod ramię i wyprowadził z baraku. Było gorąco i duszno, tropikalny upał męczył i paraliżował wolę.

- Uczyniłem to rozmyślnie - powiedział Szkot i gestem dłoni powstrzymał wybuch złości Shannona. - Ja również nie ciągnąłem, Peter. Wiesz dlaczego?

- Domyślam się - bąknął Peter.

- Dopóki jestem dowódcą tej jednostki, ja wydaję rozkazy, Peter. Ja polecę, nie ty! Ja nie mam nikogo, ty masz Betty. Pamiętaj o jej stanie, pamiętaj o swych obowiązkach wobec niej.

Shannon milczał.

- Posłuchaj, Peter. Jeszcze na moich radach źle nie wyszedłeś. Chodzą słuchy o ewakuacji z Singapuru kobiet i dzieci, rodzin oficerów i urzędników, bo te najbardziej będą narażone na prześladowania w razie upadku twierdzy.

- Czy spodziewa się pan...

- Mniejsza o to, czego się spodziewam. Posłuchaj mojej rady, Peter. Za tydzień odpłynąć ma stąd statek „Nigeria”, wiem o tym z poufnego źródła, od mego przyjaciela, Alana McNeilla, a ten jest zawsze doskonale poinformowany. Postaraj się, żeby Betty znalazła się na pokładzie.

- Ona nigdy nie zgodzi się mnie opuścić - zaprotestował Shannon.

- Zmusz ją do tego. Dla dobra waszego i dobra przyszłego dziecka. Weź ten list - Szkot pogrzebał w kieszeni munduru i wyciągnął pomiętą kopertę. - Oddasz go w kapitanacie portu. No, a kiedyś podziękujesz mi i zafundujesz potrójną szkocką whisky. Nie mów nic, Peter, nie kłóć się. To mój rozkaz, moje życzenie, moja... prośba. Betty musi wyjechać!

Shannon bez słowa przyjął kopertę, ze spuszczoną głową powlókł się do baraku i przyglądał się, jak koledzy szykowali ekwipunek do lotu. Po chwili do wnętrza wszedł McLochlona, przyjrzał się tablicy z wykreślonym stanem samolotów.

- Thomas - zwrócił się do porucznika Parkera - weźmiesz maszynę „A”, jak zwykle. To twoja ulubiona maszyna, co?

- Tak jest, sir, „A jak Aphrodite” - odparł Parker.

- Na cześć siostry, prawda? Dobrze. John Prestone maszyna „D”, też zwykle na niej lataasz. „D jak Diana” - Szkot przymrużył oko. - Wiem, wiem, widziałem twoją narzeczoną, piękna dziewczyna. David Munro maszyna „S”. Bez nazwy, he, bo ty, David, jak motylek, lataasz z kwiatka na kwiatek - major McLochlona okazywał dobry humor, jak za dawnych, pokojowych czasów. - Starszy sierżant Sunderland maszyna „C”. Jak na imię twojej wybrance?

- Cecily, sir - szepnął ze wstydem podoficer. - To moja żona.

- Poznasz mnie z nią przy okazji, Jeremy, a jakem Douglas McLochlona, przyprawię ci rogi! Sierżant Lenormand maszyna „J”, prawda? Przyznaj się, Geoffrey jak jej na imię?

- Janet, Joan, Jill, Jenifer, Josephine, Jenny, Jane, Jacqueline - wyrecytował jednym tchem Lenormand, wpadając w żartobliwy ton przełożonego.

- Ho, ho, niezła kolekcja, Geoffrey. Widzę, że pracowałeś dzielnie nie tylko w powietrzu. Uważaj, żebyś zbyt wielu nowych obywateli nie przysporzył wyspie singapurskiej. - Major spojrział na zegarek na przegubie ręki. - Dobrze, chłopcy. Idziemy do maszyn. Za dziesięć minut start.

W dziesięć minut później White ze Shannonem obserwowali odlot szóstki „Buffalo”, prowadzonej przez „W jak whisky” majora McLochlona. White, zastępujący dowódcę, zdjął przyciemnione przeciwsłoneczne okulary, przetarł oczy. Najwidoczniej był przez Szkota poinformowany co do Betty, bo wskazując na służbowe auto, stojące opodal, powiedział:

- Zabieraj grata, Peter, wal do domu. Mamy co najmniej godzinę czasu do ich powrotu, zdążysz pogadać z żoną.

- A jeżeli ogłoszą alarm? - zafrasował się Shannon.

- Polecimy we trójkę z Redhillem i Westem. Dziury w niebie nie będzie, jeżeli nie wystartujesz z nami. I tak... - przerwał i machnął ręką. - Jedź, Peter, staremu bardzo zależy na ewakuacji Betty.

Po godzinie Shannon zatrzymywał wóz przed barakiem dispersalu. Wsiadł i z napięciem wpatrzył się w niebo nad horyzontem.

- Wracają? - spytał White'a.

- Zgodziła się? - odpowiedział pytaniem Stanley.

Peter skinął głową. Nie chciał zdawać przyjacielowi szczegółowej relacji ze sceny, która rozegrała się niedawno w domku pod Seletar. Trudno było pokonać rozpaczliwy opór Betty, namawiać i przekonywać, samemu nie będąc przekonanym. Ale Peter miał bezgraniczne zaufanie do sądów doświadczonego Szkota, polegał na jego radach, na których, jak sam przyznawał, nigdy źle nie wyszedł. Zgoda Betty na wyjazd przypieczętowana została wreszcie potokami łez i długim, nieledwie desperackim pocałunkiem.

- To dobrze, bardzo dobrze - stwierdził White i nagle poderwał się, wyciągnął rękę. - Wracają! Tam!

Nad ciemną linią przybrzeżnej dżungli Johore pojawił się maleńki samolocik, tuż za nim drugi. Gdy podleciały bliżej lotniska, zza horyzontu wyskoczyła trzecia maszyna. „Buffalo” wracały do bazy w rozsypanie, pojedynczo. Był to niedobry znak, świadczy, iż formacja napotkała na silny opór wroga i nie zdołała zebrać się do szyku po wykonaniu zadania.

Nad barakiem przeszła z opuszczonym do lądowania podwoziem, maszyna z literami „C” po obu stronach kadłuba.

- Jest Sunderland - zauważył White.

- Jest i Munro - dodał Peter, wskazując na płatowiec oznaczony „S”.

Trzeci samolot nadlatywał nad lotnisko, dwa poprzednie kołowały już w stronę baraku. Peter wyczuł wzrok, starał się dostrzec na widnokręgu dalsze maszyny, nie widział jednak nic.

- To John Prestone na „D jak Diana” - stwierdził Stanley.

- Gdzie McLochlona? Gdzie Parker i Lenormand?

Spojrzeli sobie w oczy, bez słowa zawrócili do baraku. White połączył się telefonicznie ze stacją radarową, spytał o wiadomości. Niestety, nie znano tam przebiegu lotu, wiedziano tylko, iż wyprawa dotarła do celu, bowiem dosłyszano rozkazy ataku wydawane przez McLochlona.

Do wnętrza wszedł podporucznik Munro. Ociężałym ruchem odpiął kamizelkę ratunkową, rzucił ją na stołek. Usiadł i trzęsącymi się palcami zapalił papierosa.

- Piekło - wyrzucił z siebie jeden wyraz, cisnął papierosa na podłogę i ukrył twarz w dłoniach.

Zjawił się starszy sierżant Sunderland. Był blady, spocony, ręce trzęsły mu się jak Davidowi Munro. Splunął pod nogi, sięgnął po kubek kawy.

- McLochlona zginął - powiedział zachrypniętym, nieswoim głosem. - Zapalili mu maszynę w pierwszym ataku. Wściekle strzelali... uderzył w czołgi... morze ognia,, - jękał się i przerywał co chwila, nie potrafił składować wyrazić myśli. - Paliło się tam wszystko... czołgi, samolot majora, samochody, chyba i dżungla... Nawracałem dwa razy... może trzy, nie pamiętam. Wystrzelałem całą amunicję... Mam dziury w skrzydłach...

- Parker? Lenormand? Prestone? Gdzie jest Prestone?! - wykrzyknął nagle White. - Był przecież nad lotniskiem?!

Na zewnątrz rozległy się podniecone głosy mechaników. Peter ze Stanleyem wypadli z baraku. Maszyna „D jak Diana” krążyła w górze z opuszczoną tylko prawą golenią podwozia, za jej ogonem ciągnęła się cienka strużka dymu. Peter jednym skokiem dopadł swej maszyny, włączył nadajnik radiowy.

- John, John! Wciągnij podwozie, siadaj na brzuchu. John, czy mnie słyszysz? Tu Peter? Peter Shannon!

W słuchawkach rozległ się przytłumiony głos, mówiący z wysiłkiem:

- Słyszę... Nie mogę... wciągnąć podwozia... Jestem ranny... słabo mi...

„D jak Diana” zakołysała się w powietrzu, zeszła nad samą ziemię, pochyliła na skrzydło, niemal zawadzając o dach baraku dispersalu. Pilot wyprowadził ją niepewnie, odzyskał wysokość.

- John! John! Idź w górę! Skacz ze spadochronem, John!

Odpowiedź była jeszcze niewyraźniejsza:

- Nie... mogę. Silnik... Ląduję...

Istotnie silnik „Buffalo”, z opuszczoną jedną golenią, począł przerywać, smuga dymu za ogonem

rosła. Peter z bijącym sercem patrzył bezsilnie, jak maszyna zatoczyła płaskie, niezdarne okrążenie, wyrównała niezręcznie i poczęła obniżać się, idąc jednak z nadmierną prędkością.

- John! Zamknij gaz! Zamknij gaz! Przechył płatowiec w prawo!

Pilot „D jak Diana” widocznie nie dosłyszał instrukcji. Rozpędzony samolot uderzył jedną golenią w betonowy pas, wyskoczył w górę, zachybotał się, przechylił na lewe skrzydło, pod którym podwozie nie było wypuszczone. Skrzydło zawadziło o ziemię, płatowiec trzasnął o beton silnikiem, ponownie wyskoczył w powietrze i przewalając się na plecy legł wreszcie nieruchomo. Sekunda i spod omaskowania motoru buchnął w górę słup ognia, błyskawicznie ogarniający całą maszynę.

Od strony zniszczonego przez japońskie bomby hangaru pędził z wyciem syreny wóz straży ogniowej. Tuż za nim gnał samochód ze znakiem Czerwonego Krzyża. Strażacy zeskakiwali w biegu z auta, kierowali ku potwornemu ognisku strugi białawej piany z gaśnic. Mimo azbestowych ubiorów i ochronnych masek nie byli w stanie podejść bliżej, ich wysiłki nie przydawały się na nic.

Przerażony i sparaliżowany tym widokiem Peter dostrzegł poprzez przerzedzoną w pewnej chwili ścianę ognia, jak w kabinie samolotu coś się poruszyło, niewyraźnie rysująca się ręka ludzka wyciągnęła się w górę. W sekundę później nastąpiła potężna eksplozja - wybuchł zbiornik benzyny. Strażnicy odstepili do tyłu, ciągnąc ze sobą ciało zemdlonego od żaru i poranionego odłamkami metalu kolegi. Akcja ratownicza była bezskuteczna i... zupełnie już niepotrzebna.

Stanley White przywołał Petera do baraku. Na liście pilotów na ściennej tablicy widniało tylko sześć nazwisk.

- Parker? Lenormand?

- Rozmawiałem ze stacją radarową - odparł głucho White. - Już nie wrócą.

- Co teraz? - spytał bezmyślnie Shannon. Porucznik White wyprostował się powoli.

- Według instrukcji ja obejmuję dowództwo dywizjonu. Od południa służbę pełnić będą wszyscy pozostali piloci. Pełnić ją będą do końca...

## ROZDZIAŁ VII

Drugiego lutego, w samo południe, Peter Shannon wystartował na alarm na czele czterech „Buffalo”, tylko tyle bowiem samolotów mechanicy zdołali przygotować do lotu. Stanley White i Michael Redhill pozostali na ziemi. Ich maszyny, znakowane „T” oraz „F”, uszkodzone i postrzelane w poprzedniej wyprawie, wymagały starannego przeglądu, zaklejenia dziur i wymiany drobnych części płatowca.

Szóstka lotników ciągle się jakoś trzymała, mimo bezustannych walk, a nawet zdołała odnieść dalsze sukcesy. Konto Shannona wzrosło do pełnych dwudziestu zestrzeleń, White'a do szesnastu, Redhilla do dziewięciu. David Munro stracił sześć maszyn wroga, Jeremy Sunderland osiem, Paul West cztery. Podniosło to ilość ogólnych zwycięstw jednostki do osiemdziesięciu sześciu, ale teraz nikt już ani nie notował tego na tablicy, ani nie zwracał uwagi na osiągnięcia. Nawet przyznany Peterowi po raz trzeci Distinguished Flying Cross wywołał u niego tylko obojętne wzruszenie ramion.

Shannon ostro ciągnął samolot w górę. Jego „B jak Betty”, nazwana tak ostatnio na cześć żony, pieczołowicie doglądana przez mechaników, zachowywała się, jakby dopiero przyszła z wytwórni. Silniki „S” Davida Munro, „C” Sunderlanda oraz „H” Westa również wyregulowane były znakomicie i doprowadzone do doskonałego stanu, toteż bez trudu zdobywano wysokość. Peter wiedział z doświadczenia, iż od momentu ogłoszenia alarmu do pojawienia się Japończyków pozostawało z reguły niewiele czasu. Wiedział również, iż przewaga ilościowa wroga stale się powiększała i tylko użyciem właściwego manewru i wykorzystaniem zdobytych w ciężkich walkach umiejętności można było uzyskać jakieś wyniki, strącić kilka bombowców, utrudnić im zadanie, zmieszać szyki. O tym, by jak kiedyś nie dopuścić samolotów wroga nad cel, obecnie nie marzono. Było to niemożliwe, tym bardziej że dywizjon „Hurricane'ów”, przysłany niedawno na pomoc, praktycznie przestał istnieć.

Zaledwie czwórka „Buffalo” wdrapała się na trzy tysiące metrów, już sierżant West, lecący na skrajnie lewej pozycji, zameldował z podnieceniem przez radio o pojawieniu się dużej formacji obcych samolotów w dole, trochę z lewej strony. Peter szybko popatrzył we wskazanym kierunku. Momentalnie dostrzegł wroga: sześć piątek bombowych „Mitsubishi” i nad nimi kilkanaście „Zero” osłony.

Shannon ani chwili nie zawahał się przed atakiem, chociaż przed kilku miesiącami uważałby to za czyste szaleństwo i gotów byłby argumentować, że cztery myśliwce nie mają żadnych szans przeciw dziesięciokrotnie silniejszemu przeciwnikowi. Obecnie stał się jednak prawdziwym weteranem myśliwskim, w ciężkich i zwycięskich bojach poznał wszelkie tajniki i prawa powietrznej walki, miał ze sobą trzech niemal równie doświadczonych pilotów. A poza tym - i to było najważniejsze - nadal bronił małego domku pod Seletar.

Podciągającym zakrętem „B jak Betty” uzyskała dodatkowo kilkaset metrów. Zabrakło czasu na bardziej wypracowany manewr, nieprzyjaciel przybliżył się tak szybko, że nie można było wyjść

wyżej, w słońce, i atakować z zaskoczenia. Peter wyrównał lot, znurkował i na pełnym gazie, z wyjątkim silnikiem, werznął się pomiędzy maszyny ostatniej piątki „Mitsubishi”. Nie zważał na huraganowy ogień strzelców pokładowych. Podszedł do prowadzącego bombowca i z odległości zaledwie stu metrów poczęstował go celną serią pocisków z karabinów maszynowych. Przez moment przetrzymał na celowniku lewy silnik, gdy zaś ukazały się za nim pasemka ognia, przerzucił się na silnik prawy, który również wkrótce stanął w płomieniach.

Nie obserwował dłużej swej ofiary. Nie było to potrzebne, trafił śmiertelnie. Wyciągnął samolot w górę, zwałił go na skrzydło i po raz drugi doszedł do nieprzyjacielskich bombowców, lecących teraz we czwórkę i ciągle trzymających się w ciasnym szyku.

Jedna seria, druga, trzecia. Oba silniki „Mitsubishi” zadymiły, w kilka sekund później w kłębach dymu pojawiły się płomienie. Bombowiec stracił równowagę i poszedł w dół. Jego pilot, zapewne ciężko ranny, nie zdołał metodą japońską skierować maszyny na jakiś obiekt na ziemi. „Mitsubishi” zwinął się w korkociąg i uderzył o powierzchnię morza kilka kilometrów od wybrzeży Singapuru.

Ale reszta wrogich bombowców szła dalej po kursie, zbliżała się do celu, mimo wściekłych ataków podporucznika Munro i obu sierżantów. Za chwilę spod kadłubów „Mitsubishi” oderwać się miały bomby i spaść w dół.

„Dobrze, że Betty jutro odpływa - przemknęło przez głowę Petera, gdy rozglądał się za nowym obiektem ataku. - Ostatnia rada McLochlona była zbawienna...”

Do akcji weszły teraz „Zero” i trzeba było poniechać bombowców. Rozgorzała zawzięta i nierówna walka, w której „Buffalo” nie miały większych szans powodzenia. Prawda, że poszły w dół dwa myśliwce japońskie, ale i dwie maszyny własne, trafione w silniki, nurkowały ciągnąc za sobą pióropusz dymu.

- Jestem ranny, palę się... skaczę - zabrzmiały w słuchawkach radiowych słowa Jeremyego Sunderlanda.

W pobliżu Shannona przemknęła w prostopadłym nurkowaniu „C jak Cecily”. Pilot musiał stracić przytomność lub może zbyt wielka szybkość nie pozwoliła na wyrzucenie owiewki kabiny. Sunderland nie ustawił płatowca w odpowiedniej pozycji do skoku, nie użył spadochronu. Nurkował tak długo, aż uderzył w ziemię na wybrzeżu cieśniny Johore.

Peter zakręcił się w walce kołowej z dwoma „Zero”, uciekł im nagłym manewrem, odzyskał utraconą poprzednio wysokość, puścił się w pogoń za bombowcami. Nie zdołał ich jednak dojść. Niespodziewanie po skrzydłach „B jak Betty” zabębniły pociski. Silnik zakrzuszył się i zamilkł. Shannon błyskawicznie rzucił maszynę w prostopadłe nurkowanie i w tym samym momencie dojrzał w lusterku zwrotnym smukły kształt „Zero” w niebezpiecznie małej odległości.

Wyrwał w górę, kopnął orczyk i przełożył drążek, wrzucając samolot w korkociąg. Zmyliło to napastnika. Japończyk uznał zapewne, iż „Buffalo” był wykończony, odszedł w bok i pognął za kolegami z osłony.

Peter wyprowadził z korkociągu nisko nad ziemią, w pobliżu Seletar. Przemknęło mu przez głowę, by wyskoczyć ze spadochronem, ale pragnienie ocalenia maszyny zwyciężyło. Starannie utrzymując odpowiednią prędkość, bacznie rozglądając się na wszystkie strony, dotarł lotem ślizgowym do Seletar i wylądował. Wytracając prędkość w dobiegu, zauważył na skraju pola wzlotów potrzaskane i dymiące szczątki samolotu, wóz straży pożarnej w pobliżu, gromadę ludzi i ambulans, do którego wnoszono jakąś postać, przykrytą białą płachtą.

Dokołował do baraku dispersalu, wyłączył silnik. Gdy wysiadał z kabiny, podbiegł do niego



Stanley White.

- Nie trafili cię, Peter? Wszystko w porządku? Maszyna podziurawiona jak sito!

Shannon obmacał się, wyciągnął ramiona i przyjrzał się im, jakby zdziwiony, że były całe i zdrowe.

- W porządku. Co bombardowali? White spojrzał bacznie na przyjaciela.

- Zdaje się, że śródmieście. Tutaj było cicho, nie spadła ani jedna bomba.

Peter odetchnął. Betty przeżyła jeszcze jeden nalot, może już ostatni. Jutro odpływa. Świadomość tego faktu i perspektywa rychłego rozstania z żoną wywołały nagły skurcz serca. Zmusił się do zmiany tematu rozmowy.

- Co tam się stało? - spytał wskazując na rozbity samolot.

- Sierżant West. Zestrzelili go, był ranny. Dociągnął, zabił się w kraksie - odparł sucho White.

- Jeszcze jeden... Sunderland też zginął. Widziałem.

- Taaak...

Brygada mechaników oglądała płatowiec, badała uszkodzenia, zaglądała do silnika „B jak Betty”. Shannon zainteresował się maszyną.

- Jak długo potrwa naprawa? - spytał brygadzystę.

Zapytany wzruszył ramionami, rozłożył bezradnie ręce.

- Marna sprawa, sir. Silnik do wymiany.

- Kiedy wymienicie?

Brygadzista ponownie wzruszył ramionami.

- Chyba nigdy, sir. W składnicy zabrakło silników. Zabrakło wszystkiego, nawet najdrobniejszych części. Ta maszyna - wskazał na „B jak Betty” - pójdzie na złom, panie poruczniku.

Peter zachmurzył się. Czyżby był to zły omen, że samolot nazwany imieniem żony, nie nadawał się do dalszych lotów? Czyżby znaczyło to, że mała tragedia zwiastowała nadejście wielkiej tragedii?

Gdy White ze Shannonem znaleźli się w baraku, dziwnie teraz wyludnionym, Stanley oświadczył mu:

- Pozostały trzy maszyny. Moja „T”, „F” Redhilla oraz „S” Munro. To właściwie koniec, Peter.

- Co mam z sobą robić, Stanley?

Porucznik White wyglądał jak człowiek ciężko chory. Miał podbite oczy, przekrwione białka, twarz szarą, koło ust głębokie bruzdy.

- Jak wiesz, każdy zbyteczny człowiek dywizjonu meldować się ma w kompanii kapitana Vincenta. Adiutant poinformuje cię, gdzie tej kompanii szukać. Cóż, rozumiesz, że nie mogę przydzielić ci innej maszyny, nie mogę odebrać samolotu ani Redhillowi, ani Munro.

- Rozumiesz doskonale.

- Taak, Peter - przeciągnął z przygnębieniem White. - Stało się. Ale skoro nie można dłużej walczyć w powietrzu, trzeba walczyć na ziemi. Cholerny obowiązek. Nie ma jednak innej rady.

- Wiem, Stanley.

White zakręcił się w miejscu, wyjrzał przez okno, obojętnie popatrzył na mechaników, odtaczających „B jak Betty” w stronę na pół zrujnowanego hangaru.

- Pójdę, Stanley - Shannon wyciągnął na pożegnanie rękę.

- Czekaaj - porucznik White powziął decyzję. - Jako dowódca dywizjonu daję ci zezwolenie na odprowadzenie żony na statek. Do Vincenta zameldujesz się jutro po odpłynięciu „Nigerii”. No,

Peter, trzymaj się. Dobrze nam się razem latało.

- Czy będziesz dalej...

- Po co pytasz, Peter?

Tak przyszło nieuniknione. Potężne działa Singapuru szczyrzyły swe paszcze w kierunku morza, ale nikt nie atakował stamtąd i twierdzy. Japończycy podeszli na brzeg cieśniny Johore, przegrupowali się i na setkach barek i łodzi poczęli przeprowiać się na drugą stronę. Obrońcy wyspy, mimo sporadycznych przejawów prawdziwego bohaterstwa, tracili ducha, a skutkiem nieudolnego dowodzenia, i teren, którego pozostawało coraz mniej. Na nic się zdały brawurowe kontrataki Australijczyków, na nic bezprzykładne męstwo kompanii ochotników chińskich, znanej pod nazwą jednostki „Dalforce”, trzymającej pozycje w ujściu rzeki Krandzi. Chińczykom, którzy wytrwale domagali się wzięcia udziału w obronie i błagali o broń, zezwolono na utworzenie tylko jednej kompanii, ta zaś pozostała na posterunku do końca, wyginęła do ostatniego żołnierza.

Zbliżały się decydujące dni. Rozpoczęto ewakuację specjalistów wojskowych, zbytecznych w dogorywającej twierdzy. Ewakuowano również część ludności cywilnej.

Dnia trzeciego lutego na statku „Nigeria” opuściła Singapur Elisabeth Shannon, odprowadzona do portu przez męża. W ostatniej chwili chciała się cofnąć, zmienić decyzję. Peter, szarpany zmiennymi uczuciami, zmusił ją siłą do wejścia na pokład.

Betty odpłynęła więc, ale nie zmniejszyło to niepokoju Shannona o jej dalsze losy. Wyjazd z zagrożonej twierdzy nie oznaczał wolności i bezpieczeństwa.

Przewaga nieprzyjaciela na morzu stała się równie przytłaczająca, jak w powietrzu i na lądzie. Statki brytyjskie tonęły jeden po drugim od bomb lotniczych, torped łodzi podwodnych, ognia artylerii okrętowej.

„Nie ma już Betty... nie ma «B jak Betty»... nie ma nic...”

Nad obleżoną wyspą rozpościerały się złowrogie dymy pożarów. Od cieśniny Johore dobiegało nieprzerwane dudnienie dział. Górą, po bezchmurnym niebie, bezkarnie przeciągała formacja bombowców wroga.

## ROZDZIAŁ VIII

O godzinie dziewiętnastej minut pięćdziesiąt, dnia szesnastego lutego 1942 roku, dowódca brytyjskich sił zbrojnych w Singapurze, generał Perceival, sztywno nachylając się nad okrągłym stołem w kwaterze „Tygrysa Malajów”, złożył podpis pod dokumentem kapitulacyjnym. Na budynkach miasta pojawiły się białe flagi, nad fortem Canning powiał symbol Wschodzącego Słońca. Nastąpił koniec oblężenia, koniec walk, klęska. Rozpocząć się miał okres upokorzenia, długotrwałej niewoli, terroru.

Peter Shannon stał przed głębokim okopem, wijącym się zygzakowato na lewym skrzydle wojsk obrony i bezmyślnie wpatrywał się w stronę cieśniny Johore, przez którą przepływały nieprzerwanym strumieniem japońskie barki desantowe i łodzie. Oparł się o trzymany w dłoniach karabin. Przez ostatnie dwa tygodnie walczył jako prosty żołnierz piechoty. Bił się z wrogiem do końca i gdyby nie wrodzone poczucie dyscypliny, walczyłoby dalej, mimo rozkazów dowódców.

U Vincenta, z którym Shannon szybko się zbliżył i zaprzyjaźnił we wspólnych akcjach, napotkał dywizjonowych kolegów, którzy opuścili jednostkę przed nim. Sierżanci Grant i Dreck zmienili się w doskonałych żołnierzy i odznaczyli kilkakrotnie w nocnych kontratakach na bagnety. Trent odniósł rany i odesłany został do szpitala Aleksandry, gdzie ciągle przebywał porucznik Woodhouse, cierpiący na tropikalną biegunkę. W chwili kapitulacji ani Grant, ani Dreck nie znajdowali się jednak w kompanii. Pierwszego kapitan Vincent wysłał z meldunkami do dowództwa odcinka, drugi zawieruszył się pomiędzy zabudowaniami przedmieścia i, jak się domyślał Peter, usiłował uchronić się od niewoli przywdziewając cywilne ubranie.

W pobliżu ludzi Vincenta grupka indyjskich żołnierzy, śniadych, czarnowłosych Gurkha, w milczeniu łamała swe długie bojowe noże. W powietrzu wiły się czarne dymy z płonących ciągle magazynów benzyny i nafty. Pokazały się pierwsze czołgi nieprzyjacielskie, jadące z otwartymi pokrywami włączów. Górą przemknęła eskadra myśliwców „Zero”, w równym, defiladowym szyku.

Peter rozejrzał się dokoła. Był bardziej zaniepokojony niż przejęty nową sytuacją. Rozpoczęło się już składanie broni i szeregi ludzkie gromadziły się przy wyznaczonych punktach. Dozorowali ich japońscy żołnierze z bagnetami nasadzonymi na karabiny. Skośnoocy oficerowie z obnażonymi szablami w dłoni dyrygowali potokiem zwyciężonych, kierowali oddziały do naprędce przygotowanych obozów jeńców.

Peter wiedział, że za chwilę czekał go taki sam los, nie przejmował się jednak zbyt. Ostatecznie niewola to nie śmierć. Z obozu można uciec, w najgorszym razie przesiedzieć do końca wojny, dotrzeć do lepszych, spokojniejszych czasów. Betty poczeka na niego, a wojna przecież nie potrwa długo. Na wspomnienie żony ogarnęło go nieprzeparte pragnienie natychmiastowej ucieczki, wydostania się z wyspy i przedarcia na wolność.

- Właściwie należałoby stąd wiać i to jak najprędzej - mruknął do stojącego obok kapitana Vincenta.

Dowódca kompanii poprawił na sobie mundurową koszulę, przesunął pas ze zwisającym w kaburze ciężkim służbowym rewolwerem.

- Walczyłeś razem z nami dzielnie, chociaż z ciebie lotnik, Peter - odparł półgłosem. - Wiem, że odwagi ci nie brakuje. Ale z ucieczki nic nie wyjdzie, przynajmniej na razie. „Żółtki” zapowiedziały przecież, że jeżeli jakiś oficer ucieknie, cała jego jednostka poniesie surową karę. Rozumiesz chyba, co to znaczy.

Shannon przytaknął, ale bynajmniej nie był przekonany. Nie mógł uwierzyć w opowiadania o okrucieństwie nieprzyjaciela, o zadawanych torturach i popełnianych zbrodniach. Wspomnił kolegów z Royal College of Sydney i zrobiło mu się raźniej. Tortury i morderstwa? Brednie przerażonych i zdemoralizowanych żołnierzy, bezkrytycznie powtarzane plotki! Ale jak naprawdę zachowają się Japończycy? Jak potraktują zdanych na ich łaskę i niełaskę przeciwników? Do tej pory Peter, mimo bezustannej grozy śmierci, był wolnym człowiekiem. W niedługim czasie dostać się miał w ręce wroga. Co z nim uczynią? W jakim stopniu ograniczą swobodę ruchów? I czy z obozu jeńców wolno będzie wysyłać listy? Trzeba się koniecznie o tym poinformować, trzeba szybko napisać do Betty... Ale gdzie ona się teraz znajduje? Dokąd popłynął statek „Nigeria”?

- Czas na nas - powiedział Vincent.

Na rozkaz dowódcy kompania ruszyła z miejsca i po kilku minutach doszła do grupki Japończyków. Vincent sztywno zasalutował oficerowi w zielonkawym mundurze i owijaczach na nogach. Ten skinął arogancko głową i niedbale machnął szablą w kierunku stosu karabinów, po czym wypowiedział kilka słów cienkim, piskliwym głosem.

- Co on mówi? - zwrócił się bezradnie Vincent do Shannona.

- Kieruje nas do obozu Pasir Pandziang. Po drugiej stronie cieśniny.

- Jak to? Przecież miejscowość Pasir Pandziang jest tutaj, na wyspie!

- Skąd mam wiedzieć, co mu strzeliło do głowy? Powiedział wyraźnie, zresztą nas zaprowadzą.

Vincent powtórnie zasalutował, starając się zachować zasady wojskowej zwyczajowej grzeczności, wydał rozkazy. Rozległ się głuchy, przykry stukot rzucanej broni. W dziesięć minut później kompania we wzorowym porządku, wyrównanymi trójkami, maszerowała ku wybrzeżu pod eskortą Japończyków. Załadowano ludzi na dwie barki, a po godzinie jeńcy znaleźli się w obozie, nazwanym przez japońskiego oficera Pasir Pandziang.

„Obóz” Pasir Pandziang położony był na sporej polanie w środku bananowego lasu. Przy drodze, wiodącej znad morskiego wybrzeża, stały trzy drewniane baraki załogi japońskiej. Nieco dalej, na przestrzeni tysiąca metrów kwadratowych, gnieździły się setki jeńców. Widać pośród nich było zarówno mundury oficerskie, naszywki sierżanckie, jak i zwykłe żołnierskie koszule. Gdzieniedzie widniały barwne ubiory lub tropikalne stroje cywilów. Tłok był tak wielki, że kompania Vincenta, ponaglana przez eskortę, tuż po przekroczeniu bambusowej bramy rozsypała się automatycznie. Nie było już mowy o dowodzeniu ludźmi, o utrzymaniu jednostki w całości, o jakiegokolwiek dyscyplinie i porządku. Każdy na własną rękę musiał szukać jakiegoś miejsca, by przysiąść i rozprostować nogi. O schronieniu się przed palącym słońcem nikt nie myślał. Jeńcy koczowali pod gołym niebem, leżeli lub siedzieli, jak się dało i jeżeli się dało.

- Klapnijcie tutaj, koledzy - zwrócił się do Vincenta i Shannona jakiś australijski porucznik o chudej opalonej twarzy. - Przy odrobinie dobrej woli zmieścimy się w tym kurniku. Nazywam się Smith - wyciągnął rękę na powitanie.

- Co się tu dzieje? Jest jakiś porządek? - spytał Peter, ściskając dłoń Australijczyka i wciskając się pomiędzy niego i brodatego bosmana marynarki wojennej.

- Porządek jest aż za dobry - odparł Smith melancholijnie. - A co się dzieje? Przekonacie się niedługo, oby nie na własnej skórze.

- Przecież w takich warunkach nie trzyma się nawet bydła! - wybuchnął Vincent.

- Bydło potrzebne jest do roboty i na mięso - odpowiedział Australijczyk. - Do roboty zapędzą, ale mięso z nas marne.

Smith okazał się rozmowny, a że przebywał w „klatce” Pasir Pandziang od tygodnia - wzięty bowiem został do niewoli w czasie jednego z nocnych patroli - zwięźle udzielił przybyszom wszelkich niezbędnych informacji.

- To jest obóz przejściowy, zborny. Tutaj ludzi badają i wysyłają codziennie na wybrzeże, gdzie robocze grupy po kilkunastu mężczyzn pracują nad uprzątnięciem gruzów po bombach lotniczych. Nie liczą na swoje oficerskie szlify - podkreślił. - Każdy jeńiec, bez względu na stopień wojskowy, jest ich niewolnikiem. O przestrzeganiu jakichkolwiek międzynarodowych konwencji mowy nie ma.

Z dalszych słów Smitha okazało się, że w „klatce” panowała dyzenteria, a jeńcy głodowali, słabli z pragnienia, byli bici i kopani przy lada okazji. Pożywienie, dostarczane nieregularnie, składało się z dwóch łyżek ryżu i kawałeczka suszonej ryby na dzień. W czasie pracy nie wolno było rozmawiać. W czasie badania należało wystrzegać się oficera o nazwisku Teruci.

- Można stąd zwiać? - zainteresował się Peter, którego samopoczucie pogarszało się z każdą minutą i którego ogarniał coraz czarniejszy nastrój.

Australijczyk zaniósł się suchym, drażniącym uszy kaszlem.

- Teoretycznie można - odparł po chwili. - Ale komendant obozu zapowiedział na zbiórce, że w razie usiłowania ucieczki winny zostanie dotkliwie ukarany, a kara dotknie również wszystkich innych. Widzicie, koledzy, z samego obozu zwiać niepodobna - wskazał ramieniem na zasieki z drutu kolczastego i cztery platformy wartownicze na rogach, gdzie stali przy karabinach maszynowych strażnicy. - Natomiast gdy grupy idą do pracy, wtedy można się jakoś urwać, skoczyć gdzieś w gąszcz i próbować szczęścia. Taaak - przeciągnął Smith. - Przed trzema dniami dwóch żołnierzy nie wróciło do obozu. Podobno pomogli im w ucieczce jacyś Chińczycy...

- No i co? - przerwał podniecony Peter.

- No i nic. Do tej pory nic się nie stało, chociaż wczoraj uciekło trzech dalszych jeńców, a dzisiaj podobno siedmiu marynarzy. Hm, ciekawe - mruknął bardziej do siebie, niż do nowych znajomych. - Zobaczymy, co „żółtki” powiedzą na wieczornej zbiórce. To już za kilka minut. Peter zawahał się. Pytanie, które miał na końcu języka, wydawało się wprost naiwne po usłyszanych wiadomościach. Mimo wszystko jednak musiał je zadać.

- Jak z korespondencją? Można stąd pisać do rodziny?

Australijski porucznik spojrział na niego z nie ukrywanym zdumieniem, potem wybuchnął śmiechem, który przerodził się w nowy paroksyzm kaszlu.

- Pan chyba żartuje, kolego...

Rozległy się dźwięki trąbki. Ludzie podnieśli się z miejsc i uformowali w długim dwuszeregu. Shannon i Vincent również wstali i zajęli miejsce obok porucznika Smitha, którego twarz stała się nagle dziwnie stężała i skurczona.

W otwartej wejściowej bramie ukazała się gromada japońskich oficerów i żołnierzy, prowadzona przez otyłego majora w drucianych okularach na krótkim i płaskim nosie. Gromada

przeszła przed frontem jeńców, podoficerowie przeliczyli ich, złożyli meldunek majorowi.

- To komendant obozu, rikugun-siosa [27] Fumijoto - szepnął Smith w ucho Shannona.

Komendant zatrzymał się w środku obozu, poprawił okulary na nosie i wydał jakiś rozkaz. Krępy i barczysty sierżant zbliżył się do wyczekującego dwuszeregu, zamarłego w postawie na baczność. Nie spiesząc się, wybrał spośród jeńców jedenastu ludzi, samych Australijczyków. Gestem nakazał im wystąpić do przodu. Dostarczyli żołnierze, chwycili nie spodziewające się niczego ofiary za ręce, wywlekli na środek placu i sprawnie skrępowali ramiona z tyłu za plecami. Padł następny rozkaz rikugun-siosa Fumijoto i do jedenastki osłupiałych ludzi dobiegła drużyna żołnierzy z bagnetami na karabinach. Zanim ktokolwiek się zorientował, Australijczycy, zakłuci pchnięciami stali w gardła i brzuchy, padli martwi na ziemię.

- Bloody bastards! [28] - warknął wściekle Vincent i pochylił się do przodu, jakby chcąc rzucić się na oprawców.

Pomiędzy jeńcami rozległ się szmer, przeszedł w groźny pomruk. Kilkunastu ludzi, między nimi Shannon, błądzący z gniewu, z zaciśniętymi pięściami, odruchowo postąpił do przodu. Smith błyskawicznie pociągnął lotnika za mundur i zmusił do powrotu do szeregu. W tej samej chwili rozległa się japońska komenda:

- Nore! [29]

W sekundę później, bez nowego rozkazu zaszczekał karabin maszynowy. Trzy dalsze ofiary zwinęły się, zgięły w pół i upadły na twarze.

Z dwuszeregu wyskoczył australijski oficer z odznakami kapitana na ramionach, odwrócił się do współtowarzyszy niedoli i wrzasnął na całe gardło:

- Nie ruszać się! Nic przeciw nim nie zdziałamy! Wykręcił się na pięcie, sprężystym krokiem podszedł do komendanta.

- Naruszyliście prawa wojenne - powiedział po angielsku łamiącym się z wściekłości głosem. - Zachowujecie się jak bandyci!

Kolba karabinu uderzyła go w plecy. Rikugun-siosa Fumijoto skinął dłonią. Trzech żołnierzy chwyciło Australijczyka, powlokło ku bramie. W ostatniej chwili zdążył zawołać: - Zapamiętajcie ich twarze na przyszłość! Zapamiętajcie...

Znikł wraz ze swymi oprawcami za bramą. Po chwili rozległy się suche karabinowe wystrzały.

Komendant obozu postąpił krok naprzód i beznamiętnym głosem oznajmił poprawną angielszczyzną:

- Następnym razem postąpię inaczej. Jeżeli ktokolwiek ucieknie, zginą wszyscy z jego grupy roboczej, Dzisiejsza lekcja powinna wam wystarczyć.

Ponownie zabrzmiały dźwięki trąbki, rozniosły się echem po bananowym lesie, obity o ściany baraków. Rikugun-siosa Fumijoto, wraz z grupą oficerów i żołnierzy, znikł za bramą. Uprzątnięto z placu trupy pomordowanych. Gromady wyczerpanych i przerażonych ludzi ułożyły się do snu, oświetlone potężnymi elektrycznymi lampami i smugami reflektorów z platform wartowników. Obóz Pasir Pandziang zaległa cisza, przerywana czasem jakimś jękiem, stęknieniem i ciężkimi krokami przechadzających się za ogrodzeniem strażników.

## ROZDZIAŁ IX

Jeszcze w czasie prowadzenia do dowództwa obozu - z samego rana następnego dnia - Peter otrzymał kilkadziesiąt razy kolbą i bambusową pałką. Potem, gdy strażnicy wepchnęli go do niewielkiego pomieszczenia, rodzaju poczekalni, bili pięściami tak długo, póki nie upadł na podłogę. Podniesiono go i z drwinami przeszukano systematycznie wszystkie kieszenie, opróżniając je kompletnie, nie pozostawiając nawet chustki do nosa. Wreszcie otworzono przed nim drzwi i kopnięto w pośladek. Peter znalazł się w obszernym pokoju, którego umeblowanie stanowił prostokątny stół i dwa bambusowe stołki. Na jednym z nich siedział japoński oficer. Mały, krępy, szeroki w ramionach, o płaskiej, nalanej twarzy i bardzo skośnych, półprzymkniętych oczach. Na naramiennikach zielonkawej koszuli widniały odznaki kapitańskie.

- Poznajmy się - powiedział oficer niezłą angielszczyzną. - Ale zanim się poznamy, nie zapominaj, iż twoim obowiązkiem jest złożyć przepisowe ukłony. Naucz się dobrych manier!

Shannon znał trochę japońskie zwyczaje, więc najpierw skłonił się lekko, potem drugi raz niżej. Japończyk skinął głową z zadowoleniem i mruknął, ciągle po angielsku.

- Nazywam się Teruci. Kapitan Teruci Amado. A ty jesteś porucznik Shannon, prawda?

- Un, taii-dono [30] - odpowiedział Peter po japońsku, mając nadzieję, iż w ten sposób wpłynie na złagodzenie przebiegu badania.

Teruci nie okazał zbytniego zdziwienia faktem, iż jeniec władał jego językiem i od razu przystąpił do rzeczy.

- Radzę wypluć z siebie całą prawdę, Shannon - taii Teruci miał wysoki, niemiły głos, japońskie wyrazy wypływały z jego ust gładkim, nieprzerwanym potokiem. - Wiemy o tobie wszystko, Shannon. Wszystko, powtarzam. Chcę tylko sprawdzić niektóre fakty - Teruci zatrzymał się na chwilę i utkwiał w jeńcu ostry, przenikliwy wzrok. - Ale ostrzegam, Shannon, i przypominam, że masz być posłuszny i mówić prawdę. Inaczej nasze spotkanie może się źle zakończyć. Oczywiście dla ciebie, Shannon!

- Słucham - mruknął Peter i zerknął na wolny stołek. Miał nadzieję, iż Teruci pozwoli mu usiąść, bo nogi się pod nim uginały, a obolałe od uderzeń ciało domagało się spoczynku. Przecież nie każdy Japończyk musi być gburem i brutalem, jak prowadzący go tu strażnicy.

- Gdzie mieszkałeś przed kapitulacją? - padło pierwsze pytanie, a Teruci przyciągnął wolny stołek i ulokował na nim swe nogi w zielonkawych owijaczach i ciężkich, służbowych butach.

Schwyty jeniec miał obowiązek podać w czasie badań tylko swoje imię i nazwisko, numer wojskowy oraz stopień. Ale na Dalekim Wschodzie, jeszcze przed upadkiem Singapuru, żołnierze otrzymali instrukcje, by w miarę możliwości odpowiadać i na inne pytania, oczywiście unikając tematów czysto wojskowych. Chodziło o uchronienie ludzi od bicia i torturowania. Dlatego też Peter odparł bez wahania:

- Mieszkałem na przedmieściu Singapuru, niedaleko lotniska - nie zamierzał ukrywać swej specjalności, skrzydełka na mundurowej koszuli i białe fioletowe odznaczenie Distinguished Flying Cross świadczyły wyraźnie, że był lotnikiem, a dwa metalowe, okrągłe okucia na baretce

wskazywały na wybitne wyróżnienie się w powietrznych walkach.

Teruci skinął głową.

- Tak. Wiem o tym. Miałeś domek niedaleko lotniska Seletar. Jesteś pilotem myśliwskim, należałeś do dywizjonu majora McLochlona, który zginął, usiłując zniszczyć nasze czołgi - burknął.

Peter zdumiał się. Informacje Japończyka były trafne i raczej zaskakujące. Należało teraz mieć się na baczności. Teruci z pewnością zapyta o szczegóły dotyczące samolotów „Buffalo”, będzie się starał wywiedzieć o taktyce walki myśliwskiej, może zapragnie uzyskać wiadomości o działaniu stacji radarowej, może o systemie nasłuchu radiowego. Ale Japończyk niespodziewanie zmienił temat:

- Twoja żona jest Eurazyjką. Czy tak, Shannon? Peter milczał. Zastanawiał się nad odpowiedzią na to niezwykle pytanie.

- Słuchaj, Shannon. Jesteś człowiekiem niegłupim. Otrzymałeś staranne wykształcenie. Wiem, uczyłeś się w Royal College of Sydney. Wspominał mi o tym mój przyjaciel, ciui [31] Kirujamo Dekko, który pełni obecnie zaszczytną służbę w naszym lotnictwie. Powinieneś więc zrozumieć, że ja rozkazuję, a ty spełniasz rozkazy. Jeżeli każą ci mówić, masz mówić!

Ciui Kirujamo Dekko? Szczupły, wiecznie roześmiany chłopak, ofiarodawca drzeworytu Harunobo? Ongiś towarzysz zabaw i serdeczny kolega?!

Oczy Teruci zwęziły się, zmieniły w dwie poziome szparki. Wargi Japończyka wykrzywiły się, błysnęły spod nich żółtawe zęby.

- Ogluchłeś, Shannon?! - ryknął wściekle. - Mówię o twojej żonie! Eurazyjka, wiem o tym! Mieszaniec, bękartie nasienie, zakała Azji! Wszyscy jesteście zakałami.

Lotnik ciągle milczał. Mimo zaostrzającej się sytuacji przypominał sobie moment w Hotelu Morskim w Singapurze, gdy brytyjski oficer rzucał pod jego adresem podobne obelgi. Teraz, ironią losu, niemal identyczne słowa wypowiadał wróg! Wtedy żyłasty McLochlona znalazł stosowną odpowiedź. Obecnie on, Peter Shannon, był bezsilny.

- Ostrzegalem cię, Shannon! - Teruci zerwał się ze stołka, dał znak żołnierzom, tkwiącym przy drzwiach, ci zaś podbiegli i wykręcili jeńcowi ramiona do tyłu.

Myśl Shannona pracowała z wysiłkiem. Poczynał rozumieć, iż wrogowi nie zależało na jego osobie i wojskowych informacjach, ale na wytropieniu Betty i prawdopodobnie jej rodziny. Japończycy, rozpoczynający rządy na podbitych Malajach i w zdobytym Singapurze, chcieli wiedzieć wszystko o potencjalnych członkach ruchu oporu. Już teraz chodziły słuchy o chińskiej partyzantce w głębi kraju. Malajczycy na półwyspie byli wprawdzie w większości neutralni, ale każdy człowiek, powiązany w jakikolwiek sposób z Białymi, mógł się stać w przyszłości przeciwnikiem najeźdźców.

- Nie przyznajesz się, Shannon? Nie chcesz otworzyć gęby? Ty psie! My wiemy o tobie wszystko, mówiłem ci już na początku. Wiemy i o twojej suce, byliśmy w twoim domu - niespodziewanie noga Teruci uniosła się, a ciężki but ugodził w brzuch jeńca.

Peter jęknął, skulił się, ale żołnierze poderwali go w górę. Kopnięcia następowały jedno po drugim, wreszcie lotnik, na pół żywy i przytomny, padł bezwładnie na kolana.

- Pożałujesz swego milczenia, psie! Chcesz nas zmylić, co? Ale wiedz, że Kemei Tai potrafi rozwiązać nie takie tajemnice jak twoje, ty biały zwyrodnialec!

Mimo że ciągle podtrzymywały go ręce żołnierzy, Peter osuwał się coraz niżej. Zbierało mu się na wymioty. Był tak osłupiały, że niezbyt pojmował, co się z nim działo. Mimo wszystkiego, co słyszał o metodach Japończyków, nie spodziewał się, by zdolni byli do podobnego postępowania.



Nawet oglądany poprzedniego wieczoru widok nie wydawał mu się gorszy od obecnej własnej sytuacji.

- Będziesz mówił? Peter zwiesił głowę.

- Tak, moja żona jest Eurazyjką...

Teruci zaśmiał się drwiąco, triumfalnie.

- A widzisz! Trzeba było gadać od razu. Gdzie ona?

Bezwładne ciało lotnika chyliło się niżej i niżej, jego czoło niemal dotykało buta Teruci, umyślnie wysuniętego do przodu. Pomimo oplakanego stanu starał się logicznie rozumować i raz jeszcze myśl jego pobiegła ku nieżyjącemu Szkotowi. Co w podobnej sytuacji zrobiłby McLochlone? Zapewne, gdyby nie mógł użyć siły lub ostrego jak brzytwa języka, użyłby wybiegu. I on, Peter Shannon, musi znaleźć wykrętne, wymijające odpowiedzi, grać na zwłokę, przechytrzyć chytrego wroga.

- Gdzie ona jest, Shannon?

- Nie wiem...

But Teruci dotknął twarzy Petera, a potem całą siłą ugodził go w nos.

- Gdzie twoja żona?!

Cienka stróżka krwi pociekła wzdłuż policzków. Cios był dotkliwy, ale przywrócił zdolność trzeźwego rozumowania. Betty jest przecież bezpieczna lub niemal bezpieczna, dosięgnąć jej nie zdołają, można więc powiedzieć całą prawdę o niej.

Teruci stanął w rozkroku. Jego dłoń spoczęła na rękojeści szabli w bambusowej pochwie.

- Gdzie... twoja... żona? - brzmiało to już nie jak groźba, ale zapowiedź niechybnej śmierci.

- Została ewakuowana - wyjąkał Peter.

Teruci skinął głową.

- Aha, ewakuowana. Dobrze. Dokąd, kiedy, jak?

Peter z wysiłkiem uniósł głowę, jego oczy napotkały wzrok oprawcy.

- Nie wiem...

- Zaraz sobie przypomnisz - szabla na pół wysunęła się z pochwy.

„Trzeba powiedzieć, inaczej mnie zabije, a ja nie chcę w ten sposób ginąć - błysnęło w skołatanej głowie jeńca. - Nic jej nie zrobią, ja się uratuję...”

Głos kapitana Teruci zabrzmiał donośnie:

- Dokąd? Kiedy? Jak?

Peter podniósł głowę jeszcze wyżej. Dźwignął się i z wysiłkiem stanął na nogach.

- Dnia trzeciego lutego... odpłynęła na statku „Ni geria”. Nie... nie wiem dokąd...

Teruci puścił rękojeść szabli i zaniósł się przeciągłym, drażniącym uszy śmiechem. Trząśnięty jak człowiek, któremu opowiedziano wspaniały dowcip.

- Na „Nigerii”, co, Shannon? Jesteś tego pewien? - zawołał wreszcie przechodząc na angielski, ale nie czekał na potwierdzenie i mówił dalej, krztusząc się ze śmiechu. - I nie wiesz dokąd? A ja wiem, Shannon. Doskonale wiem. Kemei Tai wszystko wie - nieoczekiwane zachowanie Japończyka uległo krańcowej przemianie. Spoważniał, uklonił się i kurtuazyjnym, niezwykle ugrzecznionym tonem oświadczył - Jest mi niezmiernie przykro, poruczniku Shannon, ale statek „Nigeria” został zatopiony przez nasze łodzie podwodne w sześć godzin po opuszczeniu Singapuru. Nie uratował się

nikt, nawet pańska żona, poruczniku Shannon. Wszyscy zatonieli, cała załoga i pasażerowie.

W pierwszej chwili Peter nie pojął znaczenia słów Teruci. Potem, gdy naga prawda dotarła do jego umysłu, nadal nie chciał wierzyć, brał wypowiedź Japończyka za okrutny żart.

- „Nigeria” zatopiona? Przez łodzie podwodne? To niemożliwe, taiti Teruci, pan się chyba myli...

Dłoń Teruci ponownie spoczęła na rękojeści szabli. Jego poprzednia kurtuazja była zwykłym wybiegiem.

- Skoro ja mówię, to jest nie tylko możliwe, ale pewne, Shannon - powiedział twardo po japońsku.

- Nikt nie ocalał, bo my nie mamy zwyczaju ratowania wrogów naszej wielkiej ojczyzny. To jest wojna, Shannon. My ją wygrywamy i my zapanujemy nad światem. Dokonujemy ogromnego wysiłku, walczymy dla wspaniałej idei i nie mamy zamiaru bawić się w żadne uprzejmości.

Teruci Arnado działał według ściśle obmyślanego planu, podążał do celu wytrwale i metodycznie,

- Gdzie jest rodzina twojej suki, Shannon? Mów!

Peter spodziewał się tego pytania, wiedział, że musi paść, było najzupełniej logiczne, nieuniknione. Wargi jego poruszyły się, ale żaden wyraz nie przeszedł przez nie. Chciał się modlić - przecież ludzie modlą się w ostatnich godzinach życia - wewnętrzny bunt nie zezwalał na ułożenie choćby jednego zdania. „Bez mojej woli włos z głowy żadnemu dziecięciu nie spadnie”... Czy tak to brzmiało? Nie pamiętał dokładnie, do niedzielnej szkółki pastora O’Railey uczęszczał przecież tak dawno...

- Gdzie jej rodzina? Mów!

Lotnik potrząsnął głową jak pies wychodzący z wody. Odzyskał pełnię świadomości. Widział rzeczy i sprawy w przeraźliwie jaskrawym świetle. Czasem takie światło spotyka pilota, gdy przebija się przez chmury, wychodzi ponad nie i znajduje się w oślepiających promieniach słońca.

Przestało mu zależeć na życiu. Skończyło się wtedy, gdy torpedy rozpruły bok „Nigerii”, gdy z pokładu statku skakali do wody przerażeni pasażerowie. Czy Betty bardzo cierpiała? Czy długo się męczyła na powierzchni oceanu? Czy utonęła, trzymając się kurczowo jakiejś belki, kawałka tratwy, szczątków ratunkowej łodzi? Czy dosięgły ją pociski z podwodnego okrętu? A może ciało jej rozszarpały zęby rekinów? Nie ma Betty, nie ma życia. Ale na przekór woli, wbrew pragnieniom, życie ciągle się w nim kołatało. A życiem swoim, nic już niewartym, był w stanie okupić życie innych ludzi, mógł ocalić rodziców żony, uchronić ich przed torturami, których sam doznawał. Nie wahał się długo.

- Nie wiem, gdzie się znajduje rodzina żony, kapitanie Teruci - powiedział nadspodziewanie dla siebie spokojnym głosem.

Poruszając się z przeraźliwą powolnością, Teruci wyciągnął szablę z bambusowej pochwy. Błysnęła stal. Japończyk podsunął broń pod oczy jeńca.

- Gdzie jest rodzina?!

- Nie wiem.

Klinga miecza samurajów poczęła zataczać koła i półkoła przed twarzą lotnika. Mijała o centymetry jego nos, podbródek, uszy. Instynktownie Peter odchylił się do tyłu, ale swobodę ruchów krępowały ręce trzymających go żołnierzy.

Shannon poczuł zadziwiającą równowagę ducha. Nie bał się. Czekał na nieunikniony koniec, pragnął, by śmierć nadeszła jak najprędzej. Za nic w świecie nie ugiąłby się, nie poddał woli

reprezentanta Kemei Tai.

- Gdzie rodzina?

- Nie wiem, ty japońska świni!

Teruci pchnął sztychem, ale Peter, wiedziony podświadomym odruchem, uchylił głowę i ostry koniec broni zamiast w oko ugodził go, w policzek, rozrywając kilka centymetrów skóry.

- Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? Zaraz zmienisz zdanie! Może zapomniałeś? Zaraz sobie przypomnisz!

Teruci z mistrzowską wprawą wywijał bronią, zadawał raz po razie. Ostrze kilkakrotnie przecięło twarz jeńca, ale Peter ciągle jeszcze potrafił uchronić się od śmiertelnego ciosu. Po twarzy spływała mu krew, zalewała oczy. - Jedno z uderzeń dosięgło lewego ucha, przecięło je niemal na pół.

„Dlaczego się bronię? Po co się uchylam? Przecież to nie ma sensu, przecież to koniec”.

Gdy doszło do decydującego momentu, nie chciał umierać, nie chciał tracić życia w bezsensowny sposób. Narastała w nim wściekłość. Teraz, gdy w każdym ułamku sekundy groziła śmierć, pragnął wykorzystać każdą szansę, przeżyć badanie, przetrwać niewolę, znaleźć się na wolności, pomścić w walce śmierć Betty, śmierć McLochlona, śmierć tysięcy innych. Życie, mścić się, zabijać!

Wreszcie Japończyk bądź zmęczył się, znudził, bądź miał inne plany. Opuścił szablę, splunął jeńcowi w twarz i wykrzywił się nienawistnie.

- Masz dosyć, psie?

Peter zamrugał oczami, starał się odzyskać pełnię wzroku. Słabł fizycznie, słaniał się, ale żądza walki i zemsty rozpierała go, stawała się jednym celem, potężnym motorem.

- Przyjdzie i twoja godzina, Teruci – wyjąkał- - Wiem, że przyjdzie. Może się jej nie doczekam, ale...

Taii Teruci wyszczerzył zęby. Zamachnął się i uderzył płazem szabli w głowę ofiary. Ale Peter już wiedział, iż życie jego zostało na razie ocalone. Japończyk po prostu nie zamierzał go jeszcze zabijać. Z pewnością spodziewał się przy następnym badaniu wydusić torturami żądane informacje.

- Na dzisiaj dosyć, drogi poruczniku Shannon. Mamy czas, bardzo dużo czasu. Spotkamy się jeszcze nieraz. Ale ostrzegam, Shannon, następnym razem nie będę tak wyrozumiały jak dzisiaj - głos Teruci syczał przejmująco. - Masz kilka dni do namysłu, więc zastanów się dobrze. To moja przyjacielska rada, Shannon. Albo powiesz mi wszystko, albo zginiesz w sposób, jakiego sobie nie wyobrażasz - Teruci namyślił się i dodał: - I nie spodziewaj się, że zdołasz wydostać się z moich rąk. Widzę po oczach, że chciałbyś uciec. Ano, spróbuj tylko!

Na znak kapitana żołnierze mocniej chwycili jeńca, wywlekli go z pokoju, wyciągnęli z budynku dowództwa i ponaglając uderzeniami kolb karabinów i pałek pognali do obozu.

Z najwyższym trudem dowlókl się do bramy, otrzymał ostatnie uderzenie kolbą. Zatoczył się, wpadł do wnętrza i po chwili zwałił się jak kłoda tuż obok Vincenta.

- Człowieku, co z tobą zrobili? - zawołał przerażony kapitan na widok zmasakrowanej postaci.

Vincent był człowiekiem czynu, nie zwykł tracić czasu. Oddał kawał własnej koszuli, a nie mając pod ręką wody ani żadnych środków opatrunkowych, jak umiał przewiązał rany kolegi. Peter poczuł się trochę lepiej, odpoczynek przywracał siły. Gdy zaś John kończył prymitywne zabiegi felczerskie, Shannon z wysiłkiem, przerywając co chwila, starał się zdać relację z przebiegu badania.

- Mówił, że masz kilka dni czasu, Peter? - spytał półgłosem Vincent.

- Tak.

- Hm, następnym razem możesz nie wytrzymać tortur. Dusza w tobie rogata, ale ciało nie wytrzyma. Wygadasz się, zanim się zorientujesz, co mówisz.

Peter właśnie tego się obawiał. Nie miał pojęcia, co krył w zanadrzu Teruci, nie znał granic wytrzymałości ludzkiej. Kiedyś obito mu się, co prawda, o uszy, iż w taki sam sposób postępowano z ludźmi gestapo w okupacyjnej Europie, przeglądał swego czasu ilustrowane czasopisma, z reportażami o okrucieństwach w Polsce, ale wtedy, w dawnych, beztroskich dniach singapurskiego dobrobytu, o takich sprawach się nie czytało, nie mówiło i bynajmniej nie dawało się im wiary. Shannon z goryczą uświadomił sobie, że o ile ktoś nie doświadczy na własnej skórze, o ile sam czegoś nie przeżyje i nie zobaczy, nie jest wcale skłonny do wiary w przeżycia innych.

- Słuchaj, John. Ja muszę stąd uciec. Muszę! Człowieku, innej drogi dla mnie nie ma - szepnął gorączkowo.

Vincent trząśł z politowaniem głową:

- Szalona, lotnicza pałko! Zgadzam się z tobą w stu procentach, ale łatwo mówić, trudniej wykonać. Widzisz, mój drogi, w czasie twojej nieobecności przydzielono nas do dwudziestoosobowej grupy roboczej. Od jutra rozpoczynamy pracę, będziemy uprzątać gruzy.

Peter nie od razu pojął sens słów kolegi,

- Doskonale - ucieszył się. - Zwieję po drodze do pracy. Przy odrobinie szczęścia nie będzie to trudne.

Na wargach Vincenta pojawił się posępny grymas.

- Ty może zwiejesz, ale dziewiętnastu twoim kolegom utną głowy. Marna perspektywa dla mnie, bo i ja mam zaszczyt znajdować się w tej grupie.

Shannon zwiesił głowę.

- Przepraszam cię, John. Ale mimo wszystko muszę znaleźć jakieś wyjście, Nie chcę umrzeć od szabli tego... tego zwyrodnialca.

## ROZDZIAŁ X

Grupka dwudziestu jeńców, dozorowana przez uzbrojonych strażników, poruszała się powoli, gołymi rękami uprzętała gruzy zalegające obszerny plac z nadbrzeży cieśniny Johore, poprzez którą widać było pierwsze zabudowania i laski otaczające Singapur. Ludzie wycieńczeni głodówką, pragnieniem, biciem, nadmierną pracą i dyzenterią. Ponaglano ich bezustannie bądź kolbami karabinów, bądź grubymi bambusowymi pałami o rękojeściach poczerniałych od częstego używania.

Peter Shannon cierpiał może bardziej od innych, bo nie doszedł jeszcze do siebie po badaniu poprzedniego dnia. Rany policzków i ucha piekły go i bolały, obwiązane przekrwawioną szmatą, zbolełe miał całe ciało. John Vincent pomagał mu, jak umiał, starał się wyręczyć w cięższej pracy i osłonić od razów, nie zawsze się to jednak udawało.

Tuż obok Shannona i Vincenta pracował w milczeniu wysoki, dobrze zbudowany i muskularny Australijczyk z odznakami majora na wybrudzonej i podartej koszuli. Peter poznał go poprzedniego wieczoru i wiedział, że major Geoffrey Tanner pochodził z Melbourne, miał trzydzieści pięć lat, był oficerem zawodowym, podobno mistrzem strzeleckim. Pozostawił w Australii żonę i dwoje dzieci, o których wspominał przy każdej okazji. Córeczka nazywała się Eve i miała siedem lat, młodszy Jack liczył sobie tylko cztery lata. Tanner był raczej milczący i zamknięty w sobie, poważny i ostrożny w wypowiedziach, chociaż pełen swoistego humoru. Przed Peterem i Johnem nie tuił ani nienawiści do wroga, ani pragnienia ucieczki, toteż Shannon bez obawy opowiedział mu o swoich kłopotach.

- Teruci ma do przebadania setki innych jeńców, Peter - mruknął Tanner, korzystając z nieuwagi strażników. - Może zapomni o tobie na dłuższy czas, może na zawsze?

- Ten człowiek nigdy o niczym nie zapomni - odparł z przekonaniem Peter.

- Więc pozostaje ci tylko ucieczka - zdecydował Tanner. - Jeżeli zwiejesz, idę z tobą. Ba, gdybym miał w ręce porządny pistolet!

- Uwaga, przestańcie gadać - upominał John Vincent.

Zamilkli i zabrali się do pracy. Peter, bezustannie szukający w myśli wyjścia ze swej sytuacji i sposobu wymknięcia się ze szponów kapitana Teruci, rzucił okiem w kierunku, gdzie o kilkadziesiąt kroków od niego harował porucznik Stanley White. I on dostał się do obozu Pasir Pandziang. Peter zauważył go rano, przed odmarszem do roboty. Zdążyli wymienić kilkanaście bezładnych zdań. White latał do samego końca. Dopiero gdy jego maszyna rozbiła się w czasie lądowania w leju po lotniczej bombie, chwycił za karabin, bo w Seletar nie pozostał już ani jeden samolot zdolny do lotu. Peter zapytał o Redhilla i dowiedział się, że zginął następnego dnia po odejściu Shannona z dywizjonu. Munro albo zginął, albo znajdował się w niewoli jak i oni.

Płynęły długie godziny, coraz większe zmęczenie ogarniało pracujących, pragnienie wysuszało gardła. Dopiero jednak w południe zezwolono jeńcom na krótki odpoczynek, w czasie którego rzucono im mikroskopijne plasterki suszonej i solonej ryby. Porcja ryżu - dwie łyżki - miała być wydana w obozie wieczorem.

- Człowiek zdechnie na tym żarciu - mruknął ze złością szeregowiec McCarthy, niewysoki i krępy Szkot, służący poprzednio w kompanii Vincenta.

- Zamknij gębę, nie gadaj, a przede wszystkim nie jedz ryby, bo spalisz się z pragnienia - upominał go kapral Goblin, również z tej samej jednostki.

Rozmowy jeńców w czasie pracy i marszu były wzbronione, a kary wymierzane przez strażników nie ograniczały się do uderzeń kolbą czy pałą. W pracującej opodal innej grupie robotniczej australijski porucznik przebity został bagnietem, gdy zwrócił się do kolegi z prośbą o przewiązanie rany, otrzymanej w czasie przesłuchania u Teruci.

Vincent przysunął się bliżej Shannona i mruknął ukradkiem.

- Mam pomysł, chcę go obgadać. Trzeba wieczorem zebrać całą naszą grupę.

Peter skinął w milczeniu głową. I w jego umyśle kształtował się już pewien plan.

Wrzaski wartowników poderwały ich na nogi, a świst pałek przynaglił do pracy. Schylone, przygarbione postaci poczęły się grzebać w ruinach, wynosić cegły, kawałki muru, dźwigać nadpalone belki.

Wieczorem Vincentowi i Shannonowi nie udało się przeprowadzić planowanej narady. Komendant obozu, otyły rikugun-siosa Fumijoto, zarządził zbiórkę jeńców i trzymał ich w dwuszeregu w postawie na baczność przez dwie godziny, podczas gdy kilkunastu gocio [32] przeprowadzało kolejną rewizję i konfiskowało wszystkie pozostałe drobiazgi osobistego użytku. Ludzie byli potem tak zmęczeni, że walili się byle gdzie, jak który stał, i zapadali w kamienny sen. Shannon nie zdołał nawet pogadać ze Stanleyem, chociaż bardzo pragnął wtajemniczyć go w swe zamierzenia.

Dopiero następnego dnia po pracy Peter z Johnem postarali się, by cała dwudziestka grupy rozłożyła się w pobliżu siebie. Już przedtem, rano, Vincent wyłożył przyjacielowi plan, który pokrywał się z projektem Petera. Obaj doszli do wniosku, iż jedynym rozwiązaniem była zbiorowa ucieczka całej grupy.

- W ten sposób nikt nie ucierpi przez kolegów - argumentował Vincent, ale jego przekonywania były zbyteczne.

- Zupełnie się zgadzam, John. Czy myślisz, że można obezwładnić strażników w czasie marszu?

- Wykluczone. Zresztą przy świetle dziennym wyłapałoby nas w przeciągu godziny, a wtedy koniec.

- Więc kiedy?

- W nocy, stąd z obozu - oświadczył z przekonaniem Vincent. - Obmyśliłem całą zabawę, Peter.

Wieczorem, gdy mieli nieco czasu, Vincent wyjaśnił przyjacielowi, że zdążył się zbliżyć i dogadać z jednym z członków grupy, z cywilem o nazwisku McNeill. Był to zdaniem, Vincenta, dziwny osobnik. Po rysach i kolorze skóry można w nim było odgadnąć zlepek wszelkich narodowości i ras, dominowała jednak zapewne krew hiszpańska. Po angielsku mówił jak rodowity londyńczyk - tego John był pewien. Swego czasu McNeill podobno pracował na lotnisku Seletar I twierdził, że znał z widzenia porucznika Shannona.

- McNeill? McNeill? Wydaje mi się, że kiedyś słyszałem to nazwisko... - mruknął Peter.

Vincent nie zwrócił uwagi na słowa przyjaciela i ciągnął dalej. Alan McNeill, jak sam mówił, od lat zamieszkiwał Malaje, ożenił się z Eurazyjką, jak i Peter, miał dorastającą córkę. Japończycy zabili mu żonę, zgwałcili i uprowadzili córkę. Stąd jego nienawiść do najeźdźców, pragnienie zemsty, a przede wszystkim chęć ucieczki.

Prawdę mówiąc, to właśnie on podsunął mi myśl zbiorowego wyłamania się z obozu.

McNeill? Alan McNeill... z całą pewnością ktoś mi o nim mówił. No, może sobie przypomnę. Co dalej?

- On ma brata na Malajach, walczącego w oddzialeku partyzantów w górach, w okolicy Kuala Lipis. Oddziałek podobno składa się z Eurazyjczyków i Chińczyków, jest w nim i kilku białych. McNeill twierdzi, że mamy szansę tam się przedostać.

- Przyprawimy sobie skrzydła i przelecimy nad dżunglą, co? - sarknął Peter ogarnięty nagłą falą pesymizmu.

- Nie, mój drogi, chociaż byłoby to nienajgorsze wyjście. Ale my wywalimy bramę i w nogi. Jest nas dwudziestu, damy radę. Słuchaj, Peter, to jest naprawdę możliwe. Wartownicy są tak pewni siebie, że chłają po nocach sake [33] i niezbyt pilnują bramy. Weźmiemy ich metodą zaskoczenia.

Peter powoli przekonywał się do ryzykownego pomysłu. Zauważył już, że brama ledwie się trzyma na bambusowych ramach. Gorsze było to, że obóz w nocy oświetlano tak silnie, iż każdy ruch byłby natychmiast zauważony i zanim któryś z uciekinierów obejrzałby się, już zostałby naszpikowany pociskami karabinów maszynowych z wartowniczych platform po rogach „klatki”.

Vincent zamyślił się, zmarszczył brwi.

- W tym sęk. Chyba jednak można jakoś przeciąć kable. Trzeba się naradzić z innymi...

Zapadło milczenie, którego Peter nie miał zamiaru przerywać. Chciał jeszcze raz w skupieniu przemyśleć sprawę. Rzecz była oczywiście ryzykowna, niemal niemożliwa do wykonania, ale cóż innego pozostawało?! W obozie długo nie wyżyją, w to nie wątpił. Jeżeli człowiek nie zginie od szabli Teruci czy bagnatów żołdaków, zmoże go głód i dyzenteria. Lada dzień może rozpanoszyć się któraś z tropikalnych epidemii, bo Japończycy nie dbali o zachowanie najprymitywniejszych środków sanitarnych, nawet nie zbudowali latryny, nie mówiąc już o innych urządzeniach. W dodatku rozszedł się rumor, iż cały obóz przeniesiony zostanie nad granicę syjamską, a tam, jak wieść niosła, ludzie marli dziesiątkami i setkami jak muchy. Działać więc należało szybko. Nie chodziło już tylko o sprawę ponownego badania przez Teruci. Racje żywnościowe były tak mizerne, iż jeńcy słabli dosłownie z każdą godziną i za tydzień czy dwa nie mieliby po prostu siły na jakąkolwiek akcję.

„Pogadam ze Stanleyem. Ciekawe, co on myśli” - przeszło mu przez głowę.

Do siedzących w kucki przyjaciół zbliżył się Alan McNeill. Był obszarpany i brudny jak wszyscy, z tą różnicą, że zamiast munduru khaki nosił spodnie, ongiś zapewne białe, obecnie nieokreślonego koloru, oraz kraciastą, bawełnianą koszulę. Twarz miał pociągłą, śniadą, oczy głęboko osadzone. Był szczupły i smukły, ale łatwo można było wywnioskować z układu barków i ramion, że oznaczał się niepoślednią siłą.

McNeill uśmiechnął się łagodnie i przykucnął obok pary oficerów.

- Nasi bohaterscy i nieustraszeni strażnicy zabawiają się opowiadaniem o oglądanym dziś w Singapur widowisku - powiedział spokojnie i nad wyraz swobodnie, płynną, bezbłędną angielszczyzną. - Wspaniałe widowisko polegało na ścinaniu głów opornych jeńców oraz cywilnych Chińczyków i Malajczyków, podejrzanych o antyjapońskie przekonania. Możemy więc spokojnie porozmawiać.

Peter przypatrywał się obcemu uważnie. Starał się go ocenić na pierwszy rzut oka, dopatrzeć, co kryło się pod tą gładką i ugrzecznioną powierzchownością. Od tego człowieka zależeć mogło przecież powodzenie ucieczki. Nie znał go zupełnie, chociaż ciągle miał wrażenie, że słyszał poprzednio jego nazwisko i to niejednym razem. Czy intencje cywila były szczerze? Czy przypadkiem nie był to japoński agent, pragnący sprowokować ucieczkę, a potem wydać w ręce wroga?

- Doskonale, McNeill - ucieszył się Vincent, mający widać całkowicie zaufanie do nieznanego.

- Właśnie rozmawiałem z porucznikiem Shannonem o naszym planie,...

McNeill powstrzymał go łagodnym ruchem ciemnej, opalonej ręki,

- Ad rem, [34] kapitanie, nie traćmy czasu. Szanse powodzenia są mizerne - powiedział cicho, jakby z żalem. - Ale niewątpliwie istnieją. Trzeba jednak zasięgnąć opinii reszty naszej grupy. Albo więcej wszyscy, albo nikt. To zasadniczy warunek.

- Zgadzam się - burknął Peter.

- O ile wiem, poruczniku - McNeill zwrócił się bezpośrednio do Shannona - pan ma specjalne powody, by do ucieczki zabrać się szybko. Ja również. Wielmożny kapitan Teruci to zwyrodnialec, przekonałem się już o tym - dotknął świeżo zagojonej szramy na twarzy. - Koncikusio! - zaklął z pasją po japońsku.

Peter uniósł brwi w górę.

- Pan zna japoński, McNeill?

Uśmiech nie zniknął z ciemnej twarzy cywila, a Shannonowi wydało się, iż w tym uśmiechu kryło się coś... uśmiech miał jakieś znaczenie... ale jakie?

- Znam wiele języków, poruczniku - padła odpowiedź. McNeill przypatrzył się zniszczonej baretce na piersi Petera. - Pan zestrzelił dwadzieścia dwa samoloty japońskie, prawda?

Shannon zdumiał się, zdołał się jednak opanować.

- Tak. Ja pana już gdzieś widziałem, McNeill - nie spuszczał oczu z obcego, badał dalej. - Chyba również słyszałem o panu od kogoś bliskiego.

- Ludzie poznają się w najdziwniejszych okolicznościach, poruczniku. Ale tym razem nic dziwnego, że mnie pan widział. Swego czasu pracowałem na pańskim lotnisku, w Seletar. Wspominał zaś pewnie o mnie major McLochlone, który wielokrotnie wypijał w moim towarzystwie szklaneczkę whisky. Porządny, uczciwy i dzielny człowiek - McNeill zamyślił się. - Szkoda go, chociaż miał piękną śmierć.

Dopiero teraz Peter przypomniał sobie, iż o Alanie McNeill wspominał McLochlone zarówno w Klubie Morskim, jak i później, przed swym ostatnim lotem.

- Poza tym, Shannon, znałem ongiś pańskiego ojca.

- Mojego ojca? - tym razem Peter nie zdołał ukryć zdziwienia.

- Hm. I ja zabawiałem się w plantowanie kauczuku, chociaż przez krótki czas. Spotykaliśmy się zresztą tylko przejściowo, jeszcze wtedy, gdy żyła pańska matka, Helen Mary Shannon. Dawne czasy, poruczniku.

- Taak, dawne - zgodził się zaskoczony i zbity z tropu lotnik.

Nie potrafił rozszyfrować tamtego. Nadal mu nie dowierzał, chociaż McNeill zaczynał mu w nieokreślony sposób imponować. Niepozorny cywil, zachowujący się z niezmierną grzecznością, miał w sobie coś, co wyróżniało go, stawiało jakby wyżej od rozmawiających z nim oficerów.



Peterowi wydało się nagle, iż ma przed sobą dowódcę znacznie starszego stopniem.

Zapadła cisza. Vincent w zamyśleniu wpatrywał się w zabrudzone buty. Wzrok McNeilla błędził gdzieś po bananowym lesie poza ogrodzeniem. Peter, zmarszczywszy czoło, ukradkiem obserwował tajemniczego cywila. Zaduch ludzkich oddechów, ropiejących ran i brudu rozchodził się po „klatce”, tamował oddech. Nawet świeżość nocy nie zdołała go rozproszyć.

„Ile on może mieć lat? Znał ojca i matkę? Musi być o wiele starszy ode mnie, chociaż na to nie wygląda. Co kryje się w tym człowieku? Skąd wiedział o liczbie moich zwycięstw? Skąd znał McLochlona? Dlaczego Szkot miał do niego zaufanie?”

Przykucnął obok nich jeszcze jeden członek grupy, nowozelandzki podporucznik, Len Hitchcock. Skinął głową Vincentowi i Shannonowi, uśmiechnął się przyjaźnie do McNeilla.

- Myślałem o tych przeklętych kablach, Alan, aż mi łeb pękał - szepnął konfidencyjnie. - Wydaje mi się, że znalazłem na nie sposób. Czy mam ci powiedzieć teraz?

- Tak, naturalnie. To bardzo interesujące. Niech pan mówi, poruczniku, tu sami swoi.

Petera znów ogarnęła niechęć i nieufność. Nie ulegało wątpliwości, McNeill przejmował inicjatywę w swoje ręce, stawał się przywódcą, duszą przedsięwzięcia, niczym pułkownik, dowódca bojowej jednostki, przyjmujący raporty zwiadowców. Pomimo niezwykłych warunków i fatalnej sytuacji Peter z trudem mógł się pogodzić z myślą, że on, porucznik królewskiego lotnictwa, przechodził pod rozkazy zwykłego cywila i to niewiadomego pochodzenia.

- Jestem z zawodu elektrykiem - wyjaśnił Hitchcock. - Miałem kiedyś przed wojną warsztat elektrotechniczny w Wellington. Maleńki warsztacik, sam w nim pracowałem, matka trochę pomagała. Jak to było strasznie dawno... - zamyślił się i zwiesił głowę.

- Czas biegnie niekiedy bardzo szybko, niekiedy zaś wlecze się w tempie żółwia - zauważył współczująco McNeill.

Shannon zniecierpliwił się. Co go teraz obchodziły przedwojenne czasy i warsztat w Wellington? Po co McNeill wygłupia się ze swymi pseudofilozoficznymi uwagami? Każda godzina jest cenna, a oni świadczą sobie grzeczności, jakby znajdowali się w hallu hotelu Park Lane w Londynie lub na dworskim przyjęciu w pałacu Buckhimgham. Bloody hell! Czy zapomnieli, że siedzą w ogrodzonej, śmierdzącej klatce i lada chwila mogą otrzymać od strażnika pałką po tyłku?!

Hitchcock podniósł głowę, ocknął się z zadumy, zabrał głos. Zauważył już poprzednio, że kable i ich złącza biegły tuż za drutami ogrodzenia. Japończycy nie postarali się, by obóz lepiej urządzić, może zamierzali go przenieść wkrótce i nie dbali o dokładniejsze wyposażenie. Hitchcock, jak twierdził, miał długie ręce, mógł dosięgnąć kabli poprzez druty i spowodować spięcie.

McNeill rozjaśnił się, poklepał Nowozelandczyka po ramieniu, ale po chwili zmarszczył brwi.

- Pomysł dobry, Hitchcock, niemniej Japończycy połapią się od razu i podniosą alarm. Zresztą nie będzie pan mógł uciekać z nami, skoro pan będzie przy kablach.

Hitchcock bynajmniej się nie skonfundował. Wyjaśnił dopiero ogólny pomysł i przeszedł teraz do szczegółów. Kable zamierzał połączyć wcześniej, jeszcze przy świetle dziennym, gdy lampy i reflektory nie będą się palić. Potem, już o zmroku, gdy któryś z wartowników przekreśli wyłącznik w baraku, nastąpi właściwe spięcie i unieruchomienie całego systemu oświetleniowego.

- Wspaniale - obecnie McNeill był całkowicie zadowolony. - To rozwiązuje sprawę. Zabierajmy się do najważniejszego zagadnienia. Spytajmy reszty, co myśli o naszym planie. Jak już mówiłem – albo wszyscy, albo nikt. Trzeba również podkreślić w rozmowie z ludźmi, że w czasie ucieczki pójdziemy na całego. Jeżeli ktoś odniesie rany, czy też pozostanie z tyłu, nikt po niego nie wróci, nikt

mu nie pomoże.

- Jak można... - wyrwało się Peterowi.

- To konieczne, poruczniku - wyjaśnił cierpliwie McNeill. - Wiem, że się to wydaje niekoleżeńskie, nawet nieludzkie, ale sprawa jest zbyt poważna. Opóźnienie spowoduje wpadkę i śmierć wszystkich. Trzeba też podkreślać stanowczo, że jeżeli któryś z grupy nie opuści obozu z nami, niechybnie zginie.

Do rozmowy spiskowców wtrącił się siedzący obok podporucznik RAFu, George O'Brien, niewysoki i jasnowłosy Irlandczyk, pilot rozpoznawczego dywizjonu maszyn „Catalina”. O'Brien został zestrzelony i schwytany przez wroga w początkach oblężenia Singapuru, przebywał w Pasir Pandziang zbyt długo, jak na jego upodobania.

- Ci, co zwieją, też zginą, tylko trochę później - zauważył pesymistycznie.

- Czy to znaczy, że chcesz zgnieć tutaj, w tym zaduchu, George? - spytał Peter, który znał Irlandczyka jeszcze przed wojną, a potem latał z nim wielokrotnie na różne zadania, przeważnie na pozorowane ataki powietrzne.

- Jeżeli zwieję, zdechnę w dżungli. Jeżeli zostanę, zatłuką mnie Japończycy, przecież jestem w waszej grupie. A czy wydaje się wam, że tak łatwo przedostaniecie się do partyzantów? Przecież cały półwysep jest w rękach „żółtków”, poza tym nie znamy drogi!

- Odpowiedz na pytanie. Zostajesz, czy wiejesz? - nalegał Peter.

- Go to hell [35], Peter! Oczywiście wieję!

Shannon odczołgał się na bok. Chciał w pierwszej mierze spytać o zdanie Stanleya White'a, ale natknął się wpierw na majora Tannera. Powiadomił go pokrótce o planie. Australijczyk uniósł się na łokciu i zwięźle oznajmił, że oczywiście przyłącza się do grupy uciekinierów, oczywiście będzie wojował z partyzantami i żałuje tylko, że nie ma pod ręką broni palnej bo mógłby w czasie wyłamywania się z obozu ukatrupić kilku „żółtków”.

- Co prawda, wolałbym wiać na południe, do Australii - burknął.

- To trzy i pół tysiąca kilometrów, majorze, przeważnie oceanem.

- Wiem. Idę z wami na północ. Wiesz, co Shannon, trzeba się jakoś uzbroić.

- Jak?

- Nie wiem, ale trzeba. Ej, gdybym miał w garści porządnego „colta”!

- Pobożne życzenia, majorze.

- Może się kiedyś spełnią.

Podczas gdy John Vincent rozmawiał kolejno z częścią grupy, Peter starał się wysondować opinię reszty. Stanley White, osowiały i apatyczny, krańcowo przygnębiony, wysłuchał przyjaciela, rzucił kilka pytań, kiwnął głową akceptując plan i pogrążył się w smętnym milczeniu. Herbert Hancock, drugi obok McNeilla cywil, zapędzony do obozu po upadku Singapuru, bez wahania zgodził się na sugestie Shannona. Hancock, przystojny i wysoki mężczyzna o nienagannych manierach światowca, przed oblężeniem właściciel wytwornego lokalu rozrywkowego, znosił niewolę ze stoickim spokojem, ale nie miał zamiaru pozostać w Pasir Pandziang wiecznie. Sierżant Jacob Smith, aż do kapitulacji dowodzący gniazdem karabinów maszynowych zgodził się równie łatwo jak Hancock.

Nieco kłopotu miał Peter z przekonaniem porucznika artylerii Josepha Alcocka, przezwanego przez znajomego go Vincenta „padre”, z racji nadmiernej i przesadnej religijności. Alcock, trzydziestoletni mężczyzna o wysokim czole i nieco cofniętej dolnej szczęce, twierdził uparcie, iż

należy wszystko pozostawić w ręku Boga i modłami wyblagać ocalenie. W krótkiej i zaciętej dyskusji Peter zdołał mu jakoś udowodnić., że takie stanowisko było równoznaczne z fatalizmem i niezgodne z nauką Chrystusa.

Gdy Shannon, Vincent i McNeill, tworzący rodzaj sztabu spiskowców, ponownie przykucnęli koło siebie, a Peter zdał relację ze swych rozmów, John oświadczył:

- Teraz mamy pełny obraz sytuacji w grupie. Właściwie wszyscy są z nami. Gadałem z Duvałem..

- To ten mały Francuz, obieżyświat, tak?

McNeill cichutko zachichotał.

- Trafne spostrzeżenie, poruczniku Shannon, Henri Duval zwiedził cały świat. W Singapurze znalazł się przypadkiem i również przypadkiem dostał się do japońskiej niewoli. Bardzo porządny, uczciwy i wartościowy człowiek.

- Pan wie bardzo dużo, McNeill - zauważył z przekąsem Peter.

- Człowiek ma uszy od tego, by słuchać. Oczy od tego, by patrzeć, a język od tego... by go nie zawsze używać.

Vincent rozgniewał się. Nie lubił, gdy mu przerywano, poza tym robiło się późno, trzeba było wkrótce ułożyć się do snu.

- Przestańcie się kłócić i słuchajcie dalej. Duval się zgadza. Obaj marynarze z „Repulse” również. Ten Polak, Grocholski, aż piszczy, by się stąd wyrwać i bryknąć jak najdalej.

- Polak? - zdziwił się Peter. - Skąd się wziął tutaj Polak?

Jak zwykle McNeill okazał się doskonale poinformowany. Wyjaśnił, że Grocholski był marynarzem, pływał na tankowcu „Northern Star”, należał do niewielkiej grupki ocalałych członków załogi, bowiem jego statek został zatopiony przez łodzie podwodne.

Tym razem Peter powstrzymał się od złośliwego komentarza. Odczuwał rosnący respekt dla tajemniczego cywila.

Vincent ciągnął swe sprawozdanie. W grupie znajdowało się dwóch podoficerów i dwóch szeregowców z jego kompanii. Kaprale i Goblin i Turnhouse oraz szeregowcy McCarthy i Cookins bez zastrzeżeń przyjęli sugestie byłego dowódcy. Sierżant Sommers, swego czasu bokserki mistrz armii w wadze ciężkiej, na wieść o szykowanej ucieczce zacisnął ogromne pięści i oświadczył, że porozwala lby wszystkim „żółtkom”, którzy mu staną na drodze.

- Najgorzej jest z kapitanem Bradleyem – kończył John - Stanowczo się sprzeciwia, nie chce o niczym słyszeć. Boi się, a nawet grozi, że doniesie Japończykom. Ten człowiek załamał się i nie mam pojęcia, co z nim zrobić.

Oczy McNeilla błysnęły groźnie, ale powiedział ze zwykłym sobie spokojem i opanowaniem:

- Dziewiętnastu na jednego to wielka przewaga. Przez kapitana Bradleya nie możemy zaprzepaszczać szansy całej grupy. Trzeba mu to powiedzieć i trzeba, hm, dać do zrozumienia, że w razie donosu jego życie nie jest warte złamanego pensa.

Peter ziewnął szeroko, poprawił szmatę na głowie.

- Jutro się z nim rozmówimy na uboczu. Teraz za późno - zdecydował.

- Słusznie - zgodził się grzecznie McNeill. - Pan musi być bardzo zmęczony po przedwczorajszej przeprawie u Teruci. Jutro więc. Wydaje mi się, że należy popróbować ucieczki już jutro, w jakieś dwie godziny po ostatniej zbiórce. Przedtem należy jeszcze ustalić pewne szczegóły.

- Jakie? - Peter spojrzał mu wprost w oczy. Był przekonany, że McNeill dawno o wszystkich

szczegółach pomyślał.

- Jutro, poruczniku Shannon - odparł miękko McNeill, wytrzymując przenikliwy wzrok lotnika. Pokręcił się i ułożył do snu na twardej ziemi, w której wygniótł poprzednio trzy wgłębienia pod bark, żebra i biodro.

## ROZDZIAŁ XI

Następny dzień pokrzyżował plany uciekinierów i wydawało się, że je zgoła uniemożliwił. Z samego rana trąbka oznajmiła zbiórkę w obozie, gdy zaś jeńcy ustawili się w długim dwuszeregu, zjawił się przed frontem rikugun-siosa Fumijoto w otoczeniu oficerów i podoficerów. Tym razem komendant posłużył się tłumaczem, zapewne nie chcąc więcej kłaść swych warg obcym językiem. Tłumacz zakomunikował, iż obóz zostaje przeniesiony na drugą stronę cieśniny, na wyspę Singapur, do właściwego Pasir Pandziang. Na rozkaz komendanta oznajmił również, że jeśli któryś z jeńców będzie na tyle lekkomyślny, by w czasie przeprowadzki próbował ucieczki, zapłaci za to życiem pięćdziesięciu jego kolegów. Zarządzono odmarsz i kolumna jeńców, otoczona dziesiątkami żołnierzy uzbrojonych w automatyczne pistolety i bambusowe pałki oraz w karabiny z nasadzonymi bagnietami, ruszyła ku wybrzeżu, by przeprowić się na motorowych barkach na drugą stronę Johore.

Nieoczekiwane posunięcie Japończyków postawiło grupę Shannona w trudnej sytuacji, kompletnie ją dezorientowało i kazało odłożyć projekty na nieokreślony przeciąg czasu. Nikt nie wiedział, jak wyglądać będzie nowy obóz i czy uda się z niego uciec.

W czasie przeprowadzki wydarzył się znamieny incydent. Kapitan Bradley, ten właśnie który stanowczo odmówił przystąpienia do planu spiskowców, przy wsiadaniu do barki pośliznął się. Niechybnie wpadłby do wody, gdyby idący obok porucznik Smith, gadatliwy i dobroduszny Australijczyk, nie podparł go ramieniem i nie dopomógł w odzyskaniu równowagi. Drobną ta scenka nie uszła uwagi strażników. Natychmiast do Bradleya i Smitha podbiegło kilku żołnierzy,

Bez słowa odciągnęło od szeregu, a paru innych Japończyków pchnięciami bagnietów zamordowało obu. Reszta eskorty, widząc groźne poruszenie pośród jeńców, poczęła z niezwykłą wprawą rozdzielać na lewo i prawo uderzenia bambusowych pałek, a tłumacz przez megafon ostrzegł, iż karabiny maszynowe są w pogotowiu i zostaną w razie czego użyte.

Bez dalszych „incydentów” załadowano jeńców na łodzie, a w krótkim czasie zamknięto wszystkich za drutami obozu, nie różniącego się niczym od poprzedniej „klatki”.

- Jak było! Gorzej niż było! Co za traktowanie! – warczał major Tanner, gdy grupa, trzymająca się teraz rozmyślnie razem, rozlokowała się na niewielkim skrawku wolnej przestrzeni.

McNeill przyglądał ciemne włosy, pośród których nie widniała ani jedna nitka siwizny. - Cóż, majorze, w każdym kraju panują inne zwyczaje - zauważył filozoficznie. - Czy uwierzy pan, że oni w podobny sposób, chociaż odrobinę łżejszy, traktują własnych rekrutów?

- Nie uwierzę — odburknął: Tanner.

Vincent wtrącił się do rozmowy:

- Powiedzcie mi, na czym polega ta mistyfikacja z Pasir Pandziang? Przedtem byliśmy w Pasir Pandziang, potem przepłynęliśmy przez cieśninę i znów jesteśmy w Pasir Pandziang. To nie ma sensu, chyba że każdy obóz jeńców tak się u nich nazywa.

McNeill okazywał się niewyczerpaną skarbnicą informacji. Wyjaśnił, że obóz w zasadzie zaplanowany był we właściwym Pasir Pandziang, na singapurskiej wyspie. Japończycy już dawno

przewidywali zdobycie twierdzy i projektowali zamknąć część jeńców w bezpośredniej bliskości miasta. Poprzednia zaś „klatka” była zastępcza, nosiła jednak dla porządku tę samą nazwę.

Peter wstał, przeszedł kilka kroków, uważając, by nie nadepnąć na któregoś z siedzących lub leżących jeńców. Zauważył, że wielu ludzi chorowało na krwawą biegunkę i w braku odpowiednich pomieszczeń musiało spełniać naturalne potrzeby publicznie, gdzie się dało. W tropikalnym, dusznym powietrzu, w potokach bezlitośnie palącego słońca, epidemia dyzenterii była kwestią najbliższego czasu. Peter starał się nie wdychać odrażającego odoru, wrócił do kolegów i z westchnieniem opuścił się na ziemię.

- Pomówmy o naszej sytuacji - zaproponował zgnębionym głosem. - Nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Zapadła cisza, dopiero po chwili odezwał się McNeill, starannie ważąc słowa. Uważał on, że w istocie niewiele się zmieniło, tyle że obóz znalazł się po drugiej stronie Johore.

- I oddalił się od partyzantów - burknął ze złością Peter.

McNeill odwrócił się do niego z wyrozumiałym uśmiechem.

- Kilka mil więcej, kilka mil mniej, co za różnica?

Nerwy Shannona napięte były do ostateczności. Ciągły ból powoli gojących się ran, zmęczenie fizyczne, pragnienie i straszliwy smród obozowy odbierały mu panowanie nad sobą, a filozoficzny, niezrozumiały spokój McNeilla doprowadzał do rozpacz.

- Łatwo panu kpić, McNeill - wybuchnął. - Ja mówię poważnie. Jak się przedostaniemy przez wodę? Nie przepłyniemy chociaż z tej przyczyny, iż rekiny nie lubią pływaków.

- Dlaczego nie mamy się przepawić, poruczniku?

- Przestań się pan wygłupiać, McNeill, mów do rzeczy albo nie mów wcale!

Vincent położył uspokajająco dłoń na ramieniu rozgorączkowanego przyjaciela.

- Mnie martwi jedno - zauważył, starając się zażegnać wiszącą w powietrzu sprzeczkę. - Jeżeli rozbija naszą grupę, będziemy musieli organizować wszystko od nowa. Ab initiam[36], jakby powiedział nasz biegły w łacinie kolega - lekko uśmiechnął się do McNeilla. - Rzecz się rozniesie i kto wie, czy nie dojdzie do Japończyków.

- Bradley już nas nie wyda - burknął Tanner.

Uśmiech nie zniknął z ciemnej twarzy McNeilla.

- Nie rozbiją naszej grupy - powiedział z przekonaniem. - Od jutra rozpoczynamy uprzątnię gruzów tutaj, na wyspie.

- Skąd pan wie? Cudotwórca z pana? Wróżka? Indyjski fakir? - rzucił się Peter.

- Nie drogi, poruczniku Shannon, ale zdążyłem porozmawiać z jednym ze strażników. I pośród nich zdarzają się ludzie uczciwi, a przede wszystkim gadatliwi - wyjaśnił z olimpijskim spokojem McNeill, bynajmniej nie obrażony wyzywającym zachowaniem się lotnika.

Peter ochłonął. Ogarnął go wstyd. On, dojrzały mężczyzna, zahartowany w bojach myśliwiec, zachował się jak smarkacz, młokos, uniósł się bez przyczyny, podczas gdy tamten działał dla dobra całej grupy. Shannon przeciągnął ręką po czole nagle pokrytym potem, przypadkiem dotknął nie zagojonej jeszcze rany na policzku i syknął z bólu.

- Przepraszam - powiedział i wyciągnął do McNeilla rękę. - To wszystko może wykończyć najspokojniejszego człowieka.

- Może - zgodził się pojednawczo McNeill i mocno uściśnął podaną dłoń. - A więc do rzeczy, gentlemen. Sprawa polega na tym, że w Paja Lebar, o sześć mil stąd, mam domek. Jeżeli go

Japończycy nie spalili, powinien jeszcze stać. Wątpię, by go okupowano, bo to prawdziwa rudera - zastanowił się chwilę. - W domku mam ukryte zapasy żywności, pieniądze, a nawet parę pistoletów...

- Pistoletów? By Jove[37], wspaniale! - przerwał mu z zachwytem Tanner.

- Wiem również, gdzie można dostać łódź rybacką.

Vincent podskoczył z wrażenia.

- Myśli pan, McNeill...

- Aut mors, aut victoria[38]. Myślę, że nasz plan nie powinien w niczym ulec zmianie - odparł powoli cywil. - Zbadałem pobieżnie teren obozu, przyjrzałem się ogrodzeniu i bramie, rozważyłem szanse.

Z dalszych słów McNeilla wynikało, iż obóz nie różnił się od poprzedniego, a brama była równie słaba - po prostu sklecono ją z bambusów, powiązanych w kształt ramy, przez którą przeciągnięto kilkanaście pasem drutu kolczastego. McNeill uważał, iż Nowozelandczyk Hitchcock winien przed zapadnięciem zmroku złączyć kable, biegnące i tutaj tuż za ogrodzeniem. Grupa składająca się z dziewiętnastu jeńców, jako że kapitan Bradley odpadł, zbierze się w pobliżu bramy. Gdy nastanie ciemność, a w tropikach przeskok między dniem i nocą jest bardzo gwałtowny, i gdy nastąpi krótkie spięcie przewodów elektrycznych, na sygnał: „Jazda”, dany przez McNeilla, wszyscy rzucą się na bramę, wywalą ją i potem całym pędem puszcza się przez okalający obóz las, wprost na północ, by dotrzeć do drogi, którą pędzono ich z wybrzeża do obozu.

McNeill dobrze przemyślał całą rzecz. Gdy zbiegowie dojdą do rozwidlenia, skręcą w lewo i dotrą do miejsca gdzie rosną trzy wysokie, kokosowe palmy. Są one doskonałym punktem orientacyjnym. O sto metrów od nich stoi domek McNeilla, a raczej stał przed miesiącem. Domek położony był niemal nad samym brzegiem, na ustroniu, z dala od jakichkolwiek zabudowań. W lewo od domku, za niewielkim gajem, rybacy zwykle wyciągali na piasek swe łodzie. Niektóre z nich były całkiem duże, miały maszty i żagle. To był cel numer jeden - zdaniem McNeilla. Gdy odnajdą łodzie, przeprowią się na nich na drugą stronę cieśniny, zapadną w dżunglę.

- Później zobaczymy. Trudno mi teraz podać całą marszrutę do Kuala Lipis, nikt by nie zapamiętał. Pan, poruczniku - zwrócił się McNeill do Shannona - zna tutejszy teren, prawda?

- Oczywiście. Jesteśmy w pobliżu lotniska Seletar.

- Zgadza się - przytaknął McNeill. - Orientuje się więc pan doskonale, o jakich drogach mówię. Proszę to wyjaśnić wszystkim, każdy musi wbić sobie w głowę marszrutę do łodzi. W czasie ucieczki nie będzie czasu na rozpytywanie, a nie wiadomo, czy po drodze się nie rozdzielimy. I jeszcze jedno: przy łodziach możemy czekać tylko do północy. Jeżeli do tego czasu ktoś nie zdoła się tam dostać - trudno. Musimy przeprowić się przez Johore w nocy.

- Skąd weźmiemy zegarek? - zatroszczył się Vincent.

McNeill raz jeszcze się uśmiechnął.

- Zasłońcie mnie - rozkazał.

Gdy go otoczyli, tworząc parawan przed oczami przechadzających się za ogrodzeniem wartowników, McNeill usiadł, zdjął but z prawej stopy. Pomajstrował przy obcasie. Po chwili trzymał w ręce płaski, kieszonkowy zegarek.

- Rewidowali dokładnie, ale tam nie zajrzeli - wyjaśnił z zadowoleniem.

Peter pokręcił głową z podziwem i impulsywnie wyciągnął rękę.

- Przykro mi, Alan, po raz drugi przepraszam. Początkowo nie dowierzałem panu... I dziękuję za wszystko.

- W porządku, Peter. A na podziękowania za wcześniej. Przyjdzie na nie czas, gdy, jak mawiał pański nieżyjący dowódca, wychylimy szklanę prawdziwie męskiego trunku. Zresztą... - McNeill zasepił się na chwilę - kto wie, kto komu i kiedy będzie dziękował? No, pójdę pogadać z Hitchcockiem. Sprawa wygaszenia świateł jest zasadniczej wagi.

Gdy Peter z Johnem zostali sami, o ile można być samotnym w otoczeniu setek ludzi zбитych na mikroskopijnej przestrzeni, Vincent zagadnął:

- Co myślisz o tym człowieku, Peter?

Odpowiedziało mu wymowne wzruszenie ramion. Nie zważając na milczenie przyjaciela Vincent ciągnął:

- Ja też mu nie dowierzałem. Ale teraz jestem przekonany o jego szczerych intencjach. Pomyśl, Peter, co przysłoby mu z tego, by nas wydać? Co nas może czekać gorszego od bagnetu czy szabli Teruci?

Mięśnie na twarzy Shannona zadrgały. I on przekonał się już do cywila, przypomniał sobie, iż major McLochlon miał zaufanie do Alana McNeilla, a Szkot znał się na ludziach. Należało jednak być nadzwyczaj ostrożnym.

- Słyszałeś może o torturze bambusowej, John?

Vincent zaprzeczył.

W czasie tej ucieczki nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Idziemy na całego - powiedział Peter pozornie bez związku z poprzednim pytaniem. - Tanner już przygotował sobie broń, którą nazywa „bolo”.

- Cóż to takiego?

Kawał ołowiu przymocowany do długiego postronka. Tanner twierdzi, że zdoła tym rozwalić głowę każdemu „żółtkowi”. Ale jeżeli zabijemy chociaż jednego strażnika, Japończycy, jeśli nas złapią, nie ograniczą się ani do szabli, ani do bagnetu.

- Czy Tanner rzeczywiście jest takim wyborowym strzelcem jak się chwali?

- Nie mam pojęcia.

Vincent lekko westchnął.

- Co to jest tortura bambusowa?

Peter zniżył głos i mówił powoli, akcentując wyrazy:

Przywiązuje się, a raczej rozkrzyżowuje rozebranego człowieka na młodych pędach bambusowych, przytwierdzając dłonie i stopy do wbitych w ziemię kołków. Bambus rośnie przeciętnie około pięciu cali na dzień, a jego końce są ostre jak igły. Wbijają się one w ludzkie ciało z szybkością pięciu cali dziennie. To gorsze od szabli i bagnetu, John.

Kapitan Vincent popatrzył uważnie na przyjaciela i roześmiał się nienaturalnie,

- Strach cię obleciał?

Peter zachnął się.

- Mnie już wszystko jedno. Mnie nie złapią żywcem, a zresztą...

John Vincent przysunął się bliżej i położył rękę na ramieniu lotnika.

- Peter, wiem, że o tym trudno mówić, ale... słuchaj, czy twoja Betty naprawdę nie żyje? Przecież Teruci mógł zęłgać...

Shannon zacisnął wargi.



- Nie mówmy o tym teraz, John. Muszę trzymać nerwy w garści, rozumiesz? Teruci nie kłamał, każdy poznałby, że mówił prawdę...

## ROZDZIAŁ XII

Gromady pochylonych, przygiętych brzemieniem pracy, krańcowo wyczerpanych jeńców wracały ociężale do obozu Pasir Pandziang. Popędzały ich i przynaglały wrzaski i uderzenia bambusowych pałek strażników. Ludzie przechodzili przez bramę, otwartą na ich przyjęcie, i rzucali się na ziemię. Niektórzy, mniej wytrzymali, rezygnowali nawet z mizernej porcji ryżu, byli zbyt zmęczeni, a pragnienia ich nie gasił kubek ciepłej i brudnej wody, wydzielanej z aptekarską skrupulatnością przez władze obozowe. Powietrze było wciąż duszne i parne, najłżejszy wietrzyk nie poruszał gałęzi bananowców. Słońce, chylące się ku widnokręgowi, nadal paliło i piekło. Ckliwe odór roznosił się po całej „klatce”, powodując mdłości i wymioty. Biegunka odbierała resztki sił.

Nie pozwolono jeńcom na dłuższy odpoczynek. Dźwięki trąbki, tak dobrze już wszystkim znane, oznajmiły zbiórkę na wieczorny apel. Trzeba było nie tylko zwlec się z legowiska, ustawić w dwuszeregu i wyczekiwać na komendanta i jego podwładnych, ale również przejść przez ceremonię przeliczania jeńców, przeprowadzoną z niezwykłą drobiazgowością, zwykle przeciągającą się nad miarę, gdy bowiem liczący podoficerowie pomylili się, wszystko rozpoczynało się od nowa i apel trwał czasem do północy. W dodatku – i to było najgorsze - nikt nigdy nie wiedział, co strzeli do głowy opasłemu rikungun-siosa Fumijoto lub jego zastępcy, taii Kumiko Adzano. Okrutne kary, włącznie z karą śmierci, wymierzano za najłżejsze, czasem wyimaginowane „przewinienia”.

Tego jednak dnia odbyło się szczęśliwie bez zbytniego przeciągania apelu. Dwóch japońskich socio [39] dokonało rachunku, złożono raport komendantowi. Ten poprawił okulary na nosie i wydał krótki rozkaz. Ponownie odezwała się trąbka, dwuszereg załamał się i na powrót przemienił w kłębowisko ludzi, starających ułożyć się jak najwygodniej do spoczynku, zasnąć i choć na krótko zapomnieć o swym losie.

Tuż przy wysokim ogrodzeniu z kolczastego drutu rozłożył się jak długi nowozelandzki podporucznik, który tam właśnie znalazł trochę wolnego miejsca. Musiał być bardzo zmęczony, może nawet chory, bo kilka razy ziewnął przeciągle i chociaż słońce jeszcze nie zaszło, położył się na boku, po chwili przekręcił na drugi bok, wreszcie znieruchomiał i donośnie zachrapał.

O metry od niego siadł z podwiniętymi pod siebie nogami obszarpany, opalony na ciemny brąz cywil w podaniach nieokreślonego koloru i kraciastej koszuli. I on był z pewnością zmęczony i śpiący, bowiem oczy miał przymknięte i kiwał się, jakby zapadał w drzemkę. Dziwna to była jednak drzemka, gdyż cywil co chwila unosił powieki i błyskawicznie spoglądał w lewo i w prawo, a przedmiotem jego zainteresowania byli wartownicy miarowo spacerujący poza ogrodzeniem. Cywil nie spuszczał z nich oczu, gdy zaś Japończycy zniknęli za rogiem obozu i skryli się poza strażniczą platformą, szybko nachylił się i ledwie dosłyszalnie szepnął do chrapiącego Nowozelandczyka:

- Teraz, Len, prędko. Nikogo w pobliżu nie ma!

Długie ramiona „śpiącego” wyciągnęły się z wolna jak macki, przesunęły pod dolnym drutem ogrodzenia. Palce napotykały leżący w trawie kabel. Len Hitchcock manipulował przy nim przez moment, potem nerwowo odwrócił się do cywila.

- Alan! Nie mogę dosięgnąć drugiego kabla - stęknął z rozpaczą.

Alan McNeill nie tracił zimnej krwi. Ciągłe zerkając w lewo i w prawo, starając się jednocześnie odgradzić Hitchcocka od innych jeńców, odszepnął:

- Przysuń się bliżej, próbuj jeszcze raz. Teraz, Len, śmiało! Wszystko jest w porządku.

Ciało Nowozelandczyka poruszyło się, znalazło przy samym ogrodzeniu, ramiona ponownie wypełzły na zewnątrz.

- Mam!

McNeill wydał westchnienie ulgi, ale jego bystry wzrok w porę wykrył niebezpieczeństwo.

- Len. Cofnij się powoli. Leż spokojnie. „Żółtek” idzie.

Gdy po chwili przechodził w tym miejscu japoński wartownik, dostrzec mógł wewnątrz ogrodzenia jedynie nieruchomą i przeciągle chrapiącą postać nowozelandzkiego podporucznika i kiwającego się obok, również „uśpionego”, cywila w brudnych spodniach i kraciastej koszuli. Żołnierz obrzucił ich obojętnym i znudzonym spojrzeniem, poprawił karabin na ramieniu i poszedł dalej.

- Teraz, Len!

Palce byłego elektrotechnika z Wellington wprawnie manewrowały przy kablach. Oczy McNeilla wypatrywały strażników, nie przeoczyły żadnego poruszenia poza drutami.

- Prędzej, Len.

Wydawało się, że praca nigdy się nie skończy. Sekundy miały przeraźliwie powoli, a każda z nich miała w sobie zarodek niepowodzenia, klęski, okropnej śmierci.

- Już, dobrze... — Nowozelandczyk odsapnął i niespostrzeżenie wycofał się na odpowiednią odległość od ogrodzenia.- Skończyłem, Alan.

McNeill nachylił się nad nim.

- Czy jesteś pewien, że... - nie dokończył zdania, ale sens był najzupełniej zrozumiały.

Hitchcock energicznie kiwał głową.

- Najzupełniej, to znaczy... - zająknął się. - O ile w podobnej sytuacji można w ogóle być czegoś pewnym...Kable skryłem w trawie, nie dojrzą złączenia....

- Dobrze. Ruszamy się stąd.

Podnieśli się powoli, przeciągnęli i zmęczonym, znużonym krokiem powlekli w stronę wyjściowej bramy, przed którą, jak zwykle, stało lub spacerowało kilkunastu jeńców, mniej widać wyczerpanych od pozostałych kolegów niedoli i nie odczuwających jeszcze potrzeby spoczynku. McNeill wyłonił spośród nich wysoką postać Shannona i zatrzymał się koło niego.

- Załatwione. Co tutaj?

Peter poruszył się, obrócił twarzą do cywila.

- W porządku. Za piętnaście minut zapadnie mrok - zauważył podnieconym głosem.

- Za piętnaście minut nastąpi krótkie spięcie – dorzucił z odcieniem dumy Len Hitchcock.

Krwisty krąg słoneczny opadł już pomiędzy pnie bananowców, zniknął za nimi, skrył się pod horyzontem, zatonął w bezmiarze oceanu. Niebo czerwieniało jeszcze na zachodzie, ale szybko przybierało kolor ciemnofioletowy, przechodzący od strony wschodniej w granat i czerń. Było jeszcze względnie jasno, ale mrok zapadał szybko.

Obok Shannona i McNeilla, rozmawiających niby od niechcienia z Hitchcockiem, przeszli powolnym krokiem, trzymając się pod rękę, Vincent z Tannerem. Przechadzali się tam i na powrót, pozornie bez celu, nie oddalali się jednak bardziej niż o dwadzieścia kroków od bramy, rzucali

ukradkowe spojrzenia na McNeilla.

Również w pobliżu bramy siedzieli w kucki dwaj. bosmani z „Repulse”, George Brown oraz Teddy Clay, i dzielili się wrażeniami z ostatnich chwil swego pancernika. Spierali się zajadle o liczbę japońskich samolotów, o miejsca trafień torped, o dokładną godzinę opuszczenia pokładu tonącego okrętu.

O dwa kroki od nich Cookins, Goblin, Smith, McCarthy i Turnhouse zabawiali się grą w kości, sporządzonych z kawałków bambusu. Podniecali się, wygrywali lub przegrywali porcje ryby i kubki wody - jutrzejszą rację żywnościową.

Porucznik Joseph Alcock i polski marynarz, Tadeusz Grocholski, wymieniali uwagi na temat przebiegu kampanii w Polsce. Często dopomagali sobie żywymi gestami dłoni, kreślili na ziemi strategiczne szkice, wymieniali ilość dywizji hitlerowskich i polskich, zdumiewali się nad kolosalną przewagą powietrzną Niemców.

Henri Duval, drobny i czarny, wprost miniaturowy przy zwalistym sierżancie Franku Sommersie, dyskutował z tym ostatnim o blaskach i cieniach zawodowego boksu. Opowiadał jakieś dowcipy, sypał pieprzonymi anegdotkami, co chwila wtrącał francuskie wyrazy i zwroty.

Lotnicy White i O'Brien zacięcie sprzeczekali się o potrzebę i cel używania samolotów rozpoznawczych, o znaczenie bombowców i myśliwców. Od czasu do czasu lekceważąco odpowiadali na niefachowe pytania zadawane przez Herberta Hancocka.

Wszystko to stwarzało tak naturalny i niewinny obraz, iż Peter, baczenie lustrujący cały teren przy bramie, na krótką chwilę zapomniał, co znaczył oglądany widok, w jakim celu dziewiętnastu ludzi uparcie tkwiło w wyznaczonym miejscu. Trudno było uświadomić sobie, że pozornie nie znający się i obojętni sobie jeńcy, tylko czekali na sygnał Alana McNeilla i że za parę minut przy bramie rozegrają się sceny nie przewidziane przez dwóch ospałych japońskich żołnierzy, stojących po drugiej stronie drutów kolczastych z karabinami niedbale przewieszonymi przez ramię.

- Jeszcze kilka minut - mruknął McNeill takim tonem jakby mówił o pogodzie, meczu tenisowym czy też oglądanym kiedyś filmie.

Dłonie Shannona poczęły dygotać, na czoło wystąpił kroplisty pot. Z trudem przełknął ślinę. Wargi miał zaschnięte, w gardle coś ścisnęło, w żołądku odczuwał mdlące ssanie.

- Zupełnie jak przed bojowym startem, co? – rzucił McNeill, odgadując stan nerwów towarzysza.

- Mhm. Pan też tak się czuje?

- Ja nigdy nie byłem lotnikiem, Peter.

Vincent ciągle przechadzający się z Australijczykiem, którego mundurowa koszula podejrzenie wydymała się na piersiach, szepnął do McNeilla:

- Podnoszę ludzi na nogi. Teraz wszyscy będziemy spacerować.

- W porządku, John,

McNeill przestąpił z nogi na nogę. W zapadających ciemnościach oczy świeciły mu jak u drapieznika. Był nadal zadziwiająco spokojny, jak wytrawny dowódca przed rozpoczęciem decydującego ataku.

- Robi się bardzo ciemno, Peter. Uwaga. Nerwy w garść.

- Tak... tak... rozumiem.

Do drewnianego budynku wartowni, stojącego o kilkadziesiąt kroków od wejściowej bramy, wszedł, nie spiesząc się, japoński gocio. Dziewiętnaście par oczu obserwowało jego ruchy, dziewiętnaście par pięści zaciskało się kurczowo, dziewiętnaście par nóg prężyło się do skoku.

„Nie uda się, nic z tego nie wyjdzie... - goniły nieskładne myśli pod czaszką Shannona. - Wpadniemy, nie wywalimy bramy... - A potem nastąpił nagły przeskok ze skrajnego pesymizmu w krańcowy optymizm: - Zwiejemy, nie połapią się... dostanę się na wolność... będę latał...”

McNeill położył mu rękę na ramieniu, mocno ścisnął je palcami.

- Spokojnie, Peter. Wszystko we właściwym czasie. Hitchcock nie nawalił... - nie zdołał dokończyć zdania.

W oknie wartowni ujrzeli jaskrawy, pomarańczowy błysk, rozległa się donośna eksplozja i wrzask przerażonego kaprała. Błysk zgasł, obozowe światła nie zapaliły się, a ciemność wydawała się teraz niemal kompletną czernią.

- Spięcie! Spięcie! Udało się! - darł się na całe gardło Hitchcock, nie mogąc dłużej nad sobą zapanować.

- Pipe down, stupid! [40] - warknął McNeill, nie siląc się tym razem na grzeczność. Obrócił się do reszty, i krzyknął donośnie: - Teraz, chłopcy, jazda!

Zerwał się z miejsca, skoczył do przodu i na czele rozpędzonej gromady natarł na bambusową bramę. Pod naporem ludzkich ramion pękła, zwała się na ziemię, a wraz z nią padło z rozpędu kilku jeńców, którzy zresztą natychmiast poderwali się z powrotem na nogi. Dwaj wartownicy, kompletnie zaskoczeni, nawet nie zdołali zdjąć karabinów z ramion, gdy na głowę jednego spadł ze świstem kawał ołowiu – straszliwe „bolo” majora Tannera. Potężna pięść sierżanta Sommersa, wielka niczym bochen chleba, huknęła w podbródek drugiego żołnierza z taką mocą, iż rzuciła go o kilka metrów w tył.

- Kejho[41]! Kejho! Kejho! - wydzierał się w ciemności piskliwy japoński głos.

Od strony budynków wartowni biegli w pośpiechu strażnicy zaalarmowani sceną przed bramą. Huknęły pierwsze karabinowe wystrzały. Szeregowiec Alister Cookins zwinął się, skulił i runął na ziemię. Tuż obok niego legł bez życia sierżant Jacob Smith, który jeszcze przed piętnastu minutami wygrał w kości dwie jutrzejsze garści ryżu od kaprała Goblina. Tim McCarthy opuścił bezwładnie rękę, oparł się o pień bananowca i powoli osunął w dół.

Reszta uciekinierów pędziła jednak naprzód, nie zważając na coraz gęstsza strzelaninę z karabinów i broni maszynowej. Pociski szyły leśną gęstwinię, rykoszety przeraźliwie gwizdały koło uszu biegnących, ludzie przewracali się co chwila, podnosili i biegli dalej.

- Nie zwalniać, prędzej! – krzyczał Shannon..

Tuż obok niego rozległ się jęk. Jakaś postać, w której mimo ciemności Peter rozpoznawał kaprała Turnhouse'a, zwinęła się i legła nieruchomo.

- Prędzej! Tędy - dobiegał z przodu głos McNeilla.

Było tak mroczno, że Shannon z najwyższym trudem orientował się w kierunku i zachowywał właściwą drogę. Biegł, jak mógł najszybciej, potykał się o jakieś korzenie, przewracał na wykrotach, wstawał błyskawicznie i biegł dalej, aż poczał tracić dech w piersiach. Za nogi ciągnęły go zarośla, po twarzy biły kolczaste gałęzie, koszulę miał porwaną w strzępy, zgubił chustę, obwiązującą rany głowy. Z lewej i prawej strony dochodził go tupot nóg, ale nie widział nikogo i tylko domyślał się, że to uciekający koledzy pędzą w tę stronę.

Wreszcie odgłosy maszynowej strzelaniny, gwizdków i krzyków Japończyków pozostały w oddali. Peter zwolnił biegu, na moment przystanął, zaczerpnął oddechu, a potem ruszył szybkim krokiem, bardziej teraz uważając na przeszkody pod nogami.

W bezpośredniej bliskości rozległ się raz jeszcze głos McNeilla:

- Tutaj, chłopcy! Do mnie!

Peter skręcił za głosem i, znalazł się na niewielkiej polance. Było tam nieco jaśniej, toteż bez trudu zauważył kilka ludzkich postaci. Zgrupowali się dookoła McNeilla, dyszeli ciężko, któryś cicho pojękiwał. Po chwili z lasu wyłonili się dalsi uciekinierzy.

- Idziemy - rozkazał McNeill. - Tędy, za mną. Możemy teraz wolniej, chyba już zgubili nasz trop.

Peter starał się policzyć kolegów. Wydawało mu się, iż pozostało ich tylko piętnastu, nie wiedział jednak, kogo brakowało.

- Uwaga - mówił McNeill. - Znajdujemy się na przedmieściach Singapuru. Pora dość wczesna, powinno kręcić się sporo ludzi i trudno będzie nas rozpoznać. Ale uważajcie na japońskie patrole. W razie czego wiać z drogi, kłaść się na trawie. Za chwilę rozwidlenie szosy, pójdziemy w lewo.

Szli brzegiem asfaltowej nawierzchni, przechodzili obok zabudowań o wygaszonych lub przysłoniętych światłach. Czasem mijali przechodniów, a wtedy grupa posuwała się w pełnym napięciu milczeniu, rozbijając się dla niepoznaki na kilka mniejszych oddziałków. W pewnym momencie minęła ich wojskowa kolumna samochodowa, nieco później pojedyncze auto. Kilkakrotnie na znak bądź McNeilla, bądź Shannona, przypadali do ziemi, zbiegali z szosy, kryli się w wysokiej trawie i wsłuchiwali w rozlegające się dokoła odgłosy, doszukując się w nich śladu alarmu.

Po dziesięciu minutach takiego marszu czarna wstęga szosy rozwidliła się i grupka, stale trzymając się razem, skręciła w lewo.

- Jeszcze piętnaście minut i dobrniemy do mego domu - mruknął w pewnej chwili McNeill z wyraźną ulgą.

W tym samym momencie tuż przed idącymi zamajaczyły jakieś sylwetki. Błysnęły światła elektrycznych latarek, rozległy się pytania, wypowiedane po japońsku. Było za późno na ucieczkę i ukrycie się w gąszczach. Peter zdecydował się błyskawicznie, ale zanim otworzył usta, McNeill wrzasnął przeraźliwie:

- „Żółtki!” W nich chłopcy!

W nocnych ciemnościach rozległy się nagle donośne okrzyki. Błysnęły pomarańczowe ogniki wystrzałów. Ktoś zaklął dosadnie po angielsku. Jakiś zachrypnięty głos wykrzykiwał japońskie słowa komendy.

Peter dostrzegł przed sobą niską postać z automatycznym pistoletem w dłoniach. Z lufy pistoletu tryskały iskierki wystrzałów. Lotnik rzucił się do przodu, zwarł z wrogiem. Z rozpędem zwalili się, aż zadudniła ziemia. Palce Shannona zacisnęły się na gardle przeciwnika i nie zwolniły chwytu, póki nie ustały konwulsyjne drgawki tamtego. Wymacał automat, chwycił go i z rozmachem, niemal na oślep, uderzył z całej siły w głowę nieprzyjaciela.

Przekręcił się na bok i ciężko dysząc podniósł na nogi. Ogarnęły go mdłości. Pomiedzy zestrzeleniem samolotu z odległości stu czy dwustu metrów, a zabiciem człowieka własnymi rękami istnieje zasadnicza różnica. Peter wypuścił automat ze zdrętwiałych palców, ale natychmiast podjął go z ziemi. Broń była cenna, mogła się przydać w przyszłości.

Dokoła toczyła się jeszcze walka. Głuchy odgłos uderzenia pięścią, stęknienie, jęk, jakieś odrażające bulgotanie, wrzask... I nagle nastąpiła cisza, bardziej przerażająca niż poprzednie głosy.

- Shannon? - rozległ się zduszony szept McNeilla.

- Jestem - Peter wyprostował się, starał się odszukać Alana. - W porządku?

- Tak. Już po nich. No, jazda, teraz biegiem!

Do domku McNeilla pozostawało już zaledwie pół mili, ale grupka uciekinierów skurczyła się do jedenastu ludzi. W walce z japońskim patrolem poległ porucznik George O'Brien, pilot rozpoznawczego dywizjonu „Catalina”. Od pocisków automatów zginęli kapral Goblin, bosman Clay i muskularny sierżant Sommers, ongiś bokerski mistrz wagi ciężkiej. Cena wolności i życia okazywała się niezwykle wysoka.

## ROZDZIAŁ XIII

- Niedługo pokażą się trzy kokosowe palmy - informował po cichu Alan McNeill.

- Niedługo Japończycy zaalarmują cały Singapur i wszystkie posterunki na brzegach Johore - odparł również po cichu Peter Shannon i dorzucił nagłoco: - Na litość boską, Alan, śpieszmy się! Nie mamy chwili do stracenia. Jeżeli nas złapią, poćwiartują na kawałeczki.

McNeill skinął głową i przyspieszył kroku. Ciągle szedł na czele, prowadził, wskazywał kierunek. Shannon zorientował się już mimo nocy, że minęli zniszczoną stację radarową w Seletar i pozostawili gdzieś z prawej strony szosę do Chu Kang. Niespodziewanie ogarnęła go paląca żądza skręcenia, odszukania własnego domku. Gdyby mógł się w nim znaleźć, gdyby mógł cofnąć czas, odwrócić go, jakimś cudem przekreślić wydarzenia ostatnich tygodni...

- Domek McNeilla stoi, zdaje się, na samym brzegu cieśniny - zauważył idący obok Vincent. - Mam nadzieję, że jest pusty.

- A ja mam nadzieję, że znajdziemy tam obiecane pistolety - dorzucił głos Tannera. - Bo ta pukawka nic niewarta - potrząsnął automatem, zdobytym w czasie utarczki z japońskim patrolem. W tyle grupki rozległo się słabe wołanie:

- Już nie mogę dalej... jestem ranny... słabnę...

Peter rozpoznał głos podporucznika Hitchcocka i przystanął jak wryty. Po sekundzie namysłu zawrócił i odnalazł Nowozelandczyka opartego o pień gumowca. Nie zastanawiał się długo. Wbrew poprzednim umowom o pozostawieniu rannych ich własnemu losowi, ujął Lena wpół, podparł silnym ramieniem i pociągnął za sobą.

- Zostaw mnie, Peter - prosił jękliwie Hitchcock - To na nic... nie dasz rady... ratuj siebie...

Shannon nie zważał na słowa rannego. Wlókł się w ślad za oddalającymi się kolegami, prowadzonymi przez McNeilla. Chciał krzyknąć o pomoc, bał się jednak hałasu. Hitchcock opierał się o niego coraz bardziej, na jego koszuli rozlewała się coraz większa lepka plama. Ciemność nie pozwala Peterowi na umiejscowienie rany.

- Gdzie cię boli, Len? - dopytywał troskliwie. - Gdzie dostałeś?

Nowozelandczyk pochylał się, potykał, zwieszał głowę na piersi, unosił ją, starał się przezwyciężyć bezwład nóg, zachować przytomność.

- Wszędzie boli, Peter... zostaw mnie... Jestem zmęczony... chcę spać...

Shannon był krańcowo wyczerpany. Zrozumiał, że sam nie poradzi sobie z rannym. Zamierzał przywołać na pomoc Vincenta lub Whitea', gdy grupka w przodzie zatrzymała się i skupiła dokoła McNeilla. Peter dogonił ją, z głębokim westchnieniem ulgi złożył Hitchcocka na ziemi, potem podszedł do cywila.

- Co się stało?

Zagadnięty bez słowa wyciągnął rękę przed siebie, przeciągnął dłonią po włosach.

- Tutaj stał kiedyś mój dom - powiedział krótko.

W odległości kilkunastu metrów majaczyły jakieś wypalone zgliszcza ze sterczącymi w niebo



kikutami belek, porozrzucanymi deskami ścian i na pół zrujnowanym przewodem kominowym. Peter poczuł, że nogi ugięły się pod nim. Ten domek stanowił przecież ich cel numer jeden. Tutaj mieli znaleźć odpoczynek i schronienie, żywność i niezbędne pieniądze, nawet pistolety. Stąd mieli rozpocząć właściwą wędrówkę na północ, do oddziałku partyzantów, w górach Kuala Lipis.

- Mniejsza z tym - zdecydował po długiej chwili McNeill, a głos jego znów zabrzmiał spokojnie i flegmatycznie. - Był domek, nie ma domku. Nic pewnego pod słońcem. Idziemy do łodzi, Peter. Prędko, nie wolno tracić czasu.

Shannon powstrzymał go wpół kroku. Poinformował o rannym Nowozelandczyku, dodał, iż sprawa była poważna. McNeill obrócił się do lotnika, w ciemności twarz jego jaśniała widmowo jak oblicze upiora.

- Zdecydowaliśmy przecież w obozie przed ucieczką... - zaczął, urwał i dokończył odmiennym tonem, łagodnie, niemal tkliwie: - Niech Vincent ci pomoże. Ja nie mogę, muszę iść pierwszy. Tylko ja znam drogę. Oczywiście nie zostawimy Lena samego.

Peter zawrócił do rannego, po drodze odszukał Johna i powiadomił go o sytuacji. Vincent nie zawahał się ani sekundy. Podparł z drugiej strony Nowozelandczyka, już na pół przytomnego i bełkoczącego coś bez ładu. Ruszyli z miejsca i wkrótce cała grupka przedarła się przez gęsty gumowcowy las i znalazła na skraju piaszczystego wybrzeża. W niewielkiej odległości zamajaczyły dwa podłużne kształty. Były to poszukiwane przez nich łodzie.

- Nikt nie pilnuje? - zatroszczył się Tanner.

Rozejrzeli się bacznie na wszystkie strony, przez kilka minut stali nasłuchując, wreszcie ostrożnie podeszli bliżej. McNeill uważnie przyjrzał się łodziom,

- Zwykle czółna - stwierdził z rozczarowaniem. - Niewiele większe od balii. Najwidoczniej większe łodzie i kutry zarekwirowali Japończycy. Cóż, wyboru nie mamy, muszą nam wystarczyć i czółna. Shannon z Vincentem, podpierając rannego Hitchcocka, doszli do nich i złożyli swój ciężar na piasku. McNeill z zaaferowaniem kręcił głową.

- Bierzemy obie, nie zmieścimy się w jednej - powiedział z ociąganiem. Spojrzał na rannego i znów pokręcił głową. - Trzeba mu założyć opatrunek, ale jak? Strasznie ciemno. Czy ktoś ma zapalniczki?

Pytanie było zbyteczne. Żaden z jeńców Pasir Pandziang zapalek nic miał i nie mógł mieć. Trzeba było doczekać do rana i obejrzeć rannego przy świetle dziennym. Hitchcock poruszył się, jęknął chrapliwie.

- Krótkie spięcie... spięcie... - mamrotał. - To ja... Len Hitchcock... ja sam...

W ciemności rozległ się uroczysty głos porucznika Alcocka:

- Memento mori [42]. Módl się, bracie. Wszyscy módlmy się za grzeszną duszę. Odmówmy chóralnie psalm numer trzydzieści siedem...

Na jego plecy spadła z dudnieniem pięść Tannera.

- Stul pysk, idioto. Nie wygłupiaj się! Gdybym nie zgubił mego „bolo”, rozwaliłbym ci łeb!

Alcock stęknął, odskoczył w bok, podbiegł do McNeilla.

- Na co czekamy? - zawołał. - Prędzej, wypływajmy!

Alan McNeill spokojnie spoglądał na zegarek, którego nafasforowane wskazówki tkwiły na godzinie jedenastej czterdzieści pięć.

- Jeszcze piętnaście minut. Umówiliśmy się, że czekamy do północy. Może któryś jeszcze dołączy.

Grupka stała niezdecydowana, wyczekiwała nerwowo. Peter podszedł do brzegu, zaczerpnął wody w dłonie, umył twarz, pokrytą potem zmieszany z krwią. Potem delikatnie połał głowę Hitchcocka. Mijały minuty, aż wreszcie dokładnie o północy McNeill raz jeszcze wziął inicjatywę w swe ręce.

- Shannon, Vincent, Duval, Hitchcock i Grocholski wezmą lewe czołno. Reszta ze mną do prawego. Jazda, spychać na wodę, bo przepadniemy. Musieliśmy stracić piętnaście minut i za chwilę możemy mieć na karkach setki i tysiące „żółtków”. Jazda!

Ludzie rzucili się do wyznaczonych łodzi. Z niemałym trudem, ciągnąc i pchając z całych sił, przesunęli je po piasku, zepchnęli do wody. Brnęli po kostki, potem po kolana, gdy zaś wreszcie czołna zakołysały się na powierzchni morza, jeden po drugim wciągali się przez burty do wnętrza.

W lewym czołnie pierwszy znalazł się Grocholski, tuż za nim Duval. Shannon z Vincentem podali im bezwładne ciało Hitchcocka i sami wskoczyli do środka. Henri Duval macał na oślep pod ławką.

- Sacre nom du chien! - zaklął z pasją. - W tej przeklętej łajbie nie ma wiosła!

Prawe czołno, którego załoga sprawniej poradziła sobie z odbiciem od brzegu, oddaliło się już o kilkadziesiąt metrów, było ledwie widoczne na tle ciemnej wody.

- Muszą być wiosła, do wszystkich diabłów! - burczał wściekle Vincent i sam rozpoczął poszukiwania, zakończone jednak niepowodzeniem.

- Krótkie spięcie... kable... nie mogę dosięgnąć, Alan... - wyrwało się z ust rannego. - Powiedzcie... powiedzcie mojej matce...

Dno zaczęło szorować po piasku, czołno osiadło na brzegu. Vincent zaklął ordynarnie.

- Peter, co robić? - zwrócił się bezradnie do przyjaciela.

- Zepchniemy jeszcze raz...

Tadeusz Grocholski odezwał się łamanym, niegramatycznym angielskim:

- Ja wiosłować ławką. Ja umieć.

Polski marynarz bez trudu oderwał deskę ławki. przesunął się na przód czołna i począł odgarniać wodę raz z jednej, raz z drugiej strony. Czołno poruszyło się i niezdarnie odpłynęło od lądu.

- Ale on ma krzepę! - wyrwało się Vincentowi.

- Obyśmy nie wpadli po drugiej stronie na posterunki - westchnął Peter.

- Co będzie, jeżeli nie odnajdziemy McNeilla? Shannon zaśmiał się sucho.

- Nie bój się, w razie czego on nas znajdzie - odparł z przekonaniem. - Ten człowiek ma głowę na karku. Gdyby służył w wojsku, z pewnością byłby pułkownikiem, jeśli nie generałem.

Grocholski wiosłował powolnymi, długimi poruszeniami deski. Jego szerokie bary chyliły się wahadłowo w lewo i w prawo, ciężka praca nie sprawiała żadnego kłopotu, przychodziła bez wysiłku. Brzeg z tyłu znikł, wydawało się teraz, że dokoła mizernej łupiny rozciągał się ogrom oceanu bez końca, bez lądu na widnokręgu.

Ląd znajdował się jednak aż nazbyt blisko. Z lewej strony płynących trysnął niespodziewanie długi język światła. Japoński reflektor poruszał się leniwie, jego jasna smuga położyła się na powierzchni wody i przesuwała powoli i systematycznie w prawo.

- Na dno! Wszyscy na dno! - krzyknął Shannon przerażony nowym niebezpieczeństwem. - Położyć się płasko pod burtami, nie ruszać się!

Smuga reflektora dotarła do dwóch czarnych kształtów czołen, zatrzymała się na nich, oświetliła jaskrawo. Przeskakiwała z jednego na drugie, badała, wypatrywała śladu życia. Ale czołna kołysały się niezdarnie na łagodnych falach, kręciły pozornie bezsensownie, były - na oko - pozbawione

załogi, ot, po prostu dwie małe łódeczki, które urwały się z cumów i wyniesione zostały odpływem na środek cieśniny. Japończycy jednak z pewnością byli już zaalarmowani ucieczką z obozu Pasir Pandziang, telefoniczne rozkazy dotarły do posterunków nadbrzeżnych, bo reflektor nie dawał za wygraną, nadal oświetlał czółna. Może wróg namyślał się, czy nie wysłać w ich stronę motorowej łodzi, może już do motorówki wskakiwali uzbrojeni żołnierze...

- Tu cholernie dużo wody - stęknął zduszonym głosem Vincent, unosząc nieco głowę. - Peter, łajba przecieka jak sito!

- Niech przecieka - odburknął ze złością Shannon. - Zaraz wyślą motorówkę i kłapa. Lepiej utonąć, niż wpaść w ich łapy. Siedzimy w przeklętej pułapce na szczury.

- Pardonnez moi, mon lieutenant [43] - sprzeciwił się Henri Duval. - Porównanie nie jest trafne. Szczury zwykle uciekają z tonącego okrętu, my z niego nie możemy zwiać.

- Matka... moja matka w Wellington... powiedzcie jej... powiedzcie, że ja... że ja... - szept Hitchcocka stał się niemal niedosłyszalny.

Po chwili, która uciekinierom wydała się niezwykle długa, zgasło światło reflektora. Urwała się jaskrawa smuga, dokoła łodzi zapanowała nieprzenikniona ciemność. Shannon odetchnął. Niebezpieczeństwo wykrycia przez posterunki nadbrzeżne chwilowo minęło.

- Pchamy się dalej - zdecydował. - Jazda, Grocholski.

Polak ujął za deskę, opuścił ją do wody. Po kilku minutach zastąpił go Vincent, ale wiosłowanie nie szło mu składnie.

- Bydlę chyba stoi w miejscu - szepnął, ocierając pot z twarzy.

- Za dużo wody na dnie - zauważył Peter. - Trzeba wylać.

- Czym? Garścią?

- Czy daleko jeszcze do przeciwnego brzegu, mon lieutenant? - spytał z niepokojem Duval.

- Daleko, a zresztą... - Peter zawahał się. - Zdaje mi się, że znosi nas odpływ. Vincent przestał wiosłować,

- Co takiego? Odpływ znosi? Na pełne morze?

W na pół wypełnionym wodą czółnie nastała cisza. Każdy starał się przetrwać ostatnią wiadomość i usiłował znaleźć wyjście z nowej groźnej sytuacji.

Tuż obok, w nocnej czerni, odezwał się niespodziewanie łagodny i pogodny głos McNeilla:

- Halo, Shannon! Wszystko w porządku?

- Niezastąpiony - mruknął do siebie Peter, a głośno odrzucił: - Nie, nie w porządku. Toniemy, Alan.

Chrobotanie i plusk wiosła drugiego czółna przybliżyły się, ukazał się dziób łodzi. Stuknęły burty, McNeill wychylił się do kolegów. - Nie możecie wylać wody?

- Nie. Zresztą wlewa się za prędko. McNeill nie zastanawiał się długo.

- Nie ma rady. Przesiadajcie się do nas.

Shannon nie miał wiele czasu na zastanawianie się nad rozkazem McNeilla. Nie zgadzał się jednak z decyzją dowódcy - bo takie właściwie stanowisko zajął cywil. Sprawa była bardzo poważna. Pojedyncze czółno nie mogło unieść więcej niż ośmiu, najwyżej dziewięciu ludzi. Grupa zaś liczyła obecnie ludzi jedenastu, włącznie z dogorywającym Hitchcockiem. Jeżeli wszyscy umieszczą się w łodzi. McNeilla, wszyscy zatoną. W dodatku czółna były najprawdopodobniej znoszone na pełne morze. Co więc należało robić? Jaka decyzja była lepsza od rozkazu Alana McNeilla? Kogo poświęcić, by choć część ocaliła życie? Peter często działał impulsywnie.

- Duval i Grocholski! Przełażcie na tamtą łajbę. Ty również, John - zwrócił się do przyjaciela. - Ja jakoś sobie poradzę z Hitchcockiem, zaopiekuję się nim. Weźcie mój automat.

Odpowiedź McNeilla była grzeczna, ale stanowcza: - Nie pleć głupstw, Peter. Na bohaterski melodramat zawsze się znajdzie czas. Podajcie Hitchcocka, delikatnie. Potem włączcie wszyscy po kolei.

Shannon chciał się spierać, ale Vincent zdecydowanie poparł McNeilla, to samo zrobili Duval i Grocholski. Peter posłusznie ujął Nowozelandczyka pod ramiona, ale natychmiast opuścił ręce. Przyłożył ucho do piersi rannego, potem podniósł się ociężale.

- On już nie żyje - stwierdził cicho. Nastąpiła chwila milczenia, w której dziwnie zabrzmiały słowa porucznika Josepha Alcocka:

- Módlmy się bracia, za jego grzeszną duszę. Oby Wszechmocny i Wszechmiłosierny miał nas wszystkich w swej opiece! Oby wybawił nas z tej straszliwej sytuacji... - Alcock urwał i zaniósł się cienkim, histerycznym płaczem.

McNeill stanął wyprostowany i powiedział półgłosem:

- Nie znam się na modlitwach i błaganiach. Nie znam się na ceremoniach. Chyba należałoby teraz powiedzieć „niech mu ziemia lekka będzie” czy coś w tym rodzaju. Ale... - nie dokończył, usiadł na ławce i dorzucił: - Zostawcie go w tamtej łodzi, posłuży mu za trumnę.

Po chwili Duval przedostał się do czołna McNeilla, w ślad za nim poszedł Vincent. Czołno zakołysało się, przez burtę przelała się ciepława, słona woda.

- Uważajcie! Ledwie trzymamy się na powierzchni! - ostrzegł McNeill.

Histeryczny płacz Alcocka ustał, a porucznik zawołał rozpaczliwie:

- Dostyc, dostyc! Tutaj już nikt się nie zmieści! Utoniemy! Niech nikt nie waży się wchodzić, bo...

Geoffrey Tanner z rozmysłem, na zimno, wymierzył mu dwa mocne policzki. Alcock zawył z bólu, ale momentalnie się uspokoił, by po kilku sekundach znów rozpocząć bezradne szlochanie.

- Tracimy czas - naglił McNeill. - Włączcie! - Peter, który już przekładał nogę przez burtę, zatrzymał się, cofnął i rozkazał Grocholskiemu wejść przed sobą. Polak się jednak sprzeciwił i nie ustępował. McNeill, zwykle opanowany, chłodny, ugrzeczniony i wyrozumiały zaczął tracić cierpliwość.

- Ruszcie się, do licha! Nie grzebcie się!

- Łódka zatonie.

- Nie zatonie - odparł McNeill. - Ja wejdę do wody. Pływam jak ryba...

Przerwał mu głęboki bas Grocholskiego:

- Ja pływać jak ryba... fish, two fishes[44]. Ja wejść do wody - nie czekał na niczyją odpowiedź, zrzucił buty i zanurzył się w ciepłych, oleistych falach.

- Tu są rekiny! - zawołał z rozpaczą Shannon.

- Przy brzegu nie ma - burknął Vincent. - Zresztą dostrzeżemy je w porę. No, włącz, Peter!

Przepełniona łódź odbiła od burty czołna, na którego dnie spoczywał podporucznik Len Hitchcock, elektrotechnik z Wellington. Poruszyły się wiosła, plusnęła woda. Brzegi czołna unosiły się zaledwie kilkanaście centymetrów nad powierzchnią. Szczęśliwie morze było spokojne i gładkie jak sadzawka. Tanner, manewrujący wiosłami, zanurzył je kilkakrotnie w wodzie, ale po chwili zaprzestał pracy.

- Nic nie widzę - stwierdził lakonicznie. - W którą stronę mam wiosłować, do cholery?!

Rzeczywiście, dokoła rozlewała się atramentowa czerń, a łódka zdawała się pogrążyć w ogromnej, nieprzezroczystej kuli. Ani gwiazdy na niebie, ani światełka na lądzie. Nie było mowy o odszukaniu właściwego kierunku, o jakiegokolwiek nawigacji. Nie było sensu wiosłować i posuwać się w nieznaną. McNeill po raz pierwszy stracił panowanie nad sytuacją.

- Musimy czekać do rana - mruknął z wahaniem i zwrócił się do Shannona: - Gdy się nieco rozwidni, zorientujemy się w położeniu.

- Jedyne wyjście - zgodził się Peter i po chwili spytał: - Gdzie Grocholski?

- Płynię za nami - odparł McNeill i wychylił się za rufę: - Grocholski! Grocholski! - zawołał.

Zabulgotała woda rozgarniana mocnym ramieniem, odpowiedział głęboki bas:

- Tutaj, tutaj... fish, two fishes. Wszystko w porządku, jestem.

McNeill zaśmiał się cicho.

- Chwyć się za burłę, Grocholski, odpocznij. Nie ruszamy się z miejsca, czekamy dnia.

- Nie potrzeba. Ja nigdy nie zatonać. Henri Duval myszkował po łodzi, potykając się o nogi kolegów i ściągając na swą głowę soczyste i niewybredne przekleństwa. Jego poszukiwania zostały wreszcie uwieńczone sukcesem. W drewnianej skrzynce pod tylną ławeczką znalazł niewielką baryłkę wypełnioną stęchłą, ale zdatną do picia wodą oraz kilkanaście plasterków suszonej ryby i na pół przegniłe owoce. Była to prawdziwa zdobycz, mogła się okazać nieoceniona.

- Mon Dieu[45]! - wykrzyknął Francuz z udanym zachwytem. - Nasza okrętowa spiżarnia jest zaopatrzona we wszystko, czego ludzka dusza zapagnie. Możemy na naszym transatlantyku przetrzymać chociażby i rok.

Geoffrey Tanner nie poznał się na żarcie.

- Oby pańskie słowa nie okazały się prorocze, Duval - mruknął pesymistycznie. - Moje pragnienia są skromniejsze. Ja chcę na tej łajbie przetrzymać tylko do rana.

Noc przeciągała się nad miarę, beczynne wyczekiwanie męczyło i zjadało nerwy. W łodzi nikt nie zmrużył oka, mimo że wszyscy byli śmiertelnie znużeni. Dramatyczne godziny ucieczki dały się aż nadto we znaki. W dodatku żaden z uciekinierów nie odczuwał zadowolenia, nikt nie czuł się szczęśliwy, nie rozkoszował odzyskaną wolnością. Wydostali się z obozu, to prawda, ale do całkowitego, pełnego wydobycia się z sideł wroga było niemal tak daleko, jak z „klatki” Pasir Pandziang. a kto wie, czy nie dalej.

- Grocholski! Jesteś tam?!

- Jestem, panie poruczniku. Ja nigdy nie utonąć.

- Może zmienimy się w wodzie, Grocholski? - ta propozycja pochodziła od Alana McNeilla.

- Nie, dziękuję. Tutaj chłodniej i wygodniej.

Na dnie czołna gromadziło się coraz więcej wody, burty zanurzały się głębiej i głębiej. Shannon z Vincentem czerpali wodę dłońmi i wylewali na zewnątrz, ale każda fala wlewała ją na powrót.

- Grocholski!

- Jestem, jestem, panie poruczniku.

Wreszcie niebo na wschodzie straciło ponurą, granatowoczną barwę, pojaśniało i zaróżowiło się. Zrobiło się na tyle jasno, iż wyraźnie można było rozróżnić oleistą, szarawą powierzchnię morza, nieruchomą, jakby zamarłą - częsty widok w tropikach i o tej porze dnia. Minęło jeszcze kilka minut i

na widnokręgu ukazał się rąbek słońca, szybko podnoszący się w górę i przechodzący w oślepiający krąg. Na jego tle majaczyły daleko na horyzoncie zarysy lądu. We wszystkich innych kierunkach rozciągał się bezmiar oceanu.

- By Jove! - zawołał Tanner. - Trochę nas wyniosło w morze.

- Trochę - zgodził się z przekąsem Peter. - O jakieś dwadzieścia kilometrów za daleko.

McNeill pilnie rozglądał się za rufą, błdził wzrokiem po wolnej przestrzeni.

- Grocholski! Grocholski!!! Gdzie jesteś! Odezwij się Grocholski!

Tym razem polski marynarz nie odpowiedział. Jego głowy nie można było nigdzie dostrzec.

McNeill wymienił porozumiewawcze, znaczące spojrzenie ze Shannonem.

- Rekiny? - było to na pół pytanie, na pół stwierdzenie oczywistego faktu.

- Nawet nie zdążył krzyknąć - Peter westchnął i wpatrzył się w ciemną kreseczkę na horyzoncie, od której ciągle oddalał ich odpływ czy też jakiś nie znany prąd morski.

- O Boże Wszechmocny i Wszechmiłosierny, Boże Wszechpotężny - doszedł z przodu łodzi rozdygotany głos Alcocka. - Zlituj się nad twym pokornym sługą, wybaw go z niedoli, uratuj. O Boże, spraw, bym wy dostał się stąd cały i zdrowy, bym mógł wychwalać twą nieskończoną dobroć do końca żywota... Módlmy się, bracia, zaintonujmy chórem psalm numer czterdzieści trzy. Wszystko jest w ręku Boga. Módlmy się.

Odpowiedziało mu ponure, głębokie milczenie.

## ROZDZIAŁ XIV

Dziewiątka uciekinierów nie miała żadnych szans dotarcia do lądu na maleńkiej łódeczce i Tanner, który początkowo zawzięcie wiosłował, usiadł zniechęcony na dnie czółna, porzucając bezużytecznie wiosła. Skoro zaś nie można było dostać się o własnych siłach do brzegu malajskiego i ukryć w dżungli, unikając oczu żołnierzy, jedyna nadzieja polegała na wyłowieniu łodzi przez jakiś patrolujący okręt czy statek. Ale na tych wodach patrolowali obecnie tylko Japończycy i wyłowienie równoznaczne było ze śmiercią w wyrafinowanych męczarniach. Kapitan Teruci, do którego bez wątplenia odstawiono by jeńców, nie ograniczyłby się do „niewinnych” ciosów szablą.

We wnętrzu czółna panowało milczenie, którego nikt nie usiłował przerywać. Peter Shannon bezustannie rozglądał się po horyzoncie, jakby spodziewając się ujrzeć nie istniejący ląd. Alan McNeill nadal poszukiwał głowy Grocholskiego w szaroniebieskawym morzu. Henri Duval głąskał w zamyśleniu baryłkę z wodą, być może marzył o butelce lodowatego szampana. Stanley White siedział z podniesioną w górę głową i przymrużonymi oczami obserwował ogromną, jaskrawą kopułę nieba. Joseph Alcock szeptał jakieś modlitwy i zaklęcia, zapewne błagał Wszechmiłosiernego i Wszechmocnego o własne ocalenie, może modlił się za dusze zmarłych kolegów. George Brown leniwymi, roztargnionymi ruchami dłoni wyczerpywał wodę z dna. John Vincent zwiesił głowę na piersi, tkwił na ławeczce z przymkniętymi powiekami, pozornie drzemiąc. Geoffrey Tanner mruczał do siebie basem o bezużytecznym automacie i ciekawie przypatrywał się wiosłom, obecnie zupełnie niepotrzebnym. Wreszcie odezwał się małomówny i zamknięty w sobie Herbert Hancock:

- Jeżeli odpływ wyniósł nas w morze, to przyptyw powinien nas przybliżyć do lądu. Wydaje mi się to zupełnie logiczne.

Vincent podniósł głowę, otworzył oczy.

- To nie tylko odpływ, Hancock. To jakiś prąd.

Tanner uniósł wiosło w górę, zważył je w ręce, jednym końcem wcisnął w okrągły otwór w przedniej ławce. Wiosło było długie, mogło od biedy zastąpić maszt. Skąd jednak wziąć żagiel? Australijski major przez długi czas spoglądał łakomie na brudne i podarte koszule kolegów, przyjrzał się swojej, wreszcie nie wytrzymał.

- By Jove? Gdybyście, chłopcy, pożyczili mi swoich łachów, może udałoby się z nich wykombinować coś na kształt żagla - powiedział i przypatrywał się ze szczególną uwagą koszuli porucznika Alcocka. - Joseph, nabożny bracie, zaczynam od ciebie, masz najwytworniejszy garnitur, bez żadnej dziury. Pożyczoną garderobę zwracam natychmiast po przybiciu do brzegu. No, Joe, ściągaj koszulę. Tu sami mężczyźni, nie obrazisz niczyjej skromności.

Alcock wstrząsnął się, przycisnął ręce do piersi i cofnął o pół kroku, nadeptując na piętę Shannonowi.

- Nie dam, nie pożyczę - odparł piskliwie. - Koszula jest mi potrzebna. W tym upale nie wytrzymam bez ubrania, słońce mnie spiecze, zabije, a ja chcę żyć! Rozumiesz, Tanner, chcę żyć!

Australijczyk z obrzydzeniem splunął za burtę.

- Wiesz co, Joe? - mruknął przeciągając wyrazy. - Mam ogromną ochotę zrobić z twojej nabożnej twarzyczki galaretkę. By Jove! Zrobię to przy następnej okazji.

- Nie boję się ciebie, brutalu. Nie ulegnę przemocy - wydzierał się histerycznie Alcock.

Inni członkowie grupy okazali się oczywiście czynniejsi i chętniejsi, toteż wkrótce Tanner pracowicie wiązał koszule kolegów, starając się nadać im kształt żagla. Wszyscy przypatrywali się tej robocie z rosnącym zainteresowaniem, bowiem żagiel mógł rzeczywiście okazać się zbawieniem. Tylko Henri Duval kręcił się w miejscu i co chwila poklepywał barylkę z wodą. Gdy żagiel Australijczyka był już niemal gotów, Francuz z ukłonem zwrócił się do McNeilla, którego uważał za nieoficjalnego dowódcę „załogi transatlantyku”.

- Monsieur [46] McNeill, czy nie uważa pan, że najwyższy czas na śniadanie? Petit dejeuner, monsieur McNeill, prawdziwe delicje. Odrobinka kryształowej wody i pół plasterka wyśmienitej rybki zaspokoi najdelikatniejsze podniebienia, n'est-ce pas? [47]

McNeill uśmiechnął się do krotochwilnego i nie tracącego humoru Francuza i skinął przyzwalająco głową. Duval, z wprawą zawodowego kelnera, przełożywszy przez lewe ramię brudną i wygniecioną chustkę do nosa, jakimś cudem ocalałą z rewizji w Pasir Pandziang, począł obdzielać towarzyszy niedoli mizernym pożywieniem. Doszedł do Stanleya White'a, który wyciągnął rękę po rybę, ale nawet nie spojrzął na otrzymane jedzenie. Bezustannie omiatał oczami niebo, a gdy podnosił do ust wysuszony skrawek, jego dłoń zatrzymała się w pół drogi.

- Peter! - krzyknął z podnieceniem. - Patrz! Tam, z lewej!

Bystry wzrok Shannona szybko doszukał się wskazanego obiektu. Daleko nad horyzontem wisiały w powietrzu dwa mikroskopijne punkciki, takie same, jakie widywał aż nazbyt często w dniach obłączenia. Serce lotnika zabiło szybciej.

- Samoloty - stwierdził i dorzucił z wahaniem i nadzieją w głosie: - Nasze?

Stanley White zaśmiał się nienaturalnie.

- Zapominasz, Peter, co wydarzyło się w tej części świata w ostatnich tygodniach - odparł zgryźliwie.

- Nasze samoloty? Śmiechu warte. Nie, mój drogi, to „żółtki”.

Punciki przybliżyły się, rosły w oczach. Wkrótce Peter był w stanie je rozpoznać.

- Dwa myśliwskie „Zero”. Patrol! Idą w naszą stronę.

Tanner wypuścił z rąk wiosło, do którego przymocowywał zaimprovizowany żagiel, i chwycił za automatyczny pistolet. Alcock wzniósł oczy w niebo i złożył ręce jak do modlitwy. Vincent bluznął ordynarnym przekleństwem. Duval gwizdnął przeciągle i odłożył trzymany w palcach kawałek ryby.

Dwa smukłe dolnopłaty, których sylwetki Shannon znał aż nadto dobrze, szły nisko nad morzem w szyku bojowym, w odległości kilkudziesięciu metrów jeden od drugiego. Prowadząca maszyna niżej, prowadzona nieco w górze. Dochodziły bardzo szybko, ale kurs ich wiódł trochę w lewo od czołna. Shannonowi błysnęła w głowie nadzieja, iż „Zero” nie zauważą niewielkiego czołna kołyszącego się na falach i polecą dalej. Nie tak łatwo jest dostrzec z powietrza łódeczkę na powierzchni ogromu morza. Ogarnął go optymizm, a mizerna łupina wydała mu się przytulnym i bezpiecznym schronieniem.

Ale japońskie myśliwce nagle zmieniły kierunek. Zwróciły się dziobami wprost ku czołnie.

- Wszyscy za burtę, do wody! - wrzasnął komendę McNeill i pierwszy wyskoczył z czołna, zanurzając się w ciepłych falach.



W ślad zanim poszedł Vincent, w sekundę później Tanner i Brown. Peter szykował się do skoku, gdy przypomniał sobie o rekinach i tragicznym końcu polskiego marynarza.

- Zostać w łodzi! Rekiny! - krzyknął na cały głos. Mimo jego ostrzeżenia za burtą znaleźli się White i Hancock. W łodzi, poza Shannonem, pozostali tylko niezdecydowany i mamroczący modlitwy Alcock oraz sparaliżowany strachem Duval, kurczowo obejmujący baryłkę z wodą, z którą nie chciał się rozstać nawet w tak dramatycznym momencie.

Myśliwce zeszły zupełnie nisko, niemal muskały śmigłami powierzchnię morza. Przeleciały nad samym czółnem, kiwając skrzydłami dla ułatwienia sobie obserwacji powierzchni morza. Po chwili ostro wyskoczyły w górę, zwinęły się w ciasnym zakręcie, wyrównały lot, a potem, nurkując, runęły na pełnym gazie do ataku. Z krawędzi ich skrzydeł trysnęły ogniki, dokoła łódki zagotowała się woda, rozbryzgiwana pociskami karabinów maszynowych.

- O Jezu Nazareński, zlituj się nade mną! - stęknął Alcock i niezgrabnie począł się gramolić przez burtę.

Czółno przechyliło się raptownie, nabrało wody i zanim Peter zorientował się, co się stało, płynął na oślep w ciepłym morzu, pośród białawych rozprysków piany.

Samoloty zakończyły pierwszy atak, ale bynajmniej nie zamierzały odlecieć. Piloci doszli widać do wniosku, iż czółno wypełnione było rozbitkami z jakiegoś zatopionego statku alianckiego, a rozbitków - wrogów ojczyzny - nie należało pozostawiać przy życiu. „Zero” po raz drugi wzniósł się, zakręciły i zeszły w dół.

Gdy ze skrzydeł prowadzącej maszyny wykwitły ogniki wystrzałów broni maszynowej, Shannon, który odpłynął już o dobre dwadzieścia metrów od łodzi, zaczerpnął powietrza w płuca i znurkował. Płynął pod wodą tak długo, aż zabrakło mu oddechu. Kiedy wychynał na powierzchnię, morze znów gotowało się od uderzeń pocisków, a Japończycy stromą świecą nabierali wysokości z silnikami wyjąłymi na pełnych obrotach.

Z boku, niedaleko Petera, unosiło się czółno, przewrócone teraz do góry dnem. W pobliżu niego poruszały się głowy ludzkie. W pewnym momencie Shannonowi wydało się, iż koło łódki pojawiła się ostra, trójkątna płetwa, a pod nią wydłużony kształt.

„Rekin!” - przebiegło mu przez myśl.

Zdrętwiał ze strachu. Zaczął panicznie zagarniać wodę ramionami, chcąc jak najprędzej dostać się do zbawczego czółna, które, chociaż przewrócone, stanowiło jedyną osłonę przed morskimi drapieżnikami. Zanim jednak dopłynął do łodzi, po raz trzeci rozległy się wystrzały maszynowej broni i Peter, nabrawszy oddechu, znikł pod wodą. Oczy miał otwarte, starał się w zielonkawej przestrzeni morskiej wypatrzeć ślad ruchu, ślad złowrogich ryb. Gdy ponownie znalazł się na powierzchni, samoloty japońskie, po zatoczeniu sporego okrążenia, odlatywały w kierunku lądu majaczącego na horyzoncie.

- No nareszcie - odsapnął Peter i poczuł napływ bezsilnej wściekłości.

Do czółna dopłynął równocześnie z Tannerem, którego nie ogolona, pokryta czarną szczecina twarz pojawiła się przy przeciwległej burcie. W chwilę potem ukazały się koło nich głowy McNeilla i Duvala. Nieco później w pobliżu rozległ się płaczliwy, skamlący głos Alcocka:

- W imię Wszechmiłosiernego, pomóżcie... tonę... tonę... o Boże, ratuj swego wiernego sługę...

- Nie kwękaj, mięczaku - parsknął Australijczyk, ale oderwał się od czółna, nie zważając na możliwość ukazania się rekinów, kilkoma ruchami ramion dostał się do Alcocka, podtrzymał go i zrecznie doholował do łodzi.

W tym samym czasie Shannon, McNeill i Duval, chwyciwszy za oślizły kil, czynili nadludzkie wysiłki, by przekreślić czołno i przywrócić do normalnej pozycji. Udało im się to z pomocą silnego Tannera i wreszcie cała piątka znalazła się we wnętrzu, wypełnionym wodą, ale będącym niewątpliwie schronieniem przed rekinami.

- Czerpać, wylewać! - zakomenderował McNeill i złożonywsy dłonie zaczął wyplukiwać wodę na zewnątrz.

- Do roboty, księżulku - zachęcał Australijczyk Alcocka.

Po paru minutach łódka była na pół wypróżniona, fale przestały przelewać się przez burty. Poczęto rozglądać się za resztą kolegów, szukać ich, ale na powierzchni morza nie widniał ślad ludzkiego życia.

- Pociski lub rekiny - stwierdził krótko Tanner.

- Żadna różnica - dorzucił zgnębionym głosem Shannon.

- O mój Boże... mój Boże - jęczał Alcock.

Alan McNeill skrupulatnie i systematycznie badał łódkę. Okazało się wkrótce, że poza odprysniętymi kawałkami drzewa w górnych krawędziach burt, pociski japońskie wywierciły dwie dziury poniżej linii wodnej. Przez otwory ta woda strumieniem wlewała się do wnętrza. McNeill oddarł kawał materiału ze spodni i pozatykał szpary. Reszta znów zabrała się do wyczerpywania wody i wkrótce czołno powróciło do mniej więcej zwykłego stanu. Brakowało jednak wiosel, zagubionych gdzieś podczas ataku myśliwców, brakowało powiązanych koszul, mających zastąpić żagiel. Ku bezbrzeżnej rozpaczycy Tannera na dno poszły oba automaty, jedyna broń uciekinierów. Co zaś najgorsze, zginęły w odmętach skromne zapasy żywności i cenna baryłka ze słodką wodą.

- Trzymałem ją przez cały czas - tłumaczył się zawstydzony Duval. - Obejmowałem jak najpiękniejszą kobietę. Dopiero gdy łajba przewróciła się i wypadłem w morze, straciłem orientację. Sacrebleu! [48] W przestrachu zapomniałem o baryłce. Mon lieutenant - zwrócił się do Shannona. - To moja wina. Pardonnez moi, mon lieutenant. Jestem prawdziwym durniem. Imbecile! [49] Imbecile!

- Niczyja w tym wina, Henri - odparł melancholijnie Peter. - Nie mamy szczęścia, to wszystko.

- I nie mamy z czego strzelać - wybuchnął Tanner.

Czołno leniwie kołysało się na falach. Łąd na horyzoncie, niedawno zupełnie wyraźny, zmienił się w cieniutką kreseczkę, ledwie widoczną w oddali. Prąd znosił uciekinierów dalej i dalej na pełne morze.

- Co się stało z tamtymi? - rozważał głośno McNeill, chociaż bez trudu można było znaleźć odpowiedź na to pytanie.

- Pociski lub rekiny - powtórzył swoje Australijczyk, szarpiąc się za owłosioną pierś, wystawioną na palące promienie słońca.

Rozglądali się bez przerwy, wypatrywali, wyteżali wzrok, aż oczy zachodziły łzami od blasku. Wreszcie, gdy w południe poszukiwania ich nie dały rezultatu, wiedzieli już z całą pewnością, iż Stanley White, John Vincent, George Brown i Herbert Hancock zniknęli im z oczu na zawsze.

Słońce paliło coraz silniej, lało prostopadle promienie na półnagie ciała ludzkie, suszyło je i wywoływało okropne pragnienie. Głód również dawał się we znaki, nie był jednak ani w połowie tak straszny jak brak wody. Uciekinierzy pooddzielali ze spodni kawałki materiału, umoczyli je w wodzie i zakładali na głowy, by choć częściowo uchronić się przed działaniem słońca. Nawet Joseph Alcock odżałował rękaw swej koszuli i sporządził rodzaj turbanu. Kładli się na dnie czołna, gdzie

stale znajdowało się kilkanaście centymetrów ciepłego płynu. I to jednak nie przynosiło dostatecznej ulgi.

Shannona, cierpiącego na równi z innymi, ogarniała coraz silniejsza depresja. Śmierć White'a oraz Vincenta dotknęła go specjalnie mocno.

„Szabla Teruci, bagnet strażnika, pociski karabinów maszynowych, rekiny i tropikalny upał... Zbyt wiele tego. Szanse naszego przetrwania są tak znikome, iż właściwie ich nie ma. Przedłużamy egzystencję, łudzimy się, ale to sprawa kompletnie przegrana...

A tamci? Czterdziestu pilotów dywizjonu „Buffalo”? Dłużej się trzymali, inaczej zginęli, ale ilu ich pozostało? Peter Shannon, może Munro, może sierżanci Grant i Dreck. Peter przypomniał sobie głupi i naiwny wierszyk, który recytowała jego matka w czasach wczesnego dzieciństwa. Wierszyk mówił o dziesięciu małych Murzynkach, których spotykały ciągle jakieś nieszczęścia, którzy ginęli jeden po drugim, aż nie pozostał żaden.

Ten little Nigger boys  
Going out to dine,  
One overate himself  
And then were nine,..[50]

„Nas też zostało dziewięciu po śmierci Hitchcocka i Grocholskiego” - pomyślał Peter, nie mogąc się pozbyć z myśli natrętnych słów wierszyka..

Nine little Nigger boys  
Staying up late,  
One overslept  
And then there were eight.

Eight little Nigger boys.  
Climbing up to Heaven,  
One fell down  
And then there were seven..[51]

„Jeżeli mam zginąć, niech się to stanie szybko i możliwie bezboleśnie. Nie ma chyba nic gorszego niż powolna śmierć w męczarniach”.

Seven little Nigger boys  
Chopping up the sticks,  
One chopped himself in half  
And then there were six.  
Six little Nigger boys  
Playing with the hive,  
One got stung  
And then there were five[52].

„Pozostało pięciu, bo szóstego ukłuło żądło pszczoły. Nas kludy żądła, ale japońskich pocisków. To gorsze od pszczoły...”

Owłosiony tors Tannera, ciężki i potężny, poruszał się powolnym oddechem.

Australijczyk co chwila zaczerpywał morskiej wody i polewał ciało. Duval, nieomal karzełek przy wielkim majorze, o skórze, oliwkowej, pozbawionej owłosienia na piersi, znośli upał nieźle, niemniej wzdychał co chwila i mamrotał po francusku bądź wyszukane przekleństwa, bądź również wyszukane dowcipy, czasem z żalem wspominał na głos o zagubionej baryłce wody. McNeill, chudy i żyłasty, z długą czarną brodą, ze skrawkiem szarawego materiału zawiązanego na głowie, wyglądał jak przywódca średniowiecznej szajki piratów. Koszulę na grzbiecie miał tylko Alcock, chociaż poświęcił jeden rękaw na sporządzenie turbanu. ale właśnie on cierpiał najbardziej lub też był najmniej odporny fizycznie i psychicznie.

Upał trwał, schronienia przed nim nie było. Nikt nie chciał ryzykować kąpieli w wodzie, w której roiło się od rekinów. Czas upływał leniwie i ospale.

„Co właściwie wiemy o innych ludziach? - rozmyślał Peter, którego zaczęła ogarniać gorączka, spowodowana zarówno gorącem, jak i na pół zagojonymi ranami twarzy i ucha. - Co ja wiem o tych, którzy niedawno odeszli? Co o tych, którzy pozostali ze mną? Zgoła nic, poza strzępami nieistotnych drobiazgów. Co kryje się pod czaszką każdego z mych bliźnich? Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Gdy rozmawiam z kimś, wymieniamy myśli, ale czy słowa zdolne są przekazać to, co w nas tkwi? Czy każdy czuje to samo? Jeżeli padnie wyraz „walka”, inaczej zrozumiem go ja, inaczej Tanner, inaczej McNeill. A więc chociaż wydaje się nam, że jesteśmy razem, blisko siebie, każdy skazany jest na wieczną samotność, każdy musi sam przeżywać i odczuwać, samotnie przejść przez życie, nawet mając kogoś bardzo bliskiego, kochającego i rozumiejącego...”

Mąciło mu się w głowie. Zdjął brudną szmatę - pół nogawki spodni - zamoczył w morzu, owinał dokoła czaszki. Ulżyło, ale język puchł, wypełniał już całą jamę ustną.

Słońce coraz szybciej staczało się ku widnokręgowi, dotknęło morskiego horyzontu, a Peterowi przez mgnienie oka wydawało się, że słyszał syczenie wody i stykającego się z nią rozżarzonego kręgu. Nadchodził wieczór, zrobiło się nieco chłodniej. Z nastaniem ciemności piątka nieszczęśliwców ułożyła się na dnie. Usiłowali zasnąć, wypocząć choć trochę, nabrać sił na jutro. Mimo pragnienia, głodu i braku miejsca zapadli wreszcie w drzemkę, pełną niespokojnych widziadeł i majaczeń.

Peter zbudził się około północy. Na twarzy poczuł delikatne i chłodne uderzenie deszczu. Przekręcił się na wznak, otworzył usta i łapczywie wchłaniał zbawcze krople. Inni zrobili to samo, a za przykładem McNeilla rozpostarli szczątki swych ubrań, by nałapać w nie jak najwięcej cennego płynu. Bezustannie przykładali kawałki materiału do ust, wyciskali je, ssali wodę.

Deszcz ustał nad ranem. Gdy zaś się rozjaśniło i słońce wzniosło się nad widnokrąg, znikła nawet cieniutka kresczka na horyzoncie, ląd przepadł w oddali. Tropikalny upał znów dusił i paraliżował, a wraz z potem wyparowywały z uciekinierów resztki energii. Wczorajsze cierpienia powtórzyły się we wzmożonym stopniu i w południe Peter doszedł do wniosku, że czekała ich wszystkich powolna śmierć, taka właśnie, jakiej się najbardziej obawiał. Trudno się było ludzić, że czółno zdoła dopłynąć do jakiegokolwiek lądu, że możliwe jest wybawienie i ratunek.

„Przechodzimy przez życie jak to czółno. Bez wiosła, bez żagla, bez steru. Wydaje się nam, że potrafimy planować i kierować przyszłością, że wszystko musi ułożyć się tak, jak pragniemy. A potem przychodzi przypadek, zbieg. okoliczności, ktoś zadaje nagły cios i wszystko diabli biorą...”

Cała piątka leżała bez ruchu na dnie łodzi, nikt nie przesunął się o centymetr ręki lub nogi. Brakło

na to sił, każdy ruch męczył i był zbyteczny. Nie wymieniono ani zdania - cóż w podobnej sytuacji można sobie mówić? Opowiadać dowcipy? Dzielić się przeżyciami z odległej przeszłości? Opisywać dom rodzinny? Wspominać żonę lub dzieci? Dyskutować o ostatnio widzianym meczu piłki nożnej? Spierać się o wynik wojny? To wszystko stało się nieistotne, nieważne. Ważna była rzeczywistość, bezpośrednia terażniejszość. Ważne było mikroskopijne czółno, zaschnięte gardło, kurcze w żołądku i bezkres morza. Wszystko inne znikło, jak znikł na horyzoncie pasek lądu.

- Co będzie, jeżeli zerwie się wiatr i wzburzy morze? - Słowa Tannera były jedynymi, jakie padły przez cały dzień.

Nadszedł drugi wieczór spędzony w czółnie, potem druga noc. Tym razem jednak nie spadł deszcz, nic nie przynosiło ulgi narastającemu pragnieniu.

Trzeci dzień na powierzchni oceanu. Trzeci dzień w tropikach bez kropelki wody do picia. Kres ludzkiej wytrzymałości.

„Są podobno kraje, gdzie nie panuje takie wściekłe gorąco... gdzie one? Są części świata, gdzie ludzie marzną, trzęsą się z zimna, gdzie deszcz leje bez przerwy dzień i noc... Nie, to nieprawda... to niemożliwe... Nie ma ani zielonej brytyjskiej wyspy, ani lodowatej Grenlandii, ani mroźnej Syberii... Nie ma kryształowo czystej źródlanej wody alpejskich potoków ani chłodnych jezior skandynawskich... Nie można sięgnąć ręką i przekręcić kranu w łazience, nie można wyjąć kostki lodu z elektrycznej lodówki...”

Zemdlony czy też krańcowo wyczerpany Alcock leżał nieruchomo. Tanner, poruszający się z wielkim trudem, przykładał mu do czoła szmatę zwilżoną morską wodą - pozostałość turbanu z rękawa koszuli.

McNeill co chwila przeciągał spuchniętym językiem po spękanych, zaschniętych wargach. Duval nie miał siły na zanurzenie w morzu skrawka materiału.

„Tyle wody dokoła.., miliony, setki milionów litrów... miliardy... Woda, czysta, zimna woda, tylko zaczerpnąć i pić. Pić! Wyciągnąć rękę, nalać płynu do przezroczystej szklanki, która przecież stoi na kredensie w jadalnym pokoju, obok wazonu z mimozą. Dlaczego nie można wyciągnąć ręki? Czy ją ktoś skrępował, przywiązał do podłogi? Betty... podaj mi szklankę, napełnij ją, my darling [53], tak bardzo jestem spragniony... Daj jedną szklankę, drugą, trzecią,.. tysiąc szklanek, milion, setki milionów szklanek... Betty, przynieś wody, prędko, prędko...”

Było już późne popołudnie, gdy Peter ocknął się z zamroczenia, a sięgając po szmatę na głowie, by ją zmoczyć w wodzie, zauważył daleko w powietrzu maleńką sylwetkę samolotu. Przetarł oczy - widziadło nie zniknęło. Odzyskując energię poderwał się wpatrzeć uważniej.

- Qu'y a-t-il [54], mon lieutenant? - spytał słabym głosem Duval.

- He?

- Co się stało? - powtórzył Francuz po angielsku. Shannon wyciągnął drżącą rękę.

- Samolot. tam...

McNeill wsparł się na łokciu, uniósł z trudem, przyklęknął i popatrzył we wskazanym przez Petera kierunku.

- Nic nie widzę - westchnął z rozczarowaniem.

- Tam, bardziej w prawo!

- Aha, jest... Tym razem tylko jeden, co?

Tanner powolnym ruchem potarł szczecinę podbródka.

- Wystarczy, aż za dużo - burknął. - Pociski lub rekiny, wybierajcie.

Z niebywałym napięciem przypatrywali się obcej maszynie, rosnącej w oczach. Zapomnieli o pragnieniu i wyczerpaniu, o spiekocie i głodzie, Wreszcie, po długiej chwili, Shannon wykrzyknął:

- To nie myśliwiec. Patrzcie, to górnopłat, ma trzy silniki. To latająca łódź... Dornier! Dornier „Do-24”!

- Niemiec? - spytał ze zdumieniem McNeill.

- Maszyna niemiecka, pewnie ma załogę japońską - odparł Tanner.

Peter stanowczo potrząsnął głową. Na sprawach lotniczych znał się niewątpliwie najlepiej ze wszystkich.

- Japończycy mają własne latające łodzie. To Niemiec!

Alcock otrząsnął się z religijnych kontemplacji, zaprzestał błagalnych modłów.

- Trzeba dać znak! Jakiś sygnał! Może nas zauważą, wyłowią. To prawdziwy cud, bracia, módlmy się... - począł niezdarnie ściągać z grzbietu koszulę. - Sygnał, sygnał, machajcie, wywijajcie chustkami...

- Idiota! - warknął wściekle Tanner. - Wypchaj się takimi cudami i schowaj swoją parszywą koszulę. Czy myślisz, matole, że Niemcy potraktują cię z honorami? Może zaprezentują orkiestrę pułkową i kompanię honorową? Sprezentują przed tobą broń? Może dadzą ci Żelazny Krzyż za twoje bohaterskie wyczyny, he?

- Les Boches przekażą nas „żółtkom” i sprawa załatwiona. Les canailles! [55] - dorzucił Duval.

Uciekinierzy siedzieli w łodzi jak urzeczeni, biernie wyczekiwali na rozwój wypadków. Gdy obca maszyna przybliżyła się tak bardzo, iż wyraźnie dochodził warkot jej trzech silników. Tanner obrócił się do kolegów.

- Wybierajcie - powiedział twardo. - Pociski lub rekiny. Innej możliwości nie mamy.

## ROZDZIAŁ XV

Wielka latająca łódź, niczym gigantyczny, bajkowy ptak, z wyciem silników przeleciała nad czółnem, wykręciła, zatoczyła szerokie okążenie, po nim drugie i poczęła schodzić do wodowania, ustawiając się pod wiatr. Motory przycichły, płatowiec szedł niżej i niżej, aż wreszcie kadłub maszyny dotknął wody i Dornier, wzbijając w powietrze białawe rozbryzgi piany, zwolnił i osiadł majestatycznie na powierzchni morza, nie dalej niż sto metrów od rozbitków.

- Actum est [56] - powiedział McNeill, z niewiadomych przyczyn posługując się łaciną.

- Gdybym miał przy sobie pistolet... porządny, solidny pistolet... - powtarzał Tanner.

Peter nie wiedział, czy cieszyć się, czy też rozpaczać z powodu pojawienia się nieznannej maszyny. Doszedł do takiego stanu, iż właściwie wszystko mu zobojętniało Powolna śmierć z pragnienia czy też równie powolna śmierć w męczarniach - różnica niewielka. Ale - pocieszał się bez przekonania - póki życia, póty nadziei. Nie ulegało zaś wątpliwości, że skutkiem przylotu latającej łodzi życie automatycznie przedłużało się, chyba że... to też było możliwe... chyba że załoga wystrzelała ich na łódce jak kaczki.

Nie było zresztą czasu na rozważania i jałowe zastanawianie się nad czekającym losem. Piątka zbiegów, jak zhipnotyzowana, patrzyła bezradnie na zbliżający się ogromny kadłub płatowca, który wkrótce dopłynął tuż obok i wznosił się przy czółnie, niczym wielka, masywna wieża. Peter automatycznie zarejestrował w pamięci brudne smugi oleju pod skrzydłami, rzędy nitów na szarym, metalowym kadłubie i zarys ludzkiej twarzy za owiewką kabiny pilota, zamazany, jakby nierealny.

Z boku latającej łodzi otworzyły się drzwiczki, ukazał się w nich mężczyzna. Biały mężczyzna. Europejczyk, nie Japończyk! Był wysoki, masywny, młody. Włosy miał jasne, cerę opaloną. Nosił na sobie śnieżną koszulę i równie białe, nienagannie zaprasowane spodnie. Wydawał się nieprawdopodobnie, aż karykaturalnie świeży, czysty i wypoczęty.

„Typowy Niemiec. Nadęty Szkop!” - przebiegło przez głowę Shannona.

Obcy uśmiechnął się przelotnie, z zaciekawieniem zajrzał do łodzi i zawołał coś w niezrozumiałym języku. Peter wyłowił tylko słowo „komm” [57].

- Wredny hitlerowiec - mruknął z nie tajoną odrazą Tanner. - Gdybym miał pod ręką pistolet...

Biało ubrany lotnik wychylił się, chwycił za ramię znajdującego się najbliżej Duvala i jak piórko wciągnął małego Francuza do wnętrza płatowca. Wychylił się ponownie, kiwnął znacząco ręką na innych. Jeden po drugim uciekinierzy przedostali się do maszyny i bezsilnie opadli na podłogę w kadłubie. Alcock, nagle poblady jak ściana, przekreślił się na bok i zaczął gwałtownie wymiotować.

Shannon podniósł się z trudem, stanął na rozkraczonych, uginających się nogach. Znalazł się twarzą w twarz z obcym w śnieżnej koszuli. Tuż obok zamajaczyła ciemnoskóra, niska postać, również w białym mundurze. Sylwetki nieznanymi lotników tańczyły przez moment w oczach Petera, dwoiły się i troiły, przesuwały wahadłowo w jakimś pijackim młyńcu, wreszcie zatrzymały się w miejscu - biała twarz na białym karku, ciemna twarz na karku ciemnym.

„Co to jest? Co to wszystko znaczy?”

I nagle opadła Shannona dzika, upajająca nadzieja. Rzecz była nieprawdopodobna, granicząca z cudem, ale... Doskoczył do biało ubranego lotnika, wpił mu palce w ramię.

- Kim jesteście? - wrzasnął przeraźliwie.

Obcy cofnął się odruchowo przed półnągą, obszarpaną i obrośniętą postacią, ale po chwili uśmiechnął się i odparł w niezłej angielszczyźnie:

- Royal Netherlands Air Force [58].

Peterowi znów zakręciło się w głowie. Zwolnił chwyt palców, zatoczył się jak człowiek kompletnie pijany, oparł dłoń o ściankę kadłuba i odwrócił do kolegów.

- To nie Szkopy i nie „żółtki”. To Holendrzy i... i Jawajczyki!

McNeill uśmiechnął się pogodnie, kiwnął głową, nie okazując zbytniego zdziwienia, ale nie miał siły ucieść się z podłogi. Duval zamrugał powiekami, jak człowiek porażony oślepiającym światłem, i chwycił się oburącz za brzuch, bowiem jeszcze w obozie nabawił się dyzenterii, która teraz dała o sobie znać. Alcock przestał wymiotować, dźwignął się, usiadł i złożył ręce do modlitwy. Tanner szarpnął się za gęste włosy na piersi, kilkakrotnie powtórzył swe ulubione „by Jove” i wybuchnął nieopanowanym śmiechem. Peter zwrócił się do zdumionego Holendra:

- Jestem porucznikiem Royal Air Force. Uciekaliśmy z obozu japońskiego, trzy dni tkwiliśmy w morzu... zniosło nas... Japończycy ostrzeliwali z powietrza... rekiny...

Holenderski lotnik kiwał ze zrozumieniem głową, uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Ucisnął dłoń Shannona, zagadał coś w swym skomplikowanym języku, którego nie znał nawet McNeill. I nagle we wnętrzu latającej łodzi zapanował rozgardiasz. Ogarnięci gwałtownym przyływem energii, oszaleli ze szczęścia uciekinierzy zerwali się z podłogi, zaczęli się ścisnąć, klepać po ramionach i plecach, chwytać za ręce osłupiałego Holendra i nie mniej zdumionego Jawajczyka, którego w nadmiarze entuzjazmu Duval ucałował w oba policzki, kłując niemiłosiernie nie golonym od dwóch tygodni zarostem.

Mały Jawajczyk, radiotelegrafista załogi, przyniósł ogromny garnek kawy, zaparzonej na pokładowej kuchence, po nim drugi i trzeci. Zawrócił po raz czwarty, zjawił się z pełną miską zimnego ryżu i zimnej cieleciny. Zaambarasowany Duval pociągnął go za rękaw.

- Toilette? Lavatory? [59] - dopytywał, pomagając sobie gestami.

- Proszę za mną - odparł Jawajczyk w płynnej angielszczyźnie i przeprowadził Francuza do małego pomieszczenia w tyle kadłuba, skąd Duval wyszedł dopiero po dziesięciu minutach.

Gdy zaspokojono pierwszy głód i nasycono się aromatycznym, wzmacniającym napojem, McNeill, który doszedł całkowicie do siebie i automatycznie przejmował inicjatywę i dowództwo, uznał za stosowne najpierw przedstawić swą grupę holenderskiemu lotnikowi.

- Nazywam się Alan McNeill. To jest porucznik Joseph Alcock, członek Royal Artillery Corps [60]. To major Geoffrey Tanner, Australijczyk. Monsieur Henri Duval, Francuz, jest chwilowo nieobecny - ruchem ręki wskazał na tył płatowca. - A porucznik Shannon jest pańskim kolegą po fachu...

- Flying Officer Peter Shannon z lotniska Seletar w Singapurze - przerwał Peter.

- Porucznik Jacofo van Tillen - odparł ze swym szerokim uśmiechem Holender. - Słyszałem o oblężeniu i kapitulacji twierdzy. Prawdziwe nieszczęście, niepowetowana strata.

McNeill pokrótce uzupełnił opowiadanie Shannona o ucieczce z Pasir Pandziang, a potem spytał krótko i zwięźle:

- Dokąd lećcie?



Van Tillen wyrzwał przez okno kabiny, przeciągnął wzrokiem po bezmiarze oceanu. Latająca łódź znajdowała się już w powietrzu. Wystartowała tak gładko, że nikt nie odczuł oderwania się od powierzchni wody. Holender obrócił się na powrót do McNeilla i odpowiedział:

- Lecimy do północnej Sumatry. Będziemy wodować w okolicach miejscowości Medan.

Rozpromieniony Tanner palnął go z całej siły w plecy, aż van Tillen ugiął się w kolanach.

- By Jove! Kapitalna wiadomość! Sumatra! Dostaniemy się nareszcie do alianckich oddziałów! No, dam po karkach tym przeklętym „żółtkom”, jak tylko dostanę broń do ręki - jego zachrypnięty bas rozniósł się po całym kadłubie, zagłuszając nawet szum silników.

- Cud, prawdziwy cud, łaska boska - stęknął z rozczuleniem Alcock i sięgnął chciwie po ostatni kawałek cielęciny,

Pogodna twarz van Tillena spochmurniała. Spojrzał dziwnie na Tannera i powiedział cicho:

- Sumatra padła. Jest już cała w rękach japońskich.

Twarz Tannera wykrzywiła się konwulsyjnie.

- Masz, księżulku, swoje cuda - burknął ze złością do Alcocka.

McNeill pocierał w zamyśleniu żyłaste ramiona i mruzczał do siebie:

- Północna Sumatra... północna Sumatra. Tam powinni jeszcze być „B czternaście” i „B trzydzieści siedem”... Ale jak ich odnaleźć? - popatrzył na von Tillena i zapytał głośno ze zwykłym sobie opanowaniem: - Jeżeli Sumatra padła, to w jakim celu tam lecicie?

Odpowiedź była natychmiastowa i wyjaśniająca:

- W okolicach Medan nie ma jeszcze Japończyków. Nie zdążyli tam dotrzeć. Mieliśmy wiadomości radiowe. Naszym zadaniem jest ewakuacja ludności. Kobiety i dzieci, rozumiecie, panowie? Nie możemy dopuścić, by wpadły w ręce tych... tych ludzi. Dużo kobiet i dużo dzieci - podkreślił znacząco.

Shannon napotkał wzrok McNeilla. Zrozumieli sens słów Holendra. Nie pojął go natomiast Joseph Alcock.

- Macie piękne zadanie, poruczniku van Tillen - powiedział protekcyjnym tonem, absolutnie nie licującym z jego strojem i sytuacją. - Jestem pewien, że wykonacie je zadowolająco. Cóż, nas jest tylko pięciu, nie zabierzemy wiele miejsca w maszynie.

- Czy ten mięczak nigdy nie stanie się człowiekiem - mruknął Tanner do Duvala, który powrócił już na pokład i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

Wargi Holendra zacisnęły się w wąską linijkę. Ton jego głosu stał się chłodny i nieprzyjemnie oficjalny.

- I'm sorry [61], panie hm... panie... - van Tillen udał, iż zapomniał nazwiska i stopnia wojskowego porucznika królewskiej artylerii.

- Alcock. Porucznik Joseph Alcock.

- Przykro mi, poruczniku, bardzo przykro. Jako oficer i dżentelmen zrozumie pan z pewnością, że musimy was pozostawić w Medan. Kobiety i dzieci mają podczas ewakuacji pierwszeństwo.

Alcock wykrzywił się płaczkliwie jak skarcone dziecko. Peter, nie tracący nadziei, spytał, czy latająca łódź zawróci raz jeszcze do Medan. Holender potrząsnął głową i oznajmił, że i tak zadanie było bardzo ryzykowne, w całym rejonie Archipelagu Malajskiego kręciły się japońskie myśliwce, a za kilkanaście godzin nie będzie mowy o bezpiecznym dolocie na Sumatrę, nie mówiąc już o powrocie.

Henri Duval zaklął szpetnie po francusku:

- Merde! [62] Mamy piekielne szczęście. Takie szczęście, że płakać się chce z radości! Ocalono nas... prawie. A peu pres! Zupełnie jak z moją biegunką - próbował żartować. - Przeszła... prawie. A peu pres...

- Co więc mamy robić? Co pan radzi? - napierał McNeill na Holendra.

Van Tillen bezradnie wzruszył ramionami, ale po chwili napomknął, iż w centralnej Sumatrze walczą w górach oddziały partyzanckie i że piątka uciekinierów, przy odrobinie szczęścia; zdoła się do nich przedostać, a potem, znów przy odrobinie szczęścia, może popробować dalszej ucieczki. W jakim jednak kierunku miała wieść ta dalsza droga, tego Holender nie wiedział.

- Duval ma rację - zachrypiał Tanner. - Szczęście! Odrobina! Tego zasranego szczęścia mieliśmy do tej pory masę. Całe kilogramy, całe tony!

Wiadomość otrzymana od holenderskiego lotnika była przygnębiająca, a raptowny przeskok ze skrajnej rozpaczy do żywiołowej radości i znów do beznadziejnej depresji rozstrajał nerwy nawet takiego człowieka jak McNeill. Szansa jednak mimo wszystko istniała. Jedna szansa na tysiąc, może na milion, ale istniała. Poprzednio zaś, na łodzi, wydawało się, iż nie było żadnej szansy. McNeill sprecyzował uczucia własne i kolegów, gdy powiedział poważnie:

- Cieszymy się, że żyjemy. I nie martwmy się na zapas, bo to do niczego dobrego nie doprowadzi.

Van Tillen skłonił głowę. Miał współczucie dla półnagich i zarośniętych obszarpańców, z których trzech było oficerami sprzymierzonej armii, był pełen szacunku, a nawet podziwu, ale dopomóc im nie mógł

- Gdzie jest wasza baza? - zwrócił się do niego Shannon, pragnący rozwikłać tajemnicę pojawienia się Dorniera na pełnym morzu.

- Tego mi nie wolno powiedzieć - odparł Holender, a nie chcąc okazać się gburem wobec oficerów alianckich, dodał, że niewiele brakowało. aby uciekinierów pozostawiono w czółnie. Załoga nie mogła zdecydować się na wodowanie, bowiem wykonanie zadania było rzeczą najważniejszą. Dopiero w ostatniej chwili, przy wykonywaniu drugiego okrążenia nad łódką, pilot zdecydował, że nie można pozostawić rozbitków i wydać na pastwę rekinom.

Tym potworom już oddaliśmy pokaźną daninę - burknął Tanner.

- Cud, prawdziwy cud. Wszechmocny natchnął was, drodzy holenderscy przyjaciele - wyrzekł Alcock.

- By Jove! Ja naprawdę mu kiedyś skuję morde - uniósł się Australijczyk i podsunął pięść pod nos członka Królewskiego Korpusu Artylerii, ale tknięty nową myślą, cofnął rękę. - Poruczniku - zwrócił się do van Tillena - czy nie macie na pokładzie jakiegoś pistoletu, jakiejś zapasowej broni? Zdobyliśmy na Japończykach dwa automaty, ale poszły na dno.

Okazało się, że nadzieje Tannera były płonne. Załoga miała własne służbowe pistolety, z którymi oczywiście nie chciała i nie mogła się rozstać, oraz broń pokładową - cztery karabiny maszynowe, umieszczone w dwóch wieżyczkach. Nic poza tym.

Słońce chyliło się do horyzontu, gdy na krańcach morskiej pustyni ukazały się mikroskopijne wyniosłości, przeszły w poziomą, nierówną kreskę lądu, a tuż przed zapadnięciem zmierzchu latająca łódź dotarła do wyspy i delikatnie wodowała przy brzegu porośniętym gąszczem wielkich mangrowców. Gdy Dornier, podciągnięty potężnymi silnikami, przybliżył się do wąskiej, piaszczystej plaży, spomiędzy splątanych gałęzi i krzewów, zza zielonkawego wału podzwrotnikowej roślinności wysypały się ludzkie postaci. Na plaży stłoczyło się kilka tuzinów kobiet, Europejek i Eurazyjek. Niektóre trzymały na rękach niemowlęta, inne prowadziły z sobą kilkuletnie dzieci.

Kobiety zalewały się łzami i zanosiły szlochem na widok samolotu, który wybawiał je od hańbiącego losu.

- Rozumiecie teraz? - zwrócił się półgłosem van Tillen do Shannona i McNeilla.

- Najzupełniej... - odszepnął Peter I urwał, bowiem w gardle coś go ścisnęło.

Podeszli do dowódcy załogi, kapitana pilota Hoecke, uścisnęli mu dłoń, dziękując za ocalenie, pożegnali się z van Tillenem. Dwóch niskich i krępych Jawajczyków nadeło sporą gumową łódkę „dinghy”, spuściło na wodę i dwukrotnie nawracając wysadziło na brzegu piątkę eks-jeńców. Na plaży powitał ich stary i pochylony wiekiem krajowiec, łysy i bezzębny, o nieprawdopodobnie pomarszczonej twarzy. Osobistość ta przybrana była tylko w wybrudzony, białawy saarung [63].

- Sołtys, wójt czy coś w tym rodzaju - stwierdził szeptem McNeill, odpowiadając uprzejmym ukłonem na ukłon staruszka.

Stanęli w milczeniu na brzegu i przypatrywali się, jak Jawajczycy kolejno zabierali do „dinghy” kobiety z dziećmi, podwozili do Dorniera i pomagali wejść do wnętrza. Gdy gumowa łódka po raz dziesiąty przybiła do plaży, a na wybrzeżu pozostało zaledwie kilka Eurazyjek, porucznik Alcock postąpił do przodu i protekcyjnie położył rękę na ramieniu ciemnoskórego radiotelegrafisty.

- Listen, my friend [64] - powiedział, siląc się na autorytatywny i rozkazujący ton. - Teraz kolej na mnie. Tubylcze kobiety mogą pozostać. Jestem oficerem wojsk brytyjskich, porucznikiem Royal Artillery Corps. Moja obecność na froncie jest niezbędna. Rozkazuję wam zabrać mnie na pokład samolotu natychmiast!

Na twarzy radiotelegrafisty nie drgnął żaden mięsień, ale oczy dziwnie mu zabłyśły.

- I'm sorry, sir - odpowiedział z kurtuazją, niemniej stanowczo. - Mam wyraźne instrukcje i muszę je wykonać. Miejsca na pokładzie już braknie. Z największym trudem zdołamy zabrać tylko te kobiety - wskazał na czekające Eurazyjki, zawahał się i dodał poważnie: - Obojętne, czy są białe, brązowe czy czarne. Są kobietami.

- Co takiego?! - wrzasnął Alcock, szarpiąc go za rękaw koszuli. - Ty mnie chcesz uczyć?! Nie chcesz mnie słuchać, ty zawszony Murzynie!

Peter Shannon doskoczył, obrócił w palcach Alcocka, a potem z całej siły wymierzył mu cios w podbródek. Artylerzysta jęknął, zwinął się i jak ścięty sierpem zwałił się na piasek. Peter potarł pięść, splunął z obrzydzeniem pod nogi i powolnym krokiem podszedł do brzegu. Zaczerpnął wody w złożone dłonie, wrócił i chlusnął na nieprzytomnego porucznika królewskiej artylerii.

- By Jove! Uprzedziłeś mnie, Peter. By Jove, to był piękny cios! - zachwycił się Tanner.

- W porządku, chłopcze, miałeś całkowitą rację - powiedział Peter do radiotelegrafisty. - Poradzimy sobie z tym - wyciągnął nogę w stronę Alcocka. - Zabierajcie resztę kobiet i jazda do maszyny. Życzę pomyślnego powrotu i dziękuję za wszystko - silnie ścisnął dłoń Jawajczyka.

- Wyrosną z ciebie ludzie, Peter - szepnął niedosłyszalnie McNeill.

„Dinghy” odbiła od plaży, dotarła do latającej łodzi. W dziesięć minut później silniki Dorniera ryknęły na pełnych obrotach. Potężny płatowiec zaczął ślizgać się po powierzchni morza, wreszcie oderwał się, wyszedł w powietrze, wykręcił na kurs i znikł w szybko zapadających ciemnościach.

## ROZDZIAŁ XVI

Łysy i bezzębny staruszek w wybrudzonym saarungu przybliżył się i brunatnym palcem dotknął gołej piersi Shannona. Gdy Peter podniósł oczy, staruszek dał znak, by przybysze udali się za nim w głąb łądu.

Pomiędzy mangrowcami było już zupełnie ciemno, toteż w czasie marszu zbiegowie, nie znający terenu, potykali się i przewracali na powykręcanych korzeniach i nierównościach gruntu. Teraz, gdy minęło podniecenie ostatnich godzin, gdy znikł samolot, będący swego rodzaju łącznikiem ze światem, ludzie znów odczuli brzemień zmęczenia i wyczerpania oraz przygnębiającej samotności. Ledwie się wlekli, szli jak w transie, półprzytomnie. Henri Duval, który specjalnie dotkliwie przeżył gehennę ostatniego dnia na łodzi i nie przyzwyczajony był do fizycznych wysiłków, zatrzymywał się co chwila, wzdychał ciężko, przykładając dłoń do lepkiego od potu czoła, często przykuczał na ścieżce.

- Mon Dieu - stęknął w pewnym momencie. - Znów złapała mnie ta obmierzła biegunka. Duszę ze mnie wytrzęsie. Dłużej nie wytrzymam... Mon lieutenant - zwrócił się do Shannona. - Zostawcie mnie. Jakoś się za wami powlokę.

- Keep smiling [65], Henri. Już z pewnością niedaleko - pocieszał go Peter, chociaż i on nie czuł się zbyt dobrze, a na pół zagojone rany piekły i bolały.

Wreszcie Francuz tak opadł z sił, że Shannon z McNeillem ujęli go pod ramiona. Tanner zaopiekował się Alcockiem, również osłabłym i chwiejącym się na nogach. Wędrowka za bezzębnym, ale wytrwałym i mocnym w marszu staruszką trwała długo, aż po przebyciu blisko pięciu kilometrów grupka dotarła do obszernej polany, na której wznosiły się zabudowania tubylczego kampongu [66]. W mdławym i rozproszonym świetle, płynącym od miliardów gwiazd, widniejących na bezchmurnym niebie, uciekinierzy dojrzeliby prymitywne szałas z bambusowego drewna, kryte bądź listowiem, bądź słomą. Szałas wznosił się na wysokich palach, widocznie wioska położona była w podmokłej dolinie.

Stary przewodnik doprowadził obcych do jednego z szałasów, bez słowa wskazał na bambusową drabinę. Jeden po drugim wspięli się po stromych stopniach i we wnętrzu chaty upadli na podłogę wysłaną wysuszoną trawą. Staruszek z namaszczeniem zapalił małą naftową lampkę i opuścił szałas. Po kilku minutach zjawiał się ponownie, tym razem w towarzystwie również wiekowej i pomarszczonej kobiety, uroczyście trzymającej w dłoniach garnek z wodą. Pragnienie przybyszów było tak wielkie, iż kobieta trzykrotnie musiała wychodzić z chaty i napełniać garnek. Wreszcie, gdy pić już nikt nie chciał, przyniosła dużą miskę gotowanego ryżu. Apetytu jednak nie mieli i miska pozostała pełna. Wymordowani do ostateczności ułożyli się na posłaniu i nie wymówiwszy do siebie słowa zapadli w głęboki, twardy sen.

Przez następny dzień pozostali w szałasie. Jeden tylko Duval co kilkanaście minut schodził ze stękaniami po drabinie i włókł się w pobliskie krzaki. Dyzenteria męczyła go i wyczerpywała organizm. Mały Francuz, dawniej żywy jak skra, pełen humoru i sypiący dowcipami, stał się

własnym cieniem. Wychudł, poczerniał, skóra zmarszczyła się na nim, jak na bezzębnym tubylczym staruszk. Pod wieczór Peter musiał pomagać mu przy schodzeniu i wspinaniu się na drabinę.

Gdy zapadła ciemność, pojawił się staruszek - kacyk kam pongu. Przykucnął obok Petera i bezzębnymi wargami począł coś mamrotać. Shannon zrozumiał go bez trudu, bowiem wszystkie narzecza Archipelagu Malajskiego podobne są do właściwego języka malajskiego, którym Peter władał wcale nieźle.

Okazało się, iż obecność obcych w wiosce nie była zbyt pożądana i zagrażała zarówno ich życiu, jak i bezpieczeństwu mieszkańców. Kacyk wyjaśnił, że zaopiekował się przybyszami na polecenie załogi latającej łodzi, że chętnie opiekowałby się nimi do końca życia - nie powiedział czy swego, czy też ich - ale sytuacja się zmieniła. Dotarły już tutaj przed kilku dniami forpoczty japońskie, spodziewano się lada dzień nadejścia nowych oddziałów. Należało więc kam pong opuścić, najlepszym zaś planem, według starego, było przedostanie się do gór centralnej Sumatry, gdzie w okolicach jeziora Toga walczyły podobno jakieś alianckie oddziały partyzanckie. Drugą alternatywą - jak powiedział staruszek - było przeprawienie się na Jawę i odnalezienie oddziałów białych wojsk, broniących się przeciw najeźdźcom.

Peter przetłumaczył kolegom słowa kacyka.

Tanner wykrzywił się złośliwie i zanucił pierwsze takty popularnej piosenki sprzed dwudziestu pięciu lat:

It is a long way to Tipperary, It's a long way to go...[67]

- Właśnie - podchwycił Peter, wpadając w ton Australijczyka. - Bezpłatna podróż z przeszkodami i przesiadkami. Bilety dla nas już wykupiono.

McNeill wtrącił poważnie:

- Do Jawy mamy co najmniej osiemset kilometrów i nie wiadomo, jak tam przepłynąć. Lepiej najpierw poprobować gór. Przyznam, że to wszystko jest trochę denerwujące, bo posuwamy się w kierunku odwrotnym do zamierzonego. No, mniejsza z tym. Powinniśmy być zadowoleni, jeżeli uda się nam odszukać partyzantów lub... kogoś innego. Góry, tak. Tam będzie chłodniej i może odzyskamy siły - popatrzył ukradkiem na Duvala.

- O ile się orientuję, posuwać się będziemy dżunglą - zauważył Peter. - To niełatwa sprawa, nawet jeśli człowiek jest dobrze wyekwipowany. Czy ktoś z was ma doświadczenia z podróży w dżungli?

Duval potrząsnął przecząco głową i trzymając się za brzuch począł chwiejnie schodzić po drabinie, Tanner odprowadził go niespokojnym wzrokiem i zachrypiał po swojemu:

- U nas w Australii nie ma dżungli, dzięki Bogu. A na Malajach byłem tylko trzy dni, wycofano nas do Singapuru i tam przesiedziałem całe oblężenie, co zresztą nie było przyjemną zabawą, chociaż ustrzeliłem kilku „żółtków”, którzy chcieli mnie ustrzelić. A ten - wskazał na Alcocka - z pewnością nie ruszył się ze sztabu od początku wojny.

- Moja jednostka walczyła na Malajach przez całą kampanię - odparł dumnie Alcock. Tanner zaśmiał się.

- Nie oznacza to, że byłeś w swojej jednostce. Cudów nie ma, Joe!

McNeill zakończył rozmowę:

- Z tego wynika, że tylko Peter ma pojęcie o poruszaniu się w dżungli i unikaniu jej zasadzek. Byłoby dobrze, gdybyś nas trochę pouczył, dopóki czas.

Peter rozsiadł się wygodniej, popił zimnej wody z glinianego garnka i wyławiając z pamięci

najważniejsze wiadomości, rozpoczął zaimprovizowaną lekcję. Dżungla, jego zdaniem, mogła stać się bądź przyjacielem, bądź wrogiem. Mogła dać ludziom pożywienie, wodę i schronienie. Mogła jednak i bezlitośnie zabić. Wszystko zależało od ludzkich umiejętności, rozwagi i ostrożności, ale też i od szczęścia.

- Nie mówcie o szczęściu, bo mnie znów sraczka łapie - wtrącił skrzywiony Duval, który zdążył powrócić do szałas.

- Przestań się denerwować, Henri - powiedział łagodnie McNeill. - Mamy szczęście, bo jeszcze żyjemy. A co będzie dalej? W twoim języku istnieje powiedzenie „qui vivra, verra” [68], prawda?

- Mam nadzieję, że wszyscy dożyjemy, Alan - odpowiedział cicho Duval.

Peter mówił dalej o tajnikach tropikalnej dżungli. Największym wrogiem człowieka była zmija, przezywana kraut. Długości nie większej niż pół metra, koloru czarnego i złotawego, grubości palca. Jej ukąszenie powodowało natychmiastową śmierć. Poza tym należało liczyć się ze skorpionami, jadowitymi pająkami, pytonami i dzikami. Tygrysy i inne wielkie drapieżniki pojawiały się, o ile Shannon się orientował, raczej rzadko na Sumatrze, małą nie trzeba się było obawiać. Nastrojów krajowców nie znał. Ważną sprawą było odpowiednie wyekwipowanie, zapasy żywności i wody, ale o tych rzeczach trudno było marzyć. Natomiast warto przejrzeć obuwie, wyreperować buty, przygotować onuce ze szczątków spodni.

- Przedzierać się będziemy piechotą. nikt nie podjedzie po nas wytwornym Rolls Royce'm. A co do spotkania Japończyków... zobaczmy.

Mimo słów kacyka przez następny dzień pozostali jeszcze w szałasie. Nabierali sił, wypoczywali. Co pewien czas do ciemnego wnętrza chaty zaglądały ciemne twarze mężczyzn i kobiet, niewysokie i krępe postaci o wystających kościach policzkowych, okrągłych głowach i prostych, czarnych włosach.

- Typowi Malajczycy - zauważył McNeill. - Przybyli tutaj z półwyspu w bardzo dawnych czasach, są pochodzenia mongolskiego. Doskonali żeglarze i rybacy. Ich język, jeśli się nie mylę, używany jest na całym Archipelagu Malajskim czy też w Indonezji albo Malezji, bo te trzy nazwy znaczą to samo.

- Wiadomość jak z encyklopedii - zaśmiał się Tanner.

Tubylcy przypatrywali się leżącym białym ludziom, szeptali jakieś uwagi, potrącali się łokciami, uśmiechali. Gdy Peter zagadał do nich po malajsku, zrozumieli i odpowiedzieli, zachichotali, a co odważniejsi próbowali dotknąć palcami owłosionego torsu Tannera.

W południe pomarszczona staruszka przyniosła do szałas miski z ryżem, gotowaną kurą, pieczonymi jajami żółwia i obranymi ze skorupy owocami durii.

- Nie pisane prawo w tej części świata mówi, że nie wolno wyrzucać z wioski głodnego przybysza i należy go nakarmić - wyjaśnił Peter z nikłym uśmiechem.

Po południu trzeciego dnia stary kacyk wspiął się po drabinie i raz jeszcze przysiadł obok Petera. W prymitywnych zdaniach powiadomił, iż obcy przybysze powinni opuścić wioskę jak najrychlej, nawet tego samego wieczoru. Dalszy pobyt w kam pongu stawał się niemożliwy. Rozeszło się już pośród mieszkańców, że Japończycy wyznaczyli nagrodę czterystu guldenów [69] za doniesienie o każdym ukrywającym się Białym. Czterysta guldenów stanowiło wielką pokusę dla ubogich Malajczyków.

Peter po trochu spodziewał się tej wiadomości i nie okazał zdziwienia. Martwił się tylko stanem Duvala, który, mimo wypoczynku i dobrego pożywienia, wyglądał coraz gorzej i czuł się coraz

słabiej.

- Obawiam się o niego - szepnął do McNeilla po odejściu krajowca.

- Będziemy mu jakoś pomagać - odszepnął Alan.

Nakarmieni do syta ryżem i gotowaną kurą, wkrótce przed zachodem słońca opuścili kam pong. Stary kacyk w miarę skromnych możliwości zaopatrzył ich w pożywienie i tykwy ze słodką wodą, po czym wyprowadził na skraj ścieżyny wyciętej w dżungli. Udzielił ostatniej rady, by utrzymywali kierunek południowy, i wraz z gromadą mieszkańców wioski obserwował odmarsz obcokrajowców.

Peter, za ogólną zgodą dowodzący teraz grupką, pierwszy ruszył wzdłuż ścieżki i w coraz ciemniejszej dżungli prowadził kolegów wąskim, zarośniętym, wijącym się zygzakami przejściem. Kam pong znikł z oczu. Z obu stron rozciągała się gęsta, nieprzenikniona ściana zieleni. W górze wznosiły się ogromne, rozcapierzone korony gigantycznych drzew, których pnie, czasem o grubości kilku metrów, tkwiły siatką korzeni w wilgotnej, miękkiej ziemi, a wierzchołki tonęły w niebieskawej mgiełce, ciągnącej się płaską chmurą nad całą dżunglą. Mimo późnej pory panował tutaj duszny, parny upał. Powietrze było tak rozgrzane, iż niemal parzyło przy oddychaniu. Człowiekowi wydawało się, że wciągał w siebie ukrop. Światło przenikało jeszcze z góry, ale stawało się coraz słabsze, toteż po godzinie marszu Peter zatrzymał się i oznajmił:

- Na dzisiaj dosyć. Zrobiliśmy ze cztery kilometry.

Zejdźmy ze ścieżki, żeby nas ktoś nie rozdeptał, i wyszukajmy jakieś legowisko.

Wdarli się w zieloną ścianę, gołymi rękami wyrwali otwór w gąszczu poszycia, wydeptali kilkumetrowy placyk. Ułożyli się na miękkiej, zatechłej ziemi. Zasnąć jednak nie mogli. Niezwykłe otoczenie działało na nerwy, pobudzało wyobraźnię, kazało pamiętać o żmijach, skorpionach, pajakach, tygrysach i innych okropieństwach tropiku. W pewnej chwili Tanner pociągnął nosem, splunął, pociągnął nosem powtórnie i zawołał z odrazą:

- By Jove! Ależ my śmierdzimy!

- W istocie, nie pachniemy perfumami „Soir de Paris” - odparł McNeill. - Nie pamiętam, kiedy się ostatnio porządnie myłem.

Duval podniósł się z trudem i powlókł na ścieżkę. Palce miał kurczowo zaciśnięte na dolnej części brzucha.

- Człowiek niknie w oczach - martwił się McNeill.

- Co z nim robić? Nie znam się na medycynie, lekarstw nie mamy. Co mu dać? Peter rozłożył ręce.

- Nie wiem - mruknął z przygnębieniem. - Wiem natomiast, że jeżeli jutro nie znajdziemy wody do picia, wkrótce będzie źle. Pocimy się bezustannie, wyparowywujemy strasznie dużo płynu, musimy go uzupełniać. Woda od starego kacyka nie wystarczy na długo, a bez wody Duval skończy się w przeciągu doby. No cóż, można w ostateczności zlizywać rosę z liści. Potem wsadzimy w usta kamyki i będziemy ssać. To pomaga.

- Na jak długo?

- Do licha, Alan, musimy się przedostawać od jednego strumyka do drugiego!

Duval powrócił, uśmiechnął się blado do kolegów, mruknął niemrawy żart o swym żołądku, popił wody z tykwy podsunętej przez Shannona i ułożył się do snu. Zapanowało milczenie. Po chwili Tanner zachrapał donośnie, zawtórował mu Alcock, cienie i z pogwizdywaniem przez nos. Peterowi

kleiły się oczy i już drzemał, gdy nagle Alcock poderwał się z wrzaskiem na nogi.

- Żmija! Żmija... kraut! Ugryzła mnie! Boże Wszechmocny, ratuj!

Zerwali się z legowiska. Ogarnęła ich zaraźliwa panika. Z ust Australijczyka wyrwał się przerażony okrzyk:

- Mnie też ugryzła!

W tym momencie Peter poczuł bolesne, palące ukąszenie, po nim drugie i trzecie. W nogę, w bark, w plecy. Nie panując dłużej nad sobą, tracąc resztki zdrowego rozsądku, rzucili się po omacku ku ścieżce, potracali się wzajemnie, popychali, potykali na korzeniach, uderzali o gałęzie. Gdy Shannona ugryzło coś po raz czwarty, teraz w przedramię, automatycznie uderzył się drugą ręką i wyczuł pod palcami niewielki, twardy kształt. Zgniół go i nagle się uspokoił, a nawet roześmiał.

- Wszystko w porządku, chłopcy - zawołał trzęsącym się jeszcze z podniecenia głosem. - To tylko mrówki. Zwykłe mrówki!

- By Jove! - zawołał Tanner i dosadnie zaklął przez zęby. - Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem!

Powrócili do legowiska, ale nikt nie chciał się położyć na ziemi. Peter, nie zapominający o chorym Duvalu, zaczął w ciemnościach wymacywać tykwy z wodą, porzucone w czasie panicznej ucieczki. Natrafił wreszcie na jedną i wydał cichy okrzyk przerażenia. Tykwa była otwarta i... pusta. Druga tykwa była również próżna, w trzeciej znajdowało się tylko trochę płynu.

- Alan - wyrzekł półgłosem do McNeilla.

- Tak.

W paru słowach Shannon powiedział mu o nowym nieszczęściu. McNeill przez długą chwilę nie odpowiadał, potrafił jednak zdobyć się na normalny, zrównoważony ton:

- Jeszcze jedna strata. Miałeś rację, Peter, musimy odszukać jakiś strumyk. Resztką wody będzie wyłącznie dla Duwala. Teraz pomyślmy o spaniu.

Peter, starając się zapomnieć o nieszczęsnych tykwach, długo namyślał się nad wynalezieniem innego miejsca, w końcu przypomniał sobie o drzewach. Zaproponował, by wdrapać się na któreś z nich, znaleźć jakieś rozgałęzienie. ulokować się możliwie wygodnie i przymocować dla bezpieczeństwa lianami.

- Małpę chcesz ze mnie zrobić? - zżymał się Tanner, który na wiadomość o stracie wody popadł w zgryźliwy nastrój. - Przeklęta Sumatra! Co za licho nas tutaj zaniósło?! Wołałem naszą dziurawą łajbę.

- I rekiny? - podsunął cicho McNeill.

Australijczyk wyrzucił z siebie soczyste przekleństwo, w którym dał wyraz swego stosunku do wojny, Japończyków, Sumatry i wszelkich insektów.

- Z drzew pospadamy jak zgniłe gruszki - wyrzekął. - A na ziemi zagryzą nas mrówki, skorpiony, pajaki, i te przeklęte krauty, czy jak się wabia. Obrzydliwy kraj, wredny klimat, obmierzły los!

Peter w ciemności odszukał pękate drzewo, wydźwignął się i ulokował u nasady gałęzi o półmetrowej grubości. Przyciągnął włochatą lianę i owinał kilkakrotnie dokoła ciała. Kora drzewa była miękka, gąbczasta, pokrywał ją mech, przy dotknięciu i oparciu dawała miłe uczucie chłodu. Odwiązał się i ześliznął na ziemię.

- Henri, to twoje gniazdko - oznajmił i z pomocą Tannera i McNeilla ulokował Francuza w drzewnym legowisku, po czym wspólnie z kolegami wyszukał innego rozgałęzienia konarów.

Przymocowali się, starali się zasnąć. Ale nocne życie dżungli dopiero się rozpoczynało. Ze



wszystkich stron dochodziły przedziwne odgłosy. Jakieś szmery, tupot nóg, stąpanie, pełzanie, przeciągłe, nieomal ludzkie krzyki małp. Dżungla oddychała własnym, niezrozumiałym dla nie wtajemniczonych. życiem. Ludzie, nie znający jej, czuli się przeraźliwie obco. Byli niepożądanymi intruzami, którzy każdy nieopatrzny krok, każde nierozważne i nieostrożne posunięcie przypłacić mogli życiem.

## ROZDZIAŁ XVII

„To jest tak bezsensowne, że zakrawa na tragifarsę - rozmyślał Peter następnego dnia, gdy na czele grupki brudnych obszarpańców włókł się wzdłuż ścieżyny, ciągnącej się nieprzerwanym sznureczkiem na południe, ku niewidocznym górcom. - Przemieniliśmy się w stwory niewiele różniące się od zwierząt i zachowujące się jak zwierzęta. Los rzucił nas w ten gąszcz, a jego małpia złośliwość zebrała do kupy osobników najzupełniej w gruncie rzeczy sobie obcych. Kim, do licha, jesteśmy? Australijski major o chorobliwej tęsknocie za pistoletem. Międzynarodowy mieszaniec o zagadkowej przeszłości. Angielski fanatyk z niedorozwiniętym umysłem. Francuski obieżyświat i ja, pół Brytyjczyk, pół Eurazyjczyk. Co nas właściwie łączy? Nasze zainteresowania są w tej chwili jednakowe, bo sprowadzają się do najprymitywniejszych potrzeb. Jeść, pić, utrzymać się przy życiu. Ale czy w odmiennych warunkach miałbym o czym rozmawiać z Tannerem lub Alcockiem? Czy obchodziłyby mnie tajemnice McNeilla lub upodobania Duwała?”

W tym momencie przerwał się tok jego myśli. Na zielonkawym, niewysokim krzewie, tuż obok ścieżyny, zauważył wiszące, włochate, okrągłe orzeszki.

-Chodźcie tutaj prędzej -zawołał. -Wyśmienite żarcie!

-Co to za świństwo? -spytał niedowierzająco Tanner.

- Rambutan [70] - odparł jednym słowem Peter.

- Hę? Mów po ludzku!

- Rambutan. Jadalne, smaczne, pożywne, nie trujące.

Poczęli rozłupywać i gryźć orzeszki, które istotnie okazały się smaczne i aromatyczne. Australijczyk, zerwawszy ostatni rambutan, rozejrzał się dokoła i znalazł w pobliżu krzaki z jakimiś jagodami. Były ciemne i soczyste. Urwał kilka, przyniósł Peterowi.

- Spróbuj, mistrzu, Jeżeli cię diabli nie wezmą, popróbuje i ja. Znasz się przecież na dżungli, prawda?

Shannon rozgryzł jagodę, stwierdził, że smakowała nieźle i poinformował kolegów, iż zwykle w dżungli stosować można regułę następującą: jeżeli coś ma dobry smak, jest nieszkodliwe dla zdrowia.

- Zwykle, ale nie zawsze. Te jagody powinny być jednak dobre, chociaż nigdy ich poprzednio nie widziałem.

- Żyjesz jeszcze, Peter?

- Jak widzisz, Geoff.

Jagody częściowo uśmierzyły palące pragnienie. Ułamali gałązki z nie znanego im drzewa, obdarli z liści i podpierając się tymi zaimprovizowanymi laskami ruszyli w dalszą drogę. Ze względu na Duwała zatrzymywali się często, przysiadali na ziemi dla odpoczynku. Francuz, chociaż wspomagany naprzemian przez Tannera i McNeilla, ciągle pozostawał w tyle, ledwie poruszał

nogami. Nawet Alcock, którego obchodziła wyłącznie własna osoba, zauważył jego stan. Podszedł ukradkiem do chorego i szepnął mu do ucha:

- Memento mori. Módl się za swą duszę, bracie.
- Allez-vous-en [71] - odparł słabym głosem Duval.

Nagle Peter podskoczył, rzucił się do przodu, zamachnął raz i drugi laską, uderzył nią kilkakrotnie o ziemię, wydając bojowe okrzyki. Po chwili obrócił się do kolegów i podniósł w górę laskę, na której końcu zwisał długi, cienki, kształt. Twarz Petera pobladła pod opalenizną i pokrywającym ją zarostem.

- Zapamiętajcie wygląd tego diabelstwa - powiedział. - To właśnie jest przyjaciel kraut.
- O Jezu Nazareński... - stęknął Alcock.

Powlekli się dalej w milczeniu, tylko Tanner, przechodząc koło porzuconej na ścieżce zmił, splunął na nią pogardliwie. Wytrwale podążali dróżką, przystawali, czasem przysiadali na wilgotnym, parującym gruncie. Czasem udawało im się zerwać jadalne jagody i owoce, bardzo teraz przydatne, bo skąpe zapasy pożywienia, zabrane z tubylczej wioski, zupełnie się wyczerpały, a resztką wody Shannon napoił chorego Francuza. Często musieli czekać na Duvala, którego stan pogarszał się z godziny na godzinę.

Po południu Peter zatrzymał się, pociągnął nosem. Poczul delikatny zapach palącego się drzewa sandałowego. Oznaczało to, iż znaleźli się w pobliżu jakiejś wsi.

Podeszli bliżej i ukryci w gąszczu obserwowali. Ujrzeni kilkanaście szałasów, paru kręcących się dokoła krajowców. Najbardziej jednak zainteresowała ich studnia, z której ciemnoskóre kobiety czerpały wodę do drewnianych wiader.

- Chodźmy, tam jest woda... życie - jęknął Alcock.
- Tam mogą być Japończycy - zauważył Shannon.
- Z pomocą boską nic się nam nie stanie!

Za poradą Petera odczekali jednak, aż zapadła podzwrotnikowa noc. Gdy w kam pongu ucichły odgłosy ludzkiego życia, podkradli się do studni i długo delektowali chłodnym napojem. Pili, opryskiwali się, obmywali, żałując jednocześnie, że nieroztropnie porzucili po drodze puste tykwy. Koło studni leżała wielka kupa jadalnych korzeni jamu, które nabrali w garście, upchali po dziurawych kieszeniach, wypełnili nimi chusty z głów i znikli w dżungli jak duchy.

- To była uczta - zauważył słabym głosem Duval.
- W dodatku tania. A bon marche.
- Nawet zupełnie darmo - odparł wesoło McNeill.
- Ale ty, Henri, nic nie jadłeś.
- Nie mam apetytu, mon cher [72],

Shannon wyprowadził ich daleko od wioski. Odnaleźli stosowne drzewa, wdrapali się na nie, jak poprzednio przewiązali lianami i przeżuwszy resztki korzeni jamu zapadli w sen.

Peter bardzo źle spał tej nocy. Drzewne legowisko było niewygodne, poza tym męczyły go zjawy, widziadła. Powtórnie przeżywał ucieczkę z Pasir Pandziang, wyłamywał wraz z Johnem Vincentem bramę obozu, podpierał rannego Hitchcocka, wrywał polskiego marynarza z paszczy rekina, przywoływał holenderską latającą łódź, skierowywał ją na powrót do Singapuru i na Półwysep Malajski. A potem obraz się zmienił. Peter znalazł się w kabinie „B jak Betty”, szedł na spotkanie

wrogich samolotów. Leciał wciąż wyżej i wyżej i nagle dokoła pojawiały się „Zero”. Było ich bardzo wiele, podlatywały blisko, a w każdym siedział kapitan Teruci i wywijał błyszczącą szablą. Znikąd wyprysnęła maszyna „W jak whisky”, major McLochlon ogromną fajką począł grzmocić po głowach Teruci. Bił ich tak długo, aż jeden po drugim spadli w dół, znikali w zamglonym powietrzu. Już tylko jeden „Zero” kręcił się dokoła Petera, a z jego kabiny wyrzała twarz, porucznika Kirujamo Dekko. Japończyk trzymał w dłoni trzepoczący się na wietrze drzeworyt mistrza Harunobo. „Nie zabijaj go, McLochlon! - krzyknął Peter do majora. - To Dekko, mój kolega z gimnazjum!” McLochlon skinął głową i wsadził fajkę w usta, a „Zero” porucznika Kirujamo podszedł jeszcze bliżej, i nagle rzygnął w kierunku Petera wystrzałami z karabinów maszynowych. „Co robisz, Dekko?! To ja, Peter! Peter Shannon z Royal Collego of Sydney!” Pociski Japończyka zapaliły „B jak Betty”. Peter począł spadać w ciasnym korkociągu, nie mógł wyprowadzić z niego maszyny. Szarpnął za pasy kabiny, wyrzucił owiewkę, wyskoczył i otworzył spadochron. Spadał prosto na rosnący w oczach prostokąt zieleni, w środku którego stał niewielki, biały domek o czerwonym dachu. Z drzwi domku wypadła postać kobiety z rozwianymi włosami, tuż za nią Teruci z wściekle wykrzywioną twarzą i szablą w dłoni. Teruci wyciągnął rękę, chwycił za czarne sploty, szarpnął. Peter chciał krzyknąć, ale był jak sparaliżowany, nie mógł wydać z siebie głosu, a spadochron unosił go dalej i dalej od ziemi, szedł w górę. Obraz na ziemi malał, dwie postaci zmieniały się w maleńkie figurki i tylko głos Betty brzmiał coraz donośniej, coraz przenikliwiej...

Peter przeciągnął dłonią po spoconej twarzy i otworzył oczy. Dokoła panowała grobowa ciemność, w oddali, w głębi dżungli, ciągle rozlegał się przenikliwy wrzask małpy.

Następnego dnia o świcie ruszyli w dalszą wędrówkę. Duszne, gorące i zgniłe powietrze męczyło straszliwie. Około godziny jedenastej Duval upadł na ziemię i nie mógł wstać. Tanner i McNeill, sami krańcowo wycieńczeni, podnieśli go, ujęli pod ramiona i za nogi. Pięć ludzkich cieni powlokło się naprzód. Byle dalej, byle przed siebie, ku niewidocznemu celowi, ku nieznannej przyszłości, na południe.

Orientowali się według słońca i zegarka McNeilla, wiedzieli, że ogólny kierunek był dobry. Gdyby zresztą ścieżyna zboczyła na wschód czy na zachód, nie byłiby w stanie jej porzucić. O przedzieraniu się na przełaj przez gąszcz dżungli nie mogli nawet marzyć.

Po południu natknęli się niespodziewanie na pas czarnej, wysmołowanej szosy, Była pełna wybojów, częściowo porośnięta trawą, niemniej jednak używana, gdyż zauważyli na niej względnie świeże odchody końskie i wołowe. Szosa wiała się w tunelu zieleni, zamykającej się na wysokości kilku metrów. Niebo w górze było niewidoczne, przesłaniały je poplątane, poskręcane, wrośnięte jedna w drugą gałęzie i konary, pnącza, liany, ogromne, rozłożyste liście i barwne kielichy wielkich kwiatów, których nazwy nie znał nawet Peter.

Ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, przekroczyli szosę, a tuż za nią napotkali strumyk, ściekający po ogromnych, omszałych głazach.

- Zakładamy obóz - zdecydował bez namysłu Peter. - Odsuniemy się trochę od szosy, żeby nas „żółtki” nie wypatrzyły. Robimy legowisko, odpoczywamy - po cichu zaś dodał do McNeilla: - Duval nie wytrzyma dalszego marszu.

- Tak - zgodził się Alan. - Słuchaj Peter, jak ci się zdaje, daleko jeszcze?

- Dokąd?

- Do gór. Do partyzantów. Shannon wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Może sto, dwieście, może trzysta mil...

Złożyli chorego na trawie, obok przysiadł Alcock, kwilący jak niemowlę. Pozostała trójka zabrała się do roboty i w godzinę później urządzono wcale wygodne posłanie, rodzaj gniazda z liści i paproci. Peter przed położeniem się sprawdził skrupulatnie, czy po ziemi nie pełzają mrówki, które tyle strachu napędziły im pierwszej nocy. Nie usiłował wytropić ani skorpionów, ani jadowitych pajaków i żmij, mogły pojawić się każdej chwili i nie było sposobu, by się przed nimi zabezpieczyć.

Padli na posłanie, ale Shannon nie odpoczywał długo. Tylko on mógł wynaleźć pożywienie. Najbardziej rozumiał dżunglę i rządzące nią prawa, poruszał się w gąszczu względnie swobodnie.

„Przed nami jeszcze tygodnie, może miesiące wędrówki” - pomyślał pesymistycznie i ogarnęło go bezbrzeżne zniechęcenie.

Opanował się. Zataczając kręgi wokół legowiska nazbierał trochę jadalnych jagód i orzechów rambutan, było tego jednak stanowczo za mało. Przystanął koło przewróconego, na pół zgniłego pnia. Zawahał się, przewyciężył obrzydzenie, zdecydował. Nachylił się nad pniem, po którym pełzały niewielkie, białawe robaki.

- Żarcie - mruknął z odrazą. - Wstrętne, ale żarcie.

Nazbierał robaków w chustkę, pozostałą od czasów żeglugi na czólnie, przyniósł do legowiska. Rozgniół „potrawę” między dwoma kamieniami. Robaki zmieniły się w czerwonawą, kleistą masę, Spróbował. Jak na obecne wymagania pustego żołądka smakowało to możliwie. Rozdzielił pomiędzy kolegów, którzy, również ze wstrętem, poczęli łykać niezwykle danie. Zaspokoilo to głód, ale na krótki czas.

- Nie jestem lekarzem, Peter - powtórnie stwierdził McNeill, odciągawszy Shannona na bok. - Jestem jednak pewien, że Henri, poza dyzenterią, złapał malarię i lichu wie co jeszcze. Gorączkuje, bredzi, trzęsie się. Co robić?

McNeill, który był duszą ucieczki, przywódcą, który wyprowadził spiskowców z Pasir Pandziang i zawsze potrafił znaleźć jakieś wyjście w trudnych sytuacjach, teraz, w głuchej i bezludnej dżungli, automatycznie poddał się pod rozkazy Shannona.

- Chinina - burknął gniewnie Peter. - Gdybyśmy mieli chininę...

- Gdyby... gdyby... gdzie ją znajdziesz?

- Gdzie? Poczekaj, Alan. Opiekuj się Duvałem i Alcockiem. Wrócę niedługo. Niech Tanner zwraca uwagę na szosę.

Zmęczonym, nierównym krokiem pokuśtykał na powrót w dżunglę. Przedzierał się przez gąszcz, wylaamywał sobie drogę, czasem szedł schylony, czasem czołgał się na czworakach. Kolczaste krzewy kaleczyły nogi, chwytaly za resztki spodni, szarpały, boleśnie uderzały w słabo zagojone rany głowy. Starał się zapamiętać kierunek, by nie zgubić się w gęstwinie, i parł wytrwale, aż wreszcie odnalazł to, czego szukał. Podłużne, ciemnozielone liście, grube i mięsiste, twarde. Peter pamiętał z czasów dzieciństwa, iż krajowcy na Malajach przeżuwali takie właśnie liście lub bardzo podobne, używali ich jako lekarstwa przeciw gorączce, zapewne przeciw malarii. Zerwał naręcz i z trudem przedostał się do obozowiska. Najpierw sam przeżuł kawał liścia, potem podał resztę Duvalowi i innym kolegom.

- Nie zaszkodzi, pewnie pomoże - tłumaczył.

Leżeli na miękkim posłaniu, odpoczywali. Czasem któryś podnosił się ociężale, szedł do strumyka, pił wodę, obmywał się i chłodził. Czasem trzeba było odnosić Francuza w bok, między krzaki. Obozowisko było niewidoczne z szosy, Shannon i McNeill nie omieszkali tego sprawdzić. Nawet słońce nie dochodziło poprzez dach gałęzi, ale gorąco paraliżowało, wyciągało wszystkie

siły, wysysało resztki energii, mroczyło. Powoli zatracali poczucie rzeczywistości, obojętnieli na wszystko, przestawali wierzyć, by gdziekolwiek na świecie mogło istnieć normalne ludzkie życie. Nabierali przekonania, iż trwali w dżungli od niepamiętnych czasów i trwać będą wiecznie, nigdy nie wydostaną się z jej szponów.

- Wydaje mi się, że kiedyś miałem w Melbourne domek - mówił powoli Tanner przyciszonym, jakby zdziwionym głosem. - Cztery pokoje z kuchnia, oczywiście łazienka i tak dalej... Całkiem nowoczesny bungalow [73]\*. Ściany miał z czerwonego, polerowanego klinkieru, dach z ocynkowanej blachy. Ramy okien i drzwi sam pomalowałem na zielono... Tylko kuchennych drzwi nie zdążyłem pomalować, wyjechałem.. Spłacałem raty tygodniowo, czterdzieści szylingów, pełne dwa funty. Niewielka dziura w kieszeni... Umieblowanie też kupiliśmy na raty... - zatrzymał się w połowie zdania i zdumionym spojrzeniem omiół otaczający gąszcz dżungli. - Czy ja naprawdę miałem kiedykolwiek domek przy Victoria Street?

Australijczyk westchnął, jak człowiek zbudzony z głębokiego snu, przeciągnął palcami po czarnej, zwichrzonej brodzie, z nawyku szarpnął włosy na piersi. Ciekawie przypatrzył się porwanym strzępom spodni, swemu jedyemu okryciu, pogładził opaloną na ciemny brąz skórę przedramienia, wytrzeszczył nie widzące, błędne oczy na McNeilla.

- Masz żonę i dzieci, prawda, Geoff? - spytał miękko Alan.

- He? Żonę i dzieci? - Tanner spoglądał przed siebie nieprzytomnie i zamrugał powiekami, jakby chciał powstrzymać wzbierające pod nimi łzy. - Taaak, to prawda, Alan, masz rację, zapomniałem... Śmieszne, że o takich rzeczach można zapomnieć. Eileen była... jest... młodsza ode mnie o cztery lata. Piękna z niej kobieta, zaraz pokażę ci fotografię - pomacał się po pustej, dziurawej kieszeni. - Nie, nie pokażę. Gdzieś to zdjęcie zgubiłem, musisz wierzyć na słowo, Alan, dopóki nie przyślą mi poczty z Melbourne.

- Wierzę, Geoff - odparł cicho McNeill. - A dzieci?

- Eve miała... ma teraz... ileż ona ma lat? Aha, siedem. Kubek w kubek matka. A z Jacka kawał chłopa, wrodził się we mnie... - Tanner zerwał się z miejsca i jak pijany potoczył do strumyka.

McNeill westchnął ciężko, potarł dłonią podbródek.

- Z nim też jest źle, Peter. Może stracić zmysły.

- To się zdarza w dżungli. Ba, niedługo czeka to nas wszystkich.

- Nie, Peter! My dwaj musimy się trzymać. Za wszelką cenę. Jeżeli my się rozkleimy, wszystko diabli wezmą. Gdybym tylko wiedział... gdybym mógł odnaleźć.,.

- Co takiego?

- Nic, nic Peter.

Henri Duval ocknął się z drzemki, w którą coraz częściej popadał, wyciągnął rękę i położył chudą, dygoczącą dłoń na kolanie Shannona.

- Nie łudźmy się, mon cher Peter - po raz pierwszy zwrócił się do lotnika po imieniu. - Adieu la voiture... adieu la boutique [74]... Długo już nie pociągnę, Peter.

- Nie pleć głupstw, Henri - pocieszał go Shannon, chociaż nie wierzył we własne słowa. - Posiedzimy tutaj kilka dni, przecież się nam nie śpieszy. Dojdiesz do siebie, a potem w górach wyzdrowiejesz raz dwa. Tam klimat dużo lepszy.

Duval poruszył wahadłowo głową.

- Au contraire [75], mon cher Peter - obce wyrazy coraz trudniej przechodziły mu przez gardło i Duval nawracał raz po raz do ojczystego języka, a Peter z największym trudem łapał sens jego

wypowiedzi. - Apres coup [76], Peter... cóż, taki mój los... chciałem żyć, bardzo chciałem, bo życie jest mimo wszystko piękne, Peter... - głos mu słabł, chwilami przechodził w niezrozumiałe bełkotanie i Shannon musiał nachylać się nad nim, by dosłyszeć poszczególne słowa. - Przypadek, wszystko przez przypadek, par hasard [77]. Znalazłem się w Singapurze... par hasard. Wzięto mnie do niewoli... par hasard. Uciekłem z wami... par hasard. Złapałem biegunkę i umieram., par hasard... A ja chciałem żyć, żyć za wszelką cenę, a tout prix, Peter... Ano, żyłem, widziałem wiele, nacieszyłem się życiem... Kiedyś dawno byłem i młody, i przystojny... nie liczyłem się z nikim i z niczym... miałem pieniądze, dużo pieniędzy... straciłem... nie żałuję... Kobiety, karty. hulanki... affaires d'amour [78]... Liczyłem je na tuziny... Potem ruszyłem w świat... i ciągle kochałem życie... i ciągle wierzyłem w ludzi, Peter... Ale wszystko się kończy, mon bon camarade [79], nawet życie... Nie boję się śmierci, Peter, chociaż... chociaż... chociaż wolałbym, żeby przyszła trochę... trochę później... - zamilkł kompletnie wyczerpany.

Shannon rozgniół kilka przyniesionych poprzednio liści, jeden z nich zwinął w trąbkę. Zaczerpnął wody ze strumyka, podał choremu, napoił i zaczął karmić prymitywnym lekarstwem. Ale Henri Duval nie był już w stanie nic przełknąć, nawet woda wylewała mu się z ust. Oddech jego stał się krótki, przerywany, nierówny.

Tanner ciężko usiadł na listowiu, pogładził brodę, uważnie przypatrzył się Francuzowi, delikatnie przetarł mu skronie mokrą szmatą.

- Przepraszam was - zwrócił się do Shannona i McNeilla. - Rozkleiłem się zupełnie nie w porę. Dziękuję, Alan, pomogłeś mi.

Alcock, brudny, podrapany kolcami, o spojrzeniu, w którym czaiło się obłąkanie, podczołgał się do Duvala, przyklęknął obok. Przez moment bezgłośnie poruszał wargami, potem z jego ust wydobyły się zachryple słowa:

- Memento mori, Henri Duval. Módl się, bracie. Pamiętaj o zbawieniu swej duszy, Henri Duval. Nie zapominaj o ogniach piekielnych i wieczystych mękach! Żałuj za grzechy, Duval, póki czas. Aide toi et Dieu faidera [80] - zakończył fatalnym francuskim akcentem.

Powieki Duvala uniosły się powoli, w zamierających oczach ukazał się.. błysk.

- Allez-vous en, Alcock - wyszeptał z pogardą, po czym ogromnym wysiłkiem przekręcił się do Shannona. - Peter... wierz w ludzi, Peter... ale... ale zanim powiem ci au revoir [81], czy też po waszemu farewell [82]... pamiętaj, mon camarade, mon ami [83]... ..Jeżeli przeżyjesz to wszystko... postaraj się, Peter, żeby więcej... żeby ludzie... byli ludźmi. Po co te wojny, okropności... okrucieństwa? To... to nieludzkie... czy nie można żyć... i cieszyć się życiem... Żyć, kochać... pracować... tworzyć...

- Postaram się, Henri — odparł Shannon łamiącym się głosem.

Francuz przymknął oczy, przez moment oddychał chrapliwie, raz jeszcze podniósł powieki. Przewyciężył ogarniający go bezwład szcęk. Chciał za wszelka cenę wypowiedzieć ostatnie zdania, przekazać koledze ostatnią wolę, ostatnie życzenie, prośbę.

- Peter,.. gdzie jesteś? Peter... nie widzę cię..

- Jestem tutaj, przy tobie, Henri - szepnął Shannon ujmując konającego za rękę.

- Może trochę wody? - spytał Tatmii.

- Nie, nie on już nie wypije.

McNeill zwiesił głowę, palcem prawej ręki kreślił na ziemi jakieś bezsensowne bazgroły.

- Peter... pamiętaj... wygramy kiedyś tę...tę przeklętą wojnę... Ale potem, Peter... potem na

miejscu jednych zbrodniarzy przyjdą następni... i znowu się zaczną... od nowa. Peter, postaraj się... żeby... żeby... już... nigdy... więcej...

Wargi Duvala poruszały się jeszcze bezdźwięcznie.

Oddech stał się tak nikły, iż Shannon z trudem mógł się go doszukać. Wreszcie Henri Duval westchnął głęboko, kurczowo poruszył palcami i zastygł w bezruchu.

- To już... koniec - powiedział głucho McNeill.

Peter Shannon wstał, wyprostował się, wyprężył jak na wojskowej paradzie. Zapomniał, że był półnagi, brudny i zarośnięty, że znajdował się w sercu gęstej, podzwrotnikowej dżungli.

- Farewell, Henri - powiedział głośno. - Byłeś dobrym kolegą. Byłeś porządnym człowiekiem, mon ami. A ja nie zapomnę, Henri, przyrzekam.



## ROZDZIAŁ XVIII

Gołymi rękami, ryjąc brudnymi pazurami w wilgotnym, miękkim gruncie, wygrzebali dół, złożyli weń ciało Duvala, przykryli ziemią. Nie byli w stanie sporządzić jakiegokolwiek nagrobka, umieścić na nim napisu. Zresztą po cóż komuś w dżungli nagrobek i napis? Za tydzień, dwa, nad zwłokami Duvala wyrośnie trawa, puszczą się pędy młodych krzewów. Za miesiąc, dwa, nikt nie zdoła odszukać samotnej mogiły, nikt nie domyśli się, że człowiek o nazwisku Duval stracił życie w sercu sumatrzańskiego gąszczu.

Niemniej Geoffrey Tanner przydźwigał od strumyka spory, płaski kamień.

- Przynajmniej go hieny nie wykopią - tłumaczył, jakby ze wstydem.

- Nie mam pojęcia, czy na Sumatrze są hieny - szepnął Peter. - Zresztą mniejsza z tym.

Stali długą chwilę nad grobem Francuza, nareszcie odwrócili się i ułożyli tuż obok na posłaniu z liści.

„Wszystkich nas czeka to samo” - przeszło przez myśl Shannona i powtórnie wpadł mu do głowy naiwny, dziecinny wierszyk o małych Murzynkach. Pozostało ich pięciu, a potem... czterech.

Five little Nigger boys

Playing with the door,

One got squashed

And then there were four... [84]

Przez trzy dni od śmierci Duvala pozostawali na tym samym legowisku. Byli zbyt osłabieni, by ruszyć w drogę. Ale długotrwały odpoczynek nie dodawał im sił. Dusznota i gorące, trujące powietrze dżungli męczyły tak samo, jak uciążliwy, forsowny marsz. Poza tym problem zdobycia pożywienia stawał się istotny. Szosa, w pobliżu której się rozłożyli, była mało uczęszczana. Czasem przejeżdżały po niej wozy ciągnięte przez woły, raz pokazał się samochód wypełniony uzbrojonymi żołnierzami japońskimi. Nie było mowy o tym, by wyjść na drogę, zatrzymać jakiś wóz i prosić kogokolwiek o pomoc i żywność. Z łatwością mogliby się dostać w ręce wroga. Dlatego też Peter, któremu czasem pomagał Tanner lub McNeill, bezustannie myszkował po okolicy, szukał bądź jagód, bądź owoców i orzechów, bądź wreszcie jakiegokolwiek innego jedzenia. Przeważnie jednak wracał z pustymi rękami. Raz tylko udało mu się schwytać kilka niewielkich, zielonych żab, które obdarł ze skóry i które spożyli na surowo. Nie mogąc, z braku zapalek, rozniecić ognia. Białe mięso było nie najgorsze w smaku, ale w pięć minut później cała czwórka gwałtownie wymiotowała. Innym razem Tanner złapał małą małpkę, nikt jednak nie zdobył się na jej zabicie, nie mówiąc już o zjedzeniu. Peter twierdził, co prawda, że zapiekane w liściach małpie kończyny uchodzą między krajowcami za smakołyk, ale i on opowiedział się za wypuszczeniem zwierzątka na wolność. Małpka miała żalostny, bezradny wyraz twarzy, przypominała maleńkie dziecko. Wypuścili ją i dalej głodowali, oszukując żołądki jagodami i orzeszkami rambutan, o które było coraz trudniej.

W południe trzeciego dnia Peter doszedł do wniosku, iż głodówki nie wolno dalej przeciągać,

grozi bowiem niechybną śmiercią z wyczerpania. Naradził się z McNeillem, zdecydował na ruszenie z legowiska.

- Aut mors, aut victoria - mruknął McNeill.

- Musimy iść tą samą ścieżką w głąb lasu - tłumaczył Peter. - O ile się orientuję, wiedzie dalej na południe. Jakoś dotrzemy do gór.

- Lepsza śmierć w górach niż w tej śmierdzącej dżungli - poparł kolegów Tanner. Australijczyk doszedł już do siebie po rozstroju nerwowym sprzed kilku dni i zachowywał się normalnie, chociaż często wpadał w zadumę i godzinami wpatrywał się milcząco w ścianę dżungli.

Opuścili postanie przy strumyku. Ścieżka wiodła teraz w górę, stawała się coraz stromsza, coraz bardziej zarośnięta i węższa. Chwilami droga zamykała się, a wtedy musieli wyłamywać gałęzie, rozsuwać listowie. Bezustannie ocierali się o ostre krzewy i kolczaste zarośla, tak że pod wieczór szczątki ich spodni ledwie trzymały się ciała. Zadrapania, często głębokie, nie chciały się goić, ropiały, zaogniały się. Organizmy, z których stale wyparowywał pot, domagały się wody. Żołądki upominały się o pożywienie. W nocy nie mogli spać z pragnienia i głodu, bowiem od opuszczenia obozowiska przy grobie Duvala nie natrafili ani na strumyk, ani na jakiegokolwiek owoce. Dżungla mogła, co prawda, dać schronienie, żywność i picie, jak kiedyś mówił Shannon, tym razem jednak zawzięła się, by intruzów zadławić i zniszczyć.

W południe następnego dnia głód ustąpił, ale pragnienie doprowadzało do szaleństwa. Tempo marszu zmalało do żółwiego pełzania. Nie szli już, ale posuwali się noga za nogą, potykali, a jednocześnie podtrzymywali osłabłego Alcocka. Wieczorem, gdy padli na ziemię przy dróżce, nawet nie pomyśleli o sporządzeniu postania.

Peter, któremu język puchł jeszcze gorzej niż w czólnie na morzu, bezustannie głowił się nad wynalezieniem jakiegoś płynu. Wiedział, że koledzy liczyli na niego i że tylko on zdoła w tej sytuacji coś poradzić. Długo namyślał się, aż wreszcie przypomniał sobie historię, którą kiedyś wyczytał w jakiejś podróźniczej książce i którą swego czasu potwierdził jego ojciec. Historia była makabryczna, nawet gdy się ją tylko czytało, bardziej niż makabryczna, gdy trzeba ją było urzeczywistnić. Cóż jednak innego pozostawało?

Zdjął spodnie, które teraz sięgały mu zaledwie do połowy uda. Jedną nogawkę związał u dołu cienką lianą i wypełnił kilka garściami ziemi. Oddał mocz na ten prymitywny filtr, podstawił pod nogawkę połówkę łupiny duriiianu, znalezionej przed dwoma dniami. Gdy płyn przeciekł i wypełnił do połowy naczynie, Peter z obrzydzeniem podniósł je do ust i pił, zmuszając się do przełknięcia wstrętnego napoju.

- Bloody hell! Jakież to gorzkie! - wykrztusił, ale opróżnił łupinę.

Krzywiąc się z obrzydzenia wskazał gestem kolegom, by poszli w jego ślady.

- By Jove! - Tanner splunął z odraza. i zaklął z pasją.

- Nie ma wyboru - McNeill wykrzywił się z niesmakiem.

- O Jezu Nazareński... Jezu Nazareński... - wyszeptał Alcock.

Wzdragali się, namyślali, ale po chwili naśladowali Shannona, a płyn nieco zaspokoił pragnienie i pozwolił na zaśnięcie.

Następnego dnia rano Geoffrey Tanner zbuntował się i ostro zaprotestował przeciw dalszemu marszowi.

- To nie ma sensu. Nie damy rady, zginiemy. Wracajmy do szosy i do naszego strumyka!

Nie sprzeciwili się. Perspektywa powrotu do wody była zbyt kusząca. Zawrócili, gdy zaś

dobrnęli do starego obozowiska, przez godzinę leżeli przy strumieniu, pijąc, oblewając się wodą, obmywając, pławiąc w drogocennym płynie.

Kiedy jednak zaspokojone zostało pragnienie, siłą rzeczy odezwał się głód. Ich wyłącznym pożywieniem stały się obecnie korzonki paproci i młode bambusowe pędy, twarde i łykowate, niemniej jadalne. Z tego względu nie można było dłużej pozostawać na miejscu.

Następnego dnia, opiwszy się do syta, ponownie ruszyli ścieżyną na południe, mając mimo wszystko nadzieję dotrzeć do jakiejś wioski, a jednocześnie uniknąć zetknięcia z Japończykami. Nie ośmielili się posuwać wzdłuż szosy.

W marszu rozglądali się za jagodami, dopiero jednak drugiego dnia pod wieczór, gdy przeszli o kilka kilometrów dalej niż ostatnim razem, po raz pierwszy w swej wędrówce natknęli się na kilka kokosowych palm. Peter wydał gromki okrzyk radości i zapominając o zmęczeniu, zrećnie jak rodowity Malajczyk, wspiął się na wysmukły pień jednej z palm. Po chwili pod nogi pozostałych posypały się wielkie, ciężkie kokosy. Były jeszcze niedojrzałe, zielonkawe i miękkie, ale po rozbiciu o kamienie we wnętrzu ich pokazało się białawe mleczko, a miąższ smakował jak najwytworniejsze danie w restauracji Cumberland w Londynie lub, jak twierdził Tanner, w barze Sailor's Inn przy słynnej Collins Street w Melbourne.

Mijał dzień po dniu. Czwórka półżywych ludzi uparcie podążała na południe wyspy. Czasem wynajdywali mizerne pożywienie i wodę, częściej głodowali, jako że palm kokosowych więcej już nie napotkali.

Szóstego dnia ścieżyna poszerzyła się nozdrzy doszedł zapach palonego sandałowca. Dróżka zakreśliła i otworzyła się w wielką polanę. Znaleźli się przed obszernym kam pongiem, składającym się z około sześćdziesięciu chat, krytych słomą i ustawionych we względnym porządku, w dość regularnych szeregach.

- Na oko czterystu mieszkańców - ocenił Peter. - Spora wieś.

- Nie chodzi o to, czy spora, ale czy przyjazna zauważył trafnie Alan McNeill.

- Zaraz się przekonamy, już mi się znudziło unikanie ludzi - odpowiedział Peter i ruszył ku wsi, ale powstrzymała go dłoń Tannera.

- Powoli, Peter. Tu mogą być Japończycy, a poza tym nie wiemy, jak nastawieni są krajowcy. Byłoby szaleństwem pchać się tam w biały dzień!

- Słusznie - poparł go McNeill. - Doczekamy wieczora i wybiorę się na zwiad, wejdem jako przednia straż.

- Nie ty, ale ja - sprostował Shannon. - Ja znam ich język.

- Nie możesz się ciągle narażać. Na mnie kolej mruknął McNeill. - Zresztą, gdyby coś tobie się stało, zostalibyśmy jak trójka niemowląt. Bez ciebie nie przedrzemy się przez dżunglę.

Tanner przymrużył oko i z udaną powagą zwrócił się do Alcocka:

- A może ty, nabożny bracie, zgłosisz się na ochotnika? - spytał niewinnie.

Alcock obrzucił go pochmurnym, nieprzyjaznym wzrokiem.

- Jestem bardzo chory. Ledwie się ruszam. Niech idzie Shannon.

- Egzystencja tego osobnika jest obelgą dla całego Royal Artillery Corps - stwierdził cierpko Australijczyk. - Alcock, ty wierzysz w cudy. Jakim cudem zostałeś oficerem?

- Odczep się.

- A czy kiedykolwiek strzelałeś z armaty? McNeill ruchem ręki nakazał ciszę.

- Nie traćmy czasu. Pociągniemy losy, tak będzie najuczciwiej - zdecydował i rozejrzawszy się

podjął z ziemi cztery wyschnięte patyki. Po namyśle odrzucił jeden, dwa obłamał do równej długości, ostatnie znacznie krócej. - Ciągniemy losy - powtórzył, odwrócił się, przemieszał patyki, ukrył je w dłoni, tak iż wystawały tylko końce, i podszedł do kolegów. - Długie zostają, krótki idzie.

Peter, ty pierwszy.

Shannon bez namysłu chwycił za koniec jednego z patyków, pociągnął. Patyk był długi.

- Teraz ty, Geoff.

Patyk Tannera okazał się najkrótszy. Australijczyk miał wyruszać na rozpoznanie.

- Nie spiesz się, Geoff - pouczał Shannon. - Najpierw dobrze przyjrzyj się chatom. Najkrótsza i najokazalsza powinna należeć do kacyka. Wał prosto tam. Jeżeli zobaczysz, że kacyk nosi na szyi łańcuch, a na nim srebrny medal z wizerunkiem holenderskiej królowej Wilhelminy, nie będziesz miał kłopotów. Ten medal jest gwarancją lojalności dla naszej strony i wrogości do Japończyków ..

- Dlaczegoś tego nie mówił wcześniej? - przerwał mu McNeill.

- Zapomniałem. Jeżeli medalu nie zobaczysz, Geoff, a zachowanie tubylców wyda ci się podejrzane, nie namyślaj, się i w nogi! Wał po łbie każdego, kto stanie ci na drodze, i wyciągaj kopyta! Brykniemy w dżunglę i nawet krajowcy nas nie odnajdą. W razie czego spotkamy się o kilometr stąd na ścieżce.

- Będziemy czekać do rana - dorzucił McNeill. Tanner flegmatycznie kiwał głową, nie brał zbytnio do serca ostrzeżeń, i rad Shannona.

- Dobrze, dobrze, Peter, nie martw się o mnie. Nie dam się i setce tych diabłów. Ale... - zawahał się i pogładził włochatą pierś. - Ale gdybym nie pokazał się w umówionym miejscu do świtu, nie czekajcie. Et, gdyby tak porządny pistolet do garści...

Czas dłużył się niepomiernie, pragnienie doprowadzało do rozpacz, tym bardziej że z kryjówki na skraju dżungli mogli oglądać wioskowe kobiety, podchodzące do studni i czerpiące wodę do długich, glinianych naczyń. Gromadka ciemnych, nagich dzieciaczków porwała jedno z wiader i ze śmiechem zaczęła się oblewać i spryskiwać wodą. Wywołało to gwałtowne przekleństwo Tannera.

- By Jove, ja wyleję sobie na łeb dziesięć kubłów! Wreszcie zapadł krótki, tropikalny zmierzch, po nim ciemna noc. Australijczyk podniósł się z miejsca.

- Good luck [85], Geoff, wracaj prędko - powiedział półgłosem Shannon.

Geoffrey Tanner opuścił kryjówkę i nie starając się o zachowanie ciszy ruszył ku wiosce równym, długim krokiem. Wkrótce znikł z oczu kolegów, ucichły też odgłosy jego stąpania. Zapadła cisza, tylko od czasu do czasu w głębi gęstwiny coś się poruszało, czasem rozlegał się przenikliwy, drażniący uszy wrzask małpy. Wioska wydawała się wymarła, nie dochodziły od niej żadne ludzkie głosy.

- Mimo wszystko ja powinienem tam pójść - powiedział niecierpliwie Peter. - On nie zna języka, nie potrafi się porozumieć.

- Ciągnęliśmy losy - przypomniał Alan.

- A jednak przejdę się...

W tym momencie w kam pongu podniosła się wrzawa, zabrzmiały donośne okrzyki, pokazały się światelka. Wrzawa przemieniła się w ogłuszający wrzask, a potem rozległy się karabinowe wystrzały.

- Japończycy! - jęknął przerażony i trzęsący się jak galareta Alcock. - Na rany Chrystusa, uciekajmy!

Shannon z McNeillem spojrzeli po sobie, ledwie dostrzegając w ciemności swe twarze.

- Cofamy się na ścieżkę - rozkazał Peter.

Wrócili do ścieżki, popędzili na umówione z Tannerem miejsce. Przypadli do ziemi i nasłuchiwali z bijącymi jak młoty sercami. Dokoła panowała ciemność, uszu dobiegał tupot kopyt jakichś zwierząt, znów odezwała się mała przeciągłym, drażniącym wołaniem.

Nie zmrużyli oczu do rana, w każdej chwili spodziewali się nadejścia kolegi. Geoffrey Tanner nie pokazał się jednak nawet wtedy, gdy nocny mrok przeszedł w świt, a potem w dzień,

- Trzeba się stąd ruszyć - powiedział wreszcie z ociąganiem Alan.

- Taak. No cóż... farewell, Geoff... byłeś dobrym kolegą. - Peter, minio że zahartowany nieszczęściami, oswojony ze śmiercią, poczuł dziwne pieczenie pod powiekami.

Alcock wiercił się i kręcił, ze strachem spoglądał wzdłuż ścieżki, przestępował z nogi na nogę.

- Chodźmy prędzej! Na litość boską, prędzej - naglił. - Złapią nas, zamęczą, zabiją!

- Mięczak - McNeill po raz pierwszy użył tego wyrazu.

Peter podniósł się z miejsca.

- Przejdę na skraj polany, rzucę okiem na kam pong - powiedział i nie czekając na odpowiedź Alana ruszył ścieżką i znikł za zakrętem.

McNeill z przerażonym i stale gotowym do ucieczki Alcockiem czekali pełne dwie godziny. Bezustannie rozglądali się dokoła, nasłuchiwali. Wreszcie na dróżce ukazał się Shannon, idący śpiesznie, niemal biegnący.

- W nogi! - rozkazał krótko. - Japończycy, widziałem. Co najmniej jeden pluton.

- Geoff?

Zamiast odpowiedzi Peter machnął desperacko ręką. Puścili się całym pędem, wreszcie, gdy Alcockowi zbrakło oddechu, zwolnili i zatrzymali się.

- Co teraz? - spytał niepewnie Alan.

- Zobaczymy od nowa. Ab origine [86] - odparł gniewnie Shannon. - Ja też kiedyś uczyłem się łaciny, Alan.

McNeill nie czuł się urażony.

- Każdy kiedyś uczył się rzeczy, które mu się nigdy potem nie przydawały - zauważył obojętnie. - Mniejsza z łaciną. Jak się przedostaniemy dalej? Innej ścieżki nie widać, przez dżunglę się nie przedrzemy. Jak ominiemy wioskę, Peter?

Shannon spoglądał bezradnie na wyczekującego McNeilla, popatrzył nawet pytająco na Alcocka, ale ten, siedząc obojętnie na ziemi, bynajmniej nie spieszył z radą i jak zwykle pozostawiał wszystkie kłopoty innym. Wreszcie, po długim zastanowieniu, Peter znalazł wyjście z sytuacji.

- Mam. Wcale wioski nie ominiemy. Grywałeś kiedyś w pokera, Alan?

- Oczywiście - odparł zdumiony McNeill. - Każdy prawdziwy mężczyzna grywa w pokera. O co chodzi?

- Jeżeli nie masz dobrej karty w ręce, stosujesz bluff. Podejźmy ich tą metodą. Pomyśl sam, Alan, czy oni będą się spodziewali po wczorajszej nocy, że dziś wieczorem przemaszeruje przez kam pong trzech następnych zbiegów? Pośpią się jak susły, może spiją, a my najbezpieczniej w świecie przejdziemy w poprzek polany.

- Hm. Wsio wozmożno, tolko ostrożno - bąknął Alan.

- Coś powiedział?

- Nic specjalnego. Czasem rosyjskie przysłowia są wcale ciekawe.

- Ciekawe, kiedy przemówisz do mnie po staroegipsku!

Oszukując żołądki nielicznymi jagodami odczekali do zmroku, nie zaniehbując środków ostrożności. Potem, według planu Shannona, podkradli się pod wioskę i nie spiesząc się, ale i nie ociągając, popychając przerażonego Alcocka, posuwali się skrajem polany. Bez żadnych przeszkód przedostali się na przeciwległy kraniec i znów wyszli na ścieżkę, biegnącą nie kończącym się tunelem.

W kampongii poza nimi pozostał major Geoffrey Tanner, wzięty do niewoli, może storturowany, może zabity.

## ROZDZIAŁ XIX

- Kim ty właściwie jesteś, Alan? Kim byłeś, zanim dostałeś się do Pasir Pandziang, zanim uciekłeś z nami?

- Mój drogi, uważam cię za młodszego brata, za najlepszego przyjaciela. Nie lubię się rozwodzić i roztkliwiać, ale wiesz dobrze, że nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił...

- Wiem, Alan. To samo odnosi się do mnie.

- Zrozumiałe. Te cholerne przejścia złączyły nas. Nie pytaj jednak więcej, bo ci nie odpowiem, Peter.

- Taka straszna tajemnica?

- Nie straszna, ale należy nie tylko do mnie. Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem? W obozie w Pasir Pandziang? Człowiek ma uszy od tego by słuchać. Oczy od tego, by patrzeć, a język od tego... by nie zawsze go używać.

Shannon poniechał dalszej indagacji. Zrozumiał, że nic się więcej nie dowie, zresztą tajemnica McNeilla, jeśli w ogóle była tajemnicą, nie interesowała go zbyt w tej chwili. Prawdę mówiąc, że nie interesowało go już nic, a zagadał kolegę tylko dlatego, by usłyszeć ludzkie słowa, by nie wsłuchiwać się bezustannie w szarpające nerwy odgłosy dżungli, doprowadzające do obłądzenia. Zatracił poczucie rzeczywistości, przestawał orientować się w czasie, nie wiedział nawet, czy oddalili się od ostatniej wioski o kilometr, czy o dwadzieścia kilometrów. Przestał przejmować się losem Tannera, zapomniał o Duvalu, Vincencie, Stanleyu White, majorze McLochlone. Nawet wspomnienia żony stały się rzadkie i bardzo mgliste.

Dochodził do kresu sił, bo przecież to on wyszukiwał pożywienie i wodę, gdy inni odpoczywali. On troszczył się o legowiska, wypatrywał ukrytych niebezpieczeństw, odpowiadał za wszystko. Kończyła się jego odporność psychiczna, zawodziły nerwy. Obojętniał, nie potrafił planować na dzień następny, a sprawy takie, jak wygranie lub przegranie wojny, zwycięstwo lub klęska, przekraczały jego obecne możliwości rozumowania i odczuwania. Od przejścia przez kampong, w którym pozostał Geoffrey Tanner, minęły dwie doby.

Podzwrotnikowa noc przemieniła się w brzask, poprzez siatkę sklepienia dżungli prześwitywało dzienne światło. McNeill podniósł się chwiejnie na nogi, trącił leżącego jak kłoda Alcocka.

- Idziemy!

Alcock jęknął, poruszył się i posłusznie powstał. Peter leżał dalej.

- Rusz się, Peter.

Shannon przykrył twarz dłońmi.

- Daj mi spokój. Dokąd chcesz iść?

- Naprzód! W góry!

- Po co?

McNeill uśmiechnął się kącikiem ust.

- Amor patriae [87] - odpowiedział.

- Daj spokój z łaciną, przestała mnie bawić.

- Peter! Czas na nas.

Dopiero potężne kopnięcie w pośladek zmusiło Shannona do podniesienia się. Pokręcił się w miejscu, uklęknął, wstał, przeciągając ręką po twarzy.

- Wzięło i mnie - przyznał. - Ale... naprawdę to nie ma sensu... Nic nie ma sensu, Alan.

- Ma sens! - odparł twardo McNeill. - Pamiętaj, że toczy się wojna i że jesteś oficerem!

Umysł Shannona pograżał się głębiej i głębiej w jakiejś mgle czy chmurze, tak trującej, jak wiszący nad dżunglą niebieskawy obłok. Wojna, ojczyzna, walka, służba wojskowa, stopień oficerski to były nic nie mówiące, puste frazesy. Kiedyś dawno, okropnie dawno, miały inne znaczenie. Tutaj, w dżungli centralnej Sumatry, w zgniłej atmosferze tropiku, w głodowych mękach, słowa Alana nie zdołały wykrzesać cienia zainteresowania, nie wzbudziły żądanego oddźwięku.

- Peter! - McNeill brutalnie trząsł kolegą - Peter!

- Zostaw. Mam wszystkiego dosyć, idź sobie - Shannon ponownie osunął się na ziemię, odwrócił twarz.

Alan McNeill stał nad nim przez długą chwilę. Zastanawiał się, rozważał, medytował.

- Posłuchaj mnie, Peter - powiedział wreszcie mocnym, zdecydowanym tonem, ostro akcentując każdy wyraz. - Słuchaj, człowieku. Czy pamiętasz, swoją żonę? Elisabeth Shannon? Czy pamiętasz?

Brodąta twarz byłego lotnika uśmiechnęła się bezmyślnie, głupkowato. Peter popadał w zupełne otepienie.

- Pewnie, że pamiętam - odparł głucho i bez zainteresowania. - Miałem kiedyś żonę, to prawda... Miałem domek koło Seletar... nawet kiedyś latałem i zestrzeliwałem... kiedyś podobno byłem szczęśliwy... Co z tego. Daj mi spokój.

Głos McNeilla zadźwięczał niezwykle uroczyście:

- Czy pamiętasz Teruci?! Czy pamiętasz, co ci mówił o statku „Nigeria”? Czy pamiętasz, Peter?!

Shannon przesypywał przez palce grudki ziemi.

- Pewnie, że pamiętam. „Nigeria” została zatopiona przez łodzie podwodne w kilka godzin po opuszczeniu Singapuru. W sześć godzin. Wtedy... wtedy... - rzucił resztki ziemi i leniwie otrzepał dłonie – Wtedy wszystko się skończyło... .

Oczy McNeilla, błyszczące, rozszerzone, rozkazujące, napotkały oczy Shannona. Magnetyzowały, hipnotyzowały, nie pozwalały na spuszczenie wzroku.

- Słuchaj uważnie, Shannon! Statek „Nigeria” nie... został... zatopiony! - brzmiało to niemal jak wystrzały karabinowe. - Kapitan Teruci Amado kłamał!

Peter z wysiłkiem przełknął ślinę, przeciągnął językiem po spękanych wargach. Ostatnie słowa przyjaciela dotarły wreszcie do jego świadomości. Obudziły drzemającą wolę, zmusiły do myślenia, otrzeźwiły.

- Kapitan Teruci kłamał, Peter! - powtórzył z mocą McNeill.

Z nieoczekiwaną energią Shannon zerwał się, doskoczył do niego i wpił palce w żylaste, chude ramię.

- Ty kłamiesz, Alan! - wrzasnął dziko, histerycznie. - Oszukujesz mnie! Po co kłamiesz! Jakim prawem... jakim prawem rozdrapujesz rany?! Zostaw mnie w spokoju, ty... ty diable!

- Kapitan Teruci Amado kłamał - powtórzył po raz trzeci McNeill - Statek „Nigeria” nie zatonął!

Pod ogłuszonym Shannonem ugięły się nogi. Upadł na trawę, osłonił głowę ramieniem. Tkwił w tej pozycji przez długi czas. Gdy wreszcie podniósł się i wyprostował, wargi miał zacięte, twarz pobladła, ale oczy spoglądały przytomnie, chłodno, twardo.



- Idziemy, Alan - powiedział spokojnie i zrównoważonym tonem. - Dałeś mi bolesną lekcję, ale była potrzebna. Dziękuję. Już więcej nie będziesz musiał uciekać się do takich kłamstw. Taak - odetchnął głęboko. - Człowiek zawsze powinien zostać człowiekiem. W każdych okolicznościach, w każdych warunkach. A człowiek ma obowiązki, o których nie wolno zapominać nawet tutaj. Ale... nie wspominaj więcej o „Nigerii”, Alan... - nie dokończył, ujął Alcocka pod pachy i postawił na ścieżce. - Chodź, Joe, nabożny bracie, przed nami daleka droga, Ciężka i trudna droga, beznadziejnie trudna, Joe, ale ją przejdziemy, choćbyśmy mieli pełzać!

McNeill otworzył usta, zamierzał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i w milczeniu podążył za kolegami.

Minęły dwa długie dni. Szli bezustannie, zrywali owoce, gdzie się dało, pili wodę, gdy ją napotkali, spali, gdzie popadło. Podążali na południe, stale na południe. Shannon na przodzie, za nim ślaniający się Alcock, z tyłu McNeill. A dżungla ciągnęła się; nie kończącym tunelem, ciemnym, złowrogim, odstrasającym i groźnym.

Szli bez słowa, bo zapuchłe języki nie chciały obracać się w spieczonych ustach. Coraz częściej podnosili omdlałego Alcocka, nieśli go, przystawali dla odpoczynku lub snu. Wiele razy ogarniała ich pokusa, by zostawić ten balast na ścieżce, oszczędzić resztki własnych sił, powiększyć szansę swego ocalenia. Podpierali jednak bezwładnego Josepha, ciągnęli, popychali, karmili i poili, dźwigali. Szli na południe, w kierunku ciągle niewidocznych gór. Szli tam, gdzie powinna jeszcze toczyć się walka. Szli, bo tak nakazywał obowiązek.

Trzeciego dnia pod wieczór Peter znów wywahał zapach palącego się drzewa sandałowego.

- Kam pong - powiedział ochryple, a własny głos wydał mu się dziwny, obcy, daleki.

- Kam pong - powtórzył McNeill jak echo.

- Ludzie.

- Tak, ludzie...

- Potrzebna nam pomoc.

- Potrzebna. Pójdę na zwiad.

- Nie, Alan. Ja pójdę.

- Ale...

- Nie, Alan. Znam język i obyczaje. Nie bój się, nie zginę jak Tanner.

- Peter...

- Tak?

- Pamiętaj, że statek „Nigeria” nie zatonął. Ja nie kłamię, Peter.

- Rozumiem cię, Alan. Będę pamiętał, dziękuję. Ale... jeżeli nie wrócę za godzinę, wiejcie.

- Wrócisz, Peter.

O zmierzchu Shannon wypełził z kryjówki na brzegu dżungli, przeszedł przez twardo udeptyany placyk, minął kilku krajowców, którzy w ciemności nie zwrócili na niego uwagi. Zatrzymał się u progu chaty, upatrzonej poprzednio. Zabudowania tej wioski nie wznosiły się, jak na nizinie, na wysokich palach, postawione były wprost na ziemi.

Peter zajrzał do wnętrza chaty przez wejściowy otwór, pozbawiony drzwi. Wnętrze oświetlone dwiema naftowymi lampami, jako rodzajem kawiarni, jeśli w sercu sumatrzańskiej dżungli można tak nazwać lokal, gdzie pito kawę. Oczu Shannona nie uszły żadne szczegóły. Dojrzał ubitą, brudną, glinianą podłogę, bambusowe stoły i stołki, na których siedziało kilku krajowców ubranych w

poplamione saarungi i równie poplamione baju [88]. W kącie stał naftowy piecyk, na nim imbryk z parującą kawą. Za drewnianym kontuarem tkwił bez ruchu gruby Chińczyk, również ubrany w baju, opinające się na jego korpulentnym brzuchu.

„Chińczyk, a więc przyjaciel, swój. Nie zdradzi” - przemknęło przez głowę Petera.

Bez wahania przekroczył próg i wszedł do środka. Krajowcy wytrzeszczyli na niego oczy, ze zdumieniem graniczącym z przerażeniem przypatrywali się jego wychudłemu, pokaleczonemu, brudnemu i spalonemu na ciemny brąz ciału, brodatej twarzy, zaropiałej ranie ucha. Nie zwrócił na nich żadnej uwagi, podszedł wprost do kontuaru.

- Manna Dzippon? [89]- spytał po malajsku.

Twarz Chińczyka pozostała nie zmienioną, nieprzeniknioną maską. Przez chwilę mierzył przybysza chłodnym, przenikliwym wzrokiem, wreszcie odpowiedział powoli, w niezłej angielszczyźnie:

- Nie. Nie ma tutaj Japończyków, tuan [90]. Peter oparł się łokciem o kontuar, starał się opanować drżenie zmęczonych nóg.

- Jestem głodny. Nie mam jedzenia. Chcę pić.

Chińczyk poruszył się, flegmatycznie nalał kawy do kubka, podsunął obcemu. Leniwym ruchem ręki gładził zwisające cienkie wąsy i patrzył, jak Peter jednym łykiem opróżnił kubek.

- Jeszcze?

- Proszę.

Zawartość drugiego kubka znikła w gardle Shannona.

- Skąd idziesz? - spytał półgłosem Chińczyk.

Peter niewyraźnym ruchem ramienia wskazał kierunek północy. Chińczyk obserwował go uważnie, a Shannon dałby sobie odciać w tej chwili dłoń prawej ręki, by się dowiedzieć, co kryło się pod czaszką niemłodego, łysawego i nieprzeniknionego właściciela kawiarni.

- Przebyłeś daleką drogę, tuan. - Nie było to pytanie, ale stwierdzenie faktu.

- Tak.

- Sam jesteś?

- Mam kolegów. Jeden słaby.

- Zaczekaj tutaj - Chińczyk podniósł się z bambusowego stołka, odwrócił i wyszedł z pomieszczenia.

Peter czekał zdenerwowany, podniecony, gotów do natychmiastowej ucieczki lub do nierównej walki. Czuł się jak dzikie zwierzę w klatce. Instynkt kazał mu rzucić się w wyjściowy otwór i przepaść w dżungli. Rozum tłumaczył, iż Chińczyk był przyjacielem i że bez ludzkiej pomocy zginie i on, i czekający opodal koledzy. Wydawało się już, że mimo wszystko zwycięży instynkt, bowiem Shannon zbyt długo przebywał na odludziu, w którym poza towarzyszami nie oglądał ludzkich twarzy. Sprężył się do skoku, kątem oka obserwował nieruchomych tubylców. Ale właśnie wtedy powrócił gruby Chińczyk, prowadząc ze sobą starego, tyczkowatego krajowca, na którego czaszce widniały rzadkie kosmyki siwych włosów. Na jego piersi wisiał na srebrnym łańcuszku medal z wizerunkiem królowej Wilhelminy.

Peter rozluźnił mięśnie, odprężył się, odetchnął swobodniej. Poczł się znacznie pewniej. Zagrożenie mijało. Chińczyk nie zawiódł, okazał się rzeczywiście przyjacielem.

W pół godziny później leżeli wszyscy trzej wygodnie na słomianym pościeliu we wnętrzu jednej z chat. Dostarczono im wielkie ilości zimnej, czystej wody i ogromną miskę ryżu zaprawionego curry [91], który oczywiście wywołał nową falę pragnienia, zaspokojonego następną porcją wody. Obmywszy się i odświeżywszy zapadli w głęboki i nareszcie spokojny sen.

Następnego dnia obudzili się wypoczęci i pełni optymizmu, chociaż ciągle osłabieni. McNeill i Shannon starannie umyli się w dużej cynowej misce i zmusili do tego apatycznego i opornego Alcocka.

- Skąd się wziął tutaj Chińczyk? rozważał głośno Peter. - I skąd on umie po angielsku? Skąd wiedział, że należy do mnie mówić właśnie tym językiem?

McNeill przymrużył oko.

- Młody jesteś, Peter. Dużo jeszcze w życiu się nauczysz. Dam ci radę: nie zadawaj zbyt wielu pytań, bo nie zawsze otrzymasz na nie odpowiedzi. Pamiętaj przysłowie: „Curiosirty killed the cat”? [92]

Shannon z przesadną starannością wycierał się znalezionej w kącie chaty szmatą.

- Alan... - powiedział z wahaniem i urwał.

- Tak.

Shannon nie mógł zapomnieć słów przyjaciela, wypowiedzianych wtedy, gdy ogarnęła go krańcowa depresja. Myśl o „Nigerii” nie dawała spokoju, rozdrapywała zagojone rany. Rozumiał, że Alan chciał go wtedy otrząsnąć z marazmu, pobudzić do czynu. Ale gdyby wiadomość rzeczywiście była prawdziwa, gdyby Teruci kłamał, a McNeill mówi prawdę? Jeżeli „Nigeria” nie zatонуła, to Betty żyje! Jeżeli zaś żyła Betty Shannon, to dla Petera Shannona życie nabierało innego znaczenia. Napięcie emocjonalne było tak wielkie, że Peter nie zdołał się dłużej powstrzymać, chociaż spodziewał się, że odpowiedź McNeilla będzie bądź ciężkim rozczarowaniem, bądź wykrętem. Nie potrafił jeszcze „rozgryźć” tajemniczego cywila, czasem tylko snuł różne domysły, które wydawały mu się coraz bardziej logiczne i uzasadnione.

- Skąd wiesz, że „Nigeria” nie zatонуła? Wyssałeś to z palca?!

- Nie, Peter.

- Czy rozumiesz, jakie to ma dla mnie znaczenie?

- Tak

- A więc?!

- Nie skłamałem, Peter. Tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć.

Shannon zacisnął szczęki, zwinął pięści.

- McLochlon ci wierzył. Ja też chcę ci wierzyć. Ale jeżeli nie mówisz prawdy, jeżeli mnie oszukujesz, zabiję cię! Słyszysz? Zabiję, zaduszę gołymi rękami. Są rzeczy, z których nie wolno żartować!

McNeill nie stracił zimnej krwi. Wybuch przyjaciela i groźby nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- Zgadza się, Peter - odpowiedział powoli. - Jeżeli cię oszukałem, możesz mnie zadusić gołymi rękami. Nie będę się bronił.

W pół godziny później zjawił się w chacie młody, dwudziestoletni Chińczyk. Ubrany był w zadziwiająco czysty saarung, w nieustannym uśmiechu pokazywał imponujący rząd złotych zębów.

Zachowywał się przyjaźnie, był uprzedzająco grzeczny, mówił płynnie po angielsku oraz, jak wspomniał, po holendersku. Przedstawił się jako Nang Sen, daleki krewny właściciela kawiarni, i natychmiast potem poinformował uciekinierów, iż przed kilku tygodniami byli w wiosce Japończycy, zabili dwóch Malajczyków, zgwałcili kilka dziewcząt. Stąd - zdaniem Nang Sena - przyjazne przyjęcie białych zbiegów.

Młody Chińczyk gawędził przyjacielsko przez kilka minut, spytał o zdrowie i samopoczucie przybyszów, wreszcie zapytał:

- Co zamierzacie dalej robić?

Shannon popatrzył na McNeilla, a potem na nie biorącego udziału w rozmowie Alcocka.

- Przede wszystkim zamierzamy unikać Japończyków - odpowiedział z rozmysłem, patrząc rozmówcy prosto w oczy. - Poza tym chcemy dotrzeć do jakichś oddziałów alianckich, jeżeli jeszcze znajdują się na Sumatrze.

Nang Sen namyślał się przez moment.

- Sumatra jest duża, bardzo duża. Nie wiem, czy znajdziecie tutaj własne wojska - stwierdził poważnie. - Trudno teraz o dokładne wiadomości, a plotki nie wskażą wam drogi.

- Rozumiem.

Chińczyk ciągnął dalej, widocznie przyszedł do chaty z gotowym już planem. Zakomunikował, iż był kierowcą ciężarówki, za kilka dni wybierał się na południe wyspy. Mógł ich zabrać. Gdyby chcieli, ukryłby ich w tyle ciężarówki, gdzie nikt by ich nie znalazł. Zresztą w takim stanie - Nang Sen popatrzył wymownie na ciemne ciała przybyszów trudno ich rozpoznać jako Europejczyków.

- Twój krewny rozpoznał mnie od razu - zauważył Peter.

Chińczyk uśmiechnął się szeroko.

- On ma bardzo bystre oczy.

Peter dotknął swych potwornie brudnych, lepiących się resztek spodni.

- Czy nie można by dostać czegoś czystego.

Nang Sen skinął głową i znów się uśmiechnął.

- Można kupić. Ale nie macie pieniędzy, a ja też nie jestem bogaczem. Postaram się dla was o opaski na biodra. Wystarczą na razie.

McNeill łagodnie odsunął Shannona na bok.

- Lepiej pomówmy o jeździe - nawrócił do właściwego tematu. - Jak odnaleźć partyzantów.

Chińczyk rozłożył ręce.

- Nie wiem - przyznał szczerze. - Ale wiem, że na Jawie toczą się jeszcze walki. Mam wrażenie, że uda się was tam przeprowadzić.

- Jawa? - McNeill zastanowił się nad czymś głęboko i szepnął niedosłyszalnie: - „Z dwadzieścia pięć” oraz „C czterdzieści”. Powinni jeszcze tam być...

- Co mruczysz? - zaciekawił się Peter.

- Myślę, że powinniśmy się przeprowadzić na Jawę, jeżeli tak trudno odszukać partyzantów na Sumatrze.

- Jakim sposobem się tam dostaniemy? - wyrwało się Peterowi.

Nang Sen popatrzył na niego z uśmiechem i ku zdumieniu Shannona odpowiedział zdaniem, które lotnik słyszał dwukrotnie od McNeilla:

- Człowiek ma uszy od tego, by słuchać. Oczy od tego, by patrzeć, a język... by nie zawsze go używać.



## ROZDZIAŁ XX

Przez całe dwa dni Shannon, McNeill i Alcock odpoczywali, nabierali sił i przygotowywali się do dalszej drogi w nieznaną, a jednocześnie wiedli długie rozmowy na temat losu Tannera. Nang Sen dotrzymał słowa, dostarczył zbiegom obiecanych opasek na biodra. Resztki mundurów bez żalu spalono w wioskowym ognisku. Krajowcy opiekowali się przybyszami starannie, nawet z ręcznie zreperowali rozłazący się i podziurawiony but Alcocka. Zadrapania i zranienia, dogłądane umiejętnie przez jedną z żon starego kacyka, goiły się zadowalająco, a ucho Shannona powróciło do względnie normalnego wyglądu. Z każdą godziną przybyszało energii, odradzał się optymizm, poprawiały humory. Nie wszystko było stracone, istniała niewielka szansa uchronienia się przed wrogiem i wydobycia ze zdradzieckiej dżungli.

Peter znów nawrócił do myśli odnalezienia partyzantów w górach Sumatry. Alan był raczej skłonny do przeprawy na Jawę. Postanowili jednak czekać na rozwój wypadków i powziąć ostateczną decyzję w odpowiednim czasie.

Trzeciego dnia pod wieczór do chaty gości wpadł Nang Sen. Był podniecony i rozgorączkowany, z trudem zachowywał zwykłą swej rasy powściągliwość mowy i gestów. Doskoczył do Shannona, przez chwilę przemawiał do niego po chińsku tak szybko, że Peter nie wyłonił ani jednego słowa, potem przeszedł na równie niezrozumiały malajski i dopiero po kilku minutach ochłonął, zreflektował się i przypomniał sobie angielszczyznę oraz nienaganne maniery.

- Poruczniku, poruczniku Shannon! - wołał. - Wspaniała nowina, poruczniku. Niespodzianka, poruczniku Shannon. Wielka niespodzianka!

- Co się stało, Nang Sen - wypytywał Peter z niepokojem, bowiem dotychczas wszelkie niespodzianki były dla uciekinierów nieprzyjemne, a nawet tragiczne.

Chińczyk, który przyszedł już całkowicie do siebie, pokręcił z uśmiechem głową.

- Proszę za mną. Wszyscy za mną powiedział krótko.

Shannon i McNeill zaintrygowani, ciągle niespokojni, opuścili chatę. Alcock pozostał, po cóż bowiem miał się męczyć, skoro tamci załatwiali za niego wszelkie sprawy? Nang Sen poprowadził ich do jednego z sąsiednich szałasów. Weszli do mrocznego wnętrza, gdy zaś wzrok Petera przyzwyczał się do ciemności, lotnik dostrzegł na słomianym posłaniu w kącie długą, masywną postać.

- Kto to? - szepnął niepewnie i postąpił ostrożnie krok do przodu.

Postać podniosła się z trudem, wyprostowała w całej okazałości i wydała chrapliwy, przeciągły okrzyk.

- Peteer! Aaaalan! By Jove, jeszcze mnie szlag nie trafił! - Geoffrey Tanner, wyschnięty jak kościotrup, niesamowicie brudny i podrapany, ze śladami świeżych okaleczeń na ramionach, potoczył się przed kolegów i począł ich z całej siły walić po plecach.

- Geoff, diabelskie nasienie, skąd się wziąłeś?! - zawołał rozradowany i nie wierzący własnym oczom Peter.

- Cud, prawdziwy cud. O Jezu Nazareński! - mrucał wesoło McNeill, do złudzenia naśladowując głos Alcocka.

- Cudy... cudy... tutaj wszystko jest cudem!

Nang Sen, dyskretnie i w milczeniu obserwujący powitanie przyjaciół, wymknął się z chaty i powrócił wkrótce z garnkiem kawy i kubkami. Zasiadli na słomie posłania i sycąc się aromatycznym napojem słuchali relacji Australijczyka.

Tanner, jak podejrzewali McNeill i Shannon, rzeczywiście natknął się na japońskich żołnierzy, ukrytych pomiędzy zabudowaniami kam pongu. Rzucił się do ucieczki, ale za późno. Osaczono go i schwytano. Szczęściem Japończycy nie zatłukli go od razu bagnetami, prawdopodobnie otrzymali rozkaz dostarczenia jeńca żywcem do dowódcy oddziału dla storturowania i przebadania. Związano go mocno i rzucono do szałas, przed którym stanął na warcie uzbrojony żołnierz. Dopiero następnego dnia w południe przyprowadzono jeńca przed oblicze jakiegoś sierżanta, który, jak przypuszczał Geoffrey, specjalnie przyjechał do wioski, by przeprowadzić dochodzenie.

- Miał okulary na nosie, a mordę jeszcze bardziej zbójce niż nasz wspólny przyjaciel Teruci - opowiadał Tanner.

I tym razem jednak uniknął spodziewanych tortur. Sierżant niezbyt orientował się, co począć z dziwnym jeńcem, wypytywał go, ale szło im nieporadnie. Podoficer znał zaledwie kilka wyrazów angielskich, Australijczyk nie rozumiał po japońsku, tłumacza nie znaleźli. Tanner na migi usiłował wytłumaczyć, iż zagubił się w dżungli i znalazł się na Sumatrze zupełnie przypadkowo - co zresztą było w pewnej mierze prawdą. Sierżant chciał się dowiedzieć, skąd biały obdartus przybywał i dokąd szedł, podejrzewał, iż miał do czynienia z członkiem grupy partyzanckiej. Australijczyk zaprzeczał, jak umiał. Jałowa rozmowa, ilustrowana gwałtownymi gestami, trwała blisko godzinę, wreszcie zmęczony i zniechęcony Japończyk uderzył więźnia pięścią w policzek, kopnął, splunął na niego kilkakrotnie i wyrzekł:

- Wait, wait, officer, officer comes [93].

Socio wydał jakiś rozkaz, żołnierze z poszturchiwaniem i popychaniem odprowadzili jeńca z powrotem do szałas. Zdjęli mu z rąk więzy, a nawet ku zdumieniu Tannera, nakarmili ryżem i dali wody do picia. Później znów skrępowano mu dłonie, ale postarał się tak je złożyć i tak naprężyć mięśnie, by pozostawić nieco luzu pomiędzy postronkami. Tą samą sztuczkę powtórzył, gdy dociągano mu więzy na nogach.

- Przez cały czas głowiłem się jak się stamtąd wydostać. Rozumiecie, dwa razy w ich łapach to za wielka przyjemność. By Jove! Bałem się też, że jak mną złączą poniewierać, wygadam się o was.

- Ich metody niewiele się zmieniają - mruknął McNeill.

- Mhm. Gdy zaczęło się ściemniać, zauważyłem na podłodze niewielki kamyk, z jednej strony całkiem ostry. Postanowiłem go użyć wieczorem..

- Wieczorem przechodziliśmy obok tamtego kam pongu - wtrącił Shannon. - Innej drogi nie było, ale nie mogliśmy cię szukać.

- Jasne - odparł Australijczyk. - Złapali by i was.

Było już po północy, gdy doczołgał się do kamyka i ustawił go z trudem pomiędzy butami. Zawzięcie pocierając więzy o ostrze, uwolnił dłonie z powrozów. Przecięcie postronków na nogach było znacznie łatwiejsze i zabrało mniej czasu. Odzyskał więc swobodę ruchów, ale nadal znajdował się w chacie, przed którą stał na warcie żołnierz z karabinem. Chodziło teraz o możliwie bezgłośnie unieszkodliwienie strażnika i ulotnienie się z kam pongu bez hałasu i wywołania alarmu. Tanner

spojrzał na zdartą skórę palców prawej dłoni i powiedział z ponurym, zawziętym wyrazem twarzy:

- Jak go trzasnąłem w mordę, myślałem, że mu łeb odleci od karku. Na wszelki wypadek poprawiłem z drugiej strony, dla równowagi. Zwalił się jak kłoda, ale zdążyłem go podtrzymać, żeby nie było żadnych stukotów. Wciągnąłem do chaty, związałem, napchałem w gębę słomy, bo mógłby wrzeszczeć po oprzytomnieniu. Miałem wielką ochotę przyszpilić go jego własnym bagnetem do podłogi, ale... hm, jakoś nie wypadalo bezbronno...

Uwolniony Australijczyk zamknął za sobą chatę, która wyjątkowo posiadała drzwi, i najspokojniej przeszedł przez opustoszałą wioskę. Natrafił na ścieżynę idącą w dżunglę. Zgubił orientację, myślał początkowo, iż szedł na północ, w złym kierunku, z powrotem na nizinę. Potem poznał jednak po gwiazdach, że kierunek był właściwy.

- Miałem ciągle nadzieję, że jakoś was dogonię, ale oczywiście nie wiedziałem, jak daleko was zanosło.

Szedł bez przerwy przez całą noc, nie odpoczął nawet w ciągu dnia, bał się pogoni. Wreszcie, gdy znalazł się u kresu wytrzymałości, dopchał się do wioski, w której natknął się na Nang Sena.

- Ten młody chiński dżentelmen zaopiekował się mną, jakbym był jego najdroższą kochanką, za co mu jestem winien dozgonną wdzięczność. To wszystko, moi kochani. Mister [94] Nang Sen, poproszę jeszcze o odrobinę kawy, bo mi w gardle zaschło.

Chińczyk usłudnie spełnił to żądanie, powtórnie wybiegł z chaty, a w chwilę później Geoffrey, ze smakiem popijający czarny napój, palnął się nagle pięścią w czoło.

- By Jove! Zupełnie zapomniałem. Patrzcie na moją zdobycz!

Zerwał się, podbiegł do legowiska, pogrzebał w słomie. Gdy wyprostował się, dzierżył w dłoniach japoński karabin z nasadzonym bagnetem.

- Zabrałem wartownikowi – oświadczył z dumą.- Lepsze to niż gołe ręce.

Nastała chwila ciszy, po czym McNeill odezwał się rozkazująco:

- Ten karabin zostawisz tutaj. Poprosimy pana Nang Sena, by go gdzieś wyrzucił lub zakopał.

- Jak to? - zdumiał się Australijczyk.

- Chcesz wsypy? Jeżeli natkniemy się na jakiś japoński patrol, od biedy wyłgamy się, uchodząc za bezdomnych tubylców czy Eurazyjczyków. Broń nas zdradzi. Co innego automaty pod Pasir Pandziang, co innego ta pukawka. Zostawisz karabin, Geooff!

Tanner skrzywił się, burknął coś gniewnie. Milczał przez moment, potem zmieniając temat spytał z przekąsem:

- Gdzież nasz księżulek? Nie pofrunął żywcem do nieba?

- Jeszcze łązi po ziemi.

- Zastanawiające - Australijczyk zapomniał o japońskim karabinie, zamyślił się i odstawił kubek po kawie. - Jak on to wszystko wytrzymuje?

Nang Sen przestąpił z nogi na nogę, kilkakrotnie otwierał usta, wreszcie z uszanowaniem wtrącił się do rozmowy:

- Bardzo przepraszam, panowie, ale czas nagli. Sytuacja zmieniła się zasadniczo. Z chwilą ucieczki mister Tannera Japończycy z pewnością zostali zaalarmowani. Nawet jeżeli wartownik milczał do rana, najprawdopodobniej wszczęli poszukiwania we wszystkich kierunkach. Mogą tutaj lada chwila nadejść.



- Prawda - zgodził się szybko McNeill i obrócił do Australijczyka: - Geoff, masz dosyć siły?

Tanner westchnął, przeciągnął się, popatrzył na swe wychudłe i pokaleczone ciało. Podrzucił głowę do góry, oczy zabłyśły mu wojowniczo.

- Siły mam tyle, ile niemowlę przy piersi - odparł. - Ale będę maszerował, dopóki mi nogi od tyłka nie odpadną. Podobno do trzech razy sztuka, ale, hm, nie mam zamiaru po raz trzeci wpaść w ich objęcia. Tylko... By Jove, zostawcie mi karabin! Może się przydać.

Nang Sen znów przerwał:

- Z pewnością wytrzyma pan, mister Tanner. Szosa jest stąd o kilometr, moja ciężarówka gotowa do odjazdu. Karabinem zaopiekuję się. Nie zakopię go, przekażę w godne ręce, Chodźmy prędko, nie wyzywajmy niepotrzebnie losu.

Zawrócili po Alcocka, który nie okazał nadmiernej radości ujrzawszy „zmartwychwstałego” Australijczyka i obojętnie przyjął wiadomość o konieczności ruszenia w drogę. Opuścili wioskę i dróżką, dosyć teraz szeroką, dostali się za Chińczykiem do wyboistej szosy.

Na jej skraju, przed pustą szopą, ukrytą w zaroślach i starannie zamaskowaną, stała stara, obdrapana i obłupana z farby ciężarówka typu „Ford”. Nang Sen opuścił tylną klapę i gestem zaprosił pasażerów do wnętrza.

- Ukryjcie się pod tymi arkuszami kauczuku - doradził. - Niezbyt wygodnie i trochę niemiły zapach, ale nie będzie was widać.

Posłuchali rady. Chińczyk podniósł klapę, zabezpieczył ją, wsiadł do szoferki. Zapuścił silnik i ciężarówka, klekocąc i dzwoniąc żelastwem, wjechała na szosę, by potoczyć się po wybojach, trzęsąc niemiłosiernie.

Jechali przez całą noc bez przestanku, oczywiście nie orientując się, w jakim kierunku wiózł ich Nang Sen. Mieli jednak do niego całkowite zaufanie, zresztą... nie było innego wyjścia. Przecież niemal przez cały czas, od samego wyłamania się z Pasir Pandziang powodzenie ucieczki i możliwość utrzymania się na wolności zależały w wielkiej mierze od tak kruchych i niepewnych elementów, jak szczęście, przypadek, przychylne stanowisko tego lub innego spotkanego krajowca lub szansa natknięcia się czy uniknięcia żołnierzy japońskich. Pomoc zaś, otrzymywana zawsze od nie znanych ludzi, była również dziełem... przypadku.

Nad ranem kierowca zjechał z szosy, wymanewrował pomiędzy krzewami i grubymi pniami gumowców, zatrzymał się na podmokłym, niemal bagnistym placyku. Gdy pasażerowie wygrzebali się spod arkuszy nie wyprawionego kauczuku i niepewnie stanęli na ziemi, przeciągając się i rozprostowując zdrętwiałe członki, Nang Sen poczęstował ich zimnym ryżem i owocami, które zerwał z rosnących opodal drzew. Owoce były smaczne, słodkawe i soczyste.

Usiedli i raczyli się zasłużonym posiłkiem, ale nie mogli długo usiedzieć w miejscu. Nad głowami pojawiały się roje komarów i wkrótce wszyscy oganiali się i zabijali natrętne owady, obsiadające gołe ciała i dotkliwie kłujące.

- Komary to malaria - stwierdził płacząco Alcock. - Rozchoruję się, umrę. Peter, zrób coś, to przecież twój obowiązek.

Nang Sen, nie zważając na ordynarny komentarz Tannera, skinął ze zrozumieniem głową, ukazał złote zęby w przelotnym uśmiechu, znikł za chwilę i zjawił się na powrót, dźwigając naręcz liści podobnych do tych, które kiedyś zrywał Peter dla ratowania konającego Duvala.

-Cinchona [95] -powiedział krótko i równie krótko wyjaśnił -Chinina.

Z zapalem zabrali się do gryzienia i przeżuwania łykowatych i gorzkich liści. Nang Sen

przyglądał się, błysnął złotem zębów, po namyśle wydobyl orzech betelu [96] zawinięty w liście, poczęstował. Przeżuwany betel pomógł uporać się z cinchoną i zbiegowie mniej zwracali teraz uwagi na komary, nadal atakujące bez wytchnienia. Zanim ułożyli się do snu, Chińczyk zaprowadził ich do niskiej palmy ukrytej w gąszczu. Uderzył w pień nożem. Z palmy zaczął się sączyć bladozielonkawy płyn, który Nang Sen złapał do metalowego kubka.

- Woda! Bez wody nie ma życia - powiedział i wyjaśnił, iż ten rodzaj palmy rósł w dużych ilościach na bardziej otwartej przestrzeni, w południowej i wschodniej części wyspy, gdzie człowiek nie potrzebował obawiać się śmierci z pragnienia.

- Smaczna - doszedł do przekonania Tanner, oddając pusty kubek. - Hm, myślałem już, że nauczyłem się wszystkiego o dżungli, a tu ciągle jakieś nowości.

- O dżungli człowiek nigdy nie dowie się za wiele - powiedział poważnie Shannon.

Przespano cały dzień. O zmroku kierowca zapuścił silnik wozu. Uciekinierzy ukryli się pod arkuszami śmierdzącego kauczuku i starali się wynaleźć najwygodniejszą i najbardziej odporną na podskoki i podrzuty pozycję. Jakoś przetrwali całonocną jazdę bez zatrzymania, by wysiąść, rozprostować kości, najeść się i zapaść w dzienny sen.

- Kim ty właściwie jesteś, Nang Sen spytał Peter po trzech dniach jazdy, gdy przystanęli obok ukrytego w dżungli szalasu, z którego Chińczyk, niczym cudotwórca, wy dostał kilka blaszanek z benzyną - Czy jesteś zwykłym kierowcą ciężarówki?

Shannon zapomniał już, iż niemal identyczne pytanie zadawał niedawno McNeillowi. Zapomniał również, jaką radę dał mu wtedy Alan. Zapomniał, że człowiek ma język do tego, by nie zawsze go używać.

Nang Sen ukazał złote zęby i nie odpowiedział. McNeill ujął przyjaciela pod ramię.

- Nigdy się nie nauczysz, Peter powiedział półgłosem. - Język... język, mój drogi, to bardzo cenna część ludzkiego ciała. Należy go oszczędzać.

Chińczyk pokiwał potakująco głową, po czym zauważył oględnie:

- Moi rodacy walczą z japońskimi najeźdźcami od lat, poruczniku Shannon. Ja również staram się wypełniać moje skromne obowiązki. Proszę wybaczyć, nie wolno mi więcej powiedzieć.

- Dlaczego nie pójdziesz z nami? - pytał dalej Shannon mimo ostrzeżenia i roztropnej rady Alana.

- Poruczniku Shannon. Pan walczy za swoją ojczyznę, major Tanner za swoją, ja zaś za moją. Nasze zadania i cele nie zawsze się pokrywają.

Mijał dzień po dniu. Posuwali się w ciemnościach, kryli o brzasku. Kilkakrotnie mijali w nocy japońskie samochody i ciężarówki, pędzące z pełnym światłem reflektorów, ale nikt ich nie zatrzymał, nikt nie legitymował. Wreszcie czwartego czy piątego dnia nad ranem - Peter zatracił się w czasie - Nang Sen zwolnił, skręcił, opuścił szosę i schował wóz w doskonale zamaskowanym, najwidoczniej dawno już przygotowanym wykopie.

Zeskoczyli na ziemię i prowadzeni przez Chińczyka pomaszzerowali w poprzek kauczukowego lasu, by w kilkanaście minut później znaleźć się przed niewielkim kam pongiem. Nang Sen nie wahał się, nawet nie rozglądał, poruszał się z całkowitą pewnością. Odszukał jedną z chat, gestem zaprosił Białych do wnętrza. Gdy przekroczyli niski otwór wejściowy, przesłonięty kokosową matą, z bambusowego stołka podniosła się na ich widok niewielka, szczupła Chinka. Była ciemnowłosa, o bardzo skośnych oczach, jej wieku nie można było określić na poczekaniu. Stała bez ruchu, poważna i skupiona, nie wymówiła słowa, gdy Nang Sen przedstawiał ją jako swą siostrę, wymieniając krótkie, jednosylabowe imię Li.

Chinka w milczeniu wskazała przybyszom waniekę z deszczową wodą przed budynkiem, gdy zaś obmyli się i odświeżyli, zaprowadziła ich na powrót do chaty i wręczyła każdemu parę płóciennych szortów i bawełniane koszulki. Nang Sen, szperający w kącie pomieszczenia, ze zwykłym sobie uśmiechem zaprezentował brzytwę, kawałek mydła i stłuczone lustro. W pół godziny później spojrzeli po sobie i wydali mimowolne okrzyki podziwu.

- By Jove! Nieprawdopodobne! Staliśmy się znów podobni do ludzi, nawet Joe! - zawołał Tanner z dumą.

- Ale przy goleniu bolało piekielnie dodał krzywiąc się Alan i przeciągnął palcami po gładkim podbródku.

- Czegóż człowiek nie robi dla odzyskania piękności - odrzucił wesoło Australijczyk i jak zwykle przyciął Alcockowi: - Joe, prezentujesz się jak Mister Universe. Nabożny bracie, nie uwiedź któregoś z nadobnych Sumatranek!

Petera nie rozweselał humor przyjaciół. W im lepszy wpadali nastrój, tym częściej on pogrążał się w zadumę. Słowa McNeilla, które kiedyś wyrwały go z odrętwienia, a potem dodały otuchy przy wkraczaniu do kam pongu i kawiarnianej chaty, teraz, wywoływały wzburzenie, a nawet prawdziwą rozpacz i depresję. Shannon rwał się do dalszej drogi, za wszelką cenę chciał jak najprędzej dostać się do cywilizowanego świata - nie do partyzantów - by znaleźć się między swymi, by wiedzieć kto kłamał? Czy japoński kapitan, członek przeklętej Kemei Tai? Czy też skryty cywil o nazwisku McNeill? Teruci był zdeklarowanym wrogiem, McNeill wypróbowanym przyjacielem. Ale Teruci, z racji swego stanowiska i urzędu, mógł mieć wiarygodne i sprawdzone informacje o „Nigerii”. Jakim cudem uzyskał je Alan? Chyba że...Peter coraz bardziej wierzył w swe poprzednie przypuszczenia, chyba że Alan McNeill był w jakiś sposób powiązany z brytyjską marynarką wojenną bądź też – rzecz jeszcze prawdopodobniejsza - z brytyjskim wywiadem.

U siostry chińskiego kierowcy pozostali przez dwa dni. Wylegiwali się w hamakach, wdychali aromat kadzideł sporządzonych z perfumowanych skrawków materiału, palących się przed maleńkim posążkiem Buddy w kącie chaty.

- Budda... Siddata Gotama. Budda - oświecony. Gdyby potrafił oświecić nas, powiedziec, co przyniesie przyszłość - zauważył w zamyśleniu McNeill.

- Jak ta religia rozpowszechniła się po świecie - dodał Peter. - Chiny, Japonia, Tybet, Indie, nawet Sumatra...

Drugiego dnia pod wieczór Nang Sen znikł nagle bez pożegnania, znikła również jego obdrapana ciężarówka. Peter, nieco nauczone poprzednimi doświadczeniami i ciągłymi uwagami Alana, nie zapomniał tym razem o konieczności oszczędzania języka i nie spytał Li o przyczynę odjazdu brata. Zresztą Chinka była niezwykle małomówna i skryta, jakby odcięta od zewnętrznego świata, nie sposób było wydusić z niej jakąkolwiek informację, chociaż gościnność jej pozostawała bez zarzutu.

- Co myślisz o Nang Senie. Alan? - zagadnął przyjaciela Peter.

- Myślę, że to porządny i uczciwy człowiek, prawdziwy patriota - odparł McNeill. - Myślę również, że tu się dzieją rzeczy, o których nie mamy pojęcia i o których nie wolno nam nic wiedzieć.

- Ale Nang Sen zostawił nas w próżni – wtrącił Tanner.

- Mam wrażenie, że się mylisz, Geoff - odparł Alan.

Nad ranem, tuż przed samym świtem, Li zbudziła ich i wyprowadziła poprzez gumowcowy las nad brzeg szerokiej rzeki, o której istnieniu nie mieli dotychczas pojęcia. W prymitywnej przystani, pod nisko zwisającymi konarami mangrowców, kołysał się na leniwych, mętnych falach niewielki

sampan [97]. Zachęcenii ruchami rąk Chinki wskoczyli do łodzi. Li odwiązała linę od bambusowego pala, sprawnie odbiła od brzegu i skierowała sampan na środek rzeki. Gdy wypłynęli za ciasny zakręt, oczom ich ukazało się nagle spore miasteczko, o setkach bambusowych domostw, rozrzuconych na wielkiej przestrzeni, i nielicznych murowanych budynkach w centrum. Niektóre domy były spalone, wiele świeciło zniszczonymi, poskręcanyymi szkieletami. Przy nadbrzeżu widniały na pół zatopione łodzie i stateczki. Li wyciągnęła rękę i powiedziała krótko:

- Palembang.

McNeill poruszył się gwałtownie, mruknął coś do siebie i po chwili opadł na dno łodzi. Po ściągniętych brwiach i poziomych bruzdach na czole można było poznać, iż rozmyślał nad czymś intensywnie.

Li smętnie pokręciła głową. Z jej skąpych słów, wypowiedzianych jakby pod przymusem, dowiedzieli się, iż w przeddzień upadku Singapuru, w połowie lutego, japońskie oddziały spadochronowe, które Li nazywała „diabłami z nieba”, wspierane przez jednostki desantu morskiego, po krótkotrwałej i zaciętej walce zajęły bogate pola naftowe w pobliżu Palembang, a nieliczne wojska holenderskie wycofały się na Jawę, która również nie ostała się długo i padła w połowie marca, chociaż ciągle trwały tam walki, toczące się ze zmiennym szczęściem w trudnym terenie.

- Jaką mamy dziś datę? - spytał Peter.

- Nie mam pojęcia - brzmiała odpowiedź Alana.- Zupełnie zagubiłem się we wszystkim - dorzucił smętnie. Sumatra padła, Jawa padła... Gdzie się obrócić, dokąd się udać? Jak ich odnaleźć?

Tannera nie interesował los zdobytego Palembangu, nie obchodziła również data. Australijczyk przejmował się innymi sprawami. Przede wszystkim po podbiciu przez nieprzyjaciela Sumatry i Jawy stanęła przed Japończykami otworem droga do Australii. Poza tym drażniła go ich obecna sytuacja.

- Jak długo będziemy się włóczyć na tej zatabaczonej łajbie? - mruknął gniewnie. - Lada chwila „żółtki” nas zauważą.

- Popatrz na Li. Jest spokojna, a więc nic nie grozi - zwrócił mu uwagę McNeill.

- Może nie grozi, a może grozi. Nie lubię podróży wodnych, poza tym uważam, że dosyć mamy innych środków lokomocji. Proszę bardzo, czegośmy nie zakosztowali! Własne nogi, samolot, samochód, sampan...

- Brakuje jeszcze pociągu, co? - zaśmiał się z przymusem Peter.

## ROZDZIAŁ XXI

- Jeżeli kiedykolwiek doczekam się wnuków, co jest raczej nieprawdopodobne, zamęcę ich opowiadaniem o tej parszywej podróży. A jeżeli nie będą chcieli słuchać albo nie uwierzą dziadkowi, tak zbiję im tyłki, że skóra od kości poodłazi - planował Tanner, zaszyty w kącie towarowego wagonu i ukryty pod arkuszami kauczuku. - To jest jakiś bezsensowny, nieprawdopodobny, ale jednak prawdziwy kalejdoskop. Bo i proszę: pstryk - przekręcisz i wszystko wywraca się do góry nogami. Był Singapur, nie ma Singapuru. Był Pasir Pandziang, nie ma Pasir Pandziangu. Był śmierdzący zboczeniec Teruci, nie ma go. Była latająca łódź, nie ma jej. Byli Hitchcock, O'Brien, Hancock, White, Vincent, Grocholski, byli Goblin i Turnhouse, McCarthy i Cookins. Gdzie oni? Był poczciwy Henri i... pstryk - nie ma go i nie będzie. Pstryk zjawia się Nang Sen i ciężarówka. Jedziemy i pstryk - zamiast Nang Sena mamy jego siostrę. Płyniemy sobie wytwornie sampanem i pstryk znajdujemy się w wagonie. Tylko jeden Joe pozostanie wiecznie, choćby człowiek kręcił i kręcił kalejdoskopem, choćby pstrykał na lewo i prawo... Przyznam jednak, że wolałbym taki kiepski film oglądać na ekranie, a nie brać w nim udziału w charakterze wątpliwego bohatera.

- Shut up[98], Geoff, nie rób tyle - hałasu upominał McNeill.

Tanner miał rację. Sytuacja znów zmieniła się gruntownie. Milcząca Li przewiozła swych pasażerów na przeciwległy do Palembang brzeg, przeprowadziła ukradkiem przez gąszcz i wywiodła na nasyp kolejowy, gdzie na zardzewiałych szynach stał bez ruchu towarowy pociąg, składający się z kilkadziesiąt wagonów krytych wypłowiałym brezentem, Chinka rozejrzała się bacznie na wszystkie strony, uniosła róg brezentu jednego z wagonów, gwałtowną gestykulacją poleciła zbiegom wśliznąć się do wnętrza i ukryć pomiędzy zwałami kauczuku.

- Wkrótce przyjdą przyjaciele - szepnęła tajemniczo i... znikła na zawsze z życia uciekinierów.

Według określenia Tannera kalejdoskop przekręcił się, Li po prostu wypadła z kręgu widzenia. Kim była, jaką robotą się zajmowała, do jakiej organizacji oporu należała - nie mieli się nigdy dowiedzieć.

Wkrótce po jej odejściu w pobliżu wagonu rozległy się kroki, odezwały męskie głosy, śmiechy i kłótnie. Po plecach Shannona przebiegł zimny dreszcz. Jeden z nie znanych i niewidocznych mężczyzn mówił po japońsku.

„Wpadka - przeleciało Peterowi przez myśl. - Wyłapią nas jak kurczęta z kojca”.

Bał się powiedzieć słowa do kolegów, czasu na obmyślenie jakiegoś ratunku brakło. Brezent pokrycia uchylił się, do wnętrza poczęli wchodzić ludzie. Po chwili pociąg drgnął, szarpnął, parowóz gwizdnął przeraźliwie i potoczył się naprzód.

Czwórka zbiegów leżała jak sparaliżowana pod kauczukiem. Na twarzach ich perlił się kroplisty pot. Obawiali się poruszyć, by nie zdradzić swej obecności, nie mieli pojęcia, kim byli obcy i czy nie znajdował się pomiędzy nimi Japończyk, którego piskliwy głos słyszeli poprzednio. W pewnym

momencie ktoś odciągnął arkusz kauczuku i tuż przed Peterem ukazały się ciemne twarze kilku krajowców. Jeden z nich, o płaskim nosie, szerokiej twarzy i szramie biegnącej od ucha do nosa, uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział w zrozumiałym dla Shannona narzeczu:

- Podnieście się. Już bezpiecznie. My Jawajczycy. Krajowiec uśmiechnął się powtórnie i wydobyl z saarungu paczkę papierosów oraz ryżowy placek zawinięty w bambusowe liście.

- Bierzcie - zachęcił.

Joseph Alcock pierwszy chwycił papierosa, zapalił i trzęsąc się jeszcze z emocji, z lubością zaciągnął się dymem. Peter, również zakosztowawszy tytoniowego aromatu, pokręcił głową ze zdumieniem.

- Skąd wiedzieliście, że się tu kryjemy? - jak zwykle nie mógł powstrzymać ciekawości.

McNeill, który zrozumiał sens pytania, uderzył go karcąco po ramieniu, a uśmiechnięty Jawajczyk ze szramą na policzku odpowiedział:

- Zostaliśmy powiadomieni.

- Przez kogo? - nie ustępował Shannon. Jawajczyk spochmurniał.

- Lepiej nie pytać - burknął. -długi język, krótkie życie.

Peter zaprzestał badania. Ostatecznie nie obchodziło go, dokąd jechali młodzi Malajczycy z Jawy, skąd się wzięli na Sumatrze i kto przekazał zbiegów pod ich opiekę. Najważniejsze było przedostanie się; bądź do partyzantów w górach, bądź na Jawę, a potem dalej, do świata.

Stary i zdezelowany wagon trząsł się, podskakiwał na złączach szyn gorzej niż ciężarówka Nang Sena na wybojach szosy. Od czasu do czasu parowóz wydawał przenikliwy świst. Pociąg jechał wzdłuż dżungli, potem wydostał się na otwartą przestrzeń, pokryta ryżowymi, podmokłymi polami, znów wpadł w wąwóz wycięty w gąszczu. Mijali tubylcze kam pongi, dwukrotnie pociąg zatrzymywał się na krótki postój, w czasie, którego za poradą Jawajczyka z blizną na policzku, uciekinierzy ukrywali się pod kauczukiem.

- Jeżeli kiedykolwiek doczekam się wnuków... — zaczął Tanner, ale mocne szturchnięcie Shannona uspokoiło go i uciszyło.

Pod wieczór pociąg zwolnił biegu. Tor wiódł pod górę, parowóz sapał i dyszał. Wydawało się, że lada chwila wagony zatrzymają się, że nigdy nie zdołają się wspiać na szczyt pokaźnego wzniesienia.

Jawajczyk ze szramą na policzku przykucnął obok Shannona. W krótkich zdaniach powiadomił go, że nadszedł czas opuszczenia pociągu. Uciekinierzy powinni wyskoczyć w biegu z wagonu, zaszyć się w dżungli, niezbyt gęstej w tej okolicy i składającej się przeważnie z wysokiej trawy, krzewów i pojedynczych drzew kauczukowych. Potem o własnych siłach muszą dotrzeć do miejscowości Oosthaven na wybrzeżu morskim - Jawajczyk wskazał ramieniem właściwy kierunek. Tam otrzymają dalszą pomoc, rady i wskazówki.

- Jakie wskazówki i od kogo? - przerwał mu Peter.

Jawajczyk popatrzył na niego przeciągle.

- Długi język, krótkie życie - powtórzył, ale dodał przyjaźnie, że każdy wiejski kacyk, noszący medal Wilhelminy na piersi, nie odmówi pomocy. - Z pewnością natraficie na właściwego człowieka - dorzucił na zakończenie. - Nie mogę podać jego imienia ani wymienić miejscowości, gdzie się znajduje. To nie moja tajemnica. Idźcie do Oosthaven, miejcie oczy otwarte. Teraz uciekajcie!

Jeden po drugim wysunęli się spod brezentu i zeskoczyli z wagonu na nasyp. Pociąg jechał tak powoli, iż poszło to sprawnie, tylko Alcock potknął się o podkład, przewrócił, stoczył z nasypu i

utknął w jakimś kolczastym krzewie. Zaklął szpetnie, co wywołało przelotną uwagę Tannera, że aniołki i święci z reguły nie używają nieprzyzwoitych wyrazów - po czym cała czwórka rzuciła się pędem w gąszcz wyrastający tuż obok toru. Biegli tak długo, aż oddalili się na bezpieczny dystans od linii kolejowej. Wreszcie przystanęli zasapani, zmęczeni i spoceni.

- Znowu samotni w dżungli - stwierdził z pewną melancholią Peter. - Zapamiętajmy kierunek, bo się zgubimy. Tutaj nie ma żadnej ścieżki, szczęście, że dżungla rzadka.

- Czas na ułożenie się do snu - zauważył McNeill. - Chyba nie zamierzasz maszerować w nocy, Peter?

- Jestem głodny - upominał się Alcock.

- Biedactwo! Poskarż się mamusi - dociął mu Tanner. — Zżarłeś cały placek tego ciemnoskórego dżentelmena i jeszcze ci mało? Na kolację mamy dziś świeże powietrze. Jeżeli ci tego nie wystarczy, zjedz własne buty, Joe.

Starym zwyczajem przygotowali legowisko, wymościли posłanie listowiem i paprociami. Noc spędzili względnie wygodnie, ale obecna sytuacja wcale ich nie zachwycała. Co właściwie zyskali przez ostatnich kilka tygodni? Z największym poświęceniem, z ogromnym wysiłkiem przebyli pół Sumatry i znaleźli się gdzieś na jej południowo-wschodnich krańcach. Stracili kolegę, niemal stracili drugiego. Zyskali kontakt z jakąś organizacją podziemną i kontakt ten się urwał. Nie dowiedzieli się niczego o partyzantce w górach, zresztą na wędrowkę do jeziora Toga i nieznanymi oddziałkami, które mogły się tam znajdować, ale równie dobrze mogły wcale nie istnieć, nie mieli ochoty. Otrzymali bardzo mgliste i niewyraźne wskazówki i z łatwością mogli się rozminąć z nieznaną osobą w nieznanej wsi. Niebezpieczeństwo natknięcia się na Japończyków bynajmniej się nie zmniejszyło, przecież wróg okupował całą wyspę. A więc właściwie pozostawała Jawa, ale i tam nieprzyjaciel już dotarł.

- Jawa jest jednak bliżej Australii - rzucił trafne spostrzeżenie McNeill. – Poza tym...

- Tak, Alan?

- Nic.

O świcie podnieśli się i rozpoczęli marsz w poprzek porośniętego krzewami terenu. Starali się utrzymać ogólny kierunek wskazany przez Jawajczyka ze szramą na twarzy, pomocą znów stało się słońce i zegarek McNeilla.

- Jestem głodny - zaczął wyrzekać Alcock po godzinie marszu.

- By Jove! Wszyscy jesteśmy głodni!

Peter od samego początku drugiej wędrowki poprzez dżunglę rozglądał się za pożywieniem. Nie dostrzegał jednak nigdzie ani orzechów rambutan, ani owoców durian, ani jadalnych jagód, stanowiących kiedyś niemal wyłączone pożywienie. Nie widział również niskich palm, z których pni niezastąpiony Nang Sen uderzeniem noża wytaczał zielonkawy napój. Natomiast kilkakrotnie przechodzili koło niewielkich, rozgałęzionych drzew, a raczej wysokich krzewów, z których gałęzi zwisały dziesiątki małych, zielonkawych owoców, zbliżonych kształtem do gruszek. Po namyśle Shannon zerwał jeden z owoców, spróbował. „Gruszka” smakowała wcale nieźle, chociaż była cierpka i gorzkawa. W środku znajdowała się miękka pestka.

- Żyję jeszcze - zakomunikował kolegom z mdłym, wymuszonym uśmiechem. - Możecie to zjadać. Zatrzymali się i z apetytem zabrali do zielonkawych owoców. Oczyszczili jedno drzewo, potem

drugie i trzecie. Joseph Alcock, który okazał się prawdziwym żarłokiem i nie potrafił zachować umiaru, zjadł tyle, że ledwie mógł się poruszać.

- Brzuch ci pęknie, Joe - przygadywał mu Tanner. - A z pękniętym brzuchem nie wpuszczają do nieba.

W pół godziny później, gdy wyszukali drogę w gąszczu krzewów i zarośli, zdumiony i zdezorientowany Peter spostrzegł w pewnym momencie, iż McNeill, zwykle zrównoważony i opanowany, z ożywieniem i z błyszczącymi oczyma opowiadał jakąś historyjkę, pełną niedwuznacznych wyrażen i określeń. Tanner, z wypiekami na twarzy, począł przechwalać się miłosnymi sukcesami w Sydney, Melbourne, Darwin i niemal każdym australijskim mieście. Alcock, który zjadł najwięcej zielonkawych „gruszek”, kompletnie zapomniał o memento mori i ogniach piekielnych.

- Kiedyś w Ruislip pod Londynem, jeszcze przed wojną, miałem dziewczynę - mówił oblizując wargi na wspomnienie tej prawdziwej czy wymaginowanej przygody. - Co za dziewczyna! Mówię wam, takich kształtów nie widziałem, jak żyję - ruchami dłoni nakreślił w powietrzu półokrągłe linie. Ogień nie kobieta, ale ze mnie również ogień. A potem w Singapurze, ho, ho, tam sobie naużywałem! Kobiety za mną latały, nie dawały spokoju. Ale też spokoju nie chciałem, przeciwnie!

- Myślałem, że aniołki to stwory absolutnie bezpłciowe - dociał Tanner, ale w chwilę później uraczył kolegów opisem któregoś z portowych domów publicznych.

„Co to znaczy? Co nam się stało?” - zachodził w głowę Peter, również niezwykle podniecony.

Joseph Alcock nie dopuszczał nikogo do głosu:

- Miałem kiedyś Chinę. Mówię wam, laleczka, cukiereczek - znów się oblizał. A Malajka, jak się dobrze trafi, to prawdziwy rarytas. Co za temperament Włoszki też są gorące. Hiszpanki... no, popróbujcie kiedyś, jak ja popróbowałem. Ale jeżeli chcecie sobie naprawdę użyć to we Francji... Opowiem wam, co mi się kiedyś wydarzyło z pewną Arabką...

Peter nagle palnął się pięścią w czoło.

- Wiem! Już wiem - zawołał na głos.

- Wiesz o mojej Arabce?

- Nie, nie...

- Peter, ty się znasz na dżungli - gorączkował się Alcock. — Znasz jej tajemnice. Gdzie tutaj szukać kobiet, co? Mów prędzej, możemy trochę zboczyć, nadłożyć drogi, nie spieszy się nam nigdzie...

- Myślałem o czym innym, Joe. Wiem co to było, wiem co nam dogodziło. To aphrodisiac [99]. W tych diabelskich gruszkach kryje się prawdziwa potęga. Słyszałem kiedyś o tym. Krajowcy nazywają je owocami miłości. Trafna nazwa. Ludzie! - krzyknął z rozpaczą. - Przecież jedna taka gruszka wystarczy, by pobudzić mężczyznę do fantastycznych wyczynów! Tanner gwizdnął przeciągle.

-A my, jak ostatni idioci, zzarliśmy tego paskudztwa po kilka kilogramów każdy - dodał z westchnieniem. - Ładna zabawa! By Jove, piekielne, parszywe szczęście. Absolutna niesprawiedliwość. Leziemy przez to pustkowia, w którym ani śladu kobiety! Co robić?!

Joseph Alcock, rzucając dokoła ogniste spojrzenia, parszając nozdrzami jak rasowy ogier, marzył na jawie:

- Za minutę dżungla się urywa. Wychodzimy na otwartą przestrzeń, pokrytą kwiatami. Trawa tam jak dywan. A na trawie kobiety. Cud kobiety, posągi. Taakie kobiety - jego ręce powędrowały w



górze i rysowały jeszcze pełniejsze i bujniejsze kształty niż poprzednio. - Uśmiechają się, czekają, zapraszają. Podbiegają do mnie, a ja... a ja... Oh, wiem co z nimi zrobię.

- Ja też wiem - warknął zdenerwowany Geoffrey. - Ukłękłbyś pokornie, złożył ręczki i przemodliłbyś się z nimi do rana, he?

Ale wbrew marzeniom i pragnieniom Alcocka dżungla ciągnęła się nieprzerwanym pasem, ani śladu w niej było kwiecistej łąki i piękności, czekających skinienia porucznika Królewskiego Korpusu Artylerii. Przedzierali się naprzód, zawzięcie, pragnęli przez fizyczny wysiłek wyzbyć się wpływu magicznych „gruszek miłości”. Podniecenie jednak nie mijało, stawało się ambarasująco dokuczliwe.

Dopiero po kilku godzinach krzaki przerzedziły się, a na wyciętej w gąszczu polanie pojawił się spory kam pong.

- Powinniśmy się znajdować już niedaleko Oosthaven - zastanawiał się na głos Shannon, starając się w ten sposób odwrócić uwagę własnych kolegów od problemów miłosnych. - Sądzę, że można popróbować wejść tam za dnia. Ostatecznie nasz wygląd nie jest teraz zbyt podejrzany. Mamy skórę tak spaloną, że możemy uchodzić za Eurazyjczyków, jeśli nie za czystych Malajczyków.

- Zdradzą nas niebieskie oczy - zaoponował McNeill.

- Nie. Znałem Eurazyjczyków o niebieskich oczach i zupełnie jasnych włosach. Poza tym kam pong może być nam przyjazny.

Równym krokiem wmaszerowali do wioski, ale ku rozczarowaniu Alcocka nie czekały tam dziewczyny o bajkowych kształtach. Natknęli się natomiast na kilku półnagich Malajczyków, zdumionych ich widokiem, a w środku kam pongu na wysokiego, chudego kacyka z medalem Wilhelminy na długim łańcuszku. Shannon, nie chcąc się zdradzić, powitał tego dostojnika niemal pokornie i oznajmił, iż zarówno on, jak i jego przyjaciele, są Eurazyjczykami zbiegłymi z japońskiego obozu przymusowej pracy na północy wyspy. Oświadczenie to wystarczyło, by czwórka pożeraczy „gruszek miłosnych” otrzymała wygodne posłanie w jednej z opróżnionych dla nich chat.

- Jeżeli wrócę kiedyś do Melbourne, do mego bungalowu przy Victoria Street, kupię sobie taki medalik i powieszę nad łóżkiem – oświadczył Tanner.

Alcock podszedł ukradkiem do Shannona.

- Peter, ty znasz się na ich zwyczajach. Czy... czy nie można by... no, rozumiesz...

- Idź do diabła, Joe! Uspokój się, umyj w zimnej wodzie.

Ledwie zdążyli popić wody i posilić się miską ryżu, w chacie zjawił się wioskowy naczelnik z medalem na piersi. Był jeszcze młody, miał na sobie biały, czysty saarung, zapewne włożony specjalnie na cześć gości. W kurtuazyjnej rozmowie, pełnej obustronnych grzeczności, Shannon dowiedział się, że od Oosthaven dzieliło ich jeszcze około trzydziestu kilometrów. W Oosthaven kwaterowali Japończycy, którzy dosyć często zapuszczali się aż tutaj, i z tej przyczyny, obcy nie powinni zbyt długo pozostawać w wiosce, a w każdym razie jak najrzadziej opuszczać chatę. Gdy Peter żartobliwie napomknął o osobliwym działaniu zielonkawych gruszek, kacyk zamrugał oczami, uśmiechnął się; ze zrozumieniem, ale powstrzymał się od komentarza, a po chwili namysłu zaprosił przybyszów do własnego szałas, gdzie uczęstował ich ryżem z curry oraz gotowaną kurą.

Późnym wieczorem powrócili na swą kwaterę i przy mdłym świetle naftowej lampki dostrzegli ze zdziwieniem, że na posłaniu ktoś leżał. Postąpili krok do przodu. McNeill wydał okrzyk

zdumienia, Alcock zachwytu. Na posłaniu leżała nader skąpo ubrana młoda kobieta.

Stanęli niezdecydowanie na środku izby, nie poruszali się, nie wiedzieli, co robić. Kobieta spoglądała na nich bez zażenowania, przenosiła wzrok z jednego na drugiego, lekko się uśmiechała. Peter odchrząknął i bąknął z zaambarasowaniem:

- O Boże! Słyszałem o tym zwyczaju... Alcock gapił się w leżącą postać jak urzeczoną, bezustannie przesuwał językiem po spierzchniętych wargach.

- Jaki to zwyczaj? - spytał gorączkowo. - Mów prędzej, Peter? Co za zwyczaj? Bardzo interesują mnie zwyczaje tubylców.

Shannon powtórnie odchrząknął.

- W niektórych częściach Sumatry oraz na innych wyspach archipelagu krajowcy uważają, że dorośli i dojrzały mężczyzna nie powinien nigdy sypiać samotnie - wyjaśnił z zakłopotaniem. Wydaje się, iż nasz wioskowy dostojnik jest aż nazbyt uprzejmy i gościnny.

- Zawsze interesowałem się zwyczajami i tradycjami różnych ludów - powiedział spieszenie Alcock i przestąpił z nogi na nogę. Dla celów naukowych, oczywiście.

Porucznik artylerii ukradkiem posunął się o krok do przodu. Geoffrey Tanner szarpnął się za kudłate włosy, wyglądające zza koszulki.

- By Jove! Co z tym fantem zrobić? - zawołał, a potem powoli, z podstępny uśmiechem nachylił się do Alcocka: - Joe, ty jaskiniowcu, uwodzicielu! Chciało ci się setek sumatrzańskich księżniczek, he? Masz tu jedną, tylko nie jestem pewien, czy będziesz wiedział, jak się zachować. Dorośli może i jesteś, ale dojrzały chyba nie.

Peter poczuł, iż zarumienił się pod głęboką, opalenizną.

- Kłopot w tym, że odmowa skorzystania, hm, z przysługi, jest w tych stronach prawdziwą obrazą - szepnął.

Alcock wykonał następny krok naprzód.

- Nie wolno ich obrażać! - zawołał z głębokim przekonaniem. - Mogliby nas zjeść! Wydać Japończykom!

- I zarobić po dwa tysiące guldenów od głowy - dorzucił Alan, którego, jak i Tannera, poczęła bawić fantastyczna sytuacja. - Ha, trudno, Joe, zastąpimy cię w modłach do Wszechmiłosiernego, a ty zabierz się do spraw czysto ziemskich.

- Ale przedtem poproś, by Wszechmocny dodał ci sił - doradził Geoffrey.

- Ja... ja... rozumiecie, nie wolno ich obrażać... to rzecz zasadniczej wagi... - jękał zmieszany Alcock, ale był już teraz zaledwie o metr od swego celu.

Tanner niespodziewanie popchnął go w plecy i porucznik Royal Artillery Corps przysiadł na posłaniu obok milczącej i biernie wyczekującej na rozwój wypadków dziewczyny.

- By Jove! Nie mamy tutaj co robić - zdecydował Australijczyk. - Widowisko nie w moim guście. Chodźcie, chłopaki, nie przeszkadzajmy młodej parze - zagwizdał fałszywie pierwsze takty weselnego marsza Mendelssohna Bartholdyego. - Prześpimy się pod gołym niebem. A ty, Joe, odśpiewaj natychmiast hymn numer dziewięćset sześćdziesiąt siedem, zaczynający się od słów: „Dodaj mi sił, o Panie!”

Następnego dnia, gdy szykowali się do opuszczenia kampong, wyszedł im na spotkanie wysoki kacyk z medalem Wilhelminy. Na widok zawstydzonego i niepewnego siebie Alcocka zachichotał i

zwrócił się do Shannona w mieszanym angielsko-malajskim języku, użytym specjalnie na cześć gości, w których krajowiec bez trudu domyślił się Białych:

- Kobieta, ona mówić, twój kolega za mało zjeść gruszek miłości...

## ROZDZIAŁ XXII

Wioska, do której dostali się w cztery dni po miłosnych doświadczeniach gorącokrwistego Alcocka, leżała nad samym wybrzeżem, oddalona od Oosthaven zaledwie o kilka kilometrów i, jak przypuszczali Peter z Alanem, mogła być właśnie tym miejscem, którego poszukiwali.

Podsuwali się do niej nad wyraz ostrożnie, ostrzeżono ich bowiem przed Japończykami. Mimo, że wysoki i gościnnie kacyk z poprzedniego kam pongu dokładnie pouczył ich przed odejściem co do kierunku i wyglądu wioski, łatwo się mogli pomylić. Rzeczą zaś była zasadniczej wagi, jako że właśnie stamtąd, zdaniem gościnnego kacyka, można spróbować przeprawy przez cieśninę Sunda na Jawę.

Ostateczna decyzja porzucenia myśli poszukiwania partyzantów w górach centralnej Sumatry i przeniesienia się na Jawę powzięta została pod wpływem McNeilla, który twierdził uparcie, że przy odrobinie szczęścia można nie tylko przedostać się na Jawę, ale również kolejnymi „skokami” na następne wyspy archipelagu, Bali, Lombok, Sambawa, Flores i Timor, ciągnące się na wschód aż ku północno-zachodnim wybrzeżom Australii.

- A stamtąd - dodał z zachwytem Tanrrr - jeszcze jeden skoczek i jesteśmy w Darwin! By Jove, ależ się Eileen ucieszy, gdy mnie zobaczy! A Eve i Jack poszaleją z radości. Alan, masz stuprocentową rację. Zostawmy zakichaną Sumatrę, walmy na Jawę. I tak przecież nie wypada wracać, skoro mamy przed nosem morze i cieśninę.

- To są pobożne życzenia z gatunku modłów Alcocka - gasił ich zapal Pelerr, nie oponował jednak przeciw projektowi. I on wolał ryzykować mozolne i niebezpieczne przepychanie się ku Australii niż jałowe poszukiwanie partyzantów na Sumatrze i pozostawanie z nimi do końca wojny. W razie dotarcia do Australii gryząca niepewność o „Niherię” i los Betty zostałyby wreszcie zlikwidowane raz na zawsze.

- Jawa... hm, Jawa - zastanawiał się McNeill. - Wyspa jest okupowana, to już wiemy, ale... — nie dokończył zdania.

- Tak, Alan? - zachęcał Shannon.

- Nic specjalnego, tak sobie rozmyślałem... Miałem kiedyś na Jawie znajomych. Gdyby się udało ich odszukać... No, zobaczymy. Na Sumatrze też miałem znajomych i nie mogłem się z nimi porozumieć. W takich warunkach byłoby to szukanie igły w stogu siana. Zresztą jeszcze jesteśmy na Sumatrze i może nigdy się z niej nie wydostaniemy.

Przystanęli na skraju gąszczy i starym zwyczajem badali wzrokiem kam pong na morskim wybrzeżu. Niespodziewanie, gdy Peter zamierzał ruszyć na rozpoznanie, jako zwiadowca ofiarował się Alcock. Propozycja była tak niezwykła, że koledzy spojrzeli na niego ze zdumieniem, ale po krótkiej naradzie wyrazili zgodę.

- Ostatecznie i on powinien kiedyś coś zdziałać, poza uwodzeniem tutejszych piękności -

oświadczył z przekonaniem Tanner. - Nie możemy stale prowadzić go za rączkę jak smarkacza. Zresztą, o ile wiemy, powinna to być właściwa wioska. Jazda, Joe, pomódl się za nasze dusze, pamiętaj o ogniach piekielnych i wracaj prędko.

Alcock podskoczył do przodu i drobnym kroczkiem ruszył ku wiosce. Reszta cofnęła się i zapadła w krzewach. McNeill usiadł wygodnie na ziemi i uśmiechnął się zagadkowo.

- Czy widzieliście, jak mu się koszulka wydymała na piersi? - spytał.

- Nie - odpowiedział Shannon. - Co on tam chowa? Orzechy, owoce czy książkę do nabożeństwa?

Alan parsknął głośnym śmiechem, był bardzo rozbawiony.

- Gruszki miłosne! Widziałem, jak zrywał je ukradkiem po drodze.

Tanner chwycił się za głowę.

- By Jove! Ze wstrętnej poczwarki wyfruwa stuprocentowy motyl! Nasz pobożny brat przemienia się w Adonisa, Don Juana, Apollina, Rasputina i byka rozplodowca!

- Still waters run deep [100] - zacytował McNeill znane przysłowie.

W pół godziny później zdumienie ich podwoiło się i zmieniło w prawdziwe osłupienie. Joseph Alcock, z dumnie wypiętą piersią, przyglądając co chwila żółtawą czuprynę, powrócił do kryjówki, prowadząc ze sobą młodą, najwyżej osiemnastoletnią dziewczynę. Była przystojna, nieledwie piękna, przybrana w czarne, jedwabne spodnie, koronkowe baju i kolorowo wyszywaną bluzkę. Miała ciemną cerę, nieco skośne oczy, krucze włosy opadające na ramiona i przewiązane białą tasiemką.

- By Jove! Skąd on to cudo wytrzasnął?

- Trochę krwi malajskiej, sporo chińskiej, i odrobina hinduskiej - ocenił błyskawicznie Alan.

Alcock ujął dziewczynę za rękę i stanął przed kolegami w wyzywającej pozie.

- Nazywa się Li Tong - oświadczył wodząc płomiennym i zaczepnym wzrokiem po twarzach Petera, Alana i Geoffreya. - Spotkałem ją na skraju wioski, na ścieżce. Jeżeli wam się to nie podoba, przyjmijcie do wiadomości, że jest ona bratanicą tutejszego kacyka imieniem Sen Toju. Jej ojciec, który również posiada w wiosce wpływy, nazywa się Tang Tuo.

- Li Tong, Sen Toju i Tang Tuo – powtórzył Shannon. - Jak się z nią porozumiałeś?

Piers Alcocka wyduła się pod bawełnianą koszulką, a kształty ukrytych „gruszek miłosnych” uwidoczniły się wyraźnie.

- Nie tylko ty umiesz się dogadać z tubylcami, Peter - oświadczył zarozumiale. - Chwyciło się tu i ówdzie trochę wyrażen, ma się głowę na karku...

- A gruszki pod koszulą - wtrącił Tanner. - By Jove, teraz wiem, do czego mu przeklęte owoce były potrzebne.

- Dla celów naukowych, Geoff, wyłącznie dla celów naukowych - dodał rozweselony Alan.

Shannon otrząsnął się z wrażenia, postąpił krok do przodu i zagadał do dziewczyny po malajsku. Zrozumiała od razu i odpowiedziała, że w kam pongu nie ma Japończyków, że przybysze powinni wraz z nią wejść do wioski i porozmawiać z jej ojcem i stryjem.

Zbliżyli się do pierwszych zabudowań. Li Tong pobiegła do przodu i po chwili czwórka Białych, otoczona rojem nagich dzieciaków, stanęła przed obliczem braci Sen Toju i Tang Tou, w których

rysach również można się było doszukać śladów krwi chińskiej. Z tyłu za miejscowymi dostojnikami, w stosownej i pełnej szacunku odległości, gromadził się tłum mieszkańców osady.

Nastąpiła żywa wymiana zdań, uprzejme powitania i dyskretne, ale pełne ciekawości pytania. Peter szybko poznał, że kacyk i jego brat, mimo że obaj nosili medale Wilhelminy, nie byli zbyt zbudowani pojawieniem się obcych.

- W Oosthaven jest wielu Japończyków. Mogą o was usłyszeć i będzie bieda dla wszystkich - oświadczył w pewnym momencie Sen Toju, skrzywił się niemiłosiernie i z zakłopotaniem począł się bawić okrągłym medalem.

- Japończyków nie obchodzą Eurazyjczycy - odparł wykrętnie Peter.

Kacyk zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

- Jesteście Eurazyjczykami? - spytał z powątpiewaniem.

- Tak, tuan - potwierdził Shunnon, świadomie używając wyrazu „tuan” dla podkreślenia szacunku dla naczelnika wioski.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Sen Toju rozważał coś w myśli, zagadał szeptem do brata. Tang Tuo skinął głową i przelotnie spojrzał na stojącą z boku córkę, ciągle trzymaną za rękę przez Alcocka.

- Dlaczego tutaj uciekaliście? - zadudnił niskim, skrzekliwym głosem.

Peter był przygotowany na to pytanie.

- Idziemy z Palembang. Z obozu pracy Tam biją, nie dają jeść.

Tang Tuo znów naradził się z bratem.

- Odpoczniecie, ugasicie pragnienie, zaspokoicie głód - powiedział wreszcie z godnością - Potem zobaczymy.

Zaprowadzono przybyszów do na pół rozwalonej, chylącej się ze starości bambusowej chaty o dziurawym dachu, przyniesiono wody i ryżu. Wieczorem Alcock, który przez cały czas kręcił się niespokojnie i co chwila wyglądał przez wejściowy otwór, opuścił kolegów, twierdząc, że nie jest śpiący i zamierza przespacerować się po wiosce, aby się przekonać czy są w niej bezpieczni.

- Piekielne gruszki - mruknął Tanner, westchnął komicznie i dorzucił z przesadą.: Módlcie się za jego grzeszną duszę, bracia. Odmówimy chóralnie psalm numer czterysta czterdzieści cztery, zaczynający się od słów „Nie poskap mi, o Panie, miłosnych gruszek Sumatry”.

Minęły dwa dni, w czasie których Shannon, McNeill i Tanner naradzali się nad przeprawą przez cieśninę Sunda, głowili nad sposobem bezpiecznego przedostania się na Jawę, snuli plany dalszej wędrówki do Australii. McNeill niepokoił się myślą, że inne wyspy archipelagu mogły już do tej pory paść łupem zwycięskich wojsk japońskich. W takim wypadku pobyt nie tylko na Jawie stałby się ryzykowny. Ostatecznie Jawa była dużą wyspą, stosunkowo wąską, ale dochodzącą do tysiąca kilometrów długości. Na górzystej Jawie, pokrytej gęstymi lasami, można się było ukrywać, mimo że w porównaniu z Sumatrą, była gęsto zaludniona, a liczba mieszkańców sięgała trzydziestu ośmiu milionów. Ale wulkaniczna Bali z ludnością zaledwie milionową oraz następna na wschód Lombok, z pół milionem mieszkańców, nie mogły dać dostatecznego schronienia, przybycie zbiegów łatwo zostałyby wykryte przez okupantów. Dalej na wschód znajdowała się wyspa Sambawa, też niezbyt

wielka i pozbawiona gęstej dżungli, za nią Flores, w połowie drogi z Jawy na Timor.

- Flores... Flores... przykro mi, ale moje geograficzne wiadomości już się wyczerpują - przyznał ze wstydem Shannon.

McNeill metodycznie kreślił patykiem na glinianej podłodze mapę archipelagu. Człowiek ten był niewyczerpaną skarbnicą informacji. Peterowi czasem wydawało się, że McNeill musiał być cały pokryty maleńkimi przyciskami elektrycznymi. Gdy się na którymś kładło palec, otwierała się odpowiednia szufladka w mózgu i wyskakiwała żądana wiadomość.

- Flores, zaraz. Leży na południe od Celebes. Ludność dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Malajczycy i Papuasi. Bawełna, kauczuk, kokosy, banany. Wulkany, góry i dżungla. Stolicą jest Larantuka. Więcej nie wiem.

- Aż za dużo - zauważył Tanner. - Potem mamy już tylko Timor, prawda? To ostatnia wyspa przed północną Australią..

- W połowie kolonia portugalska, w połowie holenderska. Wulkany, gejzery, góry. Kawa, kakao, kopra, drzewo sandałowe. Ludności około dwóch milionów. Ale wiecie co? Stąd do Timor, nie mówiąc już o Australii, mamy drogę trzykrotnie dłuższą niż z Singapuru do Oosthaven! Drogę bez porównania trudniejszą i niebezpieczniejszą, jeżeli na wyspach usadowili się Japończycy, co mocno podejrzewam. Bez jakiejś pomocy mowy nie ma o przedarciu się do Darwin!

Alcock stał się obecnie niewidzialny i nieuchwytny, chociaż od czasu do czasu dostrzec go było można w oddali. Przebywał stale w towarzystwie czarnowłosej Li Tong. Tanner rzucił uwagę, iż gdy skończy się zapas „gruszek miłosnych”, Joe zostanie porzucony przez nadobną dziewczynę. Peter mruknął, że gruszek w okolicy nie braknie. McNeill ciągle martwił się sytuacją.

- Wygląda na to, że zgubiliśmy trop - powiedział drugiego dnia po południu.- To chyba niewłaściwa wioska. Wiecznie tutaj nie będziemy siedzieć, bo nas w końcu złapią Japończycy. Jeżeli zaś nie użyjemy własnych głów, nikt nam nie pomoże. Doszliśmy do brzegu, przed nami Jawa, a my utkwiliśmy w miejscu i nie robimy żadnego postępu.

- Joseph robi postępy wcale niezłe. By Jove, dziewczyna zakochała się chyba w tym mięczaku.

- Mniejsza o mięczaka i jego miłostki. Albo naradźmy się z Sen Toju, albo próbujmy innej wioski. Nie uspokoję się, dopóki nie będę na Jawie.

- Co nas tam czeka? - spytał Peter.

McNeill przygładził ciemne włosy, opadające kosmykami na kark, poskrobał się po podbródku, na którym wyrosła już twarda szczecina.

- Na Jawie muszę odnaleźć znajomych - odpowiedział krótko.

Wieczorem, po zapadnięciu ciemności, cała sprawa została nagle rozwiązana i to w sposób raczej niezwykły. W zrujnowanej bambusowej chacie zjawili się Sen Toju oraz Tang Tou i oznajmili, że eurazyjscy goście powinni opuścić kam pong jak najrychlej. Sen Toju po raz pierwszy użył wyrazu „tuan” w stosunku do Shannona, co znaczyło, iż chytry krajowiec połapał się, że przybysze byli Europejczykami. Peter postanowił postawić sprawę jasno. Patrząc prosto w oczy kacykowi spytał, jak przeprowadzić się przez cieśninę Sunda i czy Sen Toju gotów jest w tym dopomóc, Naczelnik wioski zmieszał się, przestąpił nerwowo z nogi na nogę, wreszcie odparł, że taka przeprawa to rzecz niezwykle trudna, jeśli nie niemożliwa. Shannon nie ustępował. Miał w zanadrzu atut, który postanowił natychmiast wygrać.

- Słuchaj mnie uważnie, Sen Toju. Jeżeli jesteśmy naprawdę Białymi, jak się domyślasz, jeżeli Japończycy nas złapią i zmuszą do mówienia, sprawa stanie się trudna dla ciebie i całej wioski!

To odniosło natychmiastowy skutek. Kacyk zaniepokoił się, popatrzył lękliwie w lewo i w prawo, jakby spodziewając się ujrzeć czających się żółtoskórych żołnierzy, schylił głowę, spojrzął spode łba na brata. Tang Tuo odchrząknął i zabrał głos:

- Musimy wam pomóc, tuan. Czekaście do rana. Sen Toju i Tang Tuo zastanowią się, co robić.

Peter, Alan i Geoffrey nie zmrzyli oka tej nocy. Byli zbyt zdenerwowani i podnieceni. McNeill przechadzał się tam i na powrót w poprzek chaty, powtarzał szeptem litery i liczby, niczym kabalistyczne znaki tajemniczych zaklęć. Tanner usiłował przekonać Shannona, że Alan pomylił się w obliczeniach i że z Jawy jest tylko maleńki kawałek drogi do Australii, a tam czekają na nich samoloty, działa, czołgi i okręty wojenne, przede wszystkim zaś czeka Eileen, Eve i Jack w bungalow przy Victoria Street w Melbourne. Peter słuchał go jednym uchem, automatycznie potakiwał i chrząkał, gdy Geoffrey raz po raz rozwodził się nad urodą żony, inteligencją syna i wdziękiem córki. Jego umysł całkowicie zaprzątnięty był zagadką „Nigerii”, przed oczami bezustannie pojawiała się twarz Betty.

Gdy światło dzienne poczęło się sączyć poprzez dziurawe poszycie dachu, w progu chaty stanął w uroczystej pozie Tang Tuo, a obok niego dziwnie zmieszany i pobladły porucznik Joseph Alcock

- Decyzja zapadła, tuan - zwrócił się krajowiec do Shannona. - Mój dostojny brat, Sen Toju, oraz ja, Tang Tuo, postanowiliśmy.

- Tak, Tang Tuo, co postanowiliście? - spytał szybko Peter.

Brat naczelnika wioski powoli i z namaszczeniem obrócił się do Alcocka, poufnym i protekcyjnym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- Tuan Joseph - wymówił to imię fatalnym akcentem - pragnie pozostać z nami. Tuan Joseph prosił przed godziną, by oddać mu za żonę moją córkę, Li Tong...

- Co takiego? - wrzasnął Peter, nie wierząc własnym uszom.

Tang Tuo spochmurniał. Zmarszczył brwi, przygryzł wargi, łypnął oczami.

- Tuan Joseph i Li Tong zamieszkają w jednej chacie jako mąż i żona - powiedział z naciskiem. - Wy trzej, jeżeli chcecie, zostanieie przewiezieni na Jawę w rybackiej łodzi.

Peter przez długą chwilę spoglądał bezradnie na Alcocka. Nie miał uprzedzeń rasowych, ale małżeństwo porucznika brytyjskiej Królewskiej Artylerii z bratanicą dzikiego kacyka zapadłej wioski w gąszczach sumatrzeńskiej dżungli wykaczało poza granice zdrowego rozsądku.

- Co on mówi? - zniecierpliwił się Tanner.

Shannon wyjaśnił sytuację w kilku słowach. Australijczyk zaniósł się przeciągłym, chrapliwym śmiechem. Upadł na posłanie, trząsł się, trzymał rękami za brzuch. Wreszcie uspokoił się na tyle, że słowa poczęły jakoś przeciskać się przez gardło.

- Gratulacje, Joe, nabożny bracie! Gratulacje, aniołku - wołał głosem przerywanym nowymi parkosyzmami śmiechu. - Kiedy ślub i wesele? Zaprosisz mnie na chrzciny? A może odśpiewamy chóralnie hymn, zaczynający się od słów: „Otom odnalazł ją, o Panie, w sercu sumatrzeńskiej dżungli, za co dzięki Ci, o Wszechpotężny i Wszechmocny...”

Alcock poczerwieniał. Wydawało się, że krew tryśnie mu z policzków.

- Ja... bo ja wiem... tak się jakoś stało... no cóż - uniósł się nagłym gniewem, potrząsnął pięściami przed twarzą Australijczyka. - Dostyc już mam wszystkiego, rozumiesz, Tanner?! Dostyc włóczęgi, przedzierania się przez dżunglę, głodu i pragnienia, strachu i niebezpieczeństw. Dostyc waszego towarzystwa! Dostyc ciebie, Tanner! Ja chce żyć, rozumiecie?! - odwrócił się i wybiegł z chaty.

- Nie zapominaj o gruszkach - zawołał za nim Geoffrey. - Będą ci bardzo potrzebne.



McNeill wzruszył z politowaniem ramionami.

- Każdy odpowiedzialny jest za własne czyny. A z niego mała była pociecha dla Royal Artillery Corps. Mam wrażenie, że wojnę zdołamy wygrać i bez porucznika Josepha Alcocka z Ruislip pod Londynem - powiedział z sarkazmem. - Peter, zapytaj tego nadętego bęcwała, kiedy odplywamy.

Zagadnięty Tang Tuo, stojący dotychczas bez ruchu, niczym hebanowa statua, wyjaśnił, iż jeszcze tego samego dnia odbędzie się ceremonia zaślubin, dokonana według obyczajów i tradycji miejscowych. Tang Tuo nie wątpił, że przyjaciele oblubieńca zechcą wziąć w niej udział i obecnością swoją uświetnić uroczystość. Wieczorem, o zmierzchu, czekać będzie na nich specjalnie wybrany rybak ze swojej łodzią.

- No, tak - westchnął Tanner. – To jest prawdziwa wojna. Na każdym kroku tracimy ludzi, o ile można nazwać człowiekiem naszego ukochanego Joe.

McNeill użył tym razem języka hiszpańskiego:

- Amar'y saber no puede ser [101] - wydekłamał dramatycznie.

- Nie wygłupiaj się, Alan - upominał go Shannon. - Twoje popisy lingwistyczne działają mi na nerwy. Po diabła używasz ciągle obcych przysłów?

- Używam ich, bo przysłowia są mądrością narodów, mój młody przyjacielu. Skoro zaś wyczerpały się moje własne zasoby mózgowy, staram się je uzupełnić, czerpiąc z krynicy mądrości innych.

- Biedny Alan zwariował – skostatował z udanym współczuciem Geoffry. – Może jest zazdrosny o Li Tong?

W ciągu dnia, zafascynowani, obserwowali przebieg uroczystych zaślubin porucznika Josepha Alcocka z nadobną Sumatrzanką, Li Tong. Jeszcze przed południem panna młoda, tym razem przybrana odświętnie w cienki, haftowany po brzegach saarung i wyszywane paciorkami baju, ceremonialnie wyprowadzona została przez gromadę kobiet z jednej z chat i umieszczona na środku kam pongu na bambusowym krześle. Siedziała bez ruchu, z pochyloną głową, skromnie i wstydliwie spoglądała na ziemię pod swymi bosymi stopami. Joseph Alcock, gładko ogolony, starannie zaczesanej w górę żółtawej czuprynie, również w saarungu i baju,

usiadł obok na wyższym i okazalszym krześle. Na migi porozumiewał się ze zgromadzonymi gośćmi, łaskawie przyjmował podarunki ślubne, składające się z glinianych naczyń różnych kształtów i wielkości, sztuk białego płótna, owoców, placków ryżowych, kawy, a nawet kilku paczek holenderskich papierosów. Co chwila z powagą zaczerpywał żółtawego płynu z wiadra stojącego obok krzesła, częstował bądź ojca swej oblubienicy, bądź sztywnego i pełnego nadętego dostojeństwa Sen Toju. Często również popijał sam, a jego humor i samopoczucie poprawiały się z każdym opróżnionym kubkiem.

W takt marsza weselnego, wygwizdywanego z fantazją przez Tannera, stojącego na uboczu, Shannon i McNeill podeszli na środek placyku, zatrzymali się przed siedzącą parą. Siłąc się na zachowanie powagi złożyli formalne gratulacje Li Tong, a potem znacznie chłodniejsze Alcockowi. Ten utracił na moment pewność siebie, ale pod wpływem nowego kubka zbawczego żółtego płynu natychmiast ją odzyskał.

- Spotkamy się niedługo, drodzy przyjaciele - powiedział łaskawym tonem. - Wiedźcie, że gdyby nie mój wpływ na Sen Toju i Tang Tuo, gdyby nie moje znaczenie i dobra wola, nigdy nie otrzymalibyście łodzi, nigdy nie zdołalibyście się przeprawić na Jawę i najprawdopodobniej

znajdowalibyście się teraz w więzach japońskich. Nie dziękujcie, to zbyt uczynne, przyzwyczaiłem się już do waszej niewdzięczności. - Sięgnął do wiadra, przepłukał gardło i ciągnął trochę się jękając i płacząc: - Niezbadane są wyroki boskie, nie usiłujcie ich odgadnąć. Wszechmocny... tak, Wszechmocny natchnął mnie, wskazał... wskazał właściwą i jedyną drogę. - Napadła go czkawka, toteż szybko wychylił następną porcję płynu. - W odpowiedniej chwili, moi drodzy, i ja ruszę się stąd. Ojczyzna... ojczyzna mnie wzywa... a ja zzznam swoje obo...wiazki oficera i džen... dżentelmena...

- Chodźcie, bo mi się zbiera na wymioty - zawołał z daleka Tanner do przyjaciół.

- Biedna Li Tong. Zasłużyła na coś lepszego niż ten... ten człowiek. Cóż, fakt, że ktoś jest oficerem nie znaczy, że nie może być kanalią. Królewski Korpus Artylerii nie jest pod tym względem wyjątkiem.

- Mięczak - McNeill wypowiedział tylko jedno słowo i splunął pod nogi, zapominając o dobrym wychowaniu.

Słońce chyliło się ku ciemnej linii mangrowców, upał zelżał, gdy pouczony przez Tang Tuo Alcock wstał, zatoczył się raz i drugi, wychylił ostatni kubek żółtawego nektaru i powolnym ruchem podniósł Li Tong z krzesła. Z namaszczeniem rozluźnił swój saarung i owinał go dokoła smukłej talii panny młodej. Pod tą osłoną Li Tong rozwiązała swój saarung, upuściła na ziemię i małżeństwo zgodnym krokiem, nieco chwiejnie, oddaliło się ku chacie, poprzednio dla nich przygotowanej.

- Bene vale [102], Joe Alcock - szepnął McNeill, ale w jego głosie trudno było doszukać się żalu.

- Farewell, nabożny bracie - wykrzywił się wzgardliwie Tanner. - Oby przyśniły ci się dzisiaj aniołki i oby w twojej chacie nigdy nie zabrakło zielonkawych gruszek z drzewa miłości.

Tak więc owego upalnego i dusznego dnia porucznik Joseph Alcock, członek brytyjskiego Royal Artillery Corps, zmienił się własnowolnie w sumatrzańskiemu obywatela. Kalejdoskop przekręcił się. Ani Peter Shannon, ani Alan McNeill, ani Geoffrey Tanner nie dowiedzieli się nigdy, jakie były dalsze losy kochliwego męża czarnowłosej Li Tong.

## ROZDZIAŁ XXIII

Three wise men of Gotham  
Went to sea in a bowl,  
If their bowl had been stronger,  
My story would be longer [103].

Z ciemności dochodził zachrypnięty bas Tannera, z przejęciem deklamującego popularny dziecienny wierszyk.

- Gdy byłem małym brzdącem, strasznie dawno temu, matka często usypiała mnie wierszykiem o dziesięciu małych Murzynkach - mówił miękko Alan McNeill, również niewidoczny. - Pamiętacie?

- Ten little Nigger boys...

Peter odczekał, aż Alan dojechał do zwrotki o pięciu Murzynkach, potem włączył się do recytacji.

Four little Nigger boys  
Swimming out to sea,  
One got drowned  
And then there were three...[104]

Alan zaśmiał się cicho i obracając się w kierunku, gdzie powinien znajdować się Peter, zauważył:

- Jeżeli bohaterów tego poematu porównujesz z nami, Peter, to w tym momencie pozwolę sobie stwierdzić, że czwarty „Murzynek” utonął, ale w morzu miłości.

- Ciekawe, jak się czuje w tej chwili nasz oblubieniec - rozległ się głos Australijczyka. - Noc poślubna to nie żarty.

- Mnie bardziej obchodzi los pozostałych „Murzynków” - przyznał niewidzialny McNeill. - O ile mnie pamięć nie zawodzi, wiem, że jeden zanudził się na śmierć, drugi udusił, a ostatni tak się skurczył z żalu, że również umarł.

- Ładna perspektywa dla nas - doleciało od strony Geoffreya.

Trzech dorosłych mężczyzn, zahartowanych niedolą, stwardniałych walką z wrogiem i naturą, uodpornionych na przeciwności i uderzenia losu, leżało beczynnym na dnie łodzi I z zapalem dyskutowało nad naiwnym wierszykiem, porównując się do biednych małych Murzynków, starając się wysnuć własną przyszłość na podstawie dziejów czarnych chłopaków. Było to paradoksalne, bezsensowne i niepoważne, ale też cała nocna wyprawa wydawała się fantazją, absolutnie nie związaną z prawdziwym życiem. Łódź, prychając niewielkim motorkiem, sunęła poprzez wodny

bezmiar wśród czarnej nocy. Kierunek znany był tylko siedzącemu przy sterze milczącemu krajowcowi, ale wydawało się rzeczą niemożliwą, by pozbawiony jakichkolwiek przyrządów nawigacyjnych rybak zdołał kiedykolwiek dotrzeć do brzegów Jawy. Cieśnina Sunda miała w najwęższym miejscu piętnaście kilometrów szerokości.

O północy malajski rybak przybił do małej wysepki, która pojawiła się nie wiadomo skąd, i polecił pasażerom poczekać na lądzie, bowiem musiał poprawić zarzucone sieci. Wysiedli i przez pół godziny wyczekiwali z rosnącą obawą, że krajowiec ich oszukał i pozostaną na nie znanej wysepce na zawsze. Ale terkotanie motorku odezwało się w oddali, łódź pojawiła się i uciekinierzy, brnąc w płytkiej wodzie, wskoczyli do wnętrza.

W godzinę później rybak zgasił motor. Dostrzegli majaczący tuż przed nimi brzeg, z wysokimi, tajemniczo rozcapierzonymi gałęziami mangrowców, zwieszającymi się aż nad wodę. Łódź otarła się o przybrzeżny piasek, a Malajczyk opryskliwie powiadomił Petera, że znajdowali się już na Jawie, niedaleko miasta Merak, w pobliżu stolicy wyspy, Batawii, na północno-zachodnim wybrzeżu. Rybak kazał im czekać przy łodzi, a sam zniknął pomiędzy drzewami.

- Batawia - mrucał do siebie McNeill. - Jeżeli ich tam nie znajdę, trudno będzie szukać...

Po pewnym czasie rybak wychynął z dżungli, a wraz z nim zjawiał się inny Malajczyk, równie małomówny i ponury. Krótkim ruchem ręki dał znak, odwrócił się i szybkim krokiem puścił się dróżką wyrąbaną w gąszczu. Shannon, McNeill i Tanner z najwyższym trudem wytrzymywali tempo, czasem gubili się na zakrętach i musieli biec, czasem przewracali się w mroku i podnosili, klnąc i złorzecząc. Trwało to blisko dwie godziny, gdy zaś niebo pojaśniało na wschodzie, grupka wydostała się na łatwiejszy, rzadziej porośnięty teren i jeszcze przyśpieszyła tempo. Znow weszli w gęstą, niemal nieprzebytą dżunglę. Nagle Jawajczyk zatrzymał się jak wryty. Wyciągnął przed siebie brunatne ramię i mruknął.

- Tam wasi żołnierze.

Shannon wpatrzył się w ścianę dżungli.

- Jak daleko?

Jawajczyk w milczeniu wzruszył ramionami.

- Jak ich odnaleźć? - napierał Peter.

Ponowne wzruszenie ramion. Krajowiec obrócił się gwałtownie na pięcie, puścił się pędem i ulotnił bez śladu.

- Co teraz? - mruknął rozczarowany Tanner. - Kalejdoskop, he? Pstryk i nie ma rybaka, pstryk - nie ma przewodnika.

- Nie teraz. Idziemy.

Blisko trzy kilometry szli ścieżką. Znaleźli nieco jadalnych owoców, posilili się i położyli dla odpoczynku. Zdrzemnęli się, a potem, nabrawszy sił, kontynuowali wędrówkę, niezbyt wiedząc, czy wierzyć milczącemu Jawajczykowi, czy też obrać kierunek według własnego uznania.

Przed kolejnym zakrętem dróżki zatrzymali się niezdecydowani, a w tym właśnie momencie na zakręcie pokazał się samotny mężczyzna. Miał na sobie brudno-szare spodnie i równie brudną koszulę. Skóra twarzy i rąk była ciemna, stopy białe. Był młody, czarnowłosy, o jasnych oczach, ale Peter nie zdołał odgadnąć jego narodowości, a nawet rasy.

Obcy przystanął raptownie w miejscu, błyskawicznie wsunął prawą dłoń do kieszeni spodni, a potem powoli i ostrożnie przybliżył się.

- Co tu robicie, obdartusy? - spytał po angielsku, z wyraźnym australijskim akcentem.

Patrzyli na niego z otwartymi ustami, wreszcie Tanner doskoczył do obcego.

- By Jove! Kim ty jesteś, człowieku? - zawołał.

- Kim wy jesteście, ludzie? - odwrócił pytanie mężczyzna w brudnych spodniach i po namyśle wyjął rękę z kieszeni. - Jeżeli potrzebujecie pomocy, może jej wam udzielię. Wydaje mi się, że coś o was słyszałem.

- Od kogo? - bąknął zdetonowany Shannon. Obcy zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

- W tej okolicy ja zadaję pytania - powiedział z naciskiem. - Skąd zwialiście?

- Z obozu w Singapurze.

- Aha, taaak - przeciągnął obcy, skinął głową i mówił dalej łagodniejszym tonem: - z Pasir Pandziang, prawda? Słyszałem o waszej ucieczce. Gdzie reszta?

- Nie żyje - odparł Peter.

- Z wyjątkiem jednego - poprawił grzecznie McNeill. - Tego spotkał los gorszy od śmierci, zresztą zupełnie zasłużenie.

- Tortury?

- Mhm, rodzaj tortur - zgodził się Alan. - Ożenił się na Sumatrze.

Po raz pierwszy obcy uśmiechnął się.

Geoffrey Tanner kręcił się w miejscu. Myśl, że napotkał rodaka, nie dawała mu spokoju.

- Przepraszam za natarczywość. Czy pan jest Australijczykiem? Obcy zeszywniał.

- Ja zadaję pytania, a odpowiedzi udzielam, gdy uznam to za stosowne - odparł twardo. - Mniejsza o to, czy jestem Australijczykiem, Chińczykiem, Malajczykiem, Holendrem czy Anglikiem. To was nie obchodzi. Chodźcie. Jeżeli chcecie, nazywajcie mnie Tommy. Takie dobre imię, jak każde inne.

- Dokąd idziemy? - wyrwało się Shannonowi.

- Rozpruł się worek z pytaniami? Odpowiem. Prowadzę was do oddziału partyzantów i doprowadzę, czy chcecie, czy też nie - ponownie wsunął prawą dłoń do kieszeni.

Przepuścił ich przed siebie, poszedł za nimi. Od czasu do czasu rzucał krótkie uwagi bądź po angielsku, bądź też, ku zdumieniu Petera, w czystym malajskim. Po długotrwałym marszu dotarli do polanki otoczonej gąszczem wysokich gumowców, pomiędzy którymi widniały smukłe palmy kokosowe i bananowe, pozbawione jednak owoców. Na polance wznosiły się niskie, naprędce sklecone szałas i spory płócienny namiot, z którego wyszedł na spotkanie przybyłych wysoki, jasnowłosy mężczyzna w wypłowiałym, zielonkawym, holenderskim mundurze i długich skórzanych butach. U pasa tkwił w ciemnej kaburze pistolet.

Dwaj partyzanci rozmawiali przez chwilę w niezrozumiałym języku, najprawdopodobniej holenderskim, po czym mężczyzna w długich butach zwrócił się do trójki uciekinierów w płynnej, bezbłędnej angielszczyźnie:

- Dopchaliście się wreszcie do nas, co? Trójka z Singapuru, tak?

- Tak, szczątki grupy z Pasir Pandziang - stwierdził McNeill.

- W porządku, Tommy, możesz wracać na posterunek - powiedział mężczyzna w długich butach, a gdy Tommy znikł w dżungli, zwrócił się do czekających cierpliwie uciekinierów. Nazywajcie mnie Mannock. To nie jest moje prawdziwe nazwisko, ale tutaj jestem Mannockiem. - pomyślał chwile i dodał: - Muszę was przebadać, konieczna ostrożność, rozumiecie. Proszę do namiotu, pan pierwszy zaprosił gestem najstarszego wiekiem McNeilla.

Po dziesięciu minutach Mannock rozmawiał ze Shannonem, a później z Tannerem. Gdy ukończył

badanie, jego stosunek do obcych stał się znacznie przyjemniejszy. Najwidoczniej resztki wątpliwości ulotniły się z jego głowy.

- Wszystko w porządku – oznajmił z uśmiechem. - Możecie zostać z nami przez jakiś czas. Potem obmyślimy wam dalszą trasę.

McNeill popatrzył na niego znacząco.

- Muszę się dostać do Batawii - powiedział.

Mannock skinął głową. Niewątpliwie w czasie rozmowy w cztery oczy Alan wyjawiał mu jakąś tajemnicę, powiedział coś, co skłoniło partyzanta do traktowania nie znanego cywila ze specjalnym szacunkiem.

- Zrozumiałe, panie pułkow...- przerwał pod naciskiem dłoni Alana. - Przepraszam, przyzwyczałem się do wojskowych stopni i ciągle się mylę. Widzi pan, mister McNeill, niełatwo wśliznąć się do stolicy. Działać musimy bardzo rozważnie. Ale... gospodarz ze mnie lichy - dorzucił z zakłopotanym uśmiechem. - Padacie ze zmęczenia, a ja was trzymam pod gołym niebem. Szalas przygotowany, trochę jedzenia się znajdzie.

Shannon, McNeill i Tanner udali się do wskazanego pomieszczenia, obmyli, najedli się ryżu, napili wody. Potem, mimo zmęczenia, poczuli włączyć się po obozowisku. Ironia losu lub, jakby powiedział Henri Duval, przypadek sprawił, że zamiast odnaleźć partyzantów w górach centralnej Sumatry, natknęli się na nich „tylko” o osiemset kilometrów dalej na południowy wschód, w pobliżu zachodnich wybrzeży Jawy. Oddziałek był niewielki, a jego dowódca, nazywający się Mannockiem, mógł być zarówno Eurazyjczykiem holenderskiego pochodzenia, jak Holendrem lub Brytyjczykiem, a nawet Australijczykiem, jak napotkany na samym początku Tommy. Grupa składała się z około pięćdziesięciu ludzi, Holendrów, Eurazyjczyków i czystej krwi Jawajczyków. Ich mundury były najróżniejszego pochodzenia i różnej jakości. Przeważały zielone szorty i kolorowe koszule. Połowa paradowała z bosymi stopami, kilku nosiło drewniane sandały ze skórzanym paskiem, bardzo niewielu miało porządne obuwie i tylko Mannock oraz jego zastępca o pseudonimie „Tiger” [105] poszczycić się mogli znoszonymi i wytartymi butami z cholewami. Uzbrojenie oddziału pozostawiało wiele do życzenia, jak natychmiast zauważył Tanner. Mannock i „Tiger” posiadali pistolety, około dwudziestu ludzi miało karabiny, inni wyposażeni byli w szerokie i ostre jak brzytwa malajskie miecze. Jedynym „poważniejszym” uzbrojeniem był pistolet maszynowy nieznanego pochodzenia.

- No tak, jeszcze jeden kamień milowy na ciernistej drodze - zauważył McNeill, układając się do snu. — Następnym będzie Batawia.

- A potem port Darwin - dorzucił Tanner z błyskiem w oczach. - By Jove! Alan. Jeszcze nie widziałeś takiej kobiety jak moja Eileen.

- Wierzę ci, Geoff, chociaż wiele kobiet widziałem w moim długim życiu.

Australijczyk kręcił się niespokojnie na posłaniu.

- Słuchajcie... - powiedział z wahaniem. - Czy nie można by poprosić ich o jakąś broń? Może znajda zapasowy pistolet?

- Nie gadaj głupstw. Im samym braknie. Zresztą, cóż byś zrobił z pistoletem, po co ci broń?

Chociaż znaleźli się wreszcie w alianckim oddziale wojskowym, czy też pseudowojskowym, a bezpieczeństwo ich zwiększyło się, przyszłość przedstawiała się nadal mgliście. McNeill specjalnie udał się do namiotu Mannocka, by rozpytać o drogę do Batawii, ale po wyjściu rozłożył ręce.

- Czekać i jeszcze raz czekać – zakomunikował kolegom. — Mannock ma swoje własne zadania. Mimo najlepszych chęci nie może nas jeszcze przeszmuglować do stolicy.

Geoffrey mruknął coś o pistoletach, Peter nie powiedział nic. Wszystko wydawało mu się dziwne i tajemnicze. Doszedł do wniosku, że Mannock z McNeilliem posiadali jakiś sekret, którego nie wyjawiali innym. Dowódca partyzantów, zwykle szorstki i rozkazujący, w obecności Alana stawał się uprzedzająco grzeczny, niemal nadskakujący. Zaś McNeill odzyskał już swój dawny autorytet i Mannock starał się natychmiast spełniać każde jego życzenie. Niewątpliwie - rozumował Peter - Alan McNeill tylko pozornie był cywilem, międzynarodowym mieszkańcem, w rzeczywistości zaś jego znaczenie wojskowe było tak duże, że zaimponowało nawet partyzanckiemu dowódcy na Jawie. Ale McNeill nie zamierzał zdradzać swego incognito, Peter zaś zaprzestał nagabywania i jałowego rozpytywania.

Pobyt pośród partyzantów przedłużał się. McNeill zwierzył się kolegom, że za jego radą Mannock wysłał kilku gońców w różne strony, między innymi do Batawii, i że należy cierpliwie czekać ich powrotu. Poza tym partyzanci mieli własne plany, o czym trójka z Pasir Pandziang przekonała się piątego dnia po przybyciu do obozowiska.

W południe tegoż dnia Mannock zarządził zbiórkę oddziału i dokonał jego przeglądu w towarzystwie McNeilla. Ludzie ustawili się w długim, niezbyt wyrównanym dwuszeregu, a po inspekcji Mannock oznajmił Peterowi i Geoffreyowi, że wybrana grupa około trzydziestu partyzantów opuści na pewien czas obóz, goście zaś pozostaną na miejscu, jako że, zdaniem dowódcy, byli jeszcze zbyt osłabieni wędrówką a w specyficznej robocie czekającej oddział nie byłiby przydatni.

- Brak karabinów i amunicji - dodał w stronę McNeilla. - Mam nadzieję zmienić ten stan rzeczy.

Alan kiwnął głową, najwidoczniej był doskonale poinformowany o celu wyprawy. Tak też i było. Gdy Mannock z ludźmi znikł w dżungli, McNeill powiedział przyjaciółom, że chodziło o napad na niewielki japoński garnizon, oddalony o kilkanaście kilometrów od obozu. Mannock był podobno specjalistą w podobnych wyprawach i miał ze sobą doświadczonych żołnierzy, chociaż oddziałek uformował się dopiero po upadku Jawy.

- Jestem pewien, że wrócą zarówno z bronią, jak i z amunicją - powiedział z przekonaniem.

- Dlaczego mnie nie zabrali! By Jove, miałbym wreszcie porządny pistolet!

Shannon skrzywił się. Ciągła gadanina Geoffreya o broni palnej znudziła go.

- Przechwalasz się i przechwalasz, a licho wie czy w ogóle umiesz strzelać, Gooff - zauważył z przekąsem.

Tanner nie odpowiedział na zaczepkę, ale rzucił przyjacielowi spojrzenie, w którym można było wyczytać: „Poczekaj, szczeniaku, jeszcze ci kiedyś pokarzę!”.

Po trzech dniach grupa Mannocka wmaszerowała z powrotem na polankę. Ludzie byli wyczerpani, ślani na nogach, Peter doliczył się tylko dwudziestu czterech. Ale za to obładowani byli karabinami, pistoletami i skrzynkami z amunicją. Mannock równie zmęczony i wyczerpany jak inni, podszedł do oczekujących przed namiotem Shannonna, Tannera i McNeilla. Był rozpromieniony i dumny.

- Straciłem sześciu ludzi, ale zatłukliśmy szesnastu „żółtków” - zwrócił się do Mcneilla tonem, jakiego zwykle używają podwładni przy składaniu raportu.

- Dobra robota, Mannock - pochwalił Alan.

- Broni mamy teraz dosyć dla wszystkich. Partyzant przesunął do przodu zwisający mu z ramienia płócienny chlebak, otworzył go i zaprezentował trzy pistolety. - To dla was - oznajmił. - Proszę wybierać - zachęcił gestem McNeilla.

Ten z uśmiechem potrząsnął głową.

- O ile wiem, major Tanner jest wyborowym strzelcem - wyjaśnił zdziwionemu Mannockowi. - Niech on pierwszy wybiera.

Australijczyk przełknął kilkakrotnie ślinę, wytrzeszczył oczy na wymarzoną broń. Podszedł jak w transie, po starannym namyśle wybrał ciężki pistolet „colt” dużego kalibru. Zważył go w dłoni, obejrzał skrupulatnie, kilkakrotnie podrzucił do góry.

Shannonowi dostał się długolufy rewolwer „smith and wesson” niewątpliwie odebrany któremuś z brytyjskich oficerów, McNeill zadowolił się niewielkim oksydowanym pistoletem „browning” belgijskiej produkcji.

Peter z Geoffreyem nagle poczuli się zupełnie inaczej. Drobiazg, w gruncie rzeczy mało znaczący, po prostu fakt posiadania broni, podparł ich samopoczucie, poprawił stan psychiczny. Poczuli się, jakby byli na powrót w mundurach, nieledwie we własnych oddziałach, jakby jednym mizernym pistoletem czy rewolwerem mogli przeciwstawić się całej potędze japońskiego imperium. Zachowanie Tannera tak się zmieniło, że zauważył to natychmiast McNeill, uśmiechnął się dyskretnie i od niechcienia zagadnął Mannocka:

- Co pan powie na propozycję małych zawodów strzeleckich, poruczniku? Nareszcie przekonamy się, czy major Tanner nie przechwalał się swymi umiejętnościami.

- Nigdy się niczym nie przechwalałem - bronił się Australijczyk. - Poza tym nie znam tego „colta” i nie strzelałem... By Jove! Nie pamiętam od kiedy!

Mannock zastanowił się, naradził z „Tigerem” i zgodził na sugestię McNeilla.

- W porządku. Za godzinę odmarsz, musimy zapaść głębiej w dżunglę. Możemy więc narobić trochę hałasu przed odejściem. Szczęśliwie pocisków nie brakuje!

Podszedł do grubego gumowca, przybił nożem do kory małe kartonowe pudełko po papierosach, przymrużył znacząco oko do McNeilla.

- Jaki dystans? - spytał Tannera, McNeill uprzedził Australijczyka i odpowiedział, również nieznacznie mrużąc oko:

- Na początek trzydzieści kroków, co Geoff? Chyba wystarczy.

Tanner ciągle przyglądał się „coltowi”. jakby chciał osiąść wszystkie jego tajemnice.

- Trzydzieści kroków? By Jove, trochę dużo.

- Ja również uważam się za niezłego strzelca, tutaj nikt mi nie dorówna. Ale z trzydziestu kroków chyba nie trafię z pistoletu do tego pudełka. No, majorze, założę się, że i pan nie trafił prowokował Mannock.

- Zgoda. O butelkę whisky, po wojnie w Melbourne.

Mannock roześmiał się z pewną ironią.

- Niech i tak będzie. Kto zaczyna?

- Gospodarz pierwszy.

McNeill odmierzył trzydzieści kroków, wyciągając nogi, jak tylko potrafił, by powiększyć dystans. Cała grupka, bacznie obserwowana przez resztę partyzantów, stanęła na mecie. Mannock obrócił się bokiem do gumowca, wy dobył z kabury swój pistolet, ciężki niemiecki „parabellum” o długiej lufie, wymierzył wyciągniętym ramieniem i uważnie celując oddał kolejno dziewięć strzałów. Schował bron i podbiegł wraz z Tannerem do gumowca.

- Mówiłem - burknął z wyciągniętą twarzą - Nikt z tej odległości nie trafi. To niemożliwe!

Pociski jego „parabellum” ułożyły się blisko pudełka, otoczyły je ciasnym pierścieniem. W korze



widać było dziury, ale żaden strzał nie przebił kartonu. Mannock, zadraśnięty w swej dumie, pociągnął Australijczyka na metę i gestem zachęcił do akcji, Tanner przymrużył oczy, po wargach przewinał mu się dziwny uśmiech. Nie powiedział słowa. Ujął w dłoń „colta” i powoli obrócił się plecami do gumowca.

- Oszalałeś. Geoff? - zawołał zdziwiony Peter.- Pokręciło ci się we łbie? Gdzie chcesz strzelać? W dżungłę? Małpy straszyć?

Tanner zbył go machnięciem ręki. Zważył jeszcze raz pistolet w dłoni, a potem sprężył się i z niebywałą szybkością obrócił na pięcie, oddając dziewięć strzałów w takim tempie, że ich głos zlał się w jeden przeciągły grzechot. Kartonowe pudełko po papierosach zachwiało się i spadło na ziemię.

- Trafił! - krzyknął Mannock, biegnąc do drzewa. Gdy podniósł pudełko, na twarzy jego malowało się zdumienie i niemal bałwochwalczy podziw. Pudełko przedziurawione było w ośmiu miejscach.

- Ho, ho, Geoff - przeciągnął McNeill po chwili. - Nie spodziewałem się, że z ciebie taki mistrz. Nie chciałbym kiedykolwiek znaleźć się przed lufą twego pistoletu.

- Nigdy się nie znajdziesz, Alan. Ale... - Australijczyk skrzywił się i krytycznie przyjrzał „coltowi”. - Trafiłem tylko osiem razy. Brak wprawy i nie znana broń.

Mannock ciągle wpatrywał się z uwielbieniem w Tannera.

- Takiego numeru nie widziałem, jak żyję. Majorze, co powiedziałaby pan na propozycję jakiejś małej wycieczki? Wie pan, takiej jak ostatnia.

- Chętnie. Mam z nimi porachunki - odparł Geoffrey, zaciskając wargi.

W tym momencie na placyku pojawił się „Tiger” w towarzystwie dawno nie widzianego w obozie Tommy'ego. Ten ostatni miał poszarpaną koszulę, znużoną twarz o podkrążonych oczach i podrapanych policzkach. Mannock rzucił na niego okiem i zapominając o strzeleckich zawodach rzucił krótko:

- Jakie wiadomości, Tommy? Zapytany odparł jeszcze krócej:

- Złe.

Mannock zmarszczył brwi.

- Chodźcie do mnie - powiedział do przybyłych partyzantów. - Pana również proszę, mister McNeill.

Narada w namiocie dowódcy trwała długo. Gdy wreszcie McNeill wyszedł na zewnątrz, zbliżył się do kolegów i przeciągle na nich popatrzył.

- Nie ma co obwijać w bawełnę - mruknął z pozornym spokojem. - Jestem upoważniony przez porucznika Mannocka do powiedzenia wam prawdy. Przykro mi, ale nasze plany znów ulegną zmianie.

- Co się stało?

Oczy McNeilla zabłyśły jak wtedy, w czasie ucieczki z Pasir Pandziang.

- Wszystkim rządzi przypadek. Nie wiem, kiedy ruszymy dalej. Nie wiem, czy w ogóle ruszymy. Wiem natomiast, że twój strzelecki kunszt, Geoff, może zostać wypróbowany nie tylko na kartonowym pudełku. Mamy chwilę czasu, pogadamy. Jest o czym mówić, zapewniam.

## ROZDZIAŁ XXIV

Przykucnęli przed szaląsem i McNeill, nie zwlekając wyjaśnił sytuację. Tommy, jeden z wysłanych zwiadowców, przyniósł tragiczne wieści. W odległości zaledwie dwudziestu kilometrów od obozowiska partyzantów, w głębi lądu, pod miejscowością Tarakuk, Japończycy założyli obóz dla schwytanych jeńców wojennych. Tommy dowiedział się od znajomych Jawajczyków, że zamknięto tam około czterystu mężczyzn, zarówno żołnierzy holenderskich, jak jawajskich, oraz cywilów. Co gorzej, tuż obok istniała druga „klatka” dla kobiet.

- Tommy twierdzi, że nasz Pasir Pandziang był rajem w porównaniu z Tarakuk - mówił McNeill ze zdenerwowaniem.

Mannock po naradzie z: „Tigerem” i Tommym, zasięgnąwszy rady McNeilla, postanowił działać. Do tej pory nie zdołał nawiązać łączności z jakimkolwiek innym oddziałem partyzanckim, czas nie pozwalał na ociąganie się i wyszukiwanie większej ilości ludzi. Jednostka musiała przeprowadzić akcję samodzielnie. Mimo zaś, że oddział Mannocka liczył tylko czterdziestu czterech żołnierzy, dowódca zdecydował, iż zwykły ludzki obowiązek nakazuje interwencję. McNeill, w imieniu własnym i kolegów, zaofiarował pomoc.

- W tych warunkach każdy człowiek liczy się na wagę złota - kończył. - A ty, Geoff, jesteś na wagę platyny.

- Pstryk i kalejdoskop się przekręcił - zauważył cicho Geoffrey.

Shannon rozważnie spytał:

- Ilu tam „żółtków”? McNeill wzruszył ramionami.

- W tym sęk, że nie wiemy. Informacje Tommego są siłą rzeczy ogólnikowe, nie miał przecież czasu na dokładne zbadanie sytuacji. Podobno w Tarakuk stacjonuje spory garnizon, obozy oddalone są od miasta o jakieś pięć kilometrów.

- Co zamierza Mannock?

McNeill utkwiał w Shannonie przenikliwy, przejmujący wzrok.

- Postanowiliśmy z porucznikiem Mannockiem, że podejdziemy pod Tarakuk, przeprowadzimy prawidłowe rozpoznanie, a potem, o ile się da, zaatakujemy oba obozy. Tych ludzi trzeba uwolnić. Po prostu trzeba!

Shannon milczał. Wiadomość wywarła na nim wielkie wrażenie, ale nie wywołała żądzy walki. Długotrwały pobyt w dżungli i nieustanne zmagania z naturą stępiły jego nienawiść do wroga. Nawet Pasir Pandziang, kapitan Teruci i strażnicy stali się czymś bardzo oddalonym, mglistym i zagubionym w przeszłości. Pragnienie wolności i zemsty w chwili otrzymania wiadomości o śmierci Betty, zanikły a raczej przeobraziły się. Do wolności i świata dążył wszelkimi sposobami. Nie dla zemsty jednak, nie dla zabijania ludzi, lecz dla uzyskania pewności, rozwikłania zagadki „Nigerii”. Mimo wszystko nie wierzył w słowa McNeilla, skłonny był wierzyć Teruci. Ale musiał dowiedzieć się prawdy, całkowitej prawdy. Dowiedzieć

się jej mógł zaśćtylko w Australii, w Indiach, czy nawet w Anglii, Ministerstwie Lotnictwa lub w

Admiralaty - Dowództwie Marynarki Wojennej. Planowana akcja w Tarakuk krzyżowała jego plany, opóźniała ich wykonanie, może je nawet uniemożliwiała. W stosunku do partyzantów nie miał żadnych zobowiązań. Co więc właściwie jego, Petera Shannona, porucznika Royal Air Force, obchodził los mężczyzn i kobiet w obozach na Jawie? Nie znał przecież tych ludzi, nigdy w życiu ich nie widział, nie miał pojęcia jak wyglądali, kim byli, dlaczego dostali się do obozu. Podobnie okrutne traktowanie przechodziły z pewnością dziesiątki tysięcy innych jeńców w japońskich rękach. Czy więc musiał ich wszystkich uwalniać? Czy własnowolnie winien mieszać się we wszystkie tego rodzaju awantury! Pojęcie „walka” miała inne znaczenie dla Jawajczyków, inne dla Holendrów, inne dla niego. Jawajczycy z pewnością walczyli z najeźdźcami dla uwolnienia swej wyspy i uzyskania ostatecznej wolności. Holendrzy również walczyli, ale po to by w przyszłości znów ciągnąć z kolonii pokaźne zyski. On zaś walczyć chciał zarówno dla swej odległej ojczyzny, jak - przede wszystkim - dla pamięci żony. Ale jego rejon działań wojennych nie leżał w żadnym przypadku na Jawie, zresztą... wyprawa do Tarakuk, będąca niewątpliwie pięknym gestem, nie miała żadnych szans powodzenia. Jakim sposobem oddziałek, składający się z czterdziestu czterech ludzi, uzbrojony zaledwie w karabiny, pistolety i jeden automat, pokonać mógł duży garnizon, bez wątpienia wyposażony w broń maszynową, moździerze, może artylerię, czołgi i samoloty? Taka fanfaronada, nieprzemyślana i zgoła bezsensowna, groziła nie tylko niepowodzeniem, ale i śmiercią, a w najlepszym razie niewolą i torturami. Śmierci Peter się nie obawiał, w każdym razie zdawało mu się, że się nie obawia. Napatrzył się na nią podczas pamiętnych dni obrony Singapuru. Wiedział, że w razie wydostania się na prawdziwą wolność, bez zmruczenia oka wróci do latania, że znów zasiądzie w kabinie myśliwskiej maszyny, ruszy do boju z samolotami nieprzyjaciela. Ale co innego walka powietrzna, choćby z przeważającym liczebnie przeciwnikiem, co innego pojedynek z dziesięciu „Zero”, co innego zaś rzucanie się na oślep do samobójczego ataku.

Milczenie przeciągało się. Tanner położył na ziemi szmatkę i pieczołowicie rozbierał pistolet na części, przeglądając każdą uważnie, czyszcząc i pociągając cieniutką warstewką oliwy, otrzymanej od „Tigera”. McNeill badawczo spoglądał na Shannona, jakby pragnąc odgadnąć, jakie myśli kłębią się pod czaszką lotnika. Odezwał się wreszcie, starannie ważąc słowa:

- Obiecałem w swoim i waszym imieniu. Ale każdy ma własną wolę, każdy odpowiedzialny jest za własne czyny i decyzje. Wypowiedzcie się szczerze.

Tanner w milczeniu wskazał na czyszczony pistolet. Peter poruszył się, nieporadnie poskrobał w zwichrzoną czuprynę. Teraz, gdy mógł się swobodnie wypowiedzieć, poczuł zakłopotanie, a nawet zawstydzenie.

- Czy Mannock nie poradzi sobie bez nas? - bąknął, chcąc uniknąć bezpośredniej odpowiedzi i wygrać na czasie.

McNeill uniósł brwi w górę. Zrozumiał co znaczyło pytanie Shannona, nie okazał jednak ani zdziwienia ani niezadowolenia.

- Nie wiem – odparł łagodnie – Ale wiem, że idę z nim. Geoff?

Australijczyk wcisnął pełny magazynek do pistoletu, podrzucił „colta” w górę zręcznie uchwycił rękojeść i zakręcił nim młyńca. Przyjrzał się uważnie broni, jakby oglądał ją po raz pierwszy w życiu, znów podrzucił w górę, znów złapał.

- By Jove! – burknął ochryplym basem - Tam trzeba iść. To wszystko.

- Tak, trzeba – potwierdził cicho Alan, przygryzł wargi i podniósł oczy na Shannona – Cóż, Peter, wypadnie się nam rozstać. Nie mam ci za złe decyzji. Porozmawiam z Mannockiem. Może wystara

się o przewodnika dla ciebie. Powinieneś próbować przedostać się na wschodni kraniec Jawy. Tam rozejrzyj się, zapytaj dyskretnie. Zapewne znajdziesz ludzi, którzy ci pomogą. Taak – przeciągnął i pochylił głowę - sporo przeżyliśmy razem, Peter, ale wszystko się kiedyś kończy...

Shannon siedział zgarbiony, ze zmarszczonymi brwiami, z zaciśniętymi pięściami. Nagle, jakby porażony elektrycznym prądem, zerwał się na równe nogi, splunął przed siebie, bluznął ordynarnym, przeciągłym przekleństwem.

- Hell and damnation[106]! Jeszcze we mnie trochę ikry zostało, Alan. Idę z wami, niech piekło pochłonie wszystkich „żółtków” – znów zaklął wulgarnie - Tam trzeba iść – powtórzył słowa Tannera.

McNeill wstał. Twarz mu się rozjaśniła. Przełknął ślinę i powiedział krótko:

- Wiedziałem. Jesteś swój chłop, Peter. Australijczyk usiłował sporządzić z leżącej na ziemi szmaty rodzaj kabury na pistolet..

- Wiecie co? Nie możemy narzekać na monotonię naszej słodkiej egzystencji. By Jove! Nie ma dnia, byśmy się nie wplątali w jakąś nową awanturę. Jeżeli kiedykolwiek doczekam się wnuków, odbiję im tyłki, jeśli nie wysłuchają mego opowiadania do końca.

W godzinę później obóz został zwinięty, a oddział Mannocka ruszył gęsiego w dżunglę i znikł w jej gąszczu. Prowadził Tommy wraz z kilku jawajskimi zwiadowcami, w pewnej odległości za nimi posuwała się właściwa grupa, w tylnej straży szedł „Tiger” i dwóch krajowców. Całość poruszała się niezwykle szybko i absolutnie bezszelestnie. Szli w takim tempie, że nawet zahartowany, wytrenowany i wytrzymały na wszelkie trudy Peter z ledwością dotrzymywał kroku, a McNeill czasami pozostawał w tyle i musiał chwilami biec, by nie wypaść ze swego miejsca w szeregu. Po dwóch godzinach Mannock zarządził krótki odpoczynek, a podchodząc do swych gości, jak nazywał uciekinierów z Pasir Pandziang, wyjaśnił:

- Takie tempo jest konieczne. Musimy działać z zaskoczenia, bo nasz ostatni wypad z pewnością ich zaalarmował. Jawa to nie Sumatra. Jest gęsto zaludniona, ma dobrą komunikację drogową i nawet kolejową, połączenia telefoniczne.

- Czy myślisz, że mogą się nas spodziewać w Tarakuk? - spytał Tanner, który od pamiętnych popisów strzeleckich był z Mannockiem na „ty”.

Partyzant potrząsnął głową. Spieszył się dlatego, że tamta wyprawa była przeprowadzana w zupełnie innym kierunku. Japończycy - według Monnocka - byli chytry i sprytni, ale nauczyli partyzantów, jak trzeba prowadzić walkę w dżungli. Należało ich pobić ich własną bronią. Szukać z pewnością będą w pobliżu Merak, o trzydzieści kilometrów od Tarakuk, może nawet jeszcze dalej, w każdym razie nie tutaj. Poza tym nie domyślą się, że po tamtej zażartej potyczce partyzanci zdolni są do nowej, natychmiastowej akcji.

Pokrzepieni kilku garściami ryżu i łykiem wody z manierek ruszyli dalej. Shannon nie mógł wyjść z podziwu, widząc łatwość, z jaką oddział poruszał się w dżungli, w nieprzebytym w nieprzebytym zdawałoby się gąszczu, jak bezbłędnie odszukiwał niewidoczne dla oka przejścia i nie zbacał z powziętego kierunku. Grupa parła do przodu z niezmienną prędkością, nie pozostawiała za sobą żadnego śladu, nie wydawała żadnego odgłosu. Gromada uzbrojonych obszarpańców mogłaby przesunąć się tuż obok najczujniejszego posterunku nieprzyjaciela nie dostrzeżona i nie dosłyszana.

Było późne popołudnie, gdy Tommy, ze swymi Jawajczykami zatrzymał się, a kiedy Mannock z resztą przybliżył się do niego, odwrócił się i powiedział szeptem:

- Przed nami Tarakuk.

- Zostajemy tutaj - zdecydował również szeptem Mannoek. - Proszę objąć komendę - zwrócił się do McNeilla. - Ja z „Tigerem” i Tommym pójdziemy przewąchać, jak sprawy wyglądają. - Zastanowił się i dodał: — Majorze Tanner, może przejdzie się pan z nami, pańska ręka to bezcenny skarb. A pan, poruczniku Shannon, jako myśliwiec ma sokoli wzrok - spojrzął zachęcająco na Petera. - O ile wiem, ma pan specjalne powody do rozrachunków z „żółtkami” - popatrzył wymownie na blizny na twarzy lotnika i na pół rozcięte ucho.

- Jestem gotów - brzmiała natychmiastowa odpowiedź, mimo że Peter odczuwał stale narastające zmęczenie.

Pięciu zwiadowców weszło dalej w dżunglę, posuwając się teraz znacznie wolniej i ostrożniej. Gęszcz stopniowo przeredzał się, aż wreszcie urwał i otworzył na szerokie pole ryżowe. O kilometr dalej widniały drewniane zabudowania Tarakuk, sporej miejsciny, złożonej z kilkuset domów. Na polu pracowali ludzie, pomiędzy zabudowaniami kręciły się jakieś postaci, ale z tej odległości trudno było stwierdzić, kim były i czy nosiły mundury.

- Co pan widzi, Shannon? - szepnął Mannoek. Peter nieco przymrużył oczy, przesłonił je daszkiem dłoni.

- Japończycy - odpowiedział po namyśle. - Z całą pewnością Japończycy. Mannoek skinął głową.

- Tommy! Przespaceruj się, policz „żółtków”. Ale ostrożnie. Tommy, bez wsypy i bez strzelaniny. Nie pchaj się do miasta, przepytaj ludzi w polu.

Tommy bez słowa zdjął koszulę, odparał pistolet i wręczył go Tannerowi, z przegubu jednej dłoni odpiął zegarek, z przegubu drugiej kompas na skórzanym pasku. Przesunął się krzakami nieco w bok, a potem, zerwawszy naręcz jakichś liści i położywszy je na ramieniu, śmiało wyszedł na pole. Wygląd jego nie różnił się niczym od wyglądu pracujących Jawajczyków.

Widzieli go przez chwilę, jak beztrąsko, swobodnym i wolnym krokiem maszerował miedzą, mijając krajowców, potem znikł z oczu za niewielkim bambusowym gajem.

- Tommy zna się na tego rodzaju robocie - poinformował z dumą Mannoek.

W pół godziny później Tommy wychynął z gęszczy bezszelestnie jak duch. Przykucnął obok Mannoeka i zdał raport. W Tarakuk od dwóch tygodni stacjonowała kompania piechoty w sile dwustu pięćdziesięciu ludzi. Wyposażona była w dodatkowy pluton ciężkich karabinów maszynowych, Ale dzisiejszego dnia o świcie większość Japończyków pośpiesznie opuściła miasteczko. Podobno otrzymali wiadomość o jakiejś partyzanckiej akcji w okolicach Merak.

- Nasza ostatnia wyprawa - mruknął Mannoek.

- Oczywiście - odparł Tommy.

W Tarakuk pozostało zaledwie około pięćdziesięciu ludzi, dowodzonych przez jednego oficera. Ponieważ z Tarakuk do Merak nie wiodła żadna bita droga, więc Japończycy pozostawili ciężarówki i wymaszerowali na piechotę. Była to okoliczność bardzo przychylna, bowiem trudno było spodziewać się powrotu kompanii przed wieczorem następnego dnia, a może nawet jeszcze później. Tommy zdołał wywiedzieć się, że w okolicy nie stacjonowała żadna inna jednostka, a okupowane przez Japończyków lub wybudowane przez nich lotniska położone były daleko, we wschodniej stronie.

- Załoga obozów? – spytał Mannoek.

Tommy wzruszył ramionami.

- Nie jestem wszechwiedzący – burknął, wciągając koszulę i dopinając sprzączki zegarka oraz kompasu. - O ile wiem, męskiego obozu pilnuje kilkudziesięciu żołnierzy, żeńskiego kilkunastu.

- Dokładnie?

- Nie wiem.

Mannock podniósł się ostrożnie.

- Idziemy do obozów. Musimy się tam rozejrzeć.

- Ryzykowna zabawa - stwierdził obojętnie „Tiger”.

- Wszystko jest tutaj ryzykowne! - rozgniewał się Mannock. - Prowadź., Tommy!

Do obozu jeńców dotarli tuż przed zmierzchem.

Wiodła tam z Tarakuk dosyć szeroka, ale nie brukowana droga, wijąca się zygzakowato najpierw pomiędzy ryżowymi polami, potem wpadająca w kokosowy las i dalej w gęstą dżunglę, by wreszcie wywieść na obszerną polanę. Zwiadowcy, posuwający się gąszczem równolegle do drogi, przystanęli na skraju dżungli i lustrowali teren wzrokiem. Tym razem porzucono myśl wysłania Tommy'ego na bliższe rozpoznanie, byłoby to zbyt niebezpieczne i lekkomyślne, bowiem dokoła obozów nie widać było żadnego Japończyka i obecność Tommy'ego wydałaby się wielce podejrzana. Na polanie, w dwóch niewielkich „klatkach” z drutu kolczastego, gnieździły się setki ludzkich postaci, siedzących lub leżących na gołej ziemi pod otwartym niebem. Widok był tak znajomy, że Peter mimo woli zacisnął pięści.

- Tutaj trzeba było przyjść - szepnął do siebie.

Nieco z boku, o kilkadziesiąt metrów od ogrodzenia jednego obozu, stały trzy drewniane baraki należące do japońskiej załogi. Jaki był jej stan, jakim dysponowała uzbrojeniem - tego zwiadowcy nie zdołali stwierdzić. Pomiędzy barakami kręcili się żołnierze, wychodzili lub wchodzili do wnętrza. Z komina niewielkiej szopki - obozowej kuchni - unosiło się pasemko dymu. W narożnikach obu „klatek”, na bambusowych platformach, tkwili strażnicy, uzbrojeni, jak dostrzegł bystrooki lotnik, w automatyczne pistolety. Przed bramami przechadzali się wartownicy, dokoła polany krążyły patrole. Całość była dobrze strzeżona i zabezpieczona przed jakimkolwiek napadem.

- Paskudna sprawa - westchnął Mannock po dłuższym milczeniu. - Hm, obejrzymy to z drugiej strony. Jazda!

Wykonali szerokie półkole, znaleźli się po przeciwległej stronie polany, w pobliżu japońskich baraków.

Przeczołgali się na sam skraj dżungli, powali wysunęli głowy.

- Co teraz? - szepnął Tanner.

Mannock uciszył go ruchem dłoni.

- Cierpliwości, Geoff.

Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście. Słońce stoczyło się za wysmukłe korony kokosów i gumowców, ukryło za horyzontem. Ściemniało się szybko, na platformach i przed barakami rozbłyły elektryczne światła. W męskiej „klatce” powstało poruszenie, rozległy się podniecone głosy, a potem huknęło kilka karabinowych wystrzałów, po których ktoś zaniósł się przerażającym rykiem, przechodzącym stopniowo w jęk i rżenie. Z drugiej „klatki” doszły głuche odgłosy pałek i przejmujące zawodzenie kobiet.

- Wieczorny apel - szepnął zdławionym głosem Peter.

- Bloody bastards! - warknął Tanner przez zęby.

Mannock uciszył ich gniewnym gestem. Leżał ciągle bez ruchu, wpatrywał się w japońskie baraki. Tanner, uspokoivszy się, trącił łokciem wyciągniętego obok Shannona, mruknął, iż nic z tego wszystkiego nie rozumie, nie pojmuje beczynności dowódcy partyzantów, nie wytrzyma dłużej i rzuci się, aby chociaż kilku „żółtkom” rozbić głowy. Peter, roztrzęsiony i zdenerwowany, widział coraz wyraźniej, że szanse przeprowadzenia ataku i uwolnienia obozów równe były zeru.

Mannock drgnął, wysunął się ukradkiem jeszcze dalej z gąszczu. Pomiędzy barakami zapanowała krzątanina, po chwili rozległy się chrapliwe dźwięki trąbki.

- Na to czekałem!

Nieprzyjacielscy żołnierze wybiegli z wnętrza pomieszczeń, ustawili się na placyku przed barakami w równym dwuszeregu. W świetle jaskrawych lamp, zawieszonych na wysokich bambusowych słupach, widni byli jak na dłoni.

- Licz, Shannon! Licz starannie! - rozkazał Mannock.

Dopiero teraz Peter zrozumiał, na co czekał przebiegły dowódca. W czasie wieczornej zbiórki można było bez ryzyka przekonać się o ilości ludzi z załogi. Lotnik wyteżył oczy.

- Dwudziestu czterech - stwierdził po chwili.

- Oraz ośmiu na platformach, - czterech przed bramami na patrolach - dodał z matematyczną ścisłością Mannock. - Razem czterdziestu dwóch i dowódca. Czterdziestu trzech, jeżeli w barakach nie siedzą jacyś chorzy - wargi jego poruszały się niemal bezgłośnie, ale Shannon i Tanner doskonale go słyszeli. - Dobrze, wystarczy, wracamy.

„Sprawa jasna - pomyślał Peter. - Sytuacja beznadziejna. Bez wątpienia Mannock zrezygnował z ataku. Siły niby równe ilościowo, ale tamci na pewno mają odpowiednie uzbrojenie, w razie czego zaalarmują garnizon w Tarakuk, nie dadzą się zaskoczyć”. - Na myśl, że trzeba pozostawić więzionych jeńców ich własnemu losowi, opadła go bezsilna złość.

Cofnęli się w dżungłę. Było już zupełnie ciemno i poruszanie się w nie znanym terenie sprawiało poważne trudności. Gdy zwiadowcy oddalili się od obozów na tyle, iż bez obawy mogli porozumiewać się półgłosem, Tanner chwycił Mannocka za ramię.

- Musimy się gdzieś ułożyć, Paul. W nocy nie trafimy do swoich.

Partyzant zamruczał coś, a potem powiedział głośniejsz:

- Za dwie godziny będziemy w oddziale.

- Jakim cudem? By Jove, ciemno jak w piekle.

- W piekle jest bardzo jasno - Mannock wyciągnął ramię w stronę „klatek” z jeńcami, a potem podsunął Australijczykowi pod nos rękę na której przegubie widniała nafasforowana strzałka kompasu, takiego samego, jak u Tommy'ego.

- Nasi żołnierze nosili na rękach zegarki - burknął wyjaśniająco. - Japończycy zakładali kompasy. Nasi gubili się w nocy, Japończycy posuwali się nieomylnie naprzód. Mówiłem już, Geoff, że trzeba ich zwalczać sposobami wyuczonymi od nich. Ten kompas - odchrząknął znacząco - niedawno należał do jednego z bohaterskich oficerów armii Nipponu. Dzisiaj przyda się nam.

- Chytry diabeł - pochwalił Tanner.

- Chytrósci nauczyłem się z musu. Ale określenie „diabeł” schowaj dla nich - ramię Mannocka ponownie wyciągnęło się w stronę obozu.

Przedzierali się przez ciemny gąszcz, kaleczyli o wystające gałęzie i szarpiące ubrania krzewy, lecz nie zmylili kierunku. Noc była względnie chłodna, mimo to jednak pot spływał po twarzy Petera,

koszula lepiła się na nim, wilgotne szorty ściśle przylegały do ciała i utrudniały ruchy. Mannock parł do przodu, był niestrudzony. Dopiero po godzinie przystanął i poczęstował resztą wody z manierki.

- Jeden łyk i jazda - powiedział - Mamy jeszcze kupę roboty przed świtem.

„Czyżby nie zrezygnował? - przebiegło przez głowę Shannona. - Czyżby rzeczywiście zamierzał atakować?”

Zadyszany Tanner sapał i z trudem łapał oddech. Mimo potężnej budowy i niewątpliwej wytrzymałości na trudy i on czuł w kościach dokonany wysiłek.

- Słuchaj Paul - powiedział ze złością. - Żeby żyć, normalny człowiek potrzebuje nie tylko żarcia i picia, ale również snu. By Jove! Kiedy wy właściwie sypiacie?

- Mój drogi, kiedyś wszyscy doskonale wyśpimy się w trumnach - brzmiała niezbyt zachęcająca odpowiedź.



## ROZDZIAŁ XXV

Dokładnie w wyznaczonym przez Mannocka czasie, nie myląc się ani o sto metrów, dotarli do ukrytego w dżungli oddziału. Ludzie rozłożeni byli na ziemi, drzemali, ale McNeill nie zapomniał o rozstawieniu czujek w stosownej odległości od obozowiska. Bez chwili zwłoki zrobiono naradę, w której oprócz McNeilla, Mannocka i reszty zwiadowców, udział wzięło kilku Holendrów i Jawajczyków.

Mannock dokładnie opisał obóz i okolice, opowiedział o sytuacji w Tarakuk, nie pominął żadnego zaobserwowanego szczegółu. Przy świetle sprezentowanej przez „Tigera” latarki elektrycznej wyrysował nawet plan, nie zapominając o najmniejszych drobiazgach, mających jakiegokolwiek znaczenie dla planowanej akcji. Gdy skończył, zwrócił się do McNeilla:

- Jakie jest pańskie zdanie, mister McNeill? Przyznam uczciwie, że nie bardzo się orientuję, jak się do tego zabrać. Zadanie wściekle skomplikowane. Obawiam się, że nie podołamy...

Alan przerwał w pół słowa:

- Musimy podołać, poruczniku Mannock. Ale należy działać rozważnie, z głową. Wydaje mi się, że potrafię panu doradzić. Mam pewien plan. Wyjawię go, przedyskutujemy. Czasu jeszcze trochę zostało.

W miarę słów Alana Peter ledwie mógł powstrzymać się od ujawnienia zachwytu. Nie podejrzewał przyjaciela o tak szybką orientację, bezbłędne rozeznanie sytuacji, trafną decyzję. Plan McNeilla w przekonaniu Shannona - był doskonały.

Powodzenie akcji, jak twierdził Alan, polegało na zgranym w czasie, idealnie zharmonizowanym uderzeniu z zaskoczenia. McNeill pamiętał o wszystkim, miał ułożone w głowie wszelkie szczegóły. Akcję należało przeprowadzić o świcie, o samym brzasku, gdy załoga będzie jeszcze uśpiona, wartownicy zmęczeni i niezbyt czujni, gdy nie zacznie się ruch w obozie. Część oddziału, ośmiu ludzi pod dowództwem Tommy'ego, przeprowadzi dywersję na Tarakuk, zaatakuje garnizon miasteczka od strony południowo-wschodniej, od drogi wiodącej do Merak. Wzdłuż tej drogi prawdopodobnie ciągnął się kabel telefoniczny, który należało bezwarunkowo przeciąć co najmniej w dwóch miejscach, a odcięty kawałek rzucić daleko w dżunglę. Dalszych dwóch partyzantów zaczął się w kokosowym lesie w połowie odległości z Tarakuk do obozu jeńców, również dwukrotnie przetnie kabel telefoniczny i ostrzeliwać będzie każdą grupę nieprzyjaciół, posuwającą się drogą, obojętnie z jakiego kierunku.

Reszta oddziału podzielił się na połowę. Jedną pod dowództwem „Tigera” zaatakuje obozy ze wschodu, od drogi z Tarakuk. Druga, pod wodzą samego Mannocka, obejdzie polanę i natrze na baraki japońskie od północnego zachodu, z dżungli. Specjalne i nader odpowiedzialne zadania przypadną majorowi Tannerowi i porucznikowi Shannonowi.

- Ty, Geoff, jesteś strzeleckim geniuszem - powiedział Alan do Australijczyka. Musisz popisać się jak nigdy w życiu.

- Słucham - odparł prostując się Tanner.

- Zaczaisz się na samym skraju dżungli, możliwie blisko wartowniczych platform. Musisz unieszkodliwić żołnierzy na co najmniej sześciu platformach. To piekielnie trudne, wiem, ale absolutnie konieczne.

- Z tą pukawką niewiele zdziałam - mruknął Geoffrey, wskazując na pistolet.

Mannock wmieszał się do rozmowy:

- Dostaniesz i karabin, Geoff. Najlepszy, jaki mamy, sam wybierzesz.

- To co innego. Z karabinu poprobuję.

Alan spojrział na Petera.

- Ty masz dobre oko, umiesz strzelać, rzecz oczywista. Jeżeli ktoś potrafił posłać na ziemię dwadzieścia dwa samoloty, poradzi sobie z dwoma wartownikami. Przypadną ci strażnicy na platformach z południowo-zachodniego krańca. To raczej blisko dżungli, jak się orientuję, prawda?

- Tak, zupełnie blisko - przyświadczył Mannock.

- Akcję rozpoczną Tanner i Shannon równocześnie, dokładnie o godzinie czwartej trzydzieści. Wyregulujcie zegarki! Mamy w oddziale trzy zegarki, Mannocka, Tommy'ego i mój. Tommy swój zachowa, pozostałe wezmą Shannon i Tanner. Proszę, Peter - wyciągnął rękę.- O godzinie czwartej trzydzieści dwie grupy Mannocka i dywersanci Tommy'ego zaczną strzelaninę do baraków w obozie i do żołnierzy w Tarakuk. Tommy, pamiętaj, że nie będziesz zdobywać miasteczka, masz tylko wiązać garnizon ogniem.

Grupa „Tigera”, jak zdecydował McNeill, odczeka, aż żołnierze załogi obozu zwiążą się z oddziałem Mannocka, i mniej więcej w dziesięć minut od pierwszych strzałów ruszy do natarcia, obezwładni lub zlikwiduje wartowników przed bramami, otworzy „klatki” i dopomoże Mannockowi w wykończeniu przeciwników. Tanner i Shannon pozostaną na swych stanowiskach i pilnować będą, by żaden Japończyk nie zdołał zbiec ukradkiem w dżunglę.

Pistolet automatyczny przydzielony zostanie do grupy Mannocka, która musi wywołać wrażenie, że główny atak pójdzie z jej strony. Amunicji nie należy oszczędzać, jest pod dostatkiem, ale strzelać trzeba celnie!

W przypadku, gdyby przeciwnik zabarykadował się w barakach i bronił z okien, trzeba będzie, bez względu na straty, zdobyć baraki bądź je podpalić, by zmusić wroga do wyjścia na otwartą przestrzeń.

McNeill zatrzymał się na moment, ale bynajmniej nie zakończył jeszcze instrukcji. Niespodziewanie dla wszystkich w ciemności rozległo się pytanie czy w oddziale nie znajdzie się kawał blachy, a w najgorszym razie tektury. Zdziwiony Mannock odparł, iż można wyjąć blachę z którejś ze skrzynek amunicyjnych. McNeill powiedział, że trzeba sporządzić co najmniej trzy spore megafony.

- A to po co? — wyrwało się Shannonowi.

- Jednego użyję ja, drugiego pan - wskazał na barczystego Holendra, ledwie widocznego mroku. Trzecim posłuży się pan – palec Alana wyciągnął się ku sylwetce krępego Jawajczyka. – Proszę ich pouczyć, o co chodzi, ja, niestety, nie opanowałem jeszcze ich języków, chociaż - zwrócił się szeptem do Petera — mój młody przyjaciel stale mi wyrzuca, że posługuję się aż zbyt wieloma obcymi wyrażeniami. Najlepiej będzie, jeżeli wypiszę na kartce tekst, którego oni wyuczą się na pamięć - dodał głośno.

- Nic nie rozumiem - przyznał Mannoek.

- Przecież naszym głównym zadaniem jest uwolnienie jeńców! - odrzekł McNeill trochę podnieconym głosem. - Nie wystarczy otworzyć bramy. Musimy ich dokładnie poinformować, co się dzieje, co mają robić, gdzie uciekać! Chcecie może zabrać wszystkich ze sobą? Kilkuset mężczyzn i kilkaset kobiet? Wykluczone! Gdy zaś zaczniesz się strzelanina i cały rozgardiasz, ludzie w obozie stracą głowy, szczególnie kobiety. Nie wolno dopuścić do paniki ani do żadnego nieprzemyślanego ruchu, rozumiecie?!

Nikt nie zabierał głosu. Autorytet McNeilla stał się obecnie tak ogromny, że bez wahania uznano go za faktycznego dowódcę jednostki, jedynie zdolnego podołać zadaniu.

- Jeżeli stwierdzę, że sytuacja wymyka się z rąk, staje się trudna czy wręcz beznadziejna, wydam przez megafon odpowiednie rozkazy. Moje stanowisko do chwili zdobycia obozów będzie w dżungli na północno-wschodnim skraju polany. Za chwilę wyznaczymy punkt zborny po zakończeniu lub przerwaniu akcji. Mannoek! Czy zna pan w okolicy wioski, dokąd można by przeprowadzić jeńców? Gdzie można by ich ukryć na pewien czas, a potem zorganizować dalszą drogę ucieczki?

Porucznik zastanowił się, zagadał do Jawajczyków, wysłuchał odpowiedzi.

- Tak. Znam.

- Ile wiosek i gdzie?

Mannoek znów naradził się z krajowcami.

- Na południowy zachód, o jakieś czternaście kilometrów od obozu jeńców, jest kam pong Tuli. Dalej na zachód kam pong Rataja. Bardziej na północ leżą kam pongi Beli Tui oraz Karak. Na wschód od obozu, nad brzegiem morza, jest kam pong, którego nazwy nie znamy. To wszystko, pułkownik McNeill, inne wioski w okolicy są niepewne lub wrogie.

Wystarczy. Wyznaczy pan pięciu przewodników zdolnych do przeprowadzenia jeńców do wymienionych wiosek. Podzielimy uwolnionych ludzi na pięć grup. Jeżeli się da, kobiety przeprowadzimy do najbliższych kam pongów. To samo odnosi się do chorych i lżej rannych, jeżeli tacy znajdują się w obozie. Słabszych musimy sami wziąć pod opiekę.

To było właściwie wszystko. Tommy dokładnie przetłumaczył plan McNeilla najpierw Jawajczykom, później Holendrom. Alan przy świetle elektrycznej latarki „Tigera” nakreślił na kartce papieru kilka zdań i wręczył Tommy'emu dla przetłumaczenia.

- Pozostaje jeszcze sprawa punktu zbornego. Uważam, że musi być dosyć daleko od Tarakuk. Gdzie się spotkamy?

Mannoek namyślał się przez chwilę, odtwarzał z pamięci obraz terenu. Shannonowi przeszła przez myśl pewna propozycja i zabrał głos:

- Jeżeli mogę wtrącić...

- Oczywiście, Peter - odrzekł natychmiast McNeill.

- Moim zdaniem w całej okolicy robi się piekielny szum, specjalnie jeżeli akcja się powiedzie i obozy zostaną uwolnione. Japończycy się wściekną, nie ustaną w poszukiwaniach. Mam pewien pomysł...

Pomysł jego został zaakceptowany przez wszystkich. Shannon uważał, że zbiórkę wyznaczyć należy w miejscu, gdzie będą najmniejsze szanse wykrycia przez wroga. Otóż wojsko wysłane pod Merak nie znajdzie ani śladu partyzantów, wróci do Tarakuk, a potem rozpocznie poszukiwania we wszystkich kierunkach.

- Ale przecież nie poleżą z powrotem do Merak! - zawołał Peter z triumfem. - Natomiast my tam

pójdziemy!

- To coś z kodeksu Busido, prawda? Jeżeli nie możesz zwyciężyć wroga siłą, użyj podstępów - zacytował McNeill.

- Jeszcze jedno - wtrącił Tanner. - Nas może nie złapią, ale czy nie dogonią uwolnionych jeńców?

Taka możliwość istniała, ale zdaniem McNeilla, nic nie można było w tej sprawie poradzić. Przewodnicy winni zrobić wszystko, by jak najprędzej wyprowadzić ludzi w dżungłę i dotrzeć do wyznaczonych wiosek, a potem, jeżeli możliwe, puścić ich w dalszą drogę.

- A więc zbiórka w odległości dziesięciu kilometrów od Merak, na południowy wschód. Czekać tam będziemy dokładnie przez trzy dni, począwszy od chwili obecnej. Potem przesuniemy się bardziej na wschód. Jeżeli ktoś nie dołączy w wyznaczonym terminie, straci z nami łączność. Teraz uzgodnić zegarki. Mannoek! Rozdzielić amunicję i żywność. Podnieść ludzi na nogi, poinformować jak najszczegółowiej o wszystkim. Nie zapominać o megafonach.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Za godzinę odmarsz. Macie aż nadto czasu, by w porę zająć stanowiska. Godzina „zero” równo o czwartej trzydzieści. Geoffrey i Peter, celujcie uważnie, wam nie wolno chybić. - McNeill nachylił się do przyjaciół i powiedział miękko: - Teraz nie czas na wyjaśnienia, ale po akcji powiem wam wszystko o sobie. I tak zapewne domyślacie się wiele. Przede wszystkim jednak myślcie o waszym zadaniu!

## ROZDZIAŁ XXVI

Peter Shannon po raz setny chyba spogląda na zegarek, otrzymany przed kilku godzinami od McNeilla. Leży ukryty w gęstych krzewach cinchona, których ostry, przenikliwy zapach wwierca się w nozdrza. Przed nim, nie dalej niż o czterdzieści kroków, wznoszą się platformy narożników „klatki”, gdzie za drutami kolczastymi leżą uśpieni jeńcy. Do uszu Petera dochodzą przytłumione jęki i westchnienia, dolatuje fetor ludzkich odchodów, brudu i gnijących odpadków.

Ze swej kryjówki Shannon dokładnie widzi całą polanę, spowitą w niebieskawej mgiele, unoszącej się tuż nad samą trawą. Rozjaśnia się, elektryczne światła w obozie gasną. Wartownicy na platformach tkwią nieruchomo, drżąc oparci o bambusowy parapet. Przed dwoma bramami, bliźniaczo podobnymi do bramy Pasir Pandziang, przechadzają się znużonym, sennym krokiem czterej żołnierze. Drzwi baraków są zamknięte, ale w szopce obozowej kuchni pali się już ogień, a dym leniwie wije się z komina i opada szarawą smugą w dół, miesza się z mgłą.

Dochodzi godzina czwarta dwadzieścia pięć. Peter delikatnie poprawia się w miejscu, wysuwa lufę karabinu i nie spiesząc się wcelowuje w lewą platformę. Ruchy ma powolne, zdecydowane, doskonale poprzednio przestudiowane i przeanalizowane. Zlikwidowanie pierwszego wartownika nie powinno sprawić żadnego kłopotu, z tej odległości Shannon pewien jest celnego strzału. Ale natychmiast potem trzeba zmienić cel, strzelać w narożnik prawy. Chybić zaś, jak ostrzegął McNeill, nie wolno!

„Obiecał, że powie wszystko po akcji - myśli Peter. - Jedno z dwojga. Albo pułkownik sztabu, albo pułkownik wywiadu. Innej możliwości nie ma. Powie po akcji, jeżeli akcja się uda. Uda się, musi się udać...”

Z błyszczących liści cinchona ściekają drobniutkie kropelki rosy, padają na goły kark Shannona, nieprzyjemnie łaskoczą. Peter wyciera je dłonią, znów rzuca okiem na zegarek. Jest czwarta dwadzieścia siedem. Peter odczuwa dziwne ściskanie w żołądku, serce bije mu szybko, w gardle zasycha.

„Spokojnie... spokojnie... Bez nerwów... spokojnie” - powtarza w myśli.

Tuż nad jego głową rozlega się niespodziewanie żałosne kwilenie ptasie. Shannon drży, karabin kołysze mu się w dłoni.

„To tylko ptak... spokojnie, jeszcze trzy minuty...”

Dżungla dokoła jest jak wymarła. Ani śladu ruchu, ani śladu ludzkiej obecności. A przecież Shannon wie z całą pewnością, że w pobliżu kryją się ludzie Mannoeka, przy drodze z Tarakuk czai się grupa „Tigera”, po przeciwległej stronie polany leży z gotową do strzału bronią Geoffrey Tanner, opodal wyczekuje z megafonem w dłoni Alan McNeill, mózg i dusza wyprawy.

„Jak on to wszystko fantastycznie obmyślił! Generalska głowa... nie, pułkownikowska, ale dlaczego nic mi nie mówił... Kim naprawdę jest? Co za dziwna tajemnica... Spokojnie, Peter, jeszcze dwie minuty... spokojnie... Cholera, jak ten but uwiera! Marnie go zreperowałem, był czas na porządniejsze zszycie... spokojnie... spokojnie...”

Przeraźliwy wrzask małpy niemal podrywa go na nogi. Opanowuje się w porę, mocniej ściska karabin.

„To tylko małpa... tylko małpa... jeszcze dwie minuty... spokojnie...”

W trawie rozlega się cichutki szmer, słyhać pełzanie tak nieznaczące, że prawie bezszelestne. Trawa rozsuwa się, o krok od twarzy Petera pokazuje się płaski łeb, a za nim długi, półmetrowy, czarno złotawy zwój. Małeńkie czarne ślepia żmii patrzą prosto w oczy człowieka. Łeb porusza się wahadłowo. Twarz Shannona obleka się trupią bladością. I człowiek, i gad nie poruszają się, nie odrywają od siebie wzroku. Shannon powoli przesuwając lufę karabinu, kieruje go ku żmii, ale nie naciska spustu. Karabinowy pocisk przeznaczony jest dla wartownika na platformie, nie dla krauta. Żmija powoli przesuwając się, wykręca, odpelza w gąszcz, niknie. Człowiek przeciąga dłonią po zroszonym potem czole.

„To... to... tylko żmija... tylko... spokojnie, Peter, spokojnie, nie ukąsiła cię, żyjesz... spokojnie, jeszcze minuta... minuta... minuta...”

Wartownik na lewej platformie porusza się, leniwie przekłada automat z lewego ramienia na prawe, opiera się ponownie o parapet. Peter szybko rozstawia łokcie. Na przedłużeniu lufy jego karabinu znajduje się głowa strażnika. Lufa z wolna przesuwając się na pierś Japończyka.

„Tak będzie pewniej. Nie wolno chybić... nie wolno chybić... nie wolno chybić... spokojnie, już za chwilę...”

Donośnie huczy wystrzał po drugiej stronie polany, natychmiast po nim drugi i trzeci, echo odbija się od ściany dżungli. Shannon pociska spust. Wartownik na lewej platformie zgina się śmiesznie, puszcza parapet, opada na jedno kolano, potem na drugie, wreszcie na twarz. Shannon błyskawicznie zwraca się w prawo, celuje.

Wystrzały Tannera grzmiały jeden po drugim. Przez moment panuje cisza, widocznie Australijczyk zmienia magazynek. Peter strzela i dostrzega odpryskujące kawałki bambusu na prawej platformie. Strzał chybia! Shannon z przerażeniem widzi, jak strażnik prawej platformy błyskawicznie ściąga z ramienia automat i poczynając bezmyślnie siać pociskami po szeregach budzących się jeńców.

„Nie wolno chybić... nie wolno...”

Celuje ponownie, strzela. Seria automatu Japończyka milknie, wartownik wypuszcza broń z rąk, traci równowagę i wali się z platformy na ziemię.

Krótkotrwałe grzechotanie maszynowej broni z platformy kobiecego obozu, pojedynczy wystrzał karabinowy, nagła cisza...

Żołnierze przed bramami „klatek” rzucają się na trawę, nie otwierają jednak ognia, nie orientują się, skąd nadchodzi niespodziewany atak. Drzwi baraków otwierają się, wybiegają na pół ubrani żołnierze, ktoś wrzeszczy słowa komendy:

- Kejho! Kejlio!

W męskim obozie jeńcy zrywają się na nogi, podbiegają do drutów, wpatrują się w ciemną ścianę dżungli. W obozie kobiecym rozlega się przenikliwy, histeryczny wrzask...

Rozbrzmiewają nowe wystrzały, jazgocze automat, w gąszczu z północno-zachodniej strony coś się porusza, dochodzą stamtąd wściekłe okrzyki, z męskich gardeł wyrzywa się bojowy ryk. Jeszcze jeden pojedynczy wrzask kobiecy, przeciągły, mrozący krew w żyłach, rozgwar głosów w męskim obozie, następne wystrzały...

Peter otrząsa się z odrętwienia, mocniej ujmując karabin. Mierzy do jednego z żołnierzy, leżących między bramami Trafia, widzi to dokładnie. Mierzy do drugiego, chybia.

Strzelanina wzmaga się, rykoszety poczynają gwizdać koło uszu Shannona, pociski stukają o pnie drzew. Długa seria z automatu. Przy drodze z Tarakuk powstaje gwałtowny ruch, pędzi stamtąd kilkanaście zgiętych wzdłuż, strzelających w biegu i donośnie krzyczących postaci.

„Tiger”... tak, to „Tiger”...

Eksplozja ręcznego granatu, druga, trzecia, czwarta. Do natarcia rusza grupa Mannoeka, dochodzi pod same baraki. Oddział „Tigera” jest już w pobliżu bram „klatek”. W kobiecym obozie nieopisany rozgardiasz. Nawoływania i wycia w „klatce” męskiej. Głęboki, górujący nad wszystkim głos z megafonu McNeilla:

- Spokojnie, koledzy! Spokojnie! Zaraz was uwolnimy! Nie ruszajcie się z miejsca! Czekajcie na rozkazy! Czekajcie na rozkazy! Nie ruszajcie się!

Milknie McNeill, rozlegają się komunikaty w holenderskim i jawajskim, powtarzają instrukcje. Wzmaga się strzelanina. Przy barakach błyskają wzniesione w górę szerokie, malajskie miecze. „Tiger” na czele swych ludzi wyważa bramy „klatek”. Jakiś oszalały ze strachu Japończyk pędzi prosto ku kryjówce Shannona, na oślep sieje pociskami z automatu po dżungli. Jest już tylko o dziesięć kroków, o osiem, sześć. Peter przyciska spust - żołnierz schyla się i z rozpędem pada na twarz.

- Spokojnie, koledzy! Czekajcie na rozkazy!

Na polanę wypada Geoffrey Tanner, bez karabinu teraz, z dwoma pistoletami w dłoniach. Za nim pędzi McNeill z megafonem przy ustach.

„Skąd on wziął drugi pistolet?” - błyska idiotyczna myśl w głowie Petera.

Japoński oficer na czele pięciu ludzi rzuca się na spotkanie Australijczyka. Peter strzela do niego, chybia, odległość jest za wielka. Z boku zachodzi Japończykowi drogę Mannoek i dwóch Jawajczyków. Japoński oficer z podniesioną szablą naciera na Mannoeka. Partyzant, wystrzeliwszy widać ostatni pocisk z pistoletu, rzuca broń w twarz przeciwnikowi, stara się chwycić dłonią ostrze szabli. Błyskają bagnety żołnierzy, huczą strzały. Pada jeden z Japończyków, padają Jawajczycy. Mannoek, cięty w ramię zgina się wzdłuż, szabla wznosi się nad jego głową.

Tryska ogień z luf obu pistoletów Tannera. Peter nie słyszy poszczególnych wystrzałów, w uszach mu szumi, krew wariacko pulsuje w żyłach. Pada japoński oficer, padają jak ścięci żołnierze.

- Bloody good [107], Geoff! - drze się nieprzytomnie Peter.

Tanner mija leżącego Mannoeka, ogromnymi skokami. sady ku barakom, strzela w pędzie i trafia w broniących się jeszcze pozostałych żołnierzy wroga.

McNeill schyla się nad rannym, po chwili prostuje, biegnie dalej.

- Spokojnie, koledzy! Jeszcze chwila! Czekajcie na rozkazy - pada z megafonu, a potem spotęgowany głos McNeilla rzuca w przestrzeń niezrozumiałe dla Shannona zdania: - Tu „A dwanaście”, mówi „A dwanaście”! Mówi „Spider” [108], mówi „Spider”! Poszukuję „Z dwadzieścia pięć”, „Z dwadzieścia pięć”! Poszukuję „C czterdzieści”, „C czterdzieści”! Niech się zgłoszą przy bramie męskiego obozu.

Chwila ciszy, pojedynczy wystrzał karabinowy, dwa suche stuknięcia pistoletu Tannera.

„Alan oszalał? - myśli osłupiały Peter. - Alan to pułkownik wywiadu”.

Dokoła baraków kończy się krwawa, bezpardonowa walka wręcz. Niedobitki japońskie bronią się zacięcie, nie poddają się, drogo każą płacić za swą śmierć. Karabinowy wystrzał, chrapliwe

jęknięcie ranionego bagnetem człowieka, donośny okrzyk triumfu, wybuch ręcznego granatu... i nagle cisza, w której groteskowo brzmi kwilenie przerażonego ptaka nad głową Petera.

- Czekaście na rozkazy! Czekaście spokojnie! Mówi „Spider”, mówi „A dwanaście”. Niech „Z dwadzieścia pięć” i „C czterdzieści” zameldują się u mnie przy bramie. Mówi „Spider”...

Walka jest zakończona, obóz zdobyty. Potężnieje szum głosów w męskiej i kobiecej „klatce”. Przybliżają się do kolczastych drutów sylwetki partyzantów. Jest „Tiger”, jest i Mannoock z owiniętym ramieniem. Jest Tanner, ciągle trzymający pistolety gotowe do strzału. Jest McNeill z megafonem w dłoni, rozglądający się, kogoś poszukujący. Peter podnosi się z miejsca, rusza ku nim.

Megafon rzuca nowe rozkazy:

- Uwaga, uwaga! Męski obóz, męski obóz, uwaga! Uformować się w trzy grupy. Szybko! Trzy grupy! Jesteście wolni, zostaniecie wyprowadzeni na swobodę, będziecie bezpieczni! Uwaga, uwaga, obóz kobiecy, obóz kobiecy! Uformować się w dwie grupy. Jesteście wolne i bezpieczne!

Wtórują rozkazy holenderskie i jawajskie. Tłumy byłych jeńców falują, wznoszą gromkie okrzyki radości, powoli zbierają się w oddzielne gromady, ale kilkanaście postaci nie podnosi się z ziemi. McNeill wymachuje rękami, krzyczy jakieś instrukcje, nie używając tym razem megafonu. Kilku partyzantów z „Tigerem” na czele przebiega przez bramę męskiej „klatki”, stara się zaprowadzić porządek, rozdziela ludzi. To samo usiłuje zrobić Tanner w obozie kobiecym, wzywa na pomoc Mannoocka.

Peter jest już przy wywalonej bramie. Natyka się na jakiegoś niewysokiego, wychudłego mężczyznę w zielonych szortach i poszarpanej bawełnianej koszulce. Odsuwa go na bok, chce się przedrzeć do Tannera i dopomóc mu w robocie. Obcy chwyta go za ramię.

- Jestem „C czterdzieści” - mówi matowym, nieco ochryplym głosem. - Gdzie „Spider”? Mam się u niego zameldować. Oczywiście...

Peter nie rozumie, chociaż obcy mówi nienaganną angielszczyzną. Potrząsa głową niecierpliwie, mężczyzna w zielonych szortach nie ustępuje.

- Gdzie „Spider” - powtarza uparcie. - Jestem „C czterdzieści”.

Pierwsza kolumna z męskiego obozu, prowadzona przez wyznaczonego przewodnika, wysuwa się przez bramę, rozdziela Shannona i obcego w zielonych szortach. W obozie kobiecym rozlegają się przeciągłe nawoływania, ciągle panuje tam chaos. Od strony niewidocznego Tarakuk dobiegają przytłumione odgłosy strzelaniny karabinowej i maszynowej.

„Tommy i jego ludzie” - domyśla się Peter.

Pierwsza kolumna mężczyzn powoli wsuwa się w dżunglę. Druga rusza powoli z miejsca, posuwa się z trudem. Część ludzi słańia się, wspiera na ramionach towarzyszy, kilku ledwie się wlecze mimo pomocy kolegów. W kobiecym obozie grzmi potężny bas Tannera. Australijski major, wspomagany przez Holendrów i Jawajczyków, nadal nie może dojść do ładu z nieprzytomnymi ze szczęścia, rozhisteryzowanymi więźniarkami. Peter znów staje oko w oko z dziwnym nieznajomym w zielonych szortach.

- Gdzie „Spider”? Oczywiście muszę się u niego...

Jak spod ziemi wyrasta McNeill, rzuca megafon na trawę, obraca w palcach małego mężczyznę w zielonych szortach.

- „C czterdzieści”... Charlie! Charlie... - Alan chwyta obcego w ramiona, ściskają się, klepią po plecach, oczy McNeilla wilgotnieją. - Charlie... sto lat... co za traf...

- Harry - woła mężczyzna nazwany „C czterdzieści” czy też Charlie. - Harry, to ty? Oczywiście,



że ty! „Spider”? Nie wiedziałem..

Trzecia kolumna z męskiego obozu, w której jest jeszcze więcej chorych i rannych, przesuwa się przez bramę. Druga niknie w dżungli. W kobiecej „klatce” panuje nareszcie porządek, przewodnik wyprowadza pierwszy oddział Europejek, Eurazyjek i ciemnoskórych Jawajek. Ale zarówno w męskim, jak i w kobiecym pomieszczeniu w dalszym ciągu leżą liczne nieruchome postaci.

Od strony Tarakuk nadal rozbrzmiewają strzały, stają się coraz rzadsze, aż wreszcie milkną. Druga grupa kobiet, pomagając chorym i słabym, opuszcza obóz. Do McNeilla podchodzi Mannock. Jest przerażająco blady, chustę na ramieniu pokrywa zakrzepła krew, w oczach tai się zgroza.

- W obozach zostało kilkudziesięciu ludzi. Mężczyźni i kobiety. Konają po torturach co z nimi zrobić? Zabrać nie możemy, zemrą w drodze? Zostawić też nie można, Japończycy ich zakatują.

Spoglądają sobie w oczy. Rozumieją się doskonale, ale żaden nie chce wypowiedzieć na głos swych myśli. McNeill unosi w górę zaciśnięte pięści, na czole błyszczą gęste krople potu, twarz ma straszliwie zmienioną.

- Ci ludzie potwornie się męczą - mówi Mannock.

- Tak - mówi McNeill nieswoim, zduszonym głosem. - Skrócić męki. To jedyne wyjście, Paul.

Partyzant przesłania twarz rękami, po palcach ściekają mu łzy.

- Rozumiem... tak trzeba... jedyne wyjście... - jąka i odchodzi z pochyloną głową.

Po chwili wewnątrz obu „klatek” rozbrzmiewają suche karabinowe wystrzały.

Peter przesuwa dłonią po mokrym czole. Ogarnia go śmiertelne znużenie. W głowie mu się kręci, dłonie dygoczą, zbiera się na wymioty. Odkłada na trawę karabin, siada. Nic nie rozumie i nie chce rozumieć. Chce tylko zasnąć, zapomnieć o strzelaninie ciągle brzmiącej w uszach, nie chce widzieć postaci wartowników na platformach, ciągle tkwiących mu przed oczami. Odwraca się od leżących nieruchomo ludzkich szczątków. Geoffrey Tanner, teraz już tylko z jednym pistoletem, dopada Shannona, schyla się nad nim z zatroskaną miną.

- Peter, jesteś ranny?

Shannon ociężale zaprzecza ruchem głowy, wstaje z trudem.

- W porządku, Geoff - mówi i dziecinnie zapytuje: - Skąd wzięłeś drugi pistolet? Co z nim zrobiłeś? Tanner zmusza się do uśmiechu,

- Nos do góry, Peter - sili się na beztronski ton. - Wzięło cię trochę, co? Każdego wzięło, No, ruszaj się, zjeżdżamy w dżunglę. Mamy dwudziestu nowych partyzantów, samych ochotników spośród byłych jeńców. Jawajczycy i Holendrzy, żołnierze.

Peter nieporadnie wskazuje na McNeilla, z ożywieniem rozmawiającego z małym człowieczkiem w zielonych szortach.

- Alan McNeill... wywiad... - bąka.

- Tak, z całą pewnością - przyznaje Geoffrey i ciągnie przyjaciela za rękę. - Chodź, każda chwila jest droga.

Mannock z „Tigerem” formują ludzi. Dołączają do nich McNeill i Charlie, Peter podnosi karabin, automatycznie podąża za Tannerem. Oddział rusza z miejsca, kieruje się na południowy wschód, w stronę odległego o trzydzieści kilometrów Merak.

## ROZDZIAŁ XXVII

- Fiat lux [109]. Tajemnica przestaje być tajemnicą. przedstawiam wam majora Charleya Whittle, jednego z najzdolniejszych agentów australijskiego wywiadu. Major Whittle nosił ostatnio kryptonim „C czterdzieści”. Jest moim starym i wypróbowanym przyjacielem, współpracujemy z sobą od lat, chociaż nie spotykamy się zbyt często, a jeśli tak, to w najdziwniejszych okolicznościach - Alan McNeill zwrócił łagodne i niemal błagalne spojrzenie na Petera i Geoffreya, jakby prosząc ich o wybaczenie za dotychczasową skrytość. Mały człowieczek w zielonkawych szortach skinął głową i kolejno uściśnął dłonie Shannona, Tannera, Mannocka i „Tigera”.

- Tajemnica przestaje być tajemnicą powtórzył McNeill i ciągnął: - Charlie jest jednym z moich „znajomych” z Jawy, o których wiele razy wam wspominałem. Rozumiecie, że nie mogłem zdradzić wtedy, jaką robotą się zajmował. Wykonywał tutaj odpowiedzialne zadania, które przed tygodniem bardzo utrudnili mu Japończycy, chwytając i wtrącając do obozu pod Tarakuk.

Mężczyzna w zielonych szortach - major Charley Whittle - uśmiechnął się i dorzucił z dumą:

- Ale aparatu nie znaleźli. Dobrze go ukryłem, oczywiście. Krótkofalówka, oczywiście, ale rozumiecie, zawsze miejsce zajmuje. Gdyby znaleźli radio, nie byłbym już tutaj z wami, oczywiście - ujął przyjaźnie Alana za ramię i powiedział wyzywająco: - Założę się, że i ty, Harry, nie znalazłbyś stacji. Do kryjówki nie trafisz, choćbyś stał tuż przed nią!

- Nie założę się, bo nie mam o co. Kryjówkę sam mi pokażesz, Charlie. Dlatego wracajmy do tematu. Charlie od dłuższego czasu przebywał na Jawie, zajmował się śledzeniem posunięć Japończyków, przekazywał zebrane wiadomości, odbierał instrukcje, żył jak mnich oraz członek towarzystwa trzeźwości w jednej osobie i co godzina narażał się na złapanie i obdarcie ze skóry. Major Whittle obok „Z dwadzieścia pięć”, którego nazwiska wam nie wyjawię, był najczynniejszym wywiadowcą na tutejszym terenie. Musicie wierzyć, bo nie możecie nie uwierzyć. Jakby powiedział nasz nieodżałowany Henri „a beau mentir qui vient de loin” [110].

Dawno minęło podniecenie i rozgorączkowanie bojowe, stępiły się nieco i przybladły sceny z obozu pod Tarakuk. Powróciła względna równowaga ducha, a nawet dobry humor. Oddziałek partyzantów rozłożył się na postój w głuchej dżungli po przebyciu jednym tchem dwudziestu kilometrów. Tylko ktoś bardzo wytrenowany, znajdujący się w idealnej formie fizycznej i doskonale znający sposoby poruszania się w gąszczach, zdobyć się mógł na taki wyczyn po nie przespanej poprzedniej nocy i zacieklej walce, ale nawet ci ludzie byli tak pomęczeni, że po prostu nie byli w stanie iść dalej. Ranny w ramię Mannock zaczynał gorączkować, chociaż silił się na brawurę i nonszalancję. Dwóch Holendrów i trzech Jawajczyków również było rannych. Ochotnicy spośród uwolnionych jeńców doszli do kresu wytrzymałości.

Oddziałek liczył teraz tylko szesnastu członków starego składu, włączając w to McNeilla, Shannona, Tannera i Whittle'a. Na placu boju pozostało szesnastu, pięciu przewodników

odprowadzało uwolnionych więźniów do okolicznych wiosek. Los Tommy'ego i jego dziesięciu podwładnych nie był dotychczas znany. Ale akcja pod Tarakuk zakończyła się niewątpliwie ogromnym sukcesem.

- Trzeba się stąd ruszyć. Czas na nas - powiedział Mannock słabym głosem i usiłował się podnieść, lecz niezdarnie opadł na ziemię.

- Kilka godzin nie robi różnicy - odparł stanowczo McNeill i nachylił się, badając ranę partyzanta. - Będiesz niedługo zdrowy, Paul - stwierdził. - Zostajemy tutaj do wieczora.

Posilono się zimnym ryżem, popito wodą z manierek, zmieniono opatrunki rannych i ludzie zapadli w głęboki sen, z wyjątkiem wystawionych czterech posterunków o kilkaset metrów od legowiska.

Peter Shannon nie mógł zasnąć. Wiercił się i kręcił na posłaniu z liści, wreszcie wstał i zaczął się przechadzać. Zauważył, że McNeill i Whittle również nie spali. Po chwili wahania podszedł do nich i przysiadł obok. Alan uśmiechnął się do niego.

- Obiecałem ci wczoraj, że powiem wszystko - zauważył przyjaźnie. - Słowo się rzekło, tajemnice przestają być tajemnicami.

McNeill rozsiadł się wygodniej na zwałonym pniu gumowca, zapalił papierosa z zapasów zarekwirowanych w obozie Tarakuk i mówił, uzupełniając ogniwa długiego i tajemniczego łańcucha.

- Nie nazywam się McNeill, nawet moje imię nie brzmi Alan. Nazwisko przybrałem na jakieś pół roku przed upadkiem Singapuru, znał mnie pod nim major McLochlun, potem wy w Pasir Pandziang. Natomiast twój ojciec, Peter, nazywał mnie Thomas Stone, a inni... mniejsza z tym. Jestem pułkownik Harold Clifton, szef siatki wywiadu Military Intelligence [111] na Dalekim Wschodzie, moją siedzibą był Singapur. Ostatnio posługiwałem się kryptonimem „Spider” lub „A dwanaście”.

McNeill-Clifton nie kłamał w Pasir Pandziang, gdy opowiadał o zabiciu żony oraz zgwałceniu i uprowadzeniu córki przez Japończyków, nie kłamał też o swym domku nad brzegiem Johore. Ale nawet żona i córka nie znały prawdziwego zawodu pułkownika, wiodącego wówczas podwójne, a nawet potrójne życie. Po stracie rodziny Cliftonowi nie pozostało nic, poza służbą, obowiązkiem i walką, bardzo odmienną od normalnych warunków frontowych. Specjalnie zawziął się na Kemei Tai i jej reprezentanta, kapitana Teruci. Postanowił go zlikwidować, ale sam dostał się do niewoli, zupełnie zresztą przypadkowo. Odstawiono go do Pasir Pandziang, a jego siatka rozerwała się i rozproszyła.

- Rozumiesz chyba, że nie mogę mówić wszystkiego i wymieniać nazwisk.

Pułkownik Clifton wiedział o Kemei Tai, ale Japończycy wiedzieli i o nim. Teruci domyślał się czegoś, chociaż nie zdołał zidentyfikować go w Pasir Pandziang. W czasie pierwszego przesłuchania storturował go, drugie było jeszcze gorsze. Clifton musiał zbiec z obozu, bo czuł, że trzecie przesłuchanie będzie dla niego fatalne.

Swój tajemnicy nie śmiał zdradzić nikomu, nawet najbliższym przyjaciółom w dżungli Sumatry, chociaż wiele razy ogarniała go pokusa, by zrzucić z serca ciężar, gniotący nad miarę. Ale tajemnica nie należała do niego. Gdyby zaś ich schwytano, co było wielce prawdopodobne, Peter z Geoffreyem mogliby się z czegoś wygadać, nawet zupełnie nieświadomie, wtedy zaś los wszystkich byłby straszny, a w dodatku wyłapano by zapewne i innych agentów siatki.

- Na Sumatrze również miałem podwładnych. Ich kryptonimy powtarzałem sobie wiele razy, by

mi nie wyleciały z pamięci. Chciałem się jakoś do nich dostać, ale wypadki potoczyły się inaczej.

Dopiero tutaj, na Jawie, gdy planował atak na obóz jeńców, przyszło mu na myśl, że w Tarakuk mogli znajdować się jego podwładni, z którymi tak bardzo chciał nawiązać kontakt. Był to dobry pomysł, bowiem zdołał spotkać się z majorem Whittle, a ten - podkreślił znacząco McNeill-Clifton - wyjawiał mu wiele bardzo istotnych spraw, dotyczących również jego przyjaciół.

Zafascynowany Peter słuchał bez tchu, ale gdy Alan zaspokoił jego ciekawość i rozwikłał niezrozumiałe zagadki, myśl Schannona automatycznie nawróciła do zasadniczego, najistotniejszego dla niego problemu.

- „Nigeria”! Mów Alan... Harold... bo dłużej nie wytrzymam - wybuchnął.

- Nazywaj mnie po dawnemu Alan. Pod tym imieniem znałeś mnie dotychczas, tak do mnie mówiłeś podczas całej naszej wędrówki. Zresztą będzie bezpieczniej i dla mnie i dla was, jeżeli pozostanę McNeillem.

- Tak, tak, naturalnie... „Nigeria”! Kłamałeś?

- Nie, skąd? Jeszcze mi nie wierzysz?

- Wierzę... nie... sam nie wiem. Skąd wiadomość o „Nigerii”?!

Okazało się, że McNeill-Clifton tuż przed aresztowaniem otrzymał poprzez podwładnych informację, iż nadano z pokładu „Nigerii” szyfrowaną depezę. Statek po trzech dniach od opuszczenia Singapuru dostał się w pobliże Cejlonu, szczęśliwie prześliznąwszy się przez cieśninę Malakka i minąwszy Nikobary. „Nigerię” skierowano dalej na zachód, w poprzek Oceanu Indyjskiego. Dalszych losów statku, na którego pokładzie znajdowała się Elisabeth Shannon, McNeill-Clifton oczywiście nie znał. W tamtych jednak stronach, w pobliżu wybrzeży afrykańskich, japońskie okręty podwodne grasowały rzadko i szanse ocalenia „Nigerii” wzrastały z każdą milą przebytą na zachód. Niemniej pojawiały się możliwości natknięcia się na korsarzy niemieckich, zapuszczających się aż na Ocean Indyjski. Główne niebezpieczeństwo jednak z całą pewnością minęło.

Peter zaklął dosadnie i szarpnął się za włosy.

- Czy nigdy nie zdobędę tej pewności? McNeill-Clifton popatrzył na niego ze zrozumieniem i głębokim współczuciem.

- Per ardua ad astra [112]. Takie jest przecież motto RAFu, prawda? Trudów i zgrzyot ci nie brakuje, ale masz nadzieję, Peter. Ja nadziei nie mam... Tak mi się wydaje, że poprzez swoje trudy dobrniesz wreszcie do gwiazdy. Wiesz, co mam na myśli.

- Łatwo ci mówić, Alan. Ale jak to się skończy? Co z nami będzie? Jak się wydostaniemy z tej przeklętej wyspy?

- All is well that ends well [113] - McNeill-Clifton wytrząsał przysłowia jak z rękawa, wpadał w coraz lepszy humor, chociaż rozmawiał o rzeczach niezbyt wesołych. Być może, pokrywał żartami, dowcipami i przysłowiami ogarniający go niepokój? - Mam duże zaufanie do Mannocka, nie mówiąc oczywiście o moim przyjacielu Charlie Whittle - spojrzał przelotnie na drzemiącego małego majora w zielonych szortach. - No, a moja głowa też odrobinę warta.

- Mannock dawno wiedział, kim jesteś, prawda?

- Tak. Musiałem mu trochę o sobie powiedzieć w pierwszej rozmowie, bo podejrzewał, że z nas japońskie „wtyczki”, chociaż słyszał już o ucieczce z Pasir Pandziang. Poza tym chciałem przez niego

zetknąć się z mymi ludźmi. Mannock to człowiek stuprocentowo pewny.

- On był oficerem holenderskim?
- Jest w dalszym ciągu. Mannock jest jeszcze jedną ofiarą Teruci.
- Jak to?!

Pochodzenie Paula Mannocka, porucznika holenderskich wojsk kolonialnych, było, jak twierdził McNeill, dosyć skomplikowane. Dziadek Eurazyjczyk, ojciec w trzech czwartych krwi holenderskiej. Matka Irlandka. Rodowód to jednak rzecz mało istotna. Alana i Petera bardziej obchodziły sprawy bezpośrednio związane z wojną i inwazją na Jawie. Mannock, dowodzący plutonem piechoty, został ranny w potyczce z Japończykami i wzięty do niewoli. Przez dłuższy czas siedział w obozie jeńców. Potem schwytano w Surabaja jego matkę i siostrę. Skonfrontowano z nimi Mannocka, a potem, na oczach porucznika, trzymanego przez żołnierzy, obie kobiety zgwałcono. Wreszcie kapitan Teruci, prowadzący śledztwo, wydobył szablę i własnoręcznie obcinał im nosy, uszy, piersi, by znudziwszy się tą „zabawą” pozbawić je głów...

- Teruci... Teruci zawsze i wszędzie Teruci! Na jego oczach...

- Teruci katował kobiety i znęcał się nad Mannockiem, ponieważ wydawało mu się, że posiadał on jakieś wiadomości dotyczące powstającego ruchu oporu.

- Ale skąd Teruci na Jawie?!

- Whittle poinformował mnie, że przysłano tutaj Teruci, by „zaopiekował się” obozami jeńców, a przy okazji postarał o likwidację ruchu partyzanckiego. Teruci to groźny i niebezpieczny przeciwnik.

Porucznik Mannock uciekł z rąk japońskich podczas transportu z Surabaja do obozu jeńców. Przedostał się na zachodni kraniec Jawy i tam zorganizował oddział. Teraz, po akcji w Tarakuk, Mannock planował obławę na Teruci, chciał się na nim pomścić. Ale McNeill, znający te zamierzenia, sprzeciwił się, a nawet stanowczo odradził, używając swego wielkiego autorytetu. Teruci nie należał do przeciwników, z którymi można się mierzyć w otwartej walce. Był tak strzeżony przez swych żołdaków, że dotarcie do niego przedstawiało problem nie do rozwiązania.

Zęby Shannona obnażyły się jak u warczącego psa. Twarz skurczyła się wściekłością.

- Czuję, że go jeszcze spotkam. A wtedy albo sam zginę, albo go zabiję - powiedział z przerażającym chłodem.

- Nie, Peter. Z tym człowiekiem trzeba postąpić inaczej - zauważył McNeill z ponurym błyskiem oczu.

- Jak?

- Zabicie go w ten sposób nie rozwiązuje sprawy - mówił Alan w zamyśleniu. - Widzisz, mój drogi, mam nadzieję, że jeśli nasza strona wygra wojnę... - zatrzymał się i zacytował: - Dulce bellum inexpertis [114] - tej słabostki, może jedynej, McNeill nie potrafił opanować.

- Alan. Do rzeczy.

- Przepraszam. Ad rem. Otóż mam nadzieję, a nawet więcej niż nadzieję, że wtedy, po wojnie, utworzone zostaną jakieś sądy, trybunały, jakieś organizacje zajmujące się badaniem zbrodni wojennych i karaniem winowajców. Zbrodniarzy zaś typu Teruci należy piętnować publicznie, wyciągnąć na jaw wszystkie ich okrucieństwa, pokazać je światu. Wtedy, mój drogi, może wtedy... ludzie zmagdzieją, przejrzą. Może... pamiętasz, o czym marzył Duval?

- Tak. Żeby już nigdy więcej.

- Oby jego marzenia się kiedyś spełniły - zakończył z niezwykłą powagą McNeill-Clifton, ale natychmiast się rozchmurzył i spytał: - No, Peter, co o tym wszystkim myślisz? Czy tak wyobrażałeś sobie prawdziwego, autentycznego szpiega?

O zmroku Alan zwołał naradę, na której zdecydowano dalsze postępowanie. Przede wszystkim oddział musiał dotrzeć do umówionego miejsca pod Merak, odczekać do wyznaczonego terminu. Później jak sugerował Whittle, należało przedrzeć się aż do wschodnich wybrzeży Jawy. Tam bowiem, w górach, opodal wyniosłego szczytu Semeru, ukryta była radiostacja Australijczyka. Dopiero po nawiązaniu kontaktu z Darwin i otrzymaniu odpowiednich instrukcji, można było układać plany dla Mannoeka i rozmyślać nad sposobem przedarcia się trójki z Pasir Pandziang do Australii.

Whittle zaznajomił również obecnych z sytuacją na frontach dalekowschodnich. Japończycy zdążyli już zająć wszystkie wyspy Archipelagu Malajskiego - od Jawy aż po Timor. W ten sposób, włącznie z innymi desantami na południowo-zachodnim Pacyfiku, stworzyli pierścień dokoła Australii i zagrozili jej bezpośrednio. Szczęściem oddziały amerykańskie zdołały wylądować na Nowych Hebrydach oraz w Nowej Kaledonii i zapewnić względnie swobodną linię dostaw z Ameryki do Australii. Po straszliwych zaś klęskach alianckich flot w obronie Holenderskich Indii Wschodnich, nastąpił pewien zwrot w wojnie morskiej. Bitwa na Morzu Koralowym, rozegrana w maju, powstrzymała pochód wroga ku drodze komunikacyjnej Stany Zjednoczone-Australia. Punktem zaś zwrotnym stała się bitwa na Środkowym Pacyfiku, w której po raz pierwszy flota japońska poniosła klęskę.

- Trudno dojrzeć jeszcze jutrzeńkę zwycięstwa, ale niebo niewątpliwie się rozjaśnia - powiedział z poetycką przesadą Whittle.

Dla zbiegów z Pasir Pandziang najważniejsze było to, że trzeba wykluczyć możliwość kolejnych „skoków” poprzez Bali, Sambawa, Flores i Timor do Australii. Na wyspach tych, znajdujących się niejako w pierwszej linii frontu, nie można było obecnie znaleźć żadnego punktu oparcia i żadnej pomocy.

- Audaces fortuna iuvat [115] - oznajmił niepoprawny McNeill na zakończenie konferencji i dorzucił natychmiast inne przysłowie po niemiecku, ku wielkiemu niezadowoleniu Shannona, czującego uzasadnioną niechęć do Trzeciej Rzeszy: - Geht's nich so, so geht's vielleicht anders [116].

- Mów po ludzku - upomniał go ze złością Tanner.

McNeill wyjaśnił znaczenie przysłowia, ale nie wyjaśnił, co miał na myśli. Natomiast przed samym odmarszem przeprowadził długą rozmowę w cztery oczy z Whittlem, w czasie której kilkakrotnie spoglądał znacząco w stronę Shannona. McNeill-Clifton, chociaż oznajmił poprzednio uroczyście, że tajemnice przestały być tajemnicami, znów krył w zanadrzu jakiś projekt, jakąś nową... tajemnicę.

- Przyzwyczajenie jest drugą naturą - mruknął rozczarowany Peter, nie orientując się, że i on zaraził się od przyjaciela nieszkodliwą manią.

- A natura. ciągnie wilka do lasu - dodał Alan i obaj zanieśli się długim, serdecznym śmiechem.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Następnego dnia oddział dotarł do wyznaczonego punktu zbornego i zapadł w dżungli, czekając na pojawienie się reszty partyzantów. Jak donieśli rozesłani przez Mannoeka zwiadowcy, w okolicy panował spokój, chociaż doszły już tutaj wieści o akcji pod Tarakuk, a Japończycy w Merak byli zaalarmowani i wybierali się ruszyć z pomocą obławie, organizowanej o trzydzieści kilometrów dalej. Przewidywania Shannona okazały się słuszne. Nikt nie zamierzał szukać partyzantów w miejscu, gdzie ich nie znaleziono przed dwoma dniami.

W dzień później połączył się z nimi Tommy z dziewięciu ludźmi, bowiem jednego stracił w walkach pod Tarakuk. Natomiast z pięciu przewodników wróciło tylko dwóch, meldując, że uwolnieni i przeprowadzeni do wioski jeńcy zostali skierowani dalej w głąb kraju i prawdopodobnie uniknęli obławy.

- To bardzo pomyślna wiadomość – powiedział McNeill. - Gdyby ich Teruci dostał w pazury...
- Taii Teruci Amado - wyrzekł uroczyście Mannoek. - Ten człowiek zginie z moich rąk i to niedługo. - Tak, pułkownik Clifton, teraz wypadnie nam się rozstać.
- Co zamierza pan robić, Mannoek?
- Szukać Teruci! Odnajdę go, choćbym miał stracić wszystkich ludzi, choćbym sam zginął!
- Poruczniku Mannoek! Teraz ja wydaję rozkazy, a pan ich słucha!

Raz jeszcze McNeill-Clifton zwołał odprawę, która ograniczyła się do wydania przez niego rozkazów. Całość miała dalej przedzierać się na wschód, aż do kryjówki z radiostacją Whittle'a. Zadanie było trudne ze względu na gęstość zaludnienia Jawy, obecność dużych formacji japońskich i kłopoty z wyszukiwaniem kryjówek i schronienia. Jawajskie dżungle to nie gęszcze Sumatry, a kilkudziesięciu ludzi, którzy co chwila musieli pokazywać się na otwartej przestrzeni, z łatwością mogło zostać wykrytych. Ale za to na wschodzie wyspy znajdowały się tereny dogodne dla partyzantki. Walkę zaś z wrogiem należało obecnie poprowadzić w bardziej zorganizowany sposób, powodując się instrukcjami radiowymi i nawiązując łączność z innymi oddziałami.

- Nie pójdziesz na poszukiwania Teruci, Mannoek. Twoi ludzie będą mi prawdopodobnie bardzo potrzebni. - powiedział McNeill-Clifton. - Być może poproszę cię o pomoc i to poważną.
- Jestem do dyspozycji - odparł prężąc się Mannoek. - Nigdy nie zapomnę o waszej współpracy pod Tarakuk. Bez was przedsięwzięcie nie miałoby szans powodzenia.

Holenderski porucznik mówił z przekonaniem, twarz jego wyrażała szczerą, ale McNeill, nader bystry obserwator, domyślił się bez trudu, że Mannoek coś ukrywał, nie był zadowolony z otrzymanego rozkazu, trapił się jakimś problemem i, być może, układał własne plany.

- Bez twego oddziału moje plany mogą wziąć w łeb - podkreślił McNeill.
- O co chodzi, pułkowniku?

Alan pokręcił głową.

- Człowiek ma język od tego... Nie, tego wyrażenia więcej nie użyję, bo Shannon gotów mnie zamordować przy użyciu tortury bambusowej. Chodzi o to, że... na razie nic więcej nie powiem.

Ruszamy w drogę. Prowadź, Paul, ty najlepiej znasz teren. Później przewodnictwo obejmie Whittle.

Wędrówka poprzez centralną Jawę trwała długo, przeciągnęła się do kilku tygodni. Gdy oddział posuwał się gęstą dżunglą, maszerował w dzień i przebywał kilkanaście kilometrów na dobę. Gdy jednak wydostano się na otwarte górzyste przestrzenie, usiane licznymi osadami i miasteczkami, zachowywać trzeba było daleko idącą ostrożność. Partyzanci zapadali nad ranem w jakiejś upatrzonej kryjówce, przesypiali dzień i ruszali dalej o zmroku.

Przed oddziałem, z boków i z tyłu, stale kręcili się zwiadowcy, śledzili okolicę, donosili o rozmieszczeniu japońskich garnizonów, o ruchu na drogach, o nastrojach ludności. Kilkakrotnie natknięto się mimo tej przezorności na bite drogi, po których akurat przejeżdżały zmotoryzowane kolumny japońskie, ale w porę cofnięto się w tył. Raz napotkano spory patrol nieprzyjaciela i uniknięto niebezpieczeństwa w ostatnim momencie, chociaż Mannoek chciał rzucić ludzi do walki i przejść do przodu po trupach wrogów. Powstrzymany został przez McNeilla, który pragnął za wszelką cenę uniknąć starcia dla zachowania tajemnicy.

- Gdyby choć jeden zwał cało, doniósłby, komu należy, i wpadlibyśmy w potrzask. Użyjesz sobie na wschodzie wyspy, Paul. Aż nadto.

- Mnie nie obchodzi wschód. Mnie obchodzi co innego.

Czasem natrafiano na linie kolejowe, widywano przejeżdżające pociągi osobowe i towarowe. Pewnego dnia napędziły im strachu przelatujące dosyć nisko samoloty, gdy znajdowali się na otwartej przestrzeni. Przypadli do ziemi i leżeli nieruchomo, podczas gdy japońskie maszyny, które Peter rozpoznał jako dwumiejscowe Aici 99 „Val”, używane do bombardowania nurkowego lub treningu, przeszły im nad głowami i pomknęły dalej, nie zbacząc z kursu.

Zdobywanie jedzenia i wody stało się prawdziwym problemem. Radzono sobie z tym jakoś, wykradano żywność, bądź otrzymywano ją od przyjaźnie usposobionej do partyzantów ludności malajskiej. Często jednak głodowano, cierpiano męki pragnienia. Ludzie wyczerpywali się, kilku poważnie się rozchorowało, co oczywiście opóźniło pochód. Jednego z byłych jeńców z Tarakuk musiano pozostawić w którejś z wiosek - stan jego był bardzo ciężki.

Wreszcie jednak, gdy teren począł wznosić się wyżej i wyżej, a w oddali ukazał się wyniosły szczyt Semeru, sięgający niemal trzech tysięcy siedmiuset metrów, Whittle oznajmił z zadowoleniem, że był w „domu” i gotów jest poprowadzić oddział w pobliże swej kryjówki. Okolica stawała się coraz dziksza. Nagie, poszarpane, wulkaniczne skały, wysokie wzgórza, pokryte rzadką roślinnością, głębokie doliny, wąwozy i rozpadliny. W terenie tym mały major poruszał się z zadziwiającą pewnością siebie, nieomylnie wyszukiwał właściwą drogę w usypiskach i pomiędzy ogromnymi, omszałymi głazami.

- Tutaj rozbijemy obóz na dłuższy czas - oświadczył trzeciego dnia po objęciu dowództwa.

Znaleźli się na skraju głębokiej doliny, wijącej się zygzakowato i rozwidlającej w dwóch miejscach. Na dnie płynął strumyk, dokoła nie widniał żaden ślad ludzkiej obecności. Teren był wymarły, odstraszący i pustynny, przygnębiający szarzyzną skał i wyblakłą zielenią rzadkich krzewów. Ale z wyniosłości, górującej nad doliną, bez trudu ogarnąć można było wzrokiem wszystko w promieniu kilkunastu kilometrów.

- Poruczniku Mannoek. Proszę się rozejrzeć, zabezpieczyć wyloty doliny, wystawić czaty. Na tym wzgórzu powinien stale znajdować się posterunek. Harry - major Whittle zwrócił się do McNeilla-



Cliftona. - Czy chcesz iść ze mną zaraz?

- Tam - McNeill wyciągnął rękę ku widniejącej na horyzoncie linii lasu - tam jest to... no, rozumiesz, o czym myślę, Charlie?

- Tak, tam. Ale najpierw co innego.

- Gdzie was niesie, Alan? - zaniepokoił się Tanner. - Może i ja się z wami przejdę? Przydam się - poklepał znacząco dwie kabury pistoletów, sporządzone własnoręcznie z grubego, szorstkiego płótna i zwisające nisko na biodrach. - Jeżeli spotkamy „żółtków”, wytlukę ich jak karaluchy!

- Quam parva sapientia mundus regitur [117] - westchnął McNeill. - Czasem trzeba ludzi zabijać, by innych nie zabijali. Ale nie pójdziesz z nami, Geoff. Powiem otwarcie, że chodzi o radiostację. Sprawa poważna, a tajemnica musi być zachowana. Im mniej ludzi zna położenie krótkofalówki, tym lepiej dla wszystkich.

- Wrócimy za jakieś dwa dni. Czekajcie tutaj, bądźcie ostrożni - dodał na odchodnym major Whittle. - Nie wiem, czy Japończycy nie podsunęli gdzieś tutaj jakichś oddziałów w czasie mojej nieobecności. Wiem natomiast, że o dwadzieścia kilometrów stąd, na zachód, jest ich lotnisko - wskazał ten sam kierunek, co poprzednio McNeill. - Patrole mogą docierać aż tutaj. Jeżeli zaś wypatrzą was samoloty, będzie marnie.

Po chwili do uszu pozostałych w obozie ludzi doleciały stopniowo cichnące słowa McNeilla, recytującego zaimprovizowaną przez siebie zwrotkę wierszyka o małych Murzynkach:

Three little Nigger boys

Looking for bamboo,

One got lost

And then there were two...[118]

W cztery dni później do obozowiska powrócił Charley Whittle, ale sam. Był bezgranicznie wyczerpany, ślaniał się na nogach, koszulkę i szorty miał poszarpane w strzępy. W oczach widniał wyraz bezbrzeżnej rozpacz i zgrozy, twarz porały pionowe bruzdy, we włosach pojawiły się pasemka siwizny. Postarzał się o dziesięć lat, przychylił i przygarbił.

Bez słowa zbliżył się do grupki partyzantów rozłożonej w głębi doliny, opadł na trawę. Zwiesił głowę i przez długi czas trwał bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w szemrzącym opodal strumyku.

Otoczono go kołem, a gdy podniósł głowę, napotkał pytające, zatrwożone spojrzenia kolegów.

- Gdzie McNeill? Gdzie Alan? - rzucił jednym tchem Shannon.

Przeciścił gardło, przetarł twarz.

- Niestety - wyrzekł głucho.

- Ranny? W niewoli? - gorączkował się Tanner. Potrząsnął głową.

- Japończycy?

- Tak. Teruci...

- Teruci? Jak to się stało? Mów, majorze, na litość boską mów!

Whittle opanował się ogromnym wysiłkiem woli, obmył twarz z brudu, wytarł dłonie o podarte szorty, siadł na kamieniu.

- Powiem wszystko od początku — mruknął.

Mówił powoli, z przestankami. Czasem zdania rwały się, następowały długie przerwy, w czasie

których Whittle wpatrywał się w strumyk niewidzącym, nieprzytomnym wzrokiem. Czasem głos jego mękał do cichego, ledwie dosłyszalnego szeptu.

Do kryjówki z radiostacją doprowadził McNeilla-Cliftona jeszcze pierwszego dnia pod wieczór. Po drodze nie napotkali nikogo, marsz odbył się bez żadnych przeszkód, był po prostu długą i raczej przyjemną przechadzką. Kryjówka znajdowała się w idealnie obranym miejscu. Tak idealnie, że pułkownik Clifton nawet z odległości kilku kroków nie zdołał dostrzec wejścia do jaskini ukrytej na górskim zboczu pomiędzy wielkimi wulkanicznymi głazami.

Radiostację zastali całą i nienaruszoną. Obok niej stały puszki z konserwami, pozostawione przez przewidującego Whittle'a. Uruchomili krótkofalówkę i wkrótce nawiązali kontakt z centralą w Darwin. Złożyli meldunek, dokładnie wyjaśnili sytuację, poprosili o instrukcje. Kazano im wyłączyć się i nasłuchiwać wezwania centrali w godzinę później.

Wykorzystali przerwę dla sprawdzenia, czy w okolicy panował spokój. Powrócili do jaskini, uraczyli się puszką doskonałej australijskiej wołowiny, otworzyli drugą puszkę, zawierającą morelowy kompot. Clifton nie mógł się nacieszyć pierwszym „ludzkim” posiłkiem po wielotygodniowym poście. Później uruchomili radiostację i w czasie drugiej rozmowy z Darwin otrzymali rozkazy.

- Harry spodziewał się, że wysłany zostanie po was samolot - powiedział Whittle do Shannona i Tannera. - Myślał o tym sposobie wydostania się z Jawy jeszcze przed kilku tygodniami, oczywiście po akcji pod Tarakuk. Oczywiście.. - powtórzył major bezradnie.

- No i co? - rzucił Geoffrey, zdenerwowany przedłużającym się opowiadaniem.

- No i nic - uciął Whittle.

- Jak to?

- Okropny brak sprzętu. Groźba inwazji. Nie stać ich na wysłanie ani jednej maszyny...

Instrukcje centrali w Darwin były wyraźne. Porucznik Paul Mannock miał pozostać na wschodzie Jawy i połączyć się z grupą kapitana o pseudonimie „Black Widow” [119]. Centrala miała wkrótce przekazać dalsze rozkazy, dotyczące wzmożenia akcji partyzanckiej w tej okolicy, a specjalnie dywersji w stosunku do nieprzyjacielskiego lotnictwa, docierającego z Jawy aż pod brzegi australijskie.

- Pozostać tutaj? Mm... zobaczymy - mruknął Mannock dziwnym tonem.

Jak powiadomiła centrala, major Whittle pełnić winien dotychczasowe obowiązki, wystrzegając się powtórnego schwytania. Radiostację należało często przenosić z miejsca na miejsce, by uniknąć ewentualnego nasłuchu radiowego Japończyków i umiejscowienia tym sposobem krótkofalówki. Centrala zakomunikowała, że kapitan Teruci, o którym w Darwin posiadano sporo świeżych wiadomości, uzyskiwanych w pierwszym rzędzie od „Z dwadzieścia pięć”, przejawiał coraz większą aktywność. Jego kwatera znajdowała się w Surabaja, ale Teruci poruszał się po całej wyspie, bowiem Kemei Tai za wszelką cenę chciała zlikwidować rosnący ruch oporu i działalność agentów alianckiego wywiadu.

- Surabaja? - szepnął Mannock z nagłym zaciekawieniem. - W którym miejscu jest jego kwatera?

- Nie wiem. To zresztą mało istotne...

- Jak dla kogo.

Shannon poczynął tracić cierpliwość. Mały major przeciągał opowiadanie, przewlekał je, nudził

zbytecznymi szczegółami i przydługimi wyjaśnieniami.

- Majorze - poprosił. - Niech pan się skraca. Nam chodzi przede wszystkim o Alana!

- Muszę powiedzieć o wszystkim, oczywiście - upierał się Whittle.

Centrala w Darwin postanowiła, że pułkownik Harold Clifton pozostanie na Jawie. Czekają go poważne zadania, chodziło o zgranie i zorganizowanie akcji partyzanckiej, o dobrze zaplanowane ataki na japońskie garnizony, o niszczenie transportów, paraliżowanie linii kolejowych, o unieruchomienie lotnictwa.

- Prędeej, majorze - przynaglił powtórnie Shannon. - Co z Alanem?!

- Zaraz.

Nad ranem następnego dnia, zabezpieczywszy radiostację i posiliwszy się następnymi puszkami konserw, ruszyli w dalszą drogę. Harold Clifton zdecydował, że należy przygotować się do wykonania drugiego wariantu planu, o którym myślał, gdy wypowiadał niemieckie przysłowie „Geht's nicht so, so geht's vielleicht anders”. Plan ten był zgodny z instrukcjami z Darwin, wymagał jednak przeprowadzenia rozpoznania.

Poszli w kierunku zachodnim, dotarli do gęstego lasu, widocznego nawet z obozowiska partyzantów nad strumykiem. Clifton, mimo niezbyt miłych dla niego rozkazów centrali, był w doskonałym humorze. Dowcipkował, opowiadał o przeżyciach w dżungli, barwnie opisał ceremonię zaślubin Alcocka z sumatrzeńską pięknoscią. Sypał przysłowiami, łacińskimi sentencjami, odgrażał się, że w powrotnej drodze spustoszy spiżarnię w kryjówce Whittle'a i rozchoruje się z obżarstwa. Improwizował wierszyki, powtarzał w kółko zwrotki o dziesięciu małych Murzynkach.

Maszerowali już pół godziny przez las, gdy natknęli się na przecinającą go szosę. Rozejrzeli się bacznie, wyszli z gąszczy i w tym właśnie momencie zza zakrętu niespodziewanie wypadły japońskie samochody. Osobowy wóz na przedzie, za nim trzy ciężarówki wypełnione żołnierzami. Whittle momentalnie uskoczył w bok i zaszył się w krzakach. To samo chciał uczynić Clifton, ale celny strzał karabinowy rzucił nim o ziemię. Whittle widział z ukrycia, jak przyjaciel usiłował się podnieść, jak doskoczyli do niego żołnierze, doprowadzili do osobowego wozu, wrzucili do wnętrza. Samochody ruszyły i znikły za następnym zakrętem szosy.

- Co dalej, majorze, co dalej?! - napierał Shannon.

- Postanowiłem iść za nimi. Nie miałem wielkiej nadziei dogonienia, ale przecież nie mogłem pozostawić Harry'ego w ich rękach. Zresztą spodziewałem się, że Japończycy zatrzymają się gdzieś na postój.

Przez kilka godzin podążał wytężonym marszem. Potem szosa urwała się i przeszła w miękką drogę, na której wyraźnie widniały świeże ślady samochodowych opon. Whittle szedł dalej, nie zatrzymał się i w nocy. Następnego dnia rano dotarł do miejsca, gdzie Japończycy zatrzymali się na biwak. Przy drodze znajdował się udeptany placyk, wygaszone ognisko, walały się puste puszki po konserwach i niedopałki papierosów. Na środku placyku... major Whittle zatrzęsł się, zacisnął pięści, aż posiniały kostki palców, potem przetaił czoło zmęczonym, nieporadnym ruchem.

- Na placyku leżał Harry. Nagi... rozkrzyżowany... martwy...

Kończyny pułkownika Cliftona przywiązane były do wbitych w ziemię palików. Z jego ciała sterczały w kilku miejscach ostre igły bambusowych pędów.

- Tortura bambusowa - szepnął głucho Peter.

Whittle jednym skokiem przebył placyk, nachylił się nad zwłokami. Jakimś nadludzkim wysiłkiem Harold Clifton zdołał uwolnić prawą rękę z więzów. Oswobodził ją, by ryjąc palcem w ziemi narysować kilka wyrazów: „Nie wygadałem. To był Teru...”

- Teruci... Teruci... - powtarzał jak w transie Peter. - Ciągłe Teruci...

Z oddali dobiegł przyciszony szmer lotniczych silników. Nad ciemną linią lasu, widoczną na horyzoncie poprzez otwór wylotu doliny, pokazały się krążące punkciki japońskich samolotów.

- Majorze Whittle, jak mamy się dostać do Australii? - spytał Peter znużonym, głuchym głosem.

Charley Whittle wyprostował się. Przez chwilę wsłuchiwał się w szum motorów, potem utkwiał w lotniku przenikliwy wzrok.

- Drogą powietrzną, poruczniku Shannon. Wiem, że jesteś doskonałym pilotem, Shannon. Czy podejmiesz się poprowadzić japoński samolot?

## ROZDZIAŁ XXIX

Peter Shannon i Geoffrey Tanner leżeli płasko na ziemi, tulili się do niej, przyciskali. Gdyby mogli, zaryliby się pod powierzchnię jak krety, nałożyli czapki--niewidki. Idealne ukrycie się stanowiło o życiu lub śmierci.

Przed sobą mieli gąszcz krzaków, ale porozsuwali gałązki w ten sposób, że utworzyło się niewielkie okienko, dające doskonały wgląd w rozciągający się z przodu teren. O kilkanaście metrów przed ich pozycją rozpoczynała się otwarta przestrzeń lotniska. Długi i wąski prostokąt, pokryty zielenią, niewysoką trawą. Z lewej strony leżących, przed dwoma drewnianymi, rozłożystymi hangarami, stały w rzędzie smukłe, jednosilnikowe dolnopłaty. Dokoła samolotów ospale kręcili się mechanicy. Jedna z tych maszyn, jak przewidywał plan, winna zanieść parę uciekinierów do ostatecznego celu, winna przebyć ogromny dystans tysiąca trzystu kilometrów, dzielących jawajskie lotnisko od zachodnich wybrzeży Australii.

Rozpoznanie pola wzlotów i ostateczne przygotowanie akcji zajęły pełny tydzień, w czasie którego Whittle, „Tiger”, Tommy oraz Shannon z Tannerem po kryjomu krążyli dokoła lotniska, badali jego położenie, szkicowali okolicę, utrwalali na papierze rozlokowanie baraków, hangarów, wartowni i składów, starali się poznać stan garnizonu i rozkład dnia, godziny zmian warty, czas startów i lądowań samolotów.

W robocie tej Mannock nie brał udziału. Holenderski porucznik w godzinę po usłyszeniu wiadomości o storturowaniu pułkownika Cliftona przez Teruci ulotnił się bez pożegnania, przekazując dowództwo oddziału w ręce „Tigera”. Nikt nie miał wątpliwości co do kierunku, w jakim ruszył Mannock. Nienawiść do Teruci zwyciężyła w nim poczucie obowiązku. Ale nikt, nawet major Whittle, nie ośmielił się potępić postępków Holendra. Wiedzano, że istnieją granice ludzkiej wytrzymałości, i każdy zdawał sobie sprawę, że na miejscu Mannocka postąpiłby pewnie tak samo.

Peter odwrócił głowę i przelotnie uśmiechnął się do Geoffreya, który odwzajemnił uśmiech. Shannon odczuwał wielką ulgę, mając przyjaciela u boku. Kto wie, czy bez niego zdecydowałby się na akcję i nie wycofał się w ostatnim momencie? Planowany atak był bardzo ryzykowny, a chociaż został obmyślany w najdrobniejszych szczegółach przez majora Whittle'a, mógł zakończyć się niepowodzeniem, nawet klęską. Stawką zaś było nie tylko wykradnięcie samolotu, ale również zadanie strat nieprzyjacielowi i, jeśli możliwe, unieruchomienie całego lotniska.

Było jeszcze bardzo wcześnie, lotnisko wciąż pogrążone było we śnie, a mechanicy przy samolotach poruszali się ospale, mieli najwidoczniej sporo czasu. Wyciągano z hangarów coraz nowe maszyny, rozpoczynano codzienny przegląd i podgrzewanie silników.

Peter wpatrzył się w samolot, stojący na lewym skraju szeregu. Aici 99 „Val”. Maszyna ta, jak wiedział Shannon, posiadała zasięg tysiąca czterystu kilometrów, powinna więc bez trudu dolecieć do Australii, o ile...

„Czy w ogóle do niej dobiegniemy? Czy zdążymy wejść do kabiny? Jak zapuścić silnik? Jak wystartować? Czy połapię się w urządzeniu kabiny? Czy będzie dość czasu?”

Przedsięwzięcie wydawało mu się coraz trudniejsze. Lotniska strzeżono bez porównania lepiej niż obozu pod Tarakuk. Po rogach wznosiły się solidne wieże wartownicze, a w nich tkwiło po dwóch żołnierzy przy karabinach maszynowych. Całe pole wzlotów otoczono ogrodzeniem z kolczastego drutu, od strony lasu ciągnęły się dwie dodatkowe linie zasieków. Ta ostatnia przeszkoda została już praktycznie pokonana. Poprzedniej nocy Tommy, wijąc się poprzez gąszcz lasu jak wąż, zręcznie i bezgłośnie poprzecinał druty, rozsunął je i zaznaczył utworzone przejście maleńkimi skrawkami czerwonego materiału, powiewającymi teraz tuż na wprost kryjówek. Ale inne przeszkody były znacznie poważniejsze. Na dachu prawego hangaru widniało stanowisko karabinów maszynowych. Baraki obsługi lotniska i personelu latającego, mieszczące się po przeciwnej stronie, strzeżone były przez liczne posterunki i patrole, koło solidnej bramy ogrodzenia stał jeszcze jeden budynek wartowniczy - betonowy bunkier. Na południowym krańcu pasa wzlotów dostrzec można było również betonowy bunkier, szczerzący wyloty luf broni maszynowej na wszystkie strony. W południowo-zachodnim rogu, daleko za barakami mieszkalnymi, poza dodatkowym ogrodzeniem, widniały rzędy metalowych beczek. Była to składnica paliwa, obiekt otaczany szczególną opieką Japończyków i szczególnym zainteresowaniem Whittle'a.

Zygzakowate okopy, kilka samochodów pancernych, stanowiska moździerzy - wszystko to wskazywało na fakt, iż Japończycy nie pozostawili nic na los przypadku. Może Kemei Tai ostrzegło dowództwo lotniska o ruchach partyzanckich, może szykowano się do odparcia spodziewanego ataku, przygotowywano do zlikwidowania czających się napastników? Może zaś były to normalne ostrożności, niezbędne w obcym, wrogim terenie?

Peter omiół wzrokiem całą okolice. Poza krzątaniem mechaników przed hangarami i normalnym, rozpoczynającym się ruchem dokoła mieszkalnych baraków, panował zupełny spokój. Panował... jeszcze. Akcję zaplanowano na godzinę szóstą rano, pozostawało sporo czasu. Shannon z trudem opanowywał narastające zdenerwowanie. Dałby wiele, by mieć pewność, że wszyscy znajdowali się już na wyznaczonych miejscach, że byli gotowi. Czy czuli się równie podnieceni i niespokojni jak on? Plan Whittle'a był niewątpliwie dobry, ale czy tak dobry, jak plan McNeilla? Zgranie w czasie! To był najważniejszy element, decydował o powodzeniu lub klęsce. Przewidywano, że gdy zaskoczeni i zdezorientowani Japończycy zwiążą się w ogniowej walce z nacierającymi od lasu partyzantami, Shannon i Tanner uzyskają kilka minut na dopadnięcie do maszyny i uruchomienie silnika. Kilka cennych minut, wypracowanych przez innych, sto dwadzieścia, może sto osiemdziesiąt sekund. Mogło wystarczyć, ale... Tych „ale” było aż nazbyt wiele i Peter potrząsnął głową, starając się odpędzić opadające go wątpliwości. Miał to być już ostatni krok, ostatni wysiłek, ale... „Finis coronat opus” [120] - przebiegło mu przez myśl łacińskie przysłowie, którego z pewnością użyłby Alan McNeill, ale... nawet jeżeli wszystko się jakimś cudem powiedzie, jak poradzić sobie z obcą maszyną, jak wynawigować ponad ogromną przestrzenią oceanu? Czy w zbiorniki Aici nalano do pełna benzyny? Czy nie wydarzy się jakiś defekt? Czy wykradzionego samolotu nie dopędzą patrolujące myśliwce wroga? Czy nie zestrzelą go własne maszyny u wybrzeży Australii? Centrala w Darwin była, co prawda, powiadomiona o projekcie ataku, ale ze zrozumiałych względów Whittle nie mógł przekazać dokładnej daty i godziny akcji, a tym bardziej godziny ewentualnego przylotu Shannona i Tannera do Australii.

„Szczęście i przypadek... Przypadek i szczęście” - powracało uporczywie do głowy Petera.

Geoffrey poruszył się nieznacznie, przekręcił na bok. Peter dostrzegł kątem oka, jak Australijczyk powoli wyciągał swe ukochane pistolety - dwa bliźniacze „colty”, oglądał je uważnie, chował i

sprawdzał, czy gładko wysuwają się z nowych kabur, tym razem skórzanych. Shannon sprawdził „smith and wesson”. W zwalczaniu obsługi przy hangarach i unieszkodliwieniu stanowiska na dachu nikt im nie pomoże, muszą poradzić sobie sami, wszyscy ludzie potrzebni byli po drugiej stronie lotniska. Mechaników zaś było wielu, aż nazbyt wielu, chociaż nie znano dokładnie ich liczby. Nie udało się sprawdzić stanu garnizonu i obsługi technicznej.

Od strony baraków mieszkalnych doleciał odgłos zapuszczonego motoru samochodowego. Peter nieco uniósł głowę. Osobowe auto ruszało z miejsca i kierowało się ku hangarom. Po chwili przejechało w poprzek pola wzlotów i zatrzymało się opodal samolotów. Wyszedł z niego mężczyzna w oficerskim mundurze, zagadał do mechaników, znikł we wnętrzu przybudówki hangaru.

„Jeżeli mają zaraz jakieś loty, wszystko przepadło”.

Po chwili warknął silnik jednego z samolotów, śmigło poruszyło się, promienie słoneczne odbiły się o jego połyskujący krąg. Mechanicy kolejno wypróbowywali pracę motorów, podgrzewali je, trzymali na pełnym gazie, sprawdzali iskrowniki, a potem zmniejszali stopniowo gaz. Ryk przechodził w łagodne pomrukiwanie, wreszcie cichł zupełnie. Mechanicy, nie spiesząc się, odstępowali od maszyn, wchodzili do hangarów i tylko przy skrajnie prawym Aici pozostało trzech ludzi, męcząc się nad jakimś defektem.

„Hell and damnation! - Zaklął w duchu Peter. - To nasza maszyna! Najbliższa! Do innych nie zdążymy”.

A w moment później przyszła następna myśl:

„Ilu «żółtków» siedzi w hangarze? Dziesięciu, piętnastu, trzydziestu? Geoff jest geniuszem, ale i on nie poradzi... nic z tego, nie uda się”.

Mechanicy uporali się z reperacją. Odeszli od samolotu, zapalili papierosy. Peter spojrzął na Tannera, ten skinął głową. Sprzężyli się do skoku. Nie mieli zegarka, ale domyślali się, że nadchodziła decydująca chwila.

Pierwsze wystrzały zabrzmiały tak donośnie i tak, mimo wszystko, niespodziewanie, że Peter podskoczył z wrażenia. „Tiger”, atakujący z lasu od zachodu, nie szczędził amunicji, której miał aż nadto. Serie automatów, przeplatające się z pojedynczymi karabinowymi wystrzałami, rozlegały się jedna po drugiej, łączyły w przeciągły grzechocący łoskot. Peter widział na tle ciemnej linii lasu błyskające ogniki i ich położenia domyślił się, że „Tiger” rozproszył ludzi na sporej przestrzeni, by wywołać złudzenie poważnej siły. Było to mądre posunięcie taktyczne, ale nie przstraszyło Japończyków. Załoga lotniska otrząsnęła się z zaskoczenia i po kilkunastu sekundach energicznie i sprawnie zabrała do obrony. Słychać było głębokie, długie serie ciężkich karabinów maszynowych, bijących w las, żołnierze, wybiegający z baraków, karnie zajmowali stanowiska w okopach za ogrodzeniem. Bardziej w prawo, bliżej kryjówki Shannona i Tannera, było jeszcze cicho, ale wkrótce i stamtąd poczęły padać strzały. To major Whittle z kilku Holendrami atakował ogniem wieże wartownicze i starał się ściągnąć na siebie uwagę obrońców.

Peter bardziej odczuł, niż zobaczył, jak Geoffrey podniósł się i szykował do biegu. Powstrzymał Australijczyka ruchem dłoni.

- Zaraz, Geoff. Jeszcze chwila...

Od strony otwartej przestrzeni na południowo-zachodnim krańcu lotniska doszły odgłosy eksplozji, ukazały się pomarańczowe płomienie, wzbity w górę słupy ziemi.

- Tommy! Równy chłop! Nie nawalił. By Jove, nie nawalił - gorączkował się Geoffrey.

Tylko jeden Tommy był zdolny do podobnego wyczynu. Zwiadowca wraz z kilku dobranymi

przez siebie Jawajczykami podczołgał się niespostrzeżenie pod składnice paliwa i ciskał ponad kolczastymi zasiekami wiązki granatów, pozostałych z ekspedycji do Tarakuk. To posunięcie przyniosło natychmiastowy skutek. Nad składnicą ukazały się czarne, gęste zwały dymu, trysnęły w niebo języki ognia, a potem beczki wybuchały jedna po drugiej z ogłuszającym hukiem, rozlewając dokoła morze pożaru i siejąc zamęt pośród Japończyków.

- Jazda, Geoff! Teraz! - zawołał Peter.

Wypadli z gęstwiny i zgięci w pół, z pistoletami gotowymi do strzału, puścili się ku hangarom. Przedarli się przez otwór wycięty w drutach, poszarpali ubranie, pokaleczyli się dotkliwie, ale nie zwolnili pędu. Grupka mechaników, która wyskoczyła z hangarów, stała niezdecydowana, wykrzykiwała gorączkowo, spoglądała to ku płonącej składnicy paliwa, to ku mieszkalnym barakom, skąd dochodziła coraz gęstsza strzelanina. Nikt nie zauważył nadbiegających.

„Ośmiu... w hangarach jest pewnie więcej...”

Japończycy poczęli rozglądać się za bronią. Kilku wydobyło pistolety, inni podbiegali do ściany hangaru po karabiny ze stojaka. Tanner wymierzył i błyskawicznie oddał dziewięć strzałów z „colta” trzymanego w prawej ręce. Pięciu ludzi zważyło się na ziemię, pozostali rozproszyli się i znikli za rogiem hangaru. Geoffrey przystanął podniósł głowę w górę, podniósł lewą rękę. Huknęły strzały, z dachu ześliznęli się dwaj żołnierze ze stanowiska cekaemu.

- Do maszyny! - wrzasnął przeraźliwie Peter, strzelając w biegu do jakiegoś mechanika, który pokazał się we wrotach hangaru. - Geoff! Podstawki spod kół, prędko!

Tanner wsunął do kabury opróżniony z pocisków „colt”, rzucił się ku podwoziu samolotu, schował drugiego „colta”, szarpnął za linki przytwierdzone do drewnianych podstawek. Peter dobiegł do płatowca, gdy zza rogu hangaru buchnęły strzały, a po pokryciu maszyny zadudniły pociski. Shannon odwrócił się i trzykrotnie wypalił. Karabin Japończyka umilkł.

Stawiał już nogę na krawędzi skrzydła, kiedy z przybudówki wybiegł w pośpiechu japoński oficer. Trzymał w dłoniach dwa pistolety i pędził prosto ku uciekinierom. Przez krótki ułamek sekundy Peterowi wydawało się, że to jego kolega ze szkoły, Kirujamo Dekko. Połapał się momentalnie, ale wahanie go zgubiło. Huknął pistolet Japończyka, Shannon poczuł uderzenie w lewe ramię. Zatoczył się, z tyłu za nim rozległ się strzał Geoffreya i wrogi lotnik upadł płasko na ziemię.

Od przeciwległego krańca lotniska dobiegły wzmożone krzyki obrońców, rozszalała się gęsta strzelanina cekaemów, zabrzmiały wystrzały moździerzy i szybkostrzelnych działek. Natarcie „Tigera” słabo, łamało się w obliczu potężnego ognia.

Tanner doskoczył do ślaniającego się na nogach przyjaciela, na pół uniósł go, wsadził do kabiny.

- Peter! Peter! Dasz radę?

- Tak... tttak...

Tanner wyszarpnął mu z zaciśniętej kurczowo dłoni „smith and wesson”. Peter opanował zawrót głowy i bezwład ciała. Gorączkowo rozejrzał się po kabynie, odnalazł wyłącznik starteru, przycisnął. Syknął z bólu, położył dłoń na dźwigni gazu. Śmigło obróciło się, prychnęły spaliny z rur wydechowych. Silnik podchwycił, a Geoffrey Tanner, wychylony z tylnej kabiny ostatnimi pociskami z pistoletu kolegi uciszał ogień kilku mechaników, kryjących się pod ścianami hangaru i odważnie próbujących powstrzymać ucieczkę.

Peter szarpnął dźwignią gazu. Maszyna drgnęła, skoczyła do przodu. Wykołowawszy o kilkanaście metrów Peter wykręcił samolot naciśnięciem hamulca, dał pełny gaz. Poprzez ryk motoru słyszał głuche serie broni maszynowej, po tylnej części płatowca zabębniły pociski. Nie przerwały



jednak linek sterowych, a maszyna pędziła już wzdłuż wzlotów, coraz bardziej przybliżała się do płonącej składnicy paliwa. Ogon płatowca uniósł się, Peter podciągał drążek i Aici chwiejnie wyszedł w powietrze.

W dole, tuż pod kołami podwozia, przemknęła wieża wartownicza, na niej postać żołnierza z uniesionym w górę automatem. Rozległ się trzask. Geoffrey Tanner oddał jeszcze jeden celny strzał, ostatni strzał na Jawie.

Chwila i lotnisko pozostało za ogonem maszyny. Peter przesunął dźwignię podwozia, nieco zredukował obroty silnika i wyregulował skok śmigła. Gdy wykręcał na kurs, poczuł, że Geoffrey mocno okręcał mu ramię podartą na pasy bawełnianą koszulką. Chciał podziękować, ale słowa nie przeciskały się przez zaschnięte gardło, a szum w głowie i dziwna słabość mroczyły, odbierały przytomność.

„Muszę wytrzymać... muszę... muszę dolecieć...”

Przed oczami tańczyły czarne płatki, dłoń trzęsła się na drążku sterowym, nogi spadały z orczyka. Wiedział, że traci panowanie nad maszyną, że za moment zemdleje, a wtedy nic nie utrzyma samolotu w powietrzu. Walczył ze sobą i... przegrywał.

Owłosiona dłoń Geoffreya pojawiła się tuż przed jego nosem. W dłoni tej widniała niewielka butelka. Tanner przycisnął ją do warg przyjaciela, nachylił.

- Pij, Peter - wołał przekrzykując szum silnika. - Pij, to koniak. Zrabowany Holendrom, znalazłem w kabinie. Pij, pomoże.

Peter łyknął. Rozjaśniło mu się w głowie, płatki znikły.

- Lepiej, Peter?

Skinął głową. Tak, było mu lepiej, ale jak długo potrwa podniecenie koniakiem? Czy wytrzyma cztery godziny trudnego, wyczerpującego pilotowania?

- Co dwadzieścia minut łyk - ryknął Geoffrey, siląc się na humor. - Zanim dolecimy, będziesz pijany jak bela. By Jove, dobry koniak!

W przodzie maszyny ukazał się skalisty brzeg Jawy, za nim bezkres oceanu. Pilot, słabnący z upływu krwi, wiedział, że w odległości tysiąca trzystu kilometrów czekał za widnokregiem zbawczy ląd australijski. Wiedział, że musi wytrzymać, musi dolecieć.

## ROZDZIAŁ XXX

Kasyno oficerskie w Rogala nie było ani zbyt obszerne, ani komfortowe, ale nikt nie spodziewał się luksusów na cejlońskim lotnisku, a baza ta służyła przede wszystkim lotnictwu transportowemu, toteż ludzie nie przebywali w niej dłużej niż kilka dni, oczywiście poza nielicznym personelem stałym.

Flight Lieutenant Peter Shannon, wchodząc do ocienionego pomieszczenia, zdjął czapkę i powiesił w hallu. Postawił w kącie podróżną skórzaną torbę, odświeżył się w umywalni i przeszedł do przestrzennego sitting-room [121].

Było jeszcze wcześniej, w kasynie panowały pustki, tylko w kącie pokoju, przy niewielkim barze, zabawiało się rozmową przy kieliszku kilku młodych oficerów ze skrzydełkami pilota na nowiutkich, idealnie zaprasowanych mundurach.

„Kanadyjczyk, Anglik, Amerykanin, Belg” - ocenił ich po mundurach i naszywkach na ramionach. Przeszedł koło nich obojętnie i zapadł w miękki fotel pod oknem, przesłoniętym siatką moskitiery. Był zmęczony i niewyspany. Całonocny lot z Australii na Cejlon nie był zabawką, nawet dla wielkiej, czterosilnikowej latającej łodzi Short „Sunderland”. Odległość pięciu tysięcy kilometrów z Carnarvon do Kogala przebyto w siedemnaście godzin. Wystartowano po południu, wylądowano następnego dnia przed południem, a załoga płatowca przez długi czas musiała tkwić przy dziesięciu sprzężonych karabinach maszynowych, by odeprzeć ewentualne powietrzne ataki wroga.

Przelot odbył się jednak bez żadnych przeszkód. Raz napotkano samolot idący do Australii i wymieniono z nim sygnały. W kilka godzin później przesunięto się z boku dużego morskiego konwoju, płynącego w poprzek Oceanu Indyjskiego z zachodu na wschód. Wodowano w Kogala, gdzie „Sunderland” miał uzupełnić paliwo i wrócić do Australii z owymi młodymi pilotami, czekającymi przy barze w oficerskim kasynie. Kapitan Shannon, wespół z innymi pasażerami latającej łodzi, przesiąść się miał do innego samolotu, mającego przerzucić ich najpierw do Karaczi w Pakistanie, a później ogromną trasą poprzez Egipt i północną Afrykę do Gibraltaru, wreszcie zaś do Anglii. Organizacja lotnictwa transportowego była w końcu 1942 roku zupełnie już sprawna i wielotysięczne skoki powietrzne odbywano bez większych trudności, przenosząc potrzebny personel z jednej części ziemskiego globu na drugą.

Peter wziął ze stolika jakieś stare czasopismo sprzed kilku miesięcy, rzucił na nie okiem, odłożył na bok i zamówił u przechodzącego kelnera w białym kitlu szklaneczkę wermutu z lodem. Było gorąco i duszno, ale nie odczuwał tego zbyt, nawet się nie poccił. Ostatecznie po doświadczeniach dżungli Sumatry i Jawy tutejszy upał wydawał mu się zabawką, nawet jeśli miało się na sobie mundur, a nie opaskę na biodrach, dostarczoną przez poczciwego Nang Sena.

Shannon ujrzał w wiszącym na ścianie lustrze swe odbicie i mimo woli uśmiechnął się. Trudno było uwierzyć, że ten wysoki, opalony, gładko wygolony kapitan lotnictwa, spokojny i opanowany w

ruchach, poruszający się z leniwą nonszalancją i niedbałością, pozornie zimny i nieprzystępny, przed kilku miesiącami był okaleczonym obdartusem, męczącym się w środku ziemskiego piekła, że przeżywał przygody, w które obecnie sam z trudem wierzył.

Gdyby nie skrzydełka pilota i Distinguished Flying Cross na piersi, można by go wziąć za jednego z dumnych i wyniosłych oficerów zawodowych, którzy po spędzeniu lat w koloniach, nie powąchawszy prochu podczas wojny, wracali do ojczyzny z podbitych przez wroga posiadłości, by postarać się o dogodne i bezpieczne stanowisko w londyńskim sztabie. Widocznie w ten sposób oceniali Shannona młodzi piloci przy barze, bowiem pod jego adresem padały przeróżne wesole i uszczypliwe uwagi, nie zawsze miłe dla ucha, coraz natarczywsze i głośniejsze w miarę wychylania kieliszków.

Peter nie zwracał na nich uwagi. Towarzystwo wcale go nie pociągało, pragnął pozostać sam. Przyjął od kelnera wermut, zapłacił, pociągnął łyk, odstawił szklanekę i zapatrzył się w okno.

Ostatni miesiąc spędził jak w transie i jeszcze teraz wcale nie był pewien, czy cieszyło go powrót do cywilizacji i do świata. Gdy wraz z Geoffreyem Tannerem wylądował wreszcie po dramatycznym przelocie na wybrzeżach australijskich i zdołał wytłumaczyć żołnierzom jakiejś nadbrzeżnej baterii, że jest oficerem Royal Air Force, po prostu zemdłał. Gdy ocknął się, ładowano go, ciągle w towarzystwie Tannera, do transportowego samolotu. Był wtedy tak wyczerpany osłabieniem i pijany koniakiem, którego ostatnią kropelkę wysuszył przed samym lądowaniem, że nie zdołał wykrzesać z siebie iskry entuzjazmu, nie radował się sukcesem, nie obchodziło go nic poza odpoczynkiem i spaniem.

W Melbourne, gdzie wylądował samolot - zresztą ku wielkiej radości Tannera - poddano ich w dowództwie lotnictwa długotrwałemu, uprzejmemu, ale drobiazgowemu badaniu. Chłodny i beznamiętny Group Captain [122] Scott obojętnie wysłuchał ich raportów. Równie chłodny i beznamiętny Flight Lieutenant Jackson obojętnie przyjął pisemne sprawozdania. Ani jeden, ani drugi nie był w stanie pojąć, co kryło się za zwięzłym, formalnym opisem, co naprawdę przeżyli uciekinierzy z Pasir Pandziang.

Później brakło czasu na rozmyślanie i zastanawianie się nad czymkolwiek. Wzięła ich w obroty administracyjna machina. Była sprawna, działała bez zgrzytów, miała doskonale naoliwione tryby i... była bezduszna, jak Scott i Jackson. W przeciągu jednego dnia otrzymali nowe legitymacje oficerskie, nowe książeczki czekowe, zapas gotówki na bieżące wydatki, niezbędny ekwipunek, karty urlopowe, nawet zastępcze mundury, bowiem przywołani krawcy obiecali dostarczyć ubrania dopiero za trzy dni. Tanner nie doczekał się tego terminu, uściśnął mocno dłoń Petera, upewnił się, że przyjaciel odwiedzi go w najbliższym czasie, podał dokładny adres bungalow przy Victoria Street i znikł.

W ogromnym i pełnym ludzi budynku dowództwa Peter pozostał całkowicie osamotniony. Czuł się oszołomiony, kompletnie wytracony z równowagi i bynajmniej nie szczęśliwy. Wewnętrzna pustka dziwiła go i denerwowała. Zakończyło się wielkie przeżycie, wyciskające na zawsze piętno w pamięci, na jego miejscu nie pojawiło się jeszcze nic innego. Peter zapomniał o dawnym normalnym życiu, musiał się go uczyć od nowa, a przystosowanie się do tak zwanej cywilizacji wydało mu się okropnie trudne i wcale nie interesujące. Ludzie dokoła byli mdli, bezbarwni, nieciekawi i wprost nudni ze swymi błahymi problemikami i kłopotami, niewybrednymi uciechami, płytkimi sądami i zainteresowaniami krańcowo odmiennymi od zainteresowań Shannona. Absolutna pustka, którą wypełnić można było tylko stopniowo, powoli, krok za krokiem.

„Zbyt wiele przeżyłem - myślał wtedy Peter. - Za szybkie tempo. Potrzeba mi czasu, żeby

zapomnieć”.

Wiedział jednak, że zapomnieć nigdy nie zdoła.

Z ręką na temblaku wyszedł z budynku dowództwa, zjadł posiłek w jakiejś restauracji, wstąpił do zachwalanego kiedyś przez Geoffreya baru Sailor's Inn, pomyślał o odwiedzeniu przyjaciela, odłożył to do jutra i wrócił do pokoiku w dowództwie. Pustka, samotność, próżnia.

W dwa dni później chłodny i beznamiętny pułkownik Scott oznajmił mu o awansie do stopnia kapitana. Shannon przyjął tę wiadomość obojętnie. W chwili później Group Captain zakomunikował, iż na skutek szyfrowanego rozkazu z Air Ministry [123] w Londynie, kapitan pilot Shannon wysłany zostanie do Anglii, gdzie ma zostać wykładowcą i uczyć na kursach młodych pilotów, udających się na Daleki Wschód, o tajnikach ucieczki poprzez dżunglę, o metodach partyzantów, taktyce japońskich myśliwców, o możliwościach ucieczki z obozu jeńców. I ta wiadomość przyjęta została bez zainteresowania.

- Przepraszam, panie pułkowniku - zwrócił się Peter do Scotia na zakończenie rozmowy. – Gdzie mogę zasięgnąć informacji o pewnym statku?

- O co chodzi, Shannon?'

Peter wyjawiał sprawę „Nigerii”, pułkownik okazał pewną ciekawość i przychylność. Przywołał kapitana Jacksona, polecił porozumieć się z dowództwem marynarki. W pół godziny później adiutant rozkładał bezradnie ręce. Nikt nie wiedział jakie były losy „Nigerii”, nigdzie nie można było dostać jakiegokolwiek wiadomości.

- Może Admiralty w Londynie – sugerował Scott, tłumiąc ziewanie.

Tak więc do pustki i osamotnienia dołączyła się niepewność, gorsza jeszcze niż w dżungli Sumatry i górach Jawy. Skoro nikt nic nie wiedział o „Nigerii”, można było wysnuć odpowiednie wnioski. Brak wiadomości, brak ludzi. Widocznie mimo wszystko rację miał Teruci, nie zaś McNeill. Nikt nie pozostał przy życiu. Zginęła załoga i pasażerowie „Nigerii”, zginęła Elisabeth Shannon. Ale... czy nie pozostawała iskierka nadziei?

W parę dni później odwiedził Tannerów. Poznał Eileen, niewielką i pulchną blondynkę o cukierkowej urodzie i cukierkowatym głosie. Pobawił się z Jackiem i Eve. Wieczorem rozgadał się z przyjacielem wspominając przy butelce whisky dawne „dobre” czasy. Ale słowa ich dziwnie brzmiały w eleganckim bungalow, nie pasowały do otoczenia, raziły.

- By Jove! - zawołał w pewnym momencie Geoffrey, widząc, że butelka została już wypróżniona. Spojrzał na żonę, odchrząknął i ugryzł się w język.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy. Peter, chcąc ją przerwać, zaproponował koledze, by popisał się przed synem strzeleckim kunsztem, jako że w ogródku za bungalowem widniała tarcza, a na ścianie obok dwóch „coltów”, wisiał ćwiczebny pistolet-wiatrówka. Tanner zmieszał się, pokręcił niespokojnie w krześle.

- Widzisz, hm... Eileen nie lubi strzelaniny...

- Przepraszam, nie wiedziałem... No, Geoff, ciekawe, co z tamtymi, prawda? Co z Whittle'm, Tommym, „Tigerem”? Myślę, że Mannock nigdy nie dobrał się do Teruci.

Oczy Geoffreya błysnęły wojowniczo.

- By Jove! Gdybym ja tego łajdaka... - urwał rzucił wzrokiem na Eileen, zamilkł.

Wypili po filiżance kawy, wspomnieli o van Tillen. Geoffrey napomknął o gruszkach miłosnych

Alcocka, ale znów popatrzył bojaźliwie na żonę. Wreszcie Peter spojrział na zegarek, wstał, począł się żegnać. Drogi jego i Tannera rozchodziły się. Geoffrey powrócił do rodziny, do żony i dzieci, był w swej ojczyźnie. Zdołał wypełnić pustkę. Peter ciągle pozostawał zawieszony w próżni. Nie pasował do bungalowu przy Victoria Street, był intruzem. Wspomnienia... tak, mieli wspólne wspomnienia, ale samymi wspomnieniami człowiek żyć nie może. Kalejdoskop się zmienił, a w jego wizerunku Shannon nie dostrzegał nic.

Obiecał przyjść nazajutrz, umówił się z Geoffreyem na powojenną popijawę, opuścił bungalow i nigdy do niego nie wrócił. Przez tydzień włóczył się bez celu po Melbourne, wyczekiwał na rozkazy. Po tygodniu zameldował się u pułkownika Scotta i poprosił o przerwanie urlopu i odesłanie pierwszym samolotem do Anglii. Group Captain chętnie obiecał zarezerwowanie miejsca w „Sunderland”, ale nie ukrywał zdziwienia.

- Dlaczego tak się pan śpieszy, kapitanie? Należy się panu przecież wypoczynek. Ma pan tutaj wszystko, czego dusza zapragnie.

Teraz zaś, na cejlońskim lotnisku Kogala, Shannon oczekiwał następnego samolotu. Za dwa, może trzy dni znaleźć się miał w Londynie, tam zaś czekał go gmach Admiralty. Tylko tam można się było wreszcie wyzbyć gniotącej i dobijającej niepewności.

Od strony baru dolatywały coraz głośniejsze słowa rozmowy. Piloci byli już po wielu kolejkach i z właściwą młodą fanfaronadą przechwalali się swym kunsztem, obiecywali sobie wspaniałe sukcesy w walkach z Japończykami, wyśmiewali się z myśliwskich „Zero”, kpili z nieudolności japońskich lotników.

Peter wzdrygnął się. W ten sam sposób zachowywali się ongiś oficerowie w Hotelu Morskim w Singapurze.

„Historia się powtarza - pomyślał melancholijnie.- Ci również dostaną po skórze, nauczą się na własnym doświadczeniu albo niczego się nie nauczą i zginą. Gdybym powiedział im teraz prawdę, nie uwierzyliby i wyśmiali. Et, ten pomysł z instruktorką w Anglii jest zupełnie poroniony”.

Wysączył wermut, ziewnął przeciągle. Odlot nastąpić winien pod wieczór, pozostawało wiele czasu, z którym nie wiadomo było, co robić. Można, co prawda, przespać się, ale Peter wiedział, że nie zdoła zmrużyć oka. Można przespacerować się po lotnisku i okolicy - na to brakło energii i zainteresowania. Można wychylić szklaneczkę whisky z pilotami przy barze. Najlepsze wyjście. Czasem i alkohol przydaje się na coś, chociaż nieczęsto. Wtedy, w kabinie japońskiej maszyny, przydał się bardzo. Nie ruszał się z miejsca.

„Jestem wyładowany jak zużyty akumulator. Akumulator można naładować. A mnie?”

Machnął ręką, ziewnął ponownie, zamówił drugą szklaneczkę wermutu.

Przy barze perorował wysoki blondyn z różową twarzą cherubinka i piegami na zadartym nosie, łuszczącym się od pierwszych ukąszeń podzwrotnikowego słońca. Blondyn ubrany był w zielonkawy amerykański mundur.

- Popatrzcie na tego ponuraka - mówił, wskazując podrzutem głowy Shannona. - Smętny gość, co? Wygląda, jakby wypił butelkę octu.

- Raczej butlę whisky - poprawił Kanadyjczyk. - Oni podobno wszyscy tutaj chłają jak świnie. Patrzcie na jego ucho! Na pewno dostał po mordzie kuflem w jakiejś portowej spelunie.

- Ciemny - skostatował angielski podporucznik. - Czarny jak tubylec. Pewnie mieszaniec. Tacy stronią od wojny jak od zarazy.

Amerykanin palnął pięścią w ladę baru.

- Czarny? - zawołał gniewnie. - Co u was za porządki? Jak możecie takich wpuszczać do oficerskiego kasyna?!

Shannon, słuchający ich mimo woli, nie wiedział czy się złościć, czy po prostu śmiać. Ignorancja, lekkomyślne sądy, idiotyczne przesady rasowe i głupawe uwagi młodocianych adeptów powietrznego rzemiosła bawiły, ale i denerwowały. Rozmowa z tymi ludźmi, przemówienie im do rozsądku nie miałyby jednak sensu. Pomiędzy nim a grupką przy barze kładły się nieprzebytą zaporą spadające w płomieniach samoloty nad Singapurem, kolczaste druty Pasir Pandziang, błyszcząca szabla Teruci, ściana sumatrzeńskiej dżungli, „klatki” obozu Tarakuk, twarze McLochlona, Duwala, McNeilla. Był od młodych pilotów starszy zaledwie o kilka lat, doświadczeniem przerastał ich o lat sto.

Spojrzał na zegarek kupiony w Melbourne. Jeszcze trzy godziny. Można się ogolić, umyć, zjeść kolację i przygotować do drogi. Ale co przygotować? Podróżna torba stoi w hallu, policzki gładkie, w żołądku pełno.

„Nie tak jak na Sumatrze. Tutaj nie podają gniecionych robaków”.

Ziewnął po raz trzeci. Jeszcze dwie godziny! Czas włókł się niepomernie. Jak wtedy, przed obozem Tarakuk, gdy o metr od jego twarzy pojawił się płaski łeb krauta.

Leniwie sięgnął po czasopisma. Przerzucał je, nie czytając, spoglądał na nagłówki artykułów sprzed wielu miesięcy. Nieaktualne, nieciekawe, należące do odległej, nieważnej przeszłości. Odrzucił barwny tygodnik „Illustrated London News”, przekartkował płachtę „Timesa”, bez uśmiechu przypatrzył się skeczom i karykaturom popularnego „Puncha”. Odłożył pisma, zapalił papierosa.

- Kelner! Proszę jeszcze szklanek wermutu.

Shannon zmienił nagle decyzję.

- Przepraszam, kelner. Raczej napiję się whisky. Podwójna, bez lodu i bez wody.

- Służę, panie kapitanie.

Wysoki blondyn przy barze zagadał do kolegów:

- Słyszeliście go? Gąbka, co? Chla sam, najgorszy rodzaj pijaka. U nas w Stanach takim wódki nie dają.

Peter udał, że nie słyszy zaczepki. Znow sięgnął do stosu pism, wybrał na chybił trafił. Ostatecznie czytanie było równie dobrym sposobem zabicia czasu, jak każda inna czynność.

Podniósł pismo do oczu. „Daily Mail” z połowy ubiegłego marca. Tak oznajmiały czerwone czcionki tytułowej strony. Ale tuż pod nimi... Dłonie Petera nagle zatrzęsły się, niemal wypuściły gazetę. Z osłupieniem wpatrywał się w tytułową stronę, wydał mimowolny okrzyk.

Tam, na dużym zdjęciu na środkowej kolumnie widniała twarz Betty! Nie było najmniejszej wątpliwości. Betty! W białym zawiniątku przed sobą trzymała coś... Peter gorączkowo wpatrzył się w podpis pod fotografią. Przeczytał dwa razy, zanim zrozumiał Korespondent „Daily Mail” donosił, że Elisabeth Shannon, ewakuowana z Singapuru, żona porucznika lotnictwa Petera Shannona, powiła na statku „Nigeria” córkę na kilka godzin przed zawinięciem do portu w Liverpool. Dziewczynka otrzymała imię Dawn [124], jako że „Nigeria”, pierwszy statek z obłożonego Singapuru, dopływał do angielskich brzegów o brzasku...

Peter zerwał się z miejsca, potrącił stolik, wylał na podłogę whisky z przewróconej szklaneczki. Rzucił gazetę i jak oszalały wypadł z pokoju. Gdy zataczając się przebiegł obok baru, doszły go pogardliwe słowa amerykańskiego podporucznika:

- Pijany jak bela. Wstrętny mieszaniec. U nas w Stanach Czarnym wódki nie dają...

Major pilot Peter Shannon, dowódca dywizjonu myśliwskiego w Seletar, ciągle trzymając pod pachą stalową szablę japońską, zatrzymał się w miejscu. Znalazł się przed niewielkim domkiem na przedmieściu. Nie miał pojęcia, w jaki sposób przebył drogę z gmachu dowództwa do Seletar. Półgodzinny marsz wydał mu się maleńką przechadzką.

Przekroczył furtkę, przeszedł przez starannie utrzymany frontowy ogródek, otworzył drzwi do hallu. Na ścianie, ponad dekoracyjnym i nigdy nie używanym kominkiem, wisiał w drewnianych ramkach barwny drzeworyt o wystrzępionych i przybrudzonych brzegach. Pod nim, w oszklonej gablotce, widniały krzyże Distinguished Service Order [125] oraz Distinguished Flying Cross, a niżej, wycięte z papieru, dwadzieścia dwa czerwone kółeczka i pięć czarnych krzyżyków - symbole zestrzelonych samolotów japońskich i niemieckich.

Peter uśmiechnął się kątem ust. Zdjął drzeworyt mistrza Harunobo, na jego miejscu zawiesił przyniesioną szablę. Zawahał się, krytycznie przyjrzał ścianie, pokręcił głową. Zdjął szablę, zawiesił drzeworyt. Zamyślił się i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w miecz samurajów,

Poprzez otwarte drzwi, wiodące do ogródka w tyle domu, doleciały go wesołe dziecinne głosy. Powoli obrócił się w tamtą stronę. Trzyletni chłopczyk, wymachując opalonymi rączkami, toczył się po trawie ogródka, usiłując wypuścić w powietrze niezdarnie sklecony latawiec. Na barwnej, jedwabnej poduszce siedziała młoda kobieta o czarnych włosach, opadających falami na biel bluzki. Obok niej przykucnęła śniada dziewczynka i wsłuchiwała się w zwrotki wierszyka, wypowiedane miękko i melodyjnym głosem przez matkę:

Ten little Nigger boys  
Going out to dine,  
One overate himself  
And then there were nine...

Dziewczynka wykrzywiła się płacząco.

- Mummy [126], ja nie chcę, mnie żal biednych Murzynków...

Czarnowłosa kobieta uśmiechnęła się.

- To tylko wierszyk, Dawn. Śmieszny i głupiutki wierszyk. W życiu jest inaczej...

Major Shannon bezgłośnie wycofał się od progu, cofnął do hallu. Wyszedł na zalaną słońcem ulicę, zbliżył do ogrodzenia sąsiedniej posesji, nie zabudowanej, porośniętej wysokimi chwastami. Zamachnął się, Błysnęła stalowa klinga i miecz samurajów znikł bez śladu w zielonym gąszczu chwastów.

*Napisałem w Dobrzanowie, na wiosnę i w lecie 1962 roku.*

---

[1] Union Jack (ang.) — nazwa narodowej flagi brytyjskiej.

[2] Military Police (ang.) — policja wojskowa, żandarmeria.

[3] War Crimes Court (ang.) — trybunał powołany do sądenia zbrodni wojennych.

[4] Teruci Amado — postać historyczna. Dane o jego zbrodniach wojennych zaczerpnięto z materiałów źródłowych. Zgodnie ze zwyczajem japońskim w tekście podane jest najpierw nazwisko, potem zaś imię.

[5] Tenno (jap.) — japoński cesarz (używany jest również wyraz Mikado).

[6] Siowa (jap.) — dosłownie: Lśniący Pokój. Nazwa epoki w historii japońskiej, rozpoczętej z chwilą wstąpienia na tron cesarza Hirohito w roku 1926 naszej ery (japoński rok kalendarzowy rozpoczyna się od 660 przed n.e.).

[7] Samuraj (jap.) — średniowieczny rycerz japoński

[8] Busido (jap.) — kodeks postępowania samurajów.

[9] Nippon (jap.) - nazwa państwa japońskiego (używany jest również wyraz Nihon).

[10] Jusi (jap.) - rycerz, wojownik.

[11] Jamato (jap.) - część środkowa Japonii, uważana za kolebkę narodu.

[12] Ken (jap.) - miara długości, równa około 1,5 metra.

[13] Taii (jap.) - stopień oficerski, odpowiednik kapitana.

[14] RAF (ang.) — skrót od Royal Air Force — Królewskie Siły Powietrzne (nazwa angielskiego lotnictwa wojskowego).

[15] Squadron Leader (ang.) — RAF-u, odpowiednik majora.

[16] Dear (ang.) - drogi.

[17] Pilot Officer (ang.) - stopień oficerski RAFu, odpowiednik podporucznika.

[18] Bloody hell (ang.) - dosłownie: krwawe piekło. Ordynarne przekleństwo angielskie.

[19] Registry Office (ang.) - urząd stanu cywilnego.

[20] Flight Lieutenant (ang.) - stopień oficerski w lotnictwie RAFu, odpowiednik kapitana.

[21] Flying Officer (ang.) - stopień oficerski w lotnictwie RAFu, odpowiednik porucznika.

[22] You've hit the nail on the head, colonel (ang.) idiomatyczne: trafił pan w sedno, pułkowniku.

[23] Sen (jap.) - japońska jednostka monetarna.

[24] Dispersal (ang.) — w słownictwie RAF-u miejsce rozstawienia samolotów na lotnisku.

[25] Royal College of Sydney (ang.) — Królewskie Gimnazjum w Sydney.

[26] Distinguished Flying Cross (ang.) — wysokie odznaczenie bojowe w lotnictwie RAFu, przyznawane tylko oficerom.

[27] Rikugun-siosa (jap.) - stopień oficerski, odpowiednik majora.

[28] Bloody bastards (ang.) – dosłownie: krwawe bękarty. Ordynarne przekleństwo angielskie.

[29] Nore (jap.) – baczność.

[30] Un, tali-dono (jap.) — tak, wielmożny panie kapitanie (japoński przepisowy zwrot wojskowy).

[31] Ciui (jap.) — stopień oficerski, odpowiednik porucznika.

[32] Gocio (jap.) — stopień podoficerski, odpowiednik kaprała.

[33] Sake (jap.) — rodzaj wódki pędzonej z ryżu.

[34] Ad rem (łac.) - do rzeczy.

[35] Go to hell! (ang.) - idź do piekła!

[36] Ab initiam (łac.) – od początku.

[37] By Jove! (ang.) - na Jowisza!

[38] Aut mors, aut victoria (łac.) - albo śmierć, albo zwycięstwo.

[39] Socio (jap.) - stopień podoficerski, odpowiednik sierżanta.

[40] Pipe down, stupid (ang.) - zamknij gębę, głupcze.

[41] Kejho (jap.) – alarm.

[42] Memento mori (łac.) - pamiętaj, że umrzesz.

[43] Pardonnez moi, mon lieutenant (fr.) - proszę mi wybaczyć panie poruczniku.

[44] Fish, two fishes (ang.) - ryba, dwie ryby.

[45] Mon Dieu! (fr.) - mój Boże!

[46] Monsieur (fr.) - pan.

[47] N'est-ce pas? (fr.) - nieprawdaz?

[48] Sacrebleu (fr.) - do licha.

[49] Imbecile (fr.) — dureń.



- [50] Ten little Nigger boys... (ang.) - dziesięciu małych Murzynków poszło na obiad, jeden się obzał i pozostało dziewięciu (pierwsza zwrotka popularnego wierszyka o dziesięciu Murzynkach).
- [51] Nine little Nigger boys... (ang.) - dziewięciu małych Murzynków zasiedziało się do późna, jeden zaspał i pozostało ośmiu. Ośmiu małych Murzynków wspinało się do nieba, jeden spadł i pozostało siedmiu.
- [52] Seven little Nigger boys... (ang.) - siedmiu małych Murzynków rąbało drzewo, jeden przerąbał się na pół i pozostało sześciu. Sześciu małych Murzynków bawiło się ulem, jeden został ukąszony i pozostało pięciu.
- [53] My darling (ang.) - moje kochanie.
- [54] Qu'y a-t-il? (fr.) - co się stało?
- [55] Les canailles (fr.) - kanalie.
- [56] Actum est (łac.) - stało się.
- [57] Komm (hol.) - chodź.
- [58] Royal Netherlands Air Force (ang.) - Królewskie Holenderskie Siły Powietrzne.
- [59] Toilette (fr.) lavatory (ang.) - toaleta.
- [60] Royal Artillery Corp (ang.) - Królewski Korpus Artylerii.
- [61] I'm sorry (ang.) - przykro mi (przepraszam).
- [62] Merde (fr.) - gówno.
- [63] Saarung (mal.) - rodzaj ubioru, zbliżony wyglądem do spódniczki, noszony przez mieszkańców Archipelagu Malajskiego.
- [64] Listen, my friend (ang.) - słuchaj, mój przyjacielu.
- [65] Keep smiling (ang.) - utrzymaj śmiech (nie trap się).
- [66] Kam pong (mal.) - malajska wioska.
- [67] It is a long way to Tipperary... (ang.) - daleka jest droga do Tipperary, daleka jest droga do przebycia (pierwsze słowa znanej piosenki z czasów pierwszej wojny światowej).
- [68] Qui vivra, verra (fr.) - kto dożyje, ten zobaczy.
- [69] Gulden - holenderska jednostka monetarna.
- [70] Rambutan (mal.) - czerwony, włochaty z zewnątrz, mięsisty wewnątrz gatunek orzecha, rosnącego na Archipelagu Malajskim (*Nephelium lappaceum*).
- [71] Allez-vous-en (fr.) - idź sobie (idź precz).
- [72] Mon cher (fr.) - mój drogi.
- [73] Bungalow (ang.) - parterowy domek mieszkalny.
- [74] Adieu la voiture, adieu la boutique (fr.) - żegnaj powozie, żegnaj sklepie.
- [75] Au contraire (fr.) - przeciwnie.
- [76] Apres coup (fr.) - za późno.
- [77] Par hasard (fr.) - przypadkiem.
- [78] Affaires d'amour (fr.) - sprawy miłosne.
- [79] Mon bon camarade (fr.) - mój dobry kolego.
- [80] Aide toi et Dieu faidera (fr.) - pomóż sobie, a Bóg ci dopomoże.
- [81] Au revoir (fr.) - do widzenia.
- [82] Farewell (ang.) - żegnaj.
- [83] Mon ami (fr.) - mój przyjacielu.
- [84] Five little Nigger boys... (ang.) - pięciu małych Murzynków bawiło się drzwiami, jeden został przyciśnięty i pozostało czterech.
- [85] Good luck (ang.) - szczęścia, powodzenia.
- [86] Ab origine (łac.) - od początku.
- [87] Amor patriae (łac.) - miłość ojczyzny.
- [88] Baju (mal.) - rodzaj cienkiej koszulki bez rękawów, noszonej przez mieszkańców Archipelagu Malajskiego.
- [89] Manna Dzippon? (mal.) - czy są Japończycy?

- [90] Tuam (mal.) - pan (wyrażenie stosowane przeważnie do Europejczyków lub ludzi starszych wiekiem oraz godnością).
- [91] Curry (ang.) - ostra korzenna przyprawa, używana najczęściej w Indiach.
- [92] Curiosity killed the cat (ang.) – ciekawość zabiła kota (odpowiednik: ciekawość to pierwszy stopień do piekła).
- [93] Wait, wait, officer, officer comes (ang.) –czekaj, czekaj oficer, oficer przyjdzie.
- [94] Mister (ang.) - pan.
- [95] Cinchona (ang.) - gatunek drzewa o wiecznie zielonych liściach, którego kora i liście zawierają chininę (Cinchona-ceous).
- [96] Betel (ang.) - orzech niewielkiego krzewu rosnącego między innymi na Archipelagu Malajskim. Przeżuwany jest przez krajowców, w pewnej mierze zastępuje tytoń.
- [97] Sampan (chin.) - rodzaj chińskiej łodzi o płaskim dnie.
- [98] Shut up (ang.) - zamknij się (zamilknij).
- [99] Aphrodisiac (ang.) - środek wywołujący silne podniecenie seksualne (z greckiego: Aphrodisiakos).
- [100] Still waters run deep (ang.) - odpowiednik: cicha woda brzegi rwie.
- [101] Amar'y saber no puede ser (hiszp.) - nie można jednocześnie kochać i być rozsądnym.
- [102] Bene vale (łac.) - żegnaj.
- [103] Three wise men of Gotham... (ang.) - trzech mądrali z Gotham wypłynęło na morze w misce.  
Gdyby ich miska była silniejsza, moje opowiadanie byłoby dłuższe (popularny dziecienny wierszyk angielski).
- [104] Four little Nigger boys... (ang.) - czterech małych Murzynków wypłynęło na morze, jeden utopił się i pozostało trzech.
- [105] Tiger (ang.) - tygrys.
- [106] Hell and damnation! (ang.) – piekło i potępienie
- [107] Bloody good (ang.) - wulgarne wyrażenie gwarowe (odpowiednik: cholernie dobrze).
- [108] Spider (ang.) - pająk.
- [109] Fiat lux (łac.) - niech się stanie światło.
- [110] A beau mentir qui vient de loin (fr.) – przysłowie: trzeba wierzyć, bo trudno sprawdzić.
- [111] Military Intelligence (ang.) - brytyjski wywiad wojskowy.
- [112] Per ardua ad astra (łac.) - przez trudy do gwiazd.
- [113] All is well that ends well (ang.) - wszystko dobre, co się dobrze kończy.
- [114] Dulce bellum inexpertis (łac.) – wojna jest słodka dla tych, którzy jej nie próbowali.
- [115] Audaces fortuna iuvat (łac.) - szczęście sprzyja odważnym.
- [116] Geht's nich so, so geht's vielleicht anders (niem.) - jeżeli tak się nie powiedzie, to może inaczej.
- [117] Quam parva sapientia mundus regitur (łac.) - jak marnie świat jest rządzony
- [118] Three Little Nigger boys... (ang.) - trzech małych Murzynków szukało bambusu, jeden się zagubił i pozostało dwóch.
- [119] Black Widow (ang.) - czarna wdowa.
- [120] Finis coronat opus (łac.) - koniec wieńczy dzieło.
- [121] Sitting-room (ang.) - pokój bawialny.
- [122] Group Captain (ang.) - stopień oficerski RAFu, odpowiednik pułkownika.
- [123] Air Ministry (ang.) - Ministerstwo Lotnictwa.
- [124] Dawn (ang.) - świt (jutrzienka).
- [125] Distinguished Service Order (ang.) - wysokie odznaczenie bojowe brytyjskie, przyznawane dowódcom w stopniu oficerskim.
- [126] Mummy (ang.) - mama.